

Reginald Hill

ŚCIĘTE GŁOWY

DALZIEL I PASCOE

Tytuł oryginału: Deadheads

Przełożył Wojciech Szypuła

ISBN 978-83-7534-049-5

Wydanie I

Wydawca: Nowa Proza 2011



Istnieje taki cudowny rodzaj gnuśności, kiedy człowiek, mimo że zniechęcony ciężącymi nań, nużącymi obowiązkami, nie zaniedbuje swego umysłu, i gdy tylko wolnym jest od przypisanych mu zajęć, uwagę swą poświęca innym sprawom, nie mniej w życiu istotnym, którym, jak odkrywa, oddawać się jest zdolny z wielką swobodą i satysfakcją.

Daniel Defoe, *Żywot i przypadki pana Duncana Campbella*

Nie będzie już przyjaźni między mną i różami.

Algernon Charles Swinburne, *Triumf czasu*

Część pierwsza

Dobrze, iż łatwiej zapach do mózgu nie sięga,
Zabiłaby cię róży wonność nazbyt tęga.

Alexander Pope, *Esej o człowieku* (przeł. L. Kamiński)

Psota*

(*Mischief*. Mieszaniec herbatni. Koralewo-łososiowy, o słodkim zapachu, doskonały do ogrodu. Podatny na czarną plamistość).

Panią Florence Aldermann przygnębiały otaczające ją zewsząd dowody zaniedbania. Stary Caldicott i jego tykowały synalek Dick zachowywali się gburowato, odkąd na jesieni dała im jednoznacznie do zrozumienia, że w żadnym razie nie zamierza zatrudnić bezczelnego, dłuźącego w nosie piętnastolatka i że wręcz rozważa obciążenie jego rodziców kosztami owoców, które całymi taczkami kradł z sadu. To było niewinne podbieranie, powiedział stary Caldicott. Zwykła kradzież, odparła na to, a ponieważ - o czym wiedziała od znajomych z adwokatury - młody Caldicott już kilkakrotnie stawał przed sądem dla nieletnich, woleli z nią nie dyskutować.

Po tym wydarzeniu chłopak gdzieś przepadł, a jego ojciec i dziadek od tamtej pory żywili do niej urazę i nie omieszkali wykorzystać jej niedawnej niedyspozycji, by to okazać. Powinna z nimi poważnie porozmawiać. Chociaż nie, tu rozmowa nie wystarczy. Gdy tylko znajdzie kogoś na ich miejsce, polecą głowy.

Ta myśl sprowokowała ją do działania. Gniewnym gestem ujęła *Mme Louis Laperriere* w odzianą w rękawiczkę dłoń, chwyciła mocno, żeby zapobiec nieestetycznemu rozpadowi, przyłożyła ostry jak brzytwa nóż i jednym fachowym, gładkim ruchem odcięła obwisły smętnie kwiat. Wyrzuciła go do plastikowego kubła.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ktoś ją obserwuje.

Za krętą jak labirynt kratą porośniętą groszkiem pachnącym, oddzielającą ogród różany od biegnącego przez cały sad podłużnego trawnika (pani Aldermann ze złością zauważyła przy tym, że zaniedbany groszek wykształcił strączki z nasionami, które, jeśli się

* Tytuły rozdziałów w książce to autentyczne nazwy odmian róż. Ponieważ mają odniesienie do treści rozdziałowi w kilku przypadkach pozwoliłem sobie na przekład odbiegający od oryginału by lepiej oddać znaczenie i jakie mają w języku angielskim (przyp. tłum.).

ich nie usunie, uniemożliwią pojawienie się nowych kwiatów), czaiła się drobna, całkowicie nieruchoma sylwetka.

- Patricku! - zawołała ostrym tonem pani Aldermann. - Chodź no tutaj!

Chłopiec powoli wynurzył się z ukrycia.

Miał około jedenastu lat, ale był drobny jak na swój wiek. Duże piwne oczy były osadzone w bladej owalnej twarzy, której kompletny brak wyrazu nadawał nieco orientalny charakter. Pani Aldermann spojrzała na niego z niesmakiem. Nie chodziło nawet o to, że należał do tego samego upiornego podgatunku co Brent Caldicott - chociaż już samo to by wystarczyło. Najgorsze było to, że patrząc na

Patricka, nie mogła nie myśleć o jego pochodzeniu, a wtedy wzbierała w niej złość. Niewiele było trzeba, żeby uwolnić rozległe zasoby jej gniewu, a wszelkie oznaki ludzkiej słabości wyzwalają je ze szczególną łatwością.

Była wściekła jedenaście lat temu, kiedy jej siostrzenica, Penelope, oznajmiła, że jest w ciąży. Rozzłościła się jeszcze bardziej, gdy nieodpowiedzialna dziewczucha odmówiła wskazania ojca, a już do białej gorączki doprowadziła ją spokojna zapowiedź Penelope, że zamierza sama wychować dziecko. Nawet nieodpowiedzialna matka Penelope, młodsza siostra Florence Aldermann, miała dość rozumu, żeby wycygnąć ślubną obrączkę od obiektu swojego młodzieńczego zaślepienia, George'a Highsmitha, handlarza dywanami - chociaż ani to, ani fakt, że oboje już nie żyli, nie uchronił ich przed gniewem pani Aldermann. Śmierć nie stanowiła przeszkody dla jej rozdrażnienia; ba, mogła wręcz stać się jego przyczyną. Pani Aldermann wciąż czuła złość na swojego męża za to, że przed dwoma laty jak ostatni mięczak zmarł na skutek zatoru tętnicy wieńcowej, kiedy w ogrodzie było jeszcze tyle do zrobienia, tyle do naprawienia.

Skończyło się na tym, że własny gniew obrócił się przeciwko niej i przed sześcioma miesiącami zasłała w Knightsbridge podczas przedświątecznej eskapady zakupowej. Każda choroba była godna najwyższej pogardy - ale zawał, który przywykła uważać za typowo męską formę słabości, był czymś niewybaczalnym.

Całe szczęście (zrozumiała to dopiero później, bo wtedy, w grudniu, miała pretensje do siebie samej, tak jakby „słabość” była jakąś chorobą zakaźną), że była z nią wtedy Penelope - dobrodusznym, zawsze niewzruszonym Penny, która nie poczuła się w najmniejszym stopniu urażona, (bo i czemu miałyby się poczuć?), kiedy po śmierci wuja Eddiego dowiedziała się, że skończyło się hojne kieszonkowe, jakie wypłacał jej latami. Cóż, czasy były ciężkie, a podatki wiadomo jakie. Wyglądało na to, że jednak w zupełności wystarczą jej

herbatki w Harrodsie podczas przydarzających się dwa razy do roku odwiedzin cioteczki Flo w Londynie.

Kilka tygodni później nastaly lata sześćdziesiąte. Gdyby pani Aldermann potrafiła przewidzieć flower-power, popart, swingujący Londyn i inne niedorzeczne osiągnięcia tej epoki, powitałaby ją z najwyższym niesmakiem. Ponieważ jednak przebywała w stanie całkowitej niewiedzy na oddziale intensywnej opieki, zamiast najwyższego niesmaku musiała się zadowolić najwyższą obojętnością. Wkrótce potem, odzyskawszy nieco sił, przeniosła się do luksusowej prywatnej kliniki, gdzie pierwszy raz okazała prawdziwe emocje (i przy okazji niemal dostała drugiego zawału), gdy zapytała, ile kosztuje pobyt w takiej placówce. Przy pierwszej nadarzącej się sposobności zadeklarowała, że czuje się już wystarczająco dobrze, żeby wrócić do Rosemont, swojego domu w Yorkshire, i tam odbyć rekonwalescencję. Ponieważ było oczywiste, że nie jest w stanie należycie o siebie zadbać, z pomocą lekarza nakłoniła swoją niefrasobliwą i z nikim niezwiązaną siostrzenicę, by jej towarzyszyła, co pozwoliło jej zaoszczędzić znaczną sumę, którą musiałaby zapłacić zawodowej pielęgniarce. W następnych tygodniach doceniła obecność Penelope także z powodów pozaekonomicznych. Penny okazała się ucieleśnieniem marzeń wszystkich szanujących się średnio zamożnych przedstawicielek klasy średniej. Była prawdziwym skarbem: pracowita, wyrozumiała, zabawna, łatwo zapominająca upokorzenia... Jediną jej wadą było nieokazywanie służalczej wdzięczności. No i posiadanie Patricka.

Jednakże, pomimo tych jej niedoskonałości, pani Aldermann, dochodząc do siebie, zaczęła przemyśliwać nad zaproponowaniem jej przeprowadzki do Rosemont, które i tak było za duże dla samotnej starszej kobiety. Nie przy- szłoby jej do głowy płacić Penny za pomoc w domu, były przecież spokrewnione, ale jakieś niewygórowane kieszonkowe byłoby całkiem na miejscu - zwłaszcza gdyby poparła je kuszącą obietnicą zmiany testamentu na jej korzyść.

Przedstawiła więc swoją propozycję Penny, która - ku jej irytacji i zdumieniu - zamiast z wdzięcznością przyjąć atrakcyjną ofertę, pokręciła nosem i zaczęła coś z nostalgią przebąkiwać o Londynie. A cóż takiego Londyn miał do zaoferowania w porównaniu z przyjemnym starym Rosemont, jego wypielegnowanym ogrodem, cudownymi widokami i najpiękniejszymi miasteczkami Yorkshire w zasięgu ręki? Widziała kiedyś takie mieszkanie, w jakim gnieździła się jej siostrzenica: zapuszczoną dwupokojową norę w suterenie, w dzielnicy, w której pasażerowie autobusów wyglądają jak żywcem wyjęci z castingu do musicalu dla czarnych. Dlaczego Penny miałaby się w ogóle zastanawiać nad tak hojną ofertą, w której została zawarta nawet nie całkiem bezinteresowna propozycja umieszczenia Patricka w skromnej, choć przyzwoitej prywatnej szkole z internatem?

Dlatego właśnie widok szpiegującego ją chłopca powiększył i tak niemałe brzemie jej gniewu.

Pani Aldermann już otworzyła usta, żeby udzielić mu kategorycznej reprimendy, ale zanim zdążyła przemówić, odezwał się Patrick:

- Wuj Eddie też tak robił.

Zaskoczona, (jeśli pamięć jej nie myliła, był to pierwszy bodaj przypadek w historii odwiedzin Patricka w Rosemont, kiedy zainicjował rozmowę z nią), odpowiedziała mu w taki sposób, jakby był prawie rzeczywistą osobą.

- Owszem - przytaknęła. - Także i Caldicott mógł to robić, ale nie robił. Dlatego teraz ja muszę się tym zajmować.

Samą intonacją tych słów umieściła starego Caldicotta i swojego nieżyjącego męża w wspólnej kategorii ludzi zaniedbujących obowiązki. Z demonstracyjną zrezygnacją odcięła następną słodko pachnącą, ale nadmiernie rozwiniętą Mme Louis Laperriere.

- Ale dlaczego ciocia to robi? - zainteresował się Patrick.

Ton jego głosu był może odrobinę opryskliwy, ale pani Aldermann łaskawie złożyła to na karb nieobycia nowicjusza.

- Dlatego - zaczęła belferskim tonem - że kwiaty, które przekwitną i zaczynają obumierać, uniemożliwiają rozwój i rozkwit innych, młodszych. Poza tym płatki osypują się na ziemię, przez co krzew i cała grządka wyglądają bardzo niechlujnie. Dlatego obcina się stare kwiaty. Nazywamy to odgławianiem.

- Odgławianiem - powtórzył jak echo Patrick.

- Właśnie. - Pani Aldermann zaczynał się podobać ten pedagogiczny styl rozmowy. - Dlatego że obcina się kwiatom głowy.

- Żeby mogły wyrosnąć młode? - Patrick zmarszczył brwi.

- Otóż to.

Pierwszy raz widziała, żeby ten chłopak czymś się zainteresował. Kiedy przyglądał się jej przy pracy, twarz naprawdę nieco mu się ożywiła. Pani Aldermann była z siebie bardzo zadowolona, jak naukowiec, któremu udało się dokonać niespodziewanego przełomu. Nigdy wcześniej nie przeszkadzało jej, że ze sobą nie rozmawiają, przeciwnie - bardzo jej to odpowiadało, ale ta konkretna forma dyskursu, podkreślająca jej wyższość nad interlokutorem, nie była jej wcale niemiła. Prawie zapomniała o swoim gniewie, ale na szczęście, zalegające w kuble dowody indolencji starego Caldicotta nie pozwalały mu całkowicie wygasnąć.

Jakby czytając jej w myślach, Patrick podstawił kubek, żeby łapać do niego spadające kwiaty.

Kiedy spojrzała na chłopca, w jej oczach zapalił się pierwszy ogień aprobaty. Przyszło jej do głowy, że może przypadkiem znalazła klucz do jego duszy. Zaskoczona tą wymyślną metaforą wahała się przez moment, zaraz jednak jej niespodziewana fantazja rozpostarła skrzydła i zerwała się do lotu jak ptak wypuszczony z ciasnej klatki. Przypuśćmy, że w tym miejskim, wyrosłym w kawalerce ciele, kryje się urodzony ogrodnik, który tylko czeka na to, żeby ktoś go wywabił z ukrycia. Z miejsca stałby się cennym - i darmowym! - pracownikiem. A potem, zdobywszy wiedzę i doświadczenie, mógłby przejmować coraz więcej prawdziwych obowiązków i świadomie planować hodowlę. Całkiem niedługo, może już za parę lat, smętne rządy starego Caldicotta dobiegłyby satysfakcjonująco gwałtownego kresu i zniknęłaby groźba domniemanej sukcesji ze strony tykowatego Dicka i tego odrażającego Brenta.

Pierwszy raz w życiu obdarzyła chłopca pełnym blaskiem swojego uśmiechu.

- Chciałbyś spróbować, Patricku? - spytała bezprecedensowo ciepłym tonem. - Chodź, pokażę ci. Musisz dobrze chwycić głowę kwiatu, żeby żaden płatek nie spadł na ziemię. Przy okazji mocno trzymasz łodygę. Potem spoglądasz w dół i szukasz pierwszego liścia od góry, najlepiej takiego wyrastającego ze środka krzewu i złożonego z pięciu małych listków. Spójrz, tu jest taki jeden. W miejscu, w którym wyrasta z łodyżki, widać mały pączek. Ten pączek chcielibyśmy zachęcić do rozkwitu. W tym celu ścinamy łodygę mniej więcej ćwierć cała powyżej niego, na skos, jednym cięciem. O tak. Proszę bardzo. Widzisz? Cięcie musi być czyste, żadnego piłowania i szarpania, żeby nie wdała się infekcja. Niektórzy używają do tego sekatorów, ale moim zdaniem, nawet przy najlepszym sekatorze istnieje ryzyko częściowego zmiżdżenia łodygi. Dlatego wolę nóż. Z najlepszej stali, najostrzejszy. Nigdy nie oszczędzaj na narzędziach, Patricku. Proszę. Chcesz spróbować? Weź nóż, tylko uważaj: jest naprawdę bardzo ostry. Należał do twojego ciotecznego wuja, Eddiego. Wiesz, że to on zasadził większość tych róż? A do ich przycinania i odgławiania zawsze używał tylko i wyłącznie tego noża. No, masz. Chwyć mocno trzonek i pokaż, co potrafisz.

Oddała chłopcu nożyk. Patrick wziął go ostrożnie do ręki i przyjrzał mu się z przyjemnie należyty szacunkiem.

- Zobaczmy, jak sobie poradzisz z usunięciem tej głowy. Pamiętaj, co ci powiedziałam. Mocno chwyć kwiat. Patricku! Chwyć kwiat. Patricku, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Chłopiec oderwał spojrzenie piwnych oczu od błyszczącego ostrza, któremu przyglądał się z czułą fascynacją. Jego twarz znów zmartwiała i stała się znajomą, obojętną, choć czujną maską. Coś się w niej jednak zmieniło.

Powoli unióśł nóż, aż słońce zaślniło na wypolerowanej stali. Zignorował podsuwaną mu martwą różę i pani Aldermann wypuściła w końcu kwiat, który z takim impetem odskoczył na łodyżce w głąb krzewu, że płatki zafurkotały w powietrzu i osypały się na ziemię.

- Patricku... - powiedziała, cofając się o krok. - Patricku!

Poczuła ukłucie na odsłoniętym przedramieniu, gdy kolce intensywnie pachnącej róży wbiły się w jej ciało. A potem następne, powyżej łokcia i dalej, pod pachą - cała seria przenikliwych, gwałtownych ukłuć, które nie miały nic wspólnego ze zwykłymi różanymi cierniami.

Pani Aldermann krzyknęła, podniosła kościstą, okrytą suchą jak pergamin skórą dłoń do przywiedłej piersi i upadła na wznak pomiędzy róże. Z potrząśniętych krzewów posypały się na nią płatki kwiatów.

Patrick patrzył na nią z nieprzeniknioną twarzą, aż wszystko znieruchomiało. Potem upuścił nóż, który upadł na ziemię obok starej kobiety, i pobiegł w stronę domu, wołając matkę.

Część druga

Rzekła róża ranną mgłą zroszona:

Piękną jest;

Lecz cała ma uroda Z cierni narodzona.

Christina Rosetti, *Przypatrzcie się liliom na polu*

Dick Dandys

(*Dandy Dick*. Odmiana wielokwiatowa. Wyraziście różowa, prosta i smukła, przypomina mieszańce herbatnie).

Richard Elgood był niskim, wytwornym mężczyzną o drobnych stopach, na których eleganckie, wypolerowane do połysku skórzane buty leżały jak balerinki. I rzeczywiście, mimo swoich sześćdziesięciu lat poruszał się z lekkością i gracją tancerza, aż Peter Pascoe zaczął się zastanawiać, czy powinien uścisnąć podaną mu dłoń, czy może raczej wykręcić pod nią piruet. Uścisnął ją i uśmiechnął się.

- Proszę siadać, panie Elgood. W czym mogę pomóc?

Elgood nie odwzajemnił uśmiechu, chociaż miał pogodną, krągłą twarz, która - zdaniem Pascoe - musiała się prezentować całkiem atrakcyjnie, gdy rozświetlał ją przeblysk dobrego humoru. Ale teraz najwyraźniej nie było mu do śmiechu.

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć, panie komisarzu, choć zacząć przecież muszę. Inaczej przyjście tu nie miałyby sensu.

Jego słowa miały rytm i brzmienie charakterystyczne dla przemysłowego południa Yorkshire, zauważył Pascoe; były pozbawione typowej dla wiejskiej północy głębi. Pascoe rozsiadł się wygodniej, złożył dłonie jak rozmodlone postaci z obrazów Durera i zachęcająco skinął głową.

Elgood przyglądał się jedwabny krawat, jakby chciał się upewnić, że złota spinka jest na swoim miejscu, a następnie zajął się chyba przeliczaniem perłowych guzików brokatowej kamizelki pod statecznie kosztownym garniturem. Potwierdziwszy ich liczbę, przez chwilę jeszcze flirtował z rozporkiem spodni, zanim w końcu przemówił:

- To, co za chwilę powiem, mogłoby zapewne zostać uznane za oszczerstwo, dlatego po wyjściu z tego pokoju nie potwierdzę swoich słów.

- Chce pan powiedzieć, że będzie pańskie słowo przeciw mojemu - przytaknął życzliwie Pascoe.

Był jak najdalszy od życzliwości wobec kogokolwiek. Większość nocy przesiedział w gąszczu rododendronów, wyczekując przybycia gangu włamywaczy, którzy nie raczyli się pojawić. W ostatnim czasie w okolicy doszło do trzech włamań do dużych rezydencji - pustych, ponieważ ich właściciele wyjechali na urlop, i chronionych systemami alarmowymi, które unieszkodliwiono w sposób, którego pracownicy Wydziału Kryminalnego na razie nie umieli określić. Dlatego nie mogli zlekceważyć niedzielnego „gorącego cynku”, że w poniedziałkową noc jest zaplanowane włamanie do takiego a takiego domu. O świcie Pascoe wyczołgał się spod krzaka i wrócił do komisariatu, gdzie - zbyt zmęczony, żeby od razu spisać raport - zdrzemnął się dwie godzinki na połowce. Pół litra stołówkowej kawy dodało mu akurat tyle sił, żeby sporządzić raport i już, już miał wyjść do domu, gdzie mógłby naprawdę się przespać, kiedy podinspektor detektyw Andrew Dalziel podrzucił mu tego zbiega z hollywoodzkiego musicalu.

- Słucham, panie Elgood - powiedział. - Zapewniam, że może pan być ze mną szczery. Elgood wziął głęboki wdech.

- Jest taki facet... - zaczął. - U nas, w firmie. Ja myślę, że on zabija ludzi.

Pascoe oparł nos na czubku złożonej z palców iglicy. Wolałby oprzeć czoło na biurku.

- Zabija ludzi - powtórzył znużonym tonem.

- Na śmierć! - podkreślił Elgood, jakby urażony brakiem reakcji.

Pascoe z westchnieniem wziął do ręki długopis i zawiesił go wyczekująco nad kartką papieru.

- Mógłby pan wyrażać się odrobinę konkretniej? - zaproponował.

- Mógłbym. I zrobię to.

Po tym potwierdzeniu z Elgooda chyba spłynęło napięcie, bo nagle się odprężył, uśmiechnął uroczo, odsłaniając przy tym dwie duże złote plomby, i z istic prestidigitatorską zręcznością wyciągnął z kieszeni równie złotą papierośnicę.

- Papierosa?

- Nie palę - odparł Pascoe z samozadowoleniem. - Ale proszę się nie krępować.

Elgood wsunął papierosa do hebanowej cygarniczki ze złotą obrączką. Złota zapalniczka w kształcie latarni morskiej nie wiadomo skąd pojawiła się w jego dłoni, błysnęła przelotnie i zniknęła. Dwa razy zaciągnął się dymem i wyrzucił papierosa do popielniczki.

- Pan Dalziel bardzo dobrze się o panu wyrażał, kiedy rozmawiałem z nim przez telefon - powiedział. - Albo naprawdę jest pan dobry, albo jest mu pan winien pieniądze.

Znów się uśmiechnął i Pascoe ponownie docenił czar tego uśmiechu. Odpowiedział tym samym.

- Pan Dalziel jest bardzo spostrzegawczy - przyznał. - Kazał mi jeszcze raz przeprosić, że nie może pana przyjąć osobiście.

- No cóż, nie będę ukrywał, że wolałbym rozmawiać z nim. Bo widzi pan, my jesteśmy starymi znajomymi.

- Jutro powinien być uchwytny - zasugerował Pascoe z nadzieją w głosie.

- Nie, nie. Ponieważ już się tu pofatygowałem, wolę od razu załatwić sprawę, póki mam ją świeżo w pamięci. Andy Dalziel powiedział, że pan jest w porządku, i mnie to wystarczy.

- Mnie z kolei zapewnił, że warto pana wysłuchać - powiedział Pascoe, licząc przynajmniej na zwężłość, skoro odroczenie wyroku nie wchodziło w grę.

Prawdę mówiąc, Dalziel powiedział tak:

- Dziś rano mam za mało czasu, żeby jeszcze go tracić na Dicka Dandysa, ale uparł się, że natychmiast musi z kimś porozmawiać, więc skierowałem go do ciebie. Zaopiekuj się nim, dobrze? Jestem mu coś winien.

- Rozumiem - powiedział Pascoe. - Zawsze spłacasz długi w ten sposób, że odmawiasz wierzycielom spotkania?

Oczy Dalziela błysnęły złowrogo w jego ufortyfikowanej twarzy. Przywodziły na myśl dwójkę obrońców średniowiecznej twierdzy, którzy zastanawiają się, czy wylać wrzący olej na napastnika.

- A o czym dokładnie chce ten cały Elgood pogadać? - spytał pośpiesznie Pascoe.

- Na razie tylko Bóg jeden to wie, ale ty będziesz następny. Potraktuj go poważnie, chłopcze. Nawet jeśli zacznie głądzić nie na temat, co mu się czasem zdarza, nawet jeśli będzie cię zanudzał, a ciebie zacznie kusić, żeby z wyższością wyśmiać jego fantazyjną kamizelkę i złote ozdóbki, nie lekceważ go. Sam do wszystkiego doszedł. Jest bystry, wpływowo, kasiasty i prawdziwy z niego pies na baby. Naopowiadałem mu cudów na twój temat, więc mnie nie zawieź.

W tej samej chwili Dalziel został pilnie wezwany na audiencję u nadinspektora, którą tłumaczył niemożność spotkania się z Elgoodem.

- Zaraz, potrzebuję więcej informacji - zaprotestował spanikowany Pascoe. - Co to w ogóle za facet? Czym się zajmuje?

Ale Dalziel tylko posłał mu od progu uśmiech, odsłaniając pożółkłe zęby niczym rafę koralową przezierającą z morskiej piany.

- Na pewno znasz to nazwisko, chłopcze. Ręczę ci.

Po tych słowach wyszedł.

Pascoe, który wciąż nic nie rozumiał, zrobił poważną, rzeczową minę.

- Możemy przejść do szczegółów, panie Elgood? Ten człowiek, o którym pan wspomniał... Pracuje w pańskiej firmie, tak? No właśnie... Czym dokładnie się pan zajmuje?

- Czym się zajmuję? Opowiem panu, czym się zajmuję. W wieku osiemnastu lat poszedłem do wojska. To był sam początek wojny. Nie musiałem tego robić; pracowałem wtedy w kopalni, na dole, a tacy byli pod ochroną, ale pomyślałem sobie: „Chrzanić to, jeszcze zdążę wrócić na przodek. Wtedy do końca życia będę mógł rąbać węgiel”. Przytuliłem żołąd od króla i pojechałem oglądać świat przez szczyrbinkę i muszkę. Było ciężko, ale zdarzały się też dobre chwile i kiedy wyszedłem z wojska, okazało się, że nie jestem gotowy do tego, żeby wrócić do kopalni. Trochę pokombinowałem, udało mi się zebrać ładny grosz, miałem też kumpla, który myślał podobnie jak ja, no i razem próbowaliśmy wymyślić, co by tu dalej robić. W tamtych czasach, na rynku nie było dosłownie nic, więc okazji do zarobku nie brakowało, rozumie pan. W końcu postanowiliśmy wejść w interes budowlany. Wiadomo: remonty, odbudowa, modernizacja... To musiało wypalić.

- Zajął się więc pan budownictwem - podsumował Pascoe, czując, że zrobił krok naprzód.

- Skądże! Czy pan naprawdę nic o mnie nie wie? - obruszył się Elgood. - Owszem, przynajmniej poważnie to rozważaliśmy, ale potem przypadkiem napatoczyliśmy się na taką małą firemkę, która w czasie wojny cienko przędła, niewiele brakowało, żeby padła. Produkowali ceramikę. Robili głównie takie stare zestawy, miska plus dzbanek; na pewno widział je pan w sklepach z antykami. A jakich pieniędzy za to chcą, mój Boże! Czasem mi się płakać chce, jak pomyślę...

- Elgoodware! - wykrzyknął triumfalnym tonem Pascoe. - Ten napis! Widziałem go na muszlach klozetowych.

- Widział go każdy, kto jest w tych stronach dostatecznie długo, żeby choć raz iść się wysikać - odparł zadowolony z siebie Elgood. - Chociaż te z nazwiskiem są rzadkie, pomału stają się gratką dla kolekcjonerów. Muszle, umywalki, wanny, zlewy... Wszystko robiliśmy. Trudno było nadążyć za popytem. Nadmiar przepisów i niedobór materiałów, to były główne problemy, ale jak już się udało zdobyć surowce, to, mówię panu, chrzanić przepisy! Firma rozwijała się jak szalona. Aż nagle zaczęła się zmieniać technologia: weszły plastiki, włókno szklane, kompozyty... Musieliśmy się modernizować na bieżąco, żeby za tym nadążyć. Pieniądzy nam nie brakowało, byliśmy dynamiczną firmą, mieliśmy świetną reputację, ale wie pan, jak to jest, duża kasa przyciąga dużych graczy. Krótko mówiąc, zostaliśmy przejęci.

Mogliśmy dalej walczyć sami, ja osobiście całym sercem popierałem takie rozwiązanie, ale mój wspólnik chciał się już wymiksować z biznesu, a I.C.E. złożył cholernie dobrą ofertę, włącznie z gwarancją dla mnie, że dalej będę szefem. Owszem, moje nazwisko zniknęło z firmowej papeterii, ale co z tego? W każdej chwili mogę pana zabrać w setki miejsc, w których nadal jest doskonale widoczne. Niektórzy zapisują swoje nazwisko na wodzie, panie Pascoe. Ja zapisywałem swoje głównie pod wodą, i kiedy woda spłynie, ono dalej jest na swoim miejscu!

Pascoe się uśmiechnął. Mimo własnego zmęczenia i gadatliwości Elgooda, zaczynał lubić tego gościa.

- Ta firma... Nazywała się I.C.E., tak? - zapytał.

- To skrót od Industrial Ceramics of Europe. Ja kieruję oddziałem brytyjskim. Produkujemy pod marką Perfecta.

- Naturalnie. Przejeżdżam czasem obok waszej fabryki. Czy to tam dochodzi do tych... ehm... zabójstw?

- Tego nie powiedziałem. Ale on tam jest. A właściwie bywa. Czasami.

- On?

- Ten, który zabija.

Pascoe westchnął.

- Panie Elgood, wiem, że zależy panu na dyskrecji, i rozumiem, że niepokoi pana fakt rzucenia poważnego oskarżenia na kolegę z pracy, ale ja naprawdę potrzebuję jakiegoś konkretnego. Zaczniemy może od nazwiska, dobrze? Jego nazwiska. Tego, który zabija.

Elgood wahał się jeszcze chwilę, ale w końcu podjął decyzję. Nachylił się do Pascoe i wyszeptał:

- Aldermann. Patrick Aldermann.

Błogosławieństwo

(*Blessing*. Mieszaniec herbatni. Obficie kwitnący, o intensywnym zapachu, bardzo odporny na choroby i niekorzystne warunki pogodowe).

Patrick Aldermann stał w swoim ogrodzie różanym, napawał się wonią porannego powietrza i liczył swoje błogosławieństwa.

Było ich ponad tuzin. Należały do jego ulubionych róż herbatnich, nawet jeśli miały wielu groźnych rywali: *Doris Tysterman* - niezwykle elegancka, lśniąca intensywnym oranżem; *Wendy Cussons* - czerwona jak wino, przesycająca powietrze upojnym aromatem; *Piccadilly* - dwukolorowa, złoto-szkarłatna i tak olśniewająca, że wzrok z ulgą przesuwał się na intensywnie żółtą *Kings Ransom*.

Prawdę mówiąc, całe to wybieranie ulubionych odmian czy rodzajów było trochę niemądre. Pnące się po wysokim żywopłocie dzikie róże napawały go niemal takim samym zachwytem, jak różane niczym jutrzienka kwiaty na olbrzymim *Etisie*, górującym nad otaczającymi go mniejszymi krzewami. Czerwiec miał się ku końcowi i najlepszy dla *Eosów* czas z wolna mijał, ale ogród w Rosemont przynosił nowe kwiaty i kolory o każdej porze roku, szkoda więc było czasu na żale.

Patrick przeszedł na drugą stronę szerokiego kwadratowego trawnika - jedyne kawałka rozległego ogrodu, który nie prezentował się idealnie. To tutaj jego syn, David, obecnie jedenastolatek i uczeń pierwszej klasy szkoły z internatem - grywał zimą w piłkę nożną, a latem w krykieta. To tu jego córka, Diana, tryskająca energią sześciolatka, uwielbiała się chlapać w brodziku, ryc w piaskownicy i fruwać na huśtawce. Nadejdzie czas, kiedy te dziecięce przyjemności pójdą w zapomnienie i trawnik odzyska dawną perfekcyjną czystość i aksamitną gładkość. Trzeba coś stracić, żeby coś zyskać. W taki właśnie sposób wynagradza straty natura - wielka artystka, która czasem dopuszcza człowieka do roli usługującego jej rzemieślnika.

Patrick Aldermann, mężczyzna po trzydziestce, pokazywał światu twarz niezniszczoną ani wrzącą lawą ambicji, ani powolnie działającym trądem pobleżania samemu sobie. Była to

twarz delikatna, niemal dziecięca, która rumieńce zawdzięczała nie wewnętrznemu żarowi, lecz wiatrowi i słońcu; najczęściej pozostawała pusta i nieprzenikniona, leciutko tylko ożywiona cieniem utajonego rozbawienia. W chwilach spoczynku głębokie piwne oczy były czujne i bystre, kiedy zaś coś pobudziło uwagę ich właściciela, otwierały się szeroko, emanując zniewalającą niewinnością, szczerością i bezbronnością.

Teraz właśnie otworzyły się w ten sposób, gdy przez przeszklone drzwi wybiegła na taras jego córeczka.

- Tato! - zawołała przenikliwie, nie bacząc na dzielące ich pięćdziesiąt jardów. - Mama mówi, że musimy już jechać, bo inaczej się spóźnię i panna Dillinger będzie ze mnie niezadowolona!

Aldermann się uśmiechnął. Panna Dillinger była nauczycielką Diany w St. Helena School, małej prywatnej szkole podstawowej, która w swoich reklamach z wielkim upodobaniem używała słowa „ekskluzywna”. Wyraz niezadowolenia panny Dillinger - „Nie jestem zachwycona” - stał się już elementem folkloru miejscowej zamożnej klasy średniej.

- Powiedz mamie, że zamienię jeszcze tylko dwa słowa z panem Caldicottem, i jedziemy.

Już wcześniej mignęła mu znikająca na wyboistej dróżce za domem zielona furgonetka Caldicottów. Zatrzymała się przy ceglany magazynie ogrodowym. Cioteczna babka Aldermanna, Florence, z przyjemnością dowiedziałyby się, że stary Caldicott przeżył ją zaledwie o parę lat, zanim zmarł na posocznicę wywołaną paskudnym skaleczeniem, którego dorobił się podczas pracy w ogrodzie i które najpierw zignorował, a następnie próbował leczyć domowymi sposobami. Tykowaty Dick przejął interes po ojcu, po czym, do spółki z odrażającym Brentem, uszlachetnił go nazwą „Architekci krajobrazu”. Dzisiaj Patrick Aldermann płacił za świadczone dwa razy w tygodniu usługi ich firmy więcej niż cioteczka Flo staremu Caldicottowi za cały miesiąc pracy. Trzeba przyznać, że mieli wyższe koszty; zdarzało im się, na przykład, wynajmować sezonowych pomocników - wysokiego dwudziestoparolatka, który reagował na imię „Art”, oraz nastoletnią, niemal karłowatą miniaturkę Caldicotta, która zwykle nie reagowała na imię „Pete”. Daphne, żona Aldermanna, której zdarzały się czasem celne powiedzonka, nazywała ich łącznie „*Art longa, Peter brevis*”.

Zanim Aldermann do nich podszedł, zdążyli już wysiąść i szykowali się do pracy: Art szedł właśnie w stronę domu, żeby wyprosić czajnik herbaty i wyzebrać od Daphne lub Diany kawałek ciasta albo herbatniki; oparty o furgonetkę Brent dopalał papierosa; karłowaty Peter gdzieś zniknął; Dick - dziś już szpakowaty pięćdziesięciopięciolatek - wpatrywał się w dwa

trzymane w garści klucze, usiłując wydedukować, który z nich otworzy olbrzymią kłódkę, otwieraną przezeń od marca do listopada w każdy wtorek i środę.

- Panie Caldicott... - zagaił Aldermann. - Można prosić na słówko? Wczoraj ktoś był w mojej cieplarni, zostawił uchylone drzwi wewnętrzne. Tymczasem bardzo ważne jest, żeby obie pary drzwi były zawsze zamknięte i żeby otwierać je pojedynczo.

- Przecież sam pan powiedział, że tylko jedno były uchylone - odparował triumfalnym tonem Caldicott.

- Owszem, ale te drugie, zewnętrzne, ten ktoś musiał i tak otworzyć, żeby wyjść. A potem ja również je otworzyłem, wchodząc do środka, i wtedy obie pary drzwi były otwarte, nieprawdaż? - tłumaczył cierpliwie Aldermann. - Tak czy inaczej, nie widzę powodu, dla którego ktokolwiek miałby wchodzić do cieplarni.

Art wrócił, niosąc dzbanek wrzątku i puszkę z ciastkami.

- Pani Aldermann pyta, czy jeszcze dużo czasu pan potrzebuje - powiedział wesoło.

Aldermann pokiwał głową i ruszył w stronę domu. Za jego plecami Caldicott wsunął do kłódky niewłaściwy klucz.

Córka i żona Aldermannna siedziały już w przykurzonej zielonej cortinie. Zwykle Daphne odwoziła córkę do szkoły swoim volkswagenem polo, ale dwa dni wcześniej jacyś wandalę porysowali wóz na parkingu i trzeba go było odstawić do lakiernika.

- Przepraszam. - Aldermann wśliznął się za kierownicę. - Musiałem chwilę pogadać z Caldicottem.

- A ja chciałam podjechać do szkoły wcześniej, żeby pogadać z panną Dillinger - odparła Daphne.

Zmarszczyła przy tym brwi, ale tylko odrobinę. Przyzwyczała się, że u męża jest druga w kolejce po ogrodnictwie. - Przyszedł listonosz - ciągnęła. - Przyniósł ci jakieś listy. Włożyłam je do schowka w desce rozdzielczej, żebyś w wolnej chwili mógł przeczytać.

- Ciekawe, czy znajdę wolną chwilę - mruknął Aldermann.

Cortina ruszyła po zwirowej alejce dojazdowej. Daphne Aldermann wodziła niewidzącym wzrokiem po rozległych ogrodach Rosemont. Była ładna w sposób typowy dla przedstawicielek angielskiej klasy średniej, których atrakcyjność trwa, dopóki szeroki uśmiech, jędrne ciało, płynne ruchy i wysportowana sylwetka odwracają uwagę od zasadniczo końskiej budowy ciała; a ponieważ była cztery lata młodsza od męża, od tej chwili wciąż dzieliło ją sporo czasu. Młodo wyszła za mąż: w dniu osiemnastych urodzin obwieściła, że jest zaręczona, czym nieco zaniepokoiła swojego owdowiałego ojca, archidiakona Kościoła Anglii, o gasnących z wiekiem biskupich ambicjach. Ojciec, człowiek mądry, zamiast

wywrzeć rodzicielski nacisk i zmusić córkę do zerwania zaręczyn, wykorzystał swój na nią wpływ do maksymalnego ich przedłużenia, licząc na to, że związek albo potwierdzi swoją trwałość, albo nie wytrzyma presji i pęknie. Nieoczekiwanie jednak śmierć upomniała się o niego, i jego sprzeciwy, a także ewentualne ambicje, spoczęły wraz z nim w grobie.

Po krótkiej, choć boleśnie intensywnej żałobie, Daphne znalazła pociechę i wsparcie w związku małżeńskim. Dalsza rodzina nie pochwałała jej pośpiechu; nie szczędzono jej pełnych dezaprobaty spojrzeń i uwag, pojawiły się nawet jakieś zawołane oskarżenia - na szczęście, większość krewnych (charakteryzujących się wielkoduszością, z której słusznie słyną anglikańscy przedstawiciele wyższej klasy średniej) doszła do wniosku, że w obliczu przedwczesnej śmierci ojca można Daphne zarzucić co najwyżej zabójstwo przez nieuwagę, nie zaś zaplanowane morderstwo.

Na całe szczęście, Daphne, mimo targającego nią żalu i wyrzutów sumienia, zachowała dość przytomności umysłu, żeby nie poczuwać się do związków ze zwietrzałym kamulcem, który, spadłszy ze strzelistej wieży smętnie zaniechanego i dopominającego się o renowację kościoła parafialnego, zgładził wizytującego parafię archidiakona. Obecnie zaś, dwanaście lat i dwoje dzieci później, zdawała sobie doskonale sprawę, że wprawdzie życie nie szczędzi jej swych łask, ale bliski związek z mężem z pewnością do nich nie należy. Patrick otaczał się niemożliwym do przebicia pancerzem uprzejmości, o który bezsilnie rozбивały się jej lęki. Chociaż, może nie, może wcale to nie był żaden „pancerz”, tylko nieprzenikniona kapsuła czasowa, zanurzona w zwykłej chronologii śmiertelników, ale bynajmniej nie stanowiła jej części. Dla Patricka przyszłość była równie pewna i ustalona jak przeszłość. Właściwie to aż dziwne, że ta jego pewność potrafiła doprowadzać Daphne na skraj paniki. I pchnąć dalej, w przepaść.

Rozmiękle boczne dróżki, składające się na krętą drogę dojazdową do Rosemont, pławiły się w blasku porannego słońca, za to nad główną drogą czaiły się już chmury i zanim wjechali na teren dostojnego przedmieścia, gdzie znajdowała się szkoła, niebo zdążyło poczerńić. Aldermann obserwował je z zadowoleniem, jakie mógłby okazywać człowiek, który widzi, że róże z powodzeniem wchłonęły zaaplikowany im dzień wcześniej specjalistyczny środek owadobójczy.

- O rety... - stropiła się Daphne.

- Mogę poczekać i podwieźć cię potem do centrum - zaoferował się mąż, myśląc, że zaniepokoiła ją pogarszająca się pogoda.

- Dzięki, ale mną się przejmuj. Chętnie się przejdę. Zresztą, to na pewno będzie przelotny deszczyk. To ta gromadka mnie tak poruszyła.

Aldermann zdążył już obrzucić „tę gromadkę” zaciekawionym spojrzeniem, zwolniwszy przed dużą wiktoriańską willą mieszczącą St. Helena School. „Gromadka” składała się z czterech kobiet, trzymających w górze ręcznie wymalowane transparenty:

JAK WAM SIĘ WYDAJE, ZA CO PŁACICIE?

GDZIE TU RÓWNOŚĆ CEN?

PRYWATNE SZKOŁY = PUBLICZNY SKANDAL,

oraz czwarty, nieco dłuższy:

ŚWIĘTA HELENA ZNALAZŁA PRAWDZIWIY KRZYŻ, DZIŚ MY WSZYSCY
GO DŹWIGAMY.

Dwie z kobiet miały na plecach dzieci w nosidełkach.

Aldermann przejechał wolniutko wzdłuż rzędu wypływających dzieci volvo, aż znalazł miejsce przy krawężniku.

- To legalne? - spytał, parkując. - Może podpada pod utrudnianie ruchu drogowego?

- Najwyraźniej nie. Nikomu nie przeszkadzają i nikogo nie zaczepiają, nie odzywają się niepytane. Ale dzieci się pewnie denerwują.

Aldermann spojrzał na córkę. Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej. Przeciwnie, chyba nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wysiądzie z samochodu. Wyglądała prześlicznie w niebieskiej spódnicy, niebieskiej bluzie z kremową lamówką, kremowej bluzeczce i słomianym kapeluszu z dwiema wstążkami, kremową i niebieską.

- Byle nie próbowały ich zagadywać - powiedział. - Pa, kochanie.

Pocałował żonę i córkę na pożegnanie i odprowadził je wzrokiem, gdy szły chodnikiem. Zgodnie z przewidywaniami, grupka pikietujących kobiet nie wykonała żadnego gestu groźniejszego niż lekkie uniesienie transparentów. Daphne i Diana dotarły do bramy, odwróciły się i pomachały Aldermannowi. Odmachnął im i odjechał spod szkoły, myśląc o tym, jak mu się wszystko w życiu układa. Nawet deszcz, który właśnie rozpadał się na dobre, był najlepszym prezentem dla udręczonego blisko dwutygodniową suszą ogrodu.

Włączył wycieraczki.

Kiedy Daphne Aldermann kwadrans później wychodziła ze szkoły, miała znacznie mniej filozoficzny stosunek do padającego deszczu. Rozmowa z panną Dillinger, choć krótka, zajęła jej wystarczająco dużo czasu, żeby kolejka samochodów przy krawężniku, które mogły ją gdzieś podwieźć, praktycznie zniknęła.

Postawiła kołnierz lekkiej bawełnianej kurtki, spuściła głowę dla osłony przed wzmagającym się wiatrem i, przemykając wśród posadzonych na chodniku drzew, ruszyła w stronę centrum. Pięćdziesiąt jardów dalej stał jeszcze jeden samochód - pięć-, może

sześcioletni zielony mini. Przechylona nad przednim fotelem kobieta usadzała mniej więcej dziewięciomiesięczne dziecko w foteliku na tylnej kanapie. Miała długie ręce i nogi, smukłą, wysportowaną sylwetkę, krótkie czarne włosy i pogodne, wyraziste rysy twarzy, które prawie, prawie mogłyby znamionować nieprzeciętny upór. Wyglądała znajomo, i Daphne uśmiechnęła się z nadzieją, gdy kobieta skończyła mozolić się z fotelikiem, wyprostowała się i spojrzała na nią błyszczącymi szarymi oczami.

- Chyba przydałaby się pani podwózka - zauważyła z uśmiechem. Lało jak z cebra.

- Wielkie dzięki. - Daphne bez dalszych dywagacji podeszła do drzwi od strony pasażera. - To naprawdę bardzo uprzejme z pani strony.

Przy wsiadaniu do samochodu coś przyciągnęło jej uwagę: z tyłu, spod dziecięcego fotelika, wyzierały odwrócone do góry nogami litery „St. Helena”.

Jeden z transparentów.

- Proszę się nie przejmować - uspokoiła ją zza kierownicy właścicielka auta. - Żadnego nawracania, tylko podwiezienie. Decyzja należy do pani.

Uruchomiła silnik. Wiatr mokrymi paluchami ucapił zawieszoną nad progiem nogę Daphne. Wciągnęła ją do środka i zatrzasnęła drzwi.

- Uroczy malec - rzuciła wesoło, ruchem głowy wskazując ubrane na niebiesko dziecko, które odpowiedziało jej skinieniem głowy, gdy rozpędzający się samochód podskoczył na wybojach.

- Wcale nie - powiedziała kobieta za kierownicą.

- Nie?

- Małe to to jest, ale urocze? Bynajmniej. No i nie „malec”, tylko moja córeczka, Rose.

- Oj, przepraszam.

- Nie szkodzi. To taki sympatyczny sprawdzian odporności na stereotypy.

- Tak? Cóż, ja nadal uważam, że jest urocza.

Właścicielka samochodu przewróciła oczami - bardzo szybko, przelotnie, ale Daphne wychwyciła lekceważenie. Córka archidiakona nie przywykła do takiego traktowania.

- A pani? - spytała jeszcze pogodniej niż przed chwilą. - Pani jest jej matką? Czy może ojcem?

Tamta posłała jej zaskoczone spojrzenie, a potem odrzuciła głowę w tył i roześmiała się tak głośno i szczerze, że samochód zatańczył na prostej drodze. Rose - poruszona albo podrygiwaniem wozu, albo tym śmiechem - zagulgotała radośnie.

- Matką. Jestem Ellie. Ellie Pascoe.

- Daphne Aldermann. Miło poznać.

- Mnie również. Wiesz co... Dzisiaj rano wybiegałam z domu w takim pośpiechu, że nie zdążyłam zjeść śniadania. Nie miałabyś ochoty na kawę i kanapkę z bekonem?

- Czemu nie? - odparła Daphne.

Śmiałość nieznajomej wymagała śmiałej reakcji.

- Rzeczywiście, czemu nie? - powtórzyła Ellie i znów się roześmiała.

Dzień wczorajszy

(*Yesterday*. Odmiana wielokwiatowa. Liczne drobne różowoliliowe kwiaty. Roztacza staroświecką, jakby bajkową aurę).

- Dicka Dandysa dopadła demencja... - powtórzył detektyw podinspektor Andrew Dalziel. Wyraźnie spodobała mu się ta aliteracja.

- Tego nie powiedziałem - sprzeciwił się Pascoe.

- Posłuchaj, chłopcze. Wczoraj spędziłeś z nim większość przedpołudnia. Powiedz mi, czy te złote plomby wyzarły mu w końcu mózg? Nikt by się nie zdziwił, gdyby tak się stało. Elgood zawsze był jakiś podejrzany. No wiesz, kawaler, i te dziwaczne kamizelki...

- Znaczy co? Pedzio?

Dalziel spojrział na Pascoe z niesmakiem.

- Nie ośmieszaj się. Elgood puknął służbowo więcej maszynistek niż ty zjadłeś kolacji na ciepło. Niektóre babki boją się usiąść na sedesie z jego nazwiskiem, żeby nie złapał ich za tyłek. Chodziło mi po prostu o to, że jest trochę ekscentryczny. Nic wielkiego, nic, na co zwróciłbyś uwagę u jakiegoś pyszałka z Eton, ale kiedy masz do czynienia z synem górnika z Barnsley, to spodziewasz się raczej zwyczajnego ubrania i zwyczajnej gadki, a przy okazji zwyczajnej żonki i szóstki zwyczajnych dzieciaków.

- Z pewnością rozczarował wszystkich znajomych - zgodził się Pascoe. - Ale wczoraj nie miałem wrażenia, żeby był jakoś szczególnie niezrównoważony. Wyglądało na to, że nie chce rzucać niepotrzebnych oskarżeń. Dopóki poprzestawał na ogólnikach, szło mu całkiem nieźle, jakby naprawdę chciał zrzucić kamień z serca. Później, kiedy przeszedł do konkretów, rozmowa zaczęła się przeciągać, ale głównie dlatego, że od kiedy nie miał już odwrotu, odprężył się i wszedł w swoją normalną, jak twierdzisz, rolę gaduły.

- Co prawda, to prawda, Dick nigdy nie mówi wprost, tylko krąży i kluczy jak koń mleczarza.

Pascoe się uśmiechnął i nagle zaburczało mu w brzuchu. Przypomniał sobie, że rano przepadło mu śniadanie. Ellie śpieszyła się do wyjścia, a kiedy odkrył przyczynę jej

pośpiechu i zasugerował, że pikietta może nie być najlepszym miejscem dla dziewięciomiesięcznego dziecka, odrobina czasu, którą można było spożytkować na opieczenie tostów i zaparzenie kawy, została zmarnowana na ożywioną dyskusję. Nawet bardzo ożywioną, chociaż nie aż tak, żeby mówić o kłótni. Teraz deszcz łomotał o szybę w pokoju Dalziela, i Pascoe miał nadzieję, że Ellie nie włączy się gdzieś po mieście z transparentem nad głową i ociekającą wodą małą Rosie na plecach.

Żołądek znowu mu o sobie przypomniął.

- Powinieneś wstawać wcześniej i jeść coś ciepłego na śniadanie - poradził mu Dalziel. - Wyglądasz, jakbyś wyszedł z obozu koncentracyjnego. Ja, chłopcze, wychowałem się na jajkach i bekonie.

Z zadowoleniem poklepał się po brzuchu i beknął. Żadne diety nie były w stanie naruszyć linii jego talii, przez co ostatnio Dalziel zaczął traktować swoją korpulentność jako dowód zdrowia, nie zaś - jak upierał się jego lekarz - powód do zmartwień.

- Postaram się wziąć z ciebie przykład. A wracając do Elgooda, co mam z nim zrobić?

Pytanie zabrzmiało nieco obcesowo, ale Pascoe nie zamierzał brać na siebie odpowiedzialności za decyzję o zbadaniu lub odrzuceniu oskarżeń Dicka Dandysa.

- Przypomnijmy sobie szybko, co już mamy. - Dalziel rozsiadł się wygodnie i przymknął oczy.

Pascoe zaryzykował długo powstrzymywane westchnienie i zaczął mówić, szybko i bez emocji:

- Dwie domniemane ofiary to Brian Bulmer, dyrektor finansowy Perfecy, oraz Timothy Eagles, główny księgowy. Bulmer zginął w wypadku samochodowym, wracając z firmowego przyjęcia bożonarodzeniowego: oblodzona droga, brak innych pojazdów, alkohol we krwi grubo ponad dozwolony limit. Eagles dostał zawału w łazience obok swojego gabinetu. Ciało znalazła sprzątaczką.

- I co, zdaniem Dicka, Aldermann ma z tym wspólnego? - wtrącił Dalziel.

- Właśnie miałem o tym mówić. Na tym przyjęciu Aldermann pił z Bulmerem, a właściwie, jak twierdzi Elgood, upijał go. A z Eaglesem mieli wspólną łazienkę.

- Wyniki sekcji?

- U Bulmera jako przyczynę zgonu podano obrażenia wielonarządowe. Odnotowano też podwyższony poziom alkoholu. Eaglesowi nie zrobiono sekcji: lekarz dysponował historią choroby, która wystarczyła mu do wydania aktu zgonu. Zresztą i tak nie ma do czego wracać, obaj są dziś kupkami popiołu.

- Może to i dobrze. - Dalziel ziewnął. - Motyw?

- Ambicja. A właściwie pieniądze.

- Zdecydujże się!

- Elgood uważa, że Aldermann za mało interesuje się pracą, żeby mieć ambicje zawodowe, ale prawdopodobnie potrzebuje pieniędzy. Gdyby wszedł do zarządu firmy, jego dochody bardzo by się zwiększyły.

- Ale przecież Aldermann musiał zdawać sobie sprawę, że jego głównym konkurentem będzie bezpośredni przełożony, ten cały Eagles. Dlaczego w takim razie nie usunął najpierw jego?

- Elgood ma na wszystko gotową odpowiedź. Otóż, jego zdaniem, Aldermann z początku chciał po prostu zająć miejsce Eaglesa. Kiedy trafiła się okazja pozbycia się Bulmera, skorzystał z niej, bo zniknięcie Bulmera uprawdopodobniało awans Eaglesa i uwolnienie jego stanowiska. Dopiero później, po śmierci Bulmera, pewne anty-Elgoodowskie elementy w kierownictwie firmy zaczęły przebąkiwać o nominacji Aldermanna do zarządu, żeby zrobić Elgoodowi na złość. I wtedy Aldermann zwietrzył nową, większą zwierzynę.

- Niech to diabli... - Dalziel otworzył oczy i wyprostował się w fotelu. - I Dick naprawdę w to wierzy?

- Dlatego do nas przyszedł. Chociaż wydaje mi się, że im dłużej o tym mówił - a zapewniam cię, że mówił o wiele dłużej, ja tutaj pominąłem dziewięćdziesiąt dziewięć procent jego gadaniny - tym głupsze mu się to wydawało. Ale wytrwał do końca.

- Tak, to jedno Dick potrafi - mruknął Dalziel. - Ale chyba coś go musiało sprowokować?

- Dwie rzeczy. Wygląda na to, że w piątek poprzytkali się z Aldermannem: dał mu jasno do zrozumienia, że mimo śmierci Eaglesa zamierza przyblokować jego wejście do zarządu. Potem musiał wyjść na spotkanie i zostawił Aldermanną w swoim gabinecie. Kiedy wrócił, zasiedział się przy pracy, aż się ściemniło, i musiał włączyć lampkę przy biurku. To jest taka lampka na długim ramieniu, z przegubem. Kiedy pstryknął wyłącznikiem, poraził go prąd, i to tak, że spadł z fotela. Szybko się otrząsnął (świetnie się trzyma, jak na swój wiek; podobno dużo pływa) i doszedł do wniosku, że po prostu nastąpiło jakieś przebicie. Ale wczoraj rano przydarzyło mu się coś innego: kiedy chciał wyprowadzić samochód z garażu, zauważył, że drzwi się zacięły. To są takie ciężkie wrota, podnoszone, z przeciwwagą. Szarpnął je z całej siły, a one nagle zwały się na głowę. Jego szczęście, że jest dość zwinny: padł na ziemię, a drzwi spadły na bagażnik samochodu. Widziałem to wgniecenie i powiem ci, że facet naprawdę miał fart. Wyczołgał się spod drzwi trochę roztrzęsiony, zadzwonił do ciebie i zaczął krzyczeć o mordercach.

- Rozumiem, że obejrzałeś te drzwi od garażu?

- Tak. Wazą z tonę, ale wydaje mi się, że po prostu zużyły się z wiekiem. Tak czy inaczej, nasi technicy mają się im bliżej przyjrzeć. Kazałem też przynieść i zbadać tę lampę z biura Elgooda. Na pierwszy rzut oka nie widać nic niezwykłego, po prostu obluzowany przewód i zwarcie, ale kazałem wszystko sprawdzić jeszcze raz, bo pamiętałem, że to twój bliski przyjaciel.

Dalziel udał, że nie słyszy prowokacji, spojrzął na zamknięte drzwi i ryknął:

- Herbata! Dwa razy!

Drzwi aż zadygotały. Nawet słuchawka telefonu podskoczyła niespokojnie na widelkach i brzęknęła żałośnie.

- Dla mnie kawa - powiedział Pascoe, nie robiąc sobie wielkich nadziei.

- Herbata - powtórzył Dalziel. - Kofeina zagęszcza krew. To przez nią tym wszystkim żabojadzkim malarzom odpadały uszy i Bóg wie co jeszcze przy okazji. Czy Dick mówił coś o swoim poniedziałkowym spotkaniu z Aldermannem? Może Aldermann się zdziwił, że Elgood jeszcze żyje?

- Nie. Pan Elgood w ogóle nie poszedł w poniedziałek do pracy, pojechał do swojego domku nad morzem. To pewnie tam tyle pływa i dba o formę.

- Taaa... Pływanie to pewnie najmniej męczące z ćwiczeń, jakie tam uprawia. - Dalziel parsknął śmiechem. - Chałupa stoi na skraju pożeranego przez morze urwiska. Podobno za każdym razem, kiedy Dick przywozi tam nową kobitkę, fale odgryzają nowy kawałek klifu. - Wszystkiemu winien nadmiar kofeiny. Ale mniejsza z tym: Aldermann nie musiał się z nim spotkać osobiście, żeby wiedzieć, że przeżył, prawda? Gdyby coś się Elgoodowi przytrafiło, dowiedziałby się o tym w biurze.

- Czyli uważasz, że coś w tym może być, Peter?

- Tego nie powiedziałem - odparł z naciskiem Pascoe. - Wszystko to wydaje mi się okropnie naciągane.

Rozległo się symboliczne pukanie do drzwi, które natychmiast po tym się otworzyły, przepuszczając blaszaną tacę z dwoma kubkami, niesioną przez mężczyznę wyróżniającego się eleganckim krojem szarego garnituru i wyjątkową brzydota asymetrycznej twarzy.

- Albo mamy za dużo ludzi, albo za mało, sierżancie Wield - zauważył sarkastycznym tonem Dalziel. - Gdzie jest ten młody turbaniarz od herbaty?

- Kadet Singh przebywa na rondzie przy rynku, gdzie odbywa szkolenie z zakresu ruchu drogowego - odparł Wield.

Kadet Shaheed Singh, pierwszy w miasteczku policjant-Azjata, wydobywał z Dalziela całą jego naturę kolonizatora. Chłopak pochodził z osiadłej w Kenii azjatyckiej rodziny, ale ani to, ani fakt, że urodził się i wychował w Yorkshire, nie miało wpływu na komentarze Dalziela, które w najlepszym razie były geograficznie chybione, w najgorszym zaś kryminalnie rasistowskie.

- No, przynajmniej poogląda sobie chłopak normalne samochody zamiast riksz - mruknął Dalziel. Wziął oba kubki z tacy i głośno siorbnął z jednego. - Herbata - orzekł. - Zawsze podnosi na duchu.

Pascoe upił łyk z drugiego kubka. Kawa. Uśmiechnął się z wdzięcznością do Wiolda, czym zapracował na podejrzliwe łypnięcie okiem ze strony Dalziela.

- Co właściwie Dick ma do Aldermanna? - zapytał podinspektor. - Dlaczego nie chce go w zarządzie?

- Z dwóch powodów - odparł Pascoe. - Po pierwsze, dlatego że teraz to już jest sprawdzian jego władzy jako prezesa; mianowanie Aldermanna byłoby dla niego ciężką porażką. A po drugie, dlatego że jego zdaniem Aldermann naprawdę się do tego nie nadaje. Elgood twierdzi, że po prostu płynie z prądem, a jego zaangażowanie w pracę firmy jest powierzchowne.

- Naprawdę? Warto by było przyjrzeć mu się z bliska; świetnie pasowałby do naszego WK.

- Nie możemy tak po prostu wparować mu do domu i wyjaśnić, że podejrzewamy go o podwójne morderstwo - zauważył niewzruszony Pascoe.

Dalziel sprawiał wrażenie zdziwionego, jakby nie widział niczego niewłaściwego w takim właśnie trybie postępowania.

Sierżant Wiold odchrząknął i podał Pascoe spis nazwisk i adresów.

- To w związku z tym poniedziałkowym zamieszczeniem na parkingu - wyjaśnił.

Dalziel wyraźnie się zirytował. „Zamieszczenie”, o którym wspomniał Wiold, polegało na uszkodzeniu zaparkowanych samochodów przez porysowanie im lakieru za pomocą ostrego metalowego narzędzia. Na pewno nie była to sprawa, z jaką sierżant powinien przeszkadzać szefowi WK w naradzie służbowej.

Pascoe, który miał do Wiolda większe zaufanie, zerknął na listę. Jedno z nazwisk było podkreślone na czerwono: „Pani Daphne Aldermann. Rosemont House, k. Garfield. VW Polo, zielony metalik, rysy na masce”.

Spojrzał pytająco na Wiolda.

- To jego żona, panie komisarzu - powiedział sierżant. - Sprawdziłem.

Pascoe pokazał spis Dalzielowi, który spytał tylko:

- No i co?

- To dobry pretekst, żeby zadzwonić, panie inspektorze. My możemy się czegoś dowiedzieć o tym Aldermannie, a on nie będzie miał o tym pojęcia.

Dalziel wciąż był pełen wątpliwości. Wielki taktownie wyszedł.

- Uważasz zatem, że powinniśmy powęszyć, Peter...

- Niekoniecznie zaraz...

- Bystry chłopak z tego Wielkiego. Z tym czarniawym stworzyliby świetny duet na nocne patrole. Bandyci byliby bez szans: jednego w ogóle nie widać, a na drugiego wystarczy spojrzeć, żeby ze strachu paść na zawał! Powiedział jeszcze coś ciekawego, kiedy rozmawialiście o Dicku Dandysie?

Wyczuwając przyganę w słowach Dalziela, Pascoe odparł:

- Wierzę w jego dyskrecję nie mniej niż w jego umiejętność oceny sytuacji, więc to na pewno zostanie między nami. A powiedział, że rzadko zdarza mu się słyszeć oskarżenia oparte na tak wątpliwych podstawach, jak u Elgooda. Potem wyszedł, a kiedy po godzinie wrócił, wyjaśnił, że popytał trochę o Elgooda i z tego, co się dowiedział, wynika, że skoro przyszedł do nas z taką błahostką, to albo go, jak sam się wyraziłeś, dopadła demencja, albo coś przed nami zataił.

Dalziel przetrwał jego słowa i pochylił głowę w geście, który Pascoe z nadzieją zinterpretował jako załączek skinięcia, ale który okazał się tylko załączkiem drapnięcia prawą ręką po kręgosłupie i lewej łopatce. Stłumiony głos Dalziela dobył się z gąszczu siwiejącej szczeciny, spoza której w tej chwili Pascoe nie widział głowy inspektora:

- To twoja sprawa, Peter. Tylko informuj mnie na bieżąco, o nic więcej nie proszę. Informuj mnie.

- Tak jest. - Pascoe wstał. - Będę informował na bieżąco.

Wychodząc, zabrał swój kubek. Był święcie przekonany, że gdyby tego nie zrobił, Dalziel zaraz zacząłby grzebać w fusach z zapalem sadystycznej wróżki, która nie może się doczekać katastrofy.

Kawiarenka

(*Cafe*. Odmiana wielokwiatowa. Kwiat otwarty, niezwykle połączenie aromatu kawy i śmietanki. Użyteczna w kompozycjach kwiatowych. Słodki zapach).

Ellie Pascoe zamoczyła w kawie kawałek bułki, sprawdziła jego temperaturę i przytknęła rozmokły kęs do ust dziecka, które zaczęło łapczywie ssać. Daphne Aldermann z pewnym niepokojem obserwowała sytuację.

- Nie jest za młoda? - zaryzykowała pytanie.

- Ze wszystkich rad życiowych, jedną pomnij radę - odparła Ellie. - Życia można doświadczyć tylko przez przesadę.

- A co to niby znaczy? - zdziwiła się Daphne.

- Bóg jeden wie. Ale nic się nie martw: w tym miejscu kawa składa się głównie z mleka, cukru i cykorii. Za to kanapki z bekonem są cudowne, nie uważasz?

„To miejsce” było kawiarnią „The Market Caff”, która to nazwa, wypisana wyblakłymi drukowanymi literami, zdobiła zapadnięte zwieńczenie zaporowanego okna wychodzącego na rozłożony pod gołym niebem bazarnek. Bez przerwy przewijali się przez nią sprzedawcy z bazarowych kramików, funkcjonujący (tak przynajmniej zdawało się Daphne) w jakichś prywatnych strefach czasowych, co sprawiało, że wzięcie miały dosłownie wszystkie możliwe kombinacje potraw - od śniadaniowej smażeniny, przez podwieczorkowe ciasteczka, aż po stosowne na kolację kanapki i kakao.

Było oczywiste, że Ellie i Rose są tu dobrze znane. Daphne zwróciła uwagę, że Ellie przyjmuje zachwyty nad córeczką bez cienia tej złośliwości, z jaką zareagowała na jej własny entuzjizm, a ponieważ wątpiła, by w komplementach szczerść mieszała się z konwenansami w znacząco innych proporcjach, decydujące musiało być ich źródło. Zanim jednak zebrała się na odwagę, by podzielić się tym spostrzeżeniem z onieśmielającą ją Ellie, ta - obserwująca ją od jakiegoś czasu z rozbawieniem - powiedziała:

- Owszem, masz rację. O wiele łatwiej jest znieść pieprzenie robotników niż przedstawicieli klasy średniej, ponieważ ci pierwsi nie mają powodów, żeby zadzierać nosa.

Trzeba jednak przyznać, jak twierdzi mój mąż, że taki tok rozumowania sam w sobie jest protekcjonalny i niepotrzebnie wprowadza podział.

- To musi być mądry facet. Tak się zastanawiam... Zarabia chociaż połowę tego, co ci robotnicy, którzy nie mają powodów, żeby zadzierać nosa?

Ellie się uśmiechnęła. Kto wie, może ta jasnowłosa koniara wychowana na wsi jest całkiem do rzeczy?

- Pewnie nie. Ale w układach klasowych pieniądze wcale nie są najważniejsze, prawda? Rozum zresztą też nie. Nawet urodzenie odgrywa niewielką rolę. Liczy się wykształcenie, i to nie takie na papierze, tylko raczej w masońskim sensie. Chodzi o to, żeby umieć odczytywać te dyskretne sygnały, które mówią: „Spójrz na mnie. Należę do klubu”. Człowiek zaczyna się ich uczyć w takich małych społecznościach jak St. Helena School. Właśnie dlatego przeciw nim protestuję. A ponieważ nie mogę jednocześnie palić i wymachiwać transparentem, staram się ograniczać palenie. Zapalisz?

Poczęstowała Daphne papierosem z filtrem i obie zapaliły. Ellie zaciągnęła się głęboko.

- To mój pierwszy dzisiaj.

Daphne pyknęła krótko dymem, rozkaszała się i stęknęła.

- A mój pierwszy w tym roku - wykrztusiła.

- To po co zapaliłaś?

- Bo to i tak najmniejsza obrzydliwość, jaką mnie dziś poczęstowałaś.

- Ostro pogrywasz, panienko.

Drzwi się otworzyły i Daphne, siedząca przodem do wejścia, zobaczyła, że do kawiarni wchodzi dwóch policjantów. Zdjęli ociekające wodą peleryny; ulewa trwała w najlepsze. Jeden, starszy mężczyzna, nosił tradycyjny wysoki hełm policyjny; drugi miał na głowie płaską kadecką czapkę, spod której wyzierała twarz młodego, przystojnego Hindusa. Widok policjantów uciszył wszystkie rozmowy, ale tylko na chwilę, dopóki klienci nie zorientowali się, że Stróża prawa przyszli po prostu na herbatę.

- Jeśli ostro pogrywam, to nauczyłam się tego właśnie w takich miejscach jak St. Helena School.

- A potem w szkole z internatem?

- Ja akurat dojeżdżałam, bo szkoła była niedaleko, w Harrogate. Ale owszem, miała internat.

- Pozwól, że jeszcze raz zacytuję mojego męża: w jednej kwestii trzeba oddać sprawiedliwość angielskim szkołom z internatem - uczą człowieka, jak postawić na swoim.

Szukający stolika policjanci stanęli za plecami Ellie. Starszy spojrział na nią i, ku zdumieniu Daphne, na jego surową twarz wypłynął uśmiech.

- Dzień dobry, pani Pascoe. Co słyhać?

Ellie podniosła wzrok.

- A witam, panie Wedderburn, witam. Wszystko w porządku.

- Dawno tu pani nie widziałem. Jak się miewa mała?

Ellie zerknęła przelotnie na Daphne, ciekawa, czy tamta wychwyciła aluzję w słowach posterunkowego. Owszem, nie uszła jej uwagi.

- Tryska zdrowiem. Raz tryśnie na ubranko, raz na obrus.

- A jaka grzeczniutka... - zauważył z podziwem Wedderburn.

- W tłumie, w towarzystwie, w miejscach publicznych, owszem. Oszczędza swoje najgorsze cechy na prywatne występy, będzie świetnym gliną. A kim jest pański towarzysz?

- Kadet Shaheed Singh - odpowiedział z powagą Wedderburn. - Właśnie pomału się uczy, że piekło to godziny szczytu w dzień targowy. Singh, to jest pani Pascoe, żona komisarza Pascoe.

Kadet się uśmiechnął. Przypominał jednego z tych młodych, przystojnych książąt, którzy kiedyś grali w krykietowej reprezentacji Anglii.

- Miło mi panią poznać - powiedział z wyraźnym akcentem z Yorkshire. Wedderburn brzmiał przy nim jak absolwent Eton.

- Mnie pana również, panie Singh. Przysiądziecie się panowie?

Singh ewidentnie miał na to ochotę, ale Wedderburn odparł:

- Nie, pani Pascoe, dziękuję. Siądziemy tam. Chcę porozmawiać z chłopakiem o pewnych detalach ruchu drogowego, którymi panie z pewnością bym zanudził. Miło było panią zobaczyć.

I odeszli do innego stolika.

- No proszę! - odezwała się Daphne. - Zadaję się z glinami!

To słowo zabrzmiało w jej ustach dziwnie obco, może dlatego, że arystokratyczny akcent mocno je zdeformował.

- Widzę również - ciągnęła, korzystając z raz uzyskanego prawa głosu - że nie wpadasz tu codziennie. Po prostu wykorzystujesz ten elegancki przybytek do łamania oporu swoich ofiar!

- Niezupełnie. - Ellie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Ale masz rację: dzisiaj celowo wybrałam to miejsce.

- Żeby zrobić ze mnie trockistkę? A może, biorąc pod uwagę twoje polityczne koneksje, jesteś tylko prowokatką?

- Czym zajmuje się twój mąż?

- Jest księgowym w Perfekcie. Wiesz, to ci od łaźnienek.

- Tak? - zdziwiła się Ellie. - A ty jak sobie radzisz z arytmetyką? - spytała po chwili.

- Jestem beznadziejna - przyznała Daphne. - Ale dlaczego...? No tak, rozumiem.

- Może i stanowimy jedność cielesną, ale umysły mamy odrębne. W każdym razie, powinnyśmy mieć. Nie jesteśmy naszymi mężami, ani nawet stróżami mężów naszych.

- Zgadzam się... do pewnego stopnia. Bo tak naprawdę, to wcale nie jest takie proste. Pomyśl: gdybym, na przykład, wyznała ci, że mój mąż popełnił przestępstwo, nie uznałabyś za konieczne powiedzieć o tym swojemu mężowi?

Ellie zastanowiła się chwilę, zanim odparła:

- Nie wiem, co znaczy w tym wypadku „konieczne”. Gdybym ja ci powiedziała, że mój mąż prowadzi śledztwo w sprawie twojego, ty byś mu powiedziała?

Teraz to Daphne się zamyśliła, zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, przerwała im wysoka, przystojną kobietą w średnim wieku, dość krzykliwie ubrana, której wymyślna, ufarbowana na róż koafiura przywodziła na myśl meczet o zachodzie słońca. Szła od strony kontuaru, niosąc kawę w jednej ręce i trójkątny kawałek czekoladowego tortu w drugiej.

- Witam! - zawołała. - Czy to nie Daphne Aldermann? Rzadko cię tu widzujemy. Często myślałam o tym, żeby jakoś odnowić naszą znajomość, ale tu zawsze jest taki ruch, taki kocioł, czas leci jak z bicia trząśł... A ja daję mu sobą rządzić. Jakie śliczne maleństwo! Już idę, moi drodzy, już idę!

Ostatnie słowa były odpowiedzią na chóralne „Mandy!”, dobiegające od stolika w głębi, przy którym siedziało trzech mężczyzn. Kobieta skinęła Daphne tortem na pożegnanie i poszła przysiąc się do mężczyzn.

- Czyli nie jesteś tutaj taka całkiem obca, wbrew temu, co myślałam - zauważyła Ellie.
- Następnym razem będę musiała znaleźć jakąś prawdziwą spelunę. Trzeba było powiedzieć przyjaciółce, żeby się przysiadła. Spotkanie zapowiadało się interesująco.

- Tak uważasz? Zacznijmy od tego, że nie jest żadną moją przyjaciółką. A poza tym, nie ma mowy, żeby Mandy Burke przysiadła się do dwóch kobiet z dzieckiem, kiedy w pobliżu znajduje się cokolwiek, co nosi spodnie. Ona naprawdę lubi, kiedy ktoś nią rządzi.

- Miau! - Ellie uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Mandy Burke? Chyba skądś ją znam...

- Prowadzi sklepik na starym bazarze, tym zadaszonym. Wiklina, maty, bibeloty... Tego typu towar. Podejrzewam, że to prawdziwa kopalnia złota. Sklep nazywa się „Tysiąc jeden drobiazgów Mandy” i tam ją pewnie widziałaś. Chyba że mąż często zabiera cię na imprezy do co lepszych nocnych lokali.

- A czemu miałyby tego nie robić? Ale nie, masz rację: kojarzę ten sklepik. A ty? W jakim towarzystwie musiałaś się obracać, żeby ją poznać?

- W żadnym. Jej mąż kiedyś pracował z moim. A właściwie odwrotnie. Zmarł cztery albo pięć lat temu. Od tamtej pory widziałam ją najwyżej ze dwa razy. Wdowieństwo najwyraźniej jej służy. Przypuszczam, że takie kobiety jak ona przynoszą wstyd ruchowi feministycznemu: silne, pewne siebie, obrotne, a przy tym na amen zakotwiczone w świecie mężczyzn.

Jej wyzywający ton nie pierwszy raz zaskoczył Ellie, która nie spodziewała się takiej agresji u stereotypowej mieszczańskiej żonki. Zanim jednak zdążyła zareagować, Rose beknęła potężnie i uśmiechnęła się z satysfakcją do pełnej podziwu publiczności.

Ellie i Daphne zgodnie się roześmiały.

- Napijesz się jeszcze kawy? - zaproponowała Ellie.

- Chętnie. Siedź, ja przyniosę. I nie bój się, nie narobię ci wstydu, wpychając się na początek kolejki.

Daphne wstała i podeszła do kontuaru. Ellie z rozbawieniem przemieszanym z irytacją patrzyła, jak czterech synów angielskiej ziemi rozstępuje się i gestem stwardniałych od pracy chłopskich dłoni wskazuje wysokiej, elegancko ubranej jasnowłosej damie miejsce na przodzie kolejki.

Perfecta

(*Perfecta*. Bujny krzew. Promiennie czerwone kwiaty, ciężkie i podatne na strącenie silnym wiatrem, ale poza tym bardzo trwałe. Zdarzają się przypadki czarnej plamistości).

Patrick Aldermann siedział przy biurku w swoim nowym gabinecie. Zupełnie nie przejmował się faktem, że na drzwiach wciąż widniało nazwisko Timothy'ego Eaglesa. Pracownicy firmy Perfecta Ltd dawno już się przekonali, że trzeba się bardzo postarać, żeby go poruszyć.

Jeden z młodszych dyrektorów handlowych wypił ciut za dużo na bożonarodzeniowym przyjęciu firmowym i, poddawszy się świątecznej atmosferze ogólnej życzliwości, zaczął filozofować na ten temat w rozmowie z Dickiem Elgoodem:

- Nie chodzi o to, że w otoczeniu Patricka Aldermanna wszystko samo gładko się układa, bo tak nie jest - bełkotał, zionąc dżinem w twarz Elgooda. - On po prostu nie zraża się żadnymi obsuwami, ile by ich było, i płynie sobie z prądem. Rozumie pan?

Elgood wykorzystał wrodzoną zwinność, żeby wyminąć podpitego dyrektora, i podszedł do baru, gdzie przedmiot ich rozmowy dyskutował właśnie z ożywieniem z Brianem Bulmerem (dyrektorem finansowym Perfecty), oraz młodym mężczyzną o ostrych rysach - Erikiem Quayle'em: chemikiem z wykształcenia, biznesmenem z zamiłowania, i członkiem zarządu; wielu dopatrywało się w nim przyszłego szefa firmy. „Mój bezczelny następcą”, mawiał o nim Elgood, dodając od razu: „Niedoczekanie. Prędzej drań osiwieje”.

Quayle odwrócił się do Elgooda. Bulmer cały czas gadał jak najęty; zapewne to właśnie on pochłonął większość szkockiej ze stojącej przed nimi butelki.

Elgood wziął z baru drugą butelkę, na wpół pełną, i dwie szklanki.

- Jak tam, Erie, dobrze się bawisz? - zagadnął Quayle'a.

Nie czekał na odpowiedź. Nie tylko nie miał ochoty na słowne przepychanki z Quayle'em, ale był już dziesięć minut spóźniony na umówione spotkanie: w jego gabinecie czekała nowa fakturzystka, tak hojnie obdarzona przez naturę, że musiała ustawiać się bokiem, żeby zajrzeć do szafki z aktami.

Godzinę później, kiedy zdążył po raz drugi wspiąć się na isticie alpejskie kulminacje jej bujnego ciała, zadzwonił telefon. Z poseksualnej błogości wyrwała Elgooda wiadomość, że Brian Bulmer kilka minut po odjeździe z przyjęcia wpadł w poślizg i trafił do statystyk świątecznych wypadków drogowych.

Jego śmierć położyła się lekkim cieniem na świętach, które Elgood spędził - jak zwykle - sam w swoim domku na urwisku, zmagając się z lodowatymi falami Morza Północnego podczas tradycyjnego treningu pływackiego przed obiadem. Od dawna wiedział (z gorzkiego własnego doświadczenia), że Boże Narodzenie spędzane w większym gronie wprawia człowieka w sentymentalny nastrój, który potrafi popsuć Sylwestra i Nowy Rok, dlatego na czas świąt zachowywał celibat. Leżąc w dwuosobowym łóżku i słuchając łoskotu wgrzającego się w klif żarłocznego przyboju, miał aż nadto czasu na rozmyślanie o śmierci Bulmera. Oplakiwał go, ale przede wszystkim rozważał wybór jego następcy. Oczywiście kandydatem był Timothy Eagles, główny księgowy: kompetentny, przewidywalny, lojalny. Elgood chciał się otaczać takimi właśnie ludźmi, a zarząd prędzej czy później zgadzał się na wszystkie jego zachcianki.

Wspomnienie rozmowy Bulmera z Quayle'em pod czujnym okiem Aldermanna jeszcze wtedy nie wypłynęło; nie obudziły go nawet ostrożne spekulacje Quayle'a, czy ktoś młodszy, na przykład asystent Eaglesa, Patrick Aldermann, nie wniosłby większego ożywienia w prace zarządu. To była tylko zwykła próba sił ze strony Quayle'a. Bez znaczenia.

A potem Eagles zmarł na zawał w dzielonej z Aldermannem łazience na końcu korytarza.

Wtedy stało się jasne, że Quayle nie żartuje i że nie jest w swoich staraniach osamotniony. Ta konkretna bitwa toczyła się o członkostwo Aldermanna w zarządzie, ale stawką całej wojny była prezesura. Quayle'a i jego popleczników kompletnie nie interesowały kwalifikacje Aldermanna - był w ich rękach tylko narzędziem, za pomocą którego chcieli rozdrażnić Elgooda i odsłonić jego słabe punkty. A im więcej krwi mu przy okazji upuszczą, tym większe zyskają poparcie.

Elgood sięgnął po wszelką dostępną mu broń, a dysponował podziwu godnym arsenałem. Nie omieszkał nawet zwrócić się bezpośrednio do Aldermanna - gdyby udało się go przekonać, żeby dobrowolnie wycofał się z konfliktu, byłby to sukces nie do przecenienia. Niestety, sprawy nie ułożyły się po jego myśli. Aldermann sprawiał wrażenie, że cała sprawa niewiele go interesuje. Jego obojętność, zimna krew i błysk tajonego rozbawienia w oczach

kompletnie rozbiły Elgooda, i delikatna operacja taktyczna przerodziła się w bezpardonowy atak.

- Dla mnie sprawa jest prosta, Dick - powiedział w końcu Aldermann. - Jeżeli nie wybiorą mnie do zarządu, to do niego nie wejdę i tyle. Prawdę mówiąc, nie zmartwię się tym specjalnie, tak że mną się nie przejmuj. A jeśli mnie wybiorą, dodatkowe pieniądze na pewno się przydadzą.

Elgood - w najwyższym stopniu poirytowany faktem, że Aldermann potraktował tę rozmowę jako wyraz troski o jego urażoną ambicję - porzucił wszelkie pozory delikatności i przypuścił brutalny szturm. Bez ogródek wyłożył swoje poglądy i zakończył podniesionym głosem:

- Zapowiadam ci, chłopcze: nie wejdiesz do zarządu Perfecty inaczej, niż po moim trupie!

Uśmiezek, pożegnalne (a może potakujące?) skinienie głowy i Aldermann wyszedł, śpiesząc się (jak domyślał się Elgood) do tych swoich cholernych róż, najwyraźniej kompletnie niewzruszony rozmową, której wspomnienie jeszcze przez długie godziny przesywało pierś Elgooda jak wstrząs elektryczny.

No, ale to był piątek, a od tamtej pory wiele się wydarzyło. Z początku miał wrażenie, że sprawy wymykają mu się spod kontroli. Punktem kulminacyjnym całego zamieszania była jego wizyta w komisariacie. Z perspektywy czasu oceniał ją jako błąd, ale przynajmniej był to błąd katartyczny: w ciągu doby po rozmowie z Pascoe otrząsnął się, odzyskał równowagę i trzeźwość osądu. Gra toczyła się o kontrolę nad firmą na wszystkich poziomach jej działalności.

W tej chwili najpilniejszej uwagi wymagał wewnętrzny kryzys wywołany ścierającymi się wizjami walki ze spadającym popytem na wyroby Perfecty w okresie recesji. Gdyby udało się go zażegnać minimalnym nakładem sił i środków, Elgood potwierdziłby swój autorytet zarówno wśród targanych wątpliwościami członków zarządu, jak i wobec centrali I.C.E.

Nacisnął klawisz interkomu i po chwili do gabinetu weszła sekretarka - kobieta pod czterdziestkę, o kanciastych rysach i krótko przyciętych ciemnych włosach, z wolna przetykanych siwizną. Była z natury samotniczką; w biurze mówiło się, że jest lesbijką. Nazywała się Bridget Dominie, wszyscy jednak nazywali ją „panną Dominie” - włącznie z Elgoodem, który przed paru laty osobiście wybrał ją na to stanowisko, przekonawszy się na własnej skórze, że seks plus sekretarka to prosta droga do poważnych tarapatów.

- Panno Dominie, mogłaby pani zajrzeć do kadr i sprawdzić, kiedy pan Aldermann planuje urlop w tym roku? Tylko dyskretnie. I proszę mi włączyć wyjście na miasto.

Skinęła głową i wyszła. Elgood był pewien, że zachowa dyskrecję nie tylko w sprawie Aldermanna, ale także pozwoli mu spokojnie odbyć dziesięciominutową rozmowę telefoniczną - mimo że ten jeden raz na pewno błędnie przewidzi jej treść.

Wybrał londyński numer. Czekając, aż po drugiej stronie ktoś podniesie słuchawkę, jeszcze raz przemyślał swój plan, i nie znalazł w nim żadnych usterek.

W końcu ktoś odebrał.

- Pan Easey? - upewnił się Elgood. - Raymond Easey? Mówi Richard Elgood.

W tym samym czasie piętro niżej Patrick Aldermann przeglądał przywiezioną z domu pocztę. Szybko odłożył na bok wyciąg z konta i zawartość kilku szarych kopert. Tylko jeden list przykuł jego uwagę.

Sięgnął po telefon i wybrał numer; podobnie jak siedzący piętro wyżej Elgood, dzwonił do Londynu. Rozmowa trwała kilkanaście minut. Po jej zakończeniu odłożył słuchawkę i przez interkom wezwał sekretarkę. Kiedy weszła do gabinetu, Aldermann rozpakowywał właśnie paczkę, w której na pierwszy rzut oka znajdowała się jakaś książka. Sekretarka obrzuciła spojrzeniem pocztę urzędową, którą wcześniej starannie pootwierala i posortowała: podzielone na stosy listy były nietknięte.

- Pani Jones, w przyszły piątek muszę wyjechać, nie będzie mnie w biurze. Mogłaby to pani sobie gdzieś zanotować? Albo nie, nie piątek, tylko czwartek i piątek.

Zaczął przeglądać zadrukowane kartki luźno oprawionego tomu, stawiając w tekście znaczki czerwonym długopisem.

Pani Jones - przed trzydziestką, ale już opiekuńcza jak matka - zapytała:

- Ale pamięta pan, że potem bierze pan urlop także od poniedziałku do środy? To ma jakiś związek ze szkołą pana synka.

- Naturalnie, że pamiętam.

Aldermann się uśmiechnął. Pani Jones pławiła się przez chwilę w blasku tego uśmiechu, od którego - jak przyznawała swoim zaufanym przyjaciółkom - pewne części jej ciała, których nie ważyła się głośno nazwać, całe aż dygotały.

- Na pewno poradzicie sobie tu beze mnie przez dwa dni więcej, nieprawdaż, pani Jones? Z trudem, bo z trudem, ale sobie poradzicie.

Fale na wodzie

(*Ripples*. Odmiana wielokwiatowa. Kwitnie przez cały sezon. Kwiaty lilioworóżowe, płatki pomarszczone. Obfite ulistnienie. Jesienią podatna na pleśnienie).

Wróciwszy wieczorem do domu, Aldermann zastał w garażu volkswagena żony. Obejrzał nowy lakier na masce i wszedł do domu.

Diana wybiegła mu na spotkanie. Wziął ją na barana.

- Mama jest na dworze - poinformowała go.

- To najlepsze miejsce - odparł z powagą.

Deszcz ustał już jakiś czas temu, a przewiane na wschód chmury zostawiły po sobie idealny czerwcowy wieczór. Aldermann wyszedł z salonu na okolony balustradą taras, gdzie Daphne wylegiwała się w fotelu ogrodowym.

- Cześć - powiedział. - Ładnie zrobili samochód.

- Dziwisz się? Za takie pieniądze? Zwłaszcza że każą sobie płacić od razu, gotówką; nie ma kasy, nie ma samochodu. Dzicz, mówię ci.

Aldermann zmarszczył lekko brwi i zszedł Dianę na ziemię.

- Widzę, że deszcz strącił parę płatków - zauważył.

- Niech sobie chwilę poleżą - odparła stanowczym tonem Daphne. - Zrobię nam coś do picia, to się odprężysz po ciężkim dniu w biurze.

Wróciła do domu. Aldermann zdjął marynarkę, przerzucił ją przez oparcie drugiego metalowego fotela i usiadł. Z daleka dobiegł dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych. Wkrótce potem na taras wyszła Daphne, niosąc tacę z martini. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, a właściwie mężczyzna i chłopiec. Chłopiec miał na sobie mundur, mężczyzna był w ciemnym garniturze. Chłopca wyróżniała poza tym indyjska uroda, a mężczyznę europejska brzydota.

- Kochanie? - Daphne postawiła tacę na stoliku z kutego żelaza, stanowiącego komplet z fotelami. - Panowie są z policji.

Aldermann uprzejmie wstał.

- W czym mogę pomóc?

- Przyszli do mnie - wtrąciła Daphne. - Chodzi o te rysy na samochodzie. Nie będziemy ci przeszkadzać. Może wejdziemy do domu, panie sierżancie? Bo jest pan sierżantem, prawda? Tak pan powiedział?

- Zgadza się, proszę pani. Sierżant detektyw Wield. A to jest kadet Singh - odparł bez entuzjazmu Wield.

Singh posłał gospodyni śnieżnobiały uśmiech. Daphne rozpoznała go z kawiarni przy bazarze, on jednak najwyraźniej jej nie poznawał. Pewnie dla Azjatów wszyscy biali wyglądają podobnie, pomyślała.

Wield, który nie chciał się jeszcze rozstawać z Aldermannem, miał właśnie wygłosić przygotowaną kwestię: „Może pani mąż mógłby potwierdzić niektóre wątki?“, kiedy gospodarz oszczędził mu trudu i odparł:

- Nie przeszkadzacie mi, kochanie. Zresztą, chętnie się czegoś dowiem o działaniach policji i, w miarę możliwości, pomogę.

- To bardzo uprzejme z pana strony - powiedział Wield.

Przyciągnął sobie krzesło i zawiesił nad nim swoje pośladki, zerkając wyczekująco na Daphne. Westchnęła cicho i usiadła.

Sierżant również usiadł i skinął znacząco na stojącego obok Singha, który usadowił się nieco z boku, po czym, naśladując Wiela, wyjął notatnik.

- Nie wiedziałem, że to Wydział Kryminalny prowadzi tę sprawę - przyznał Aldermann. - Napijcie się czegoś, panowie?

- Nie, dziękuję - odparł Wield. - Prawdę mówiąc, w normalnych okolicznościach WK nie zainteresowałby się jakimś przypadkowym uszkodzeniem samochodu, ale tym razem możemy mieć do czynienia z początkiem prawdziwej epidemii. Poza tym wykorzystujemy każdą okazję, żeby doświadczeni funkcjonariusze mogli wprowadzać kadetów we wszelkie aspekty pracy policyjnej.

Patrick Aldermann uśmiechnął się bez przekonania i Wield zaczął się zastanawiać, czy nie za bardzo się tłumaczy. Przybrał najpoważniejszy, najbardziej profesjonalny wyraz twarzy, na widok którego dzieci zwykle zaczynały płakać, a silni mężczyźni odwracali wzrok - ale spokojne piwne oczy Aldermanna ani drgnęły. Jego uśmiech też pozostał niewzruszony.

Wield przeniósł wzrok na Daphne.

- Proszę pani... - zaczął z powagą. - Jeździ pani samochodem marki Volkswagen Polo, numer rejestracyjny AWG 830T. W poniedziałek zaparkowała pani na parkingu wielopoziomowym przy Station Street. O której godzinie?

- Mniej więcej... kwadrans po dziewiątej. Podrzuciłam córkę do szkoły, a potem pojechałam do miasta na zakupy.

- Zakupy zajęły pani większość dnia, prawda? Do samochodu wróciła pani dopiero po piętnastej.

- Zgadza się. - Daphne się roześmiała. - Trochę mnie poniosło.

Wield uśmiechnął się do Aldermanna.

- To był jeden z tych dni, kiedy panie przypominają nam, ile kosztują?

Zaproszenie do wspólnego wybuchu śmiechu zabrzmiało w ustach Wiolda równie naturalnie, jak popowa piosenka w ustach wyroczeni delfickiej. Zgrzyt miał zresztą korzenie o wiele głębsze niż tylko jego niepozorna powierzchowność. Sierżant Wield był niezłomnym homoseksualistą, a ponieważ nie miał okazji doświadczyć dobrodziejstw - domniemanego warunkowania - dobrej męskiej szkoły publicznej, zakładał, że po prostu taki się urodził i basta. Pilnie strzegł swojej tajemnicy przed wszystkimi, dla których poznanie jej nie było warunkiem koniecznym do podtrzymania znajomości - ale wcale nie dlatego, że dręczył go wstyd czy poczucie winy. Sierżant uważał po prostu, że (a) jest to jego prywatna sprawa, oraz (b) policja w środkowym Yorkshire nie jest jeszcze gotowa na przyjęcie homogliniarza. Czasem marzyło mu się, żeby przy następnej okazji, kiedy humorzasty Dalziel burknie „No, sierżancie, co dla mnie macie?”, wskoczyć mu na kolana i dać całusa, ale złociste promyki takich wizji nigdy nie rozświetlały kraterów i ostańców służącego mu za twarz kawałka ziemi niczyjej.

Aldermann udał, że bierze jego słowa serio.

- Nawet jeśli rzeczywiście był to jeden z takich dni, to na razie nie widziałem jego skutków - odparł.

- Czyli głównie oglądała pani wystawy? - Wield się roześmiał. - No, to obeszło się bez większych szkód. Poza uszkodzeniem samochodu, rzecz jasna. Po powrocie do auta stwierdziła pani, że lakier został porysowany, tak? - Zajrzał do notesu, który trzymał blisko piersi, żeby ukryć fakt, że jest to jego pamiętnik, w dodatku prawie niezapisany. - Bezzwłocznie zawiadomiła pani policję - dodał.

- Policja już tam była - przypomniała mu Daphne. - Ktoś inny wcześniej zauważył uszkodzenie swojego samochodu i to zgłosił.

- Naturalnie. - Wield zerknął do pamiętnika. - Czy kiedy rano parkowała pani samochód, zauważyła pani coś niezwykłego? Może ktoś się tam kręcił?

- Nie, nikogo nie widziałam.

- To chyba mało prawdopodobne, żeby wandalę czaili się tam już kwadrans po dziewiątej, nie uważa pan, sierzanie? - wtrącił Aldermann uprzejmym, pytającym tonem.

Wield jeszcze raz zajrzał do pamiętnika, w którym najbardziej użyteczną informacją był fakt, że najbliższa niedziela jest drugą po święcie Trójcy Przenajświętszej, trzecią po Zielonych Świątkach i że wypada w nią Dzień Ojca.

- Nie mamy pewności, kiedy dokładnie doszło do tych aktów wandalizmu, proszę pana - zauważył.

- Ale jakieś granice chyba panowie musicie przyjąć? - drażył temat Aldermann. - Na przykład, od momentu zaparkowania ostatniego z uszkodzonych samochodów do momentu pierwszego zgłoszenia. Chyba że ten świr wybierał sobie samochody i niszczył je pojedynczo przez cały dzień.

- Nie można wykluczyć takiej możliwości, proszę pana - odparł Wield, jakby poważnie traktował sugestię gospodarza. - Czy kiedy pani przyjechała, na parkingu stało już dużo samochodów?

- Było prawie pusto.

- Naprawdę? Pani zaparkowała na najwyższym poziomie, na dachu, prawda? Pierwsze dwie kondygnacje zapełniają się chyba dość szybko, bo biznesmeni chętnie zostawiają tam swoje auta, ale następne cztery poziomy o dziewiątej piętnaście na pewno jeszcze świecą pustkami.

- Zawsze parkuję na dachu - wyjaśniła pośpiesznie Daphne. - Nie przepadam za zamkniętymi pomieszczeniami, a poza tym cofanie średnio mi wychodzi. Dlatego otwarta przestrzeń i brak samochodów, które mogłabym stuknąć, to dla mnie idealna sytuacja.

- Brak samochodów? - podchwycił Wield. - Całkowity? Była pani pierwsza na dachu?

- To możliwe... Nie pamiętam. Czy to ważne?

Nie, pomyślał Wield. To zupełnie bez znaczenia.

Realizacja planu spotkania się z Aldermannem u niego w domu bez wzbudzania podejrzeń nie wychodziła mu na razie najlepiej - z całą pewnością zdążył już wzbudzić podejrzenie, że jest półgłówkiem. Nawet kadet Singh przestał notować rozmowę słowo w słowo i robił miny do córki Aldermannów.

- Nie zajmę już państwu dużo czasu - obiecał Wield. - Proszę mi jeszcze powiedzieć, pani Aldermann, czy przychodzi pani do głowy ktoś, kto mógłby pani źle życzyć?

- Aż tak źle, żeby mi porysować samochód? - Daphne nie kryła zaskoczenia. - Ale przecież nie tylko moje auto zostało zniszczone.

- Wiem, ale nasi funkcjonariusze, którzy dokonali oględzin, twierdzą, że rysy na pani samochodzie mogły układać się w słowa.

- W słowa? - powtórzył Aldermann. - Czyli byłaby to jakaś wiadomość?

- Niezupełnie, proszę pana. Drugie z domniemyanych słów mogłoby brzmieć „krowa”, co sugerowałoby, że wandal wie, że kierowca jest kobietą.

- Na tylnej półce zostawiłam stary kapelusz, który stale wożę ze sobą na wypadek deszczu - wyjaśniła Daphne. - W takiej sytuacji nie trzeba chyba być detektywem, żeby się domyślić, że samochodem jeździ kobieta?

- A jakie było pierwsze z domniemyanych słów, panie sierżancie? - zapytał uprzejmym tonem Aldermann.

- Trudno powiedzieć - odparł skrępowany Wield.

Pomyślał przy tym, że taki na przykład Dalziel nie miałby najmniejszych kłopotów z wypowiedzeniem wulgaryzmu na głos.

- Skoro jednak obelgi były skierowane bezpośrednio do mojej żony, po co wandal niszczył inne samochody? A poza tym mówił pan coś, zdaje się, o epidemii takich wypadków...

W obliczu tych nieprzyjemnie celnych dociekań, Wield nie zdobył się na nic więcej niż standardowe:

- Nie wykluczamy żadnej możliwości, proszę pana.

- Ja na pewno nie znam nikogo, kto mógłby zrobić coś takiego - orzekła stanowczo Daphne.

- Rozumiem - przytaknął Wield. - A pan? Przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby żywić do pana urazę? Może ktoś z pracy?

Aldermann wolno pokręcił głową w geście wyrażającym tyleż niedowierzanie, co i zaprzeczenie.

- Jestem księgowym. Pracuję w firmie Perfecta Ltd. Nie przychodzi mi do głowy nikt, ani w Perfekcie, ani w żadnej innej dziedzinie mojego życia, kto mógłby żywić do mnie urazę dostatecznie silną, żeby najpierw zniszczyć samochód mojej żony, a potem jeszcze kilka innych w celu ukrycia prawdziwego motywu.

Ton głosu Aldermanna pozostał niewzruszenie uprzejmy, zabrzmiała w nim jednak uprzejmie pożegnalna nuta. Gospodarz dawał do zrozumienia, że albo policyjny półgłówek poda jakiś choćby minimalnie rozsądny powód kontynuowania tej rozmowy, albo należy ją pomału kończyć.

Wield nie mógł się z nim nie zgodzić, chociaż oznaczało to, że wróci do Pascoe z pustymi rękami. Nie zobaczył ani nie usłyszał niczego, co byłoby warte komentarza.

Nagle dziewczynka, która spokojnie przesiadzała całą rozmowę, zabawiając się z kadetem Singhem w grę polegającą na zerkaniu na niego przez palce i chichotaniu za każdym razem, kiedy ją na tym przyłapał i zrobił minę, spytała:

- Mogę iść się pohuścić, mammo?

- Ależ oczywiście, kotku. Zaraz przyjdę cię pobujać. O ile pan sierżant już skończył, naturalnie.

- Niech on mnie pobuja. - Diana wskazała na Singha.

- Chyba nie... - zaczęła Daphne, ale Singh już wstał, uśmiechając się promiennie, i wtrącił:

- Nie mam nic przeciwko temu. Pozwoli pan, sierżancie? Chodź, maleńka, idziemy.

Wziął dziecko na ręce i wyszedł do ogrodu.

- Mówi jak tubylec - zauważyła Daphne. - Z Yorkshire.

- Po siedemnastu latach każdy łapie miejscowy akcent - odparł z powagą Wield.

- Jak to? Przecież on nie ma więcej niż... Ach, rozumiem. Twierdzi pan, że on naprawdę jest tutejszy?

Wield przypomniał sobie starą maksymę: „Nie bądź bezczelny wobec klientów, dopóki nie zostali aresztowani. Chyba, że jesteś Dalzielem”.

- To miły chłopak - powiedział. - Widzę, że ma pan tu piękne róże.

Twarz Aldermanna rozjaśnił uśmiech nie gorszy od uśmiechu Singha.

- Dziękuję. Zapowiada się dobry rok. Pięknie doszły do siebie po tej okropnej zimie.

Lubi pan róże?

- Podziwiam je z daleka. Mam mieszkanie, nie domek. Z trudem udaje mi się hodować jakieś kwiaty doniczkowe, które pewnie i tak padną na skutek moich zaniedbań.

- A nie myślał pan o skrzynce na parapecie i jakiejś miniaturowej odmianie? Potrafią pięknie rosnąć, zwłaszcza jeśli skrzynka ma dobry odpływ, a okno wychodzi na południe.

- Doprawdy?

Zmiana w zachowaniu gospodarza nie uszła uwagi Wielda: Aldermann, jeszcze przed chwilą ostrożny i pełen rezerwy, wyraźnie się ożywił. Prawdę mówiąc, metamorfoza była tak ewidentna, że sierżant nie musiał się specjalnie wysilać.

- Jakie odmiany by mi pan polecił?

- Trudno powiedzieć... Mogę panu wskazać pożądane cechy hodowlane, ale jeśli idzie o wygląd, każdy musi ocenić sam. Słowo „odmiany” w wypadku róż doskonale oddaje ich

charakter, ich różnorodność jest nieskończona, tak się przynajmniej wydaje. I co roku ich przybywa. To właśnie jest fascynujące w uprawie hybryd, że człowiek nigdy do końca nie wie, co uzyska. Wybiera się materiał hodowlany zgodnie z najlepszymi zasadami ogrodnictwa, wkłada się w uprawę mnóstwo pracy, wszystko idzie zgodnie z planem... Ale dopóki nie zobaczy pan pierwszego kwiatu, nie będzie miał pojęcia, jaki efekt właściwie osiągnął. To źródło zupełnie nowych, ekscytujących wrażeń i niepewności!

- Tego to mi akurat w pracy nie brakuje! - Wiel się roześmiał.

- Czyżby? - spytał nieco zaskoczony Aldermann. - Cóż, praca policjanta chyba rzeczywiście jest wyjątkowa, ale kiedy tak spojrzeć na całokształt, to czy nasze życie, poza ogrodem różanym, nie jest zaskakująco niezaskakujące?

- Mój mąż jest nie tylko entuzjastą, ale także ewangelistą, panie sierzancie - wtrąciła Daphne z nieco wymuszonym śmiechem. - Kochanie, muszę przyszykować kolację. A Diana powinna już chyba wracać do domu. Zawołasz ją?

To było pożegnanie - grzeczne, ale niedwuznaczne. Wiel wstał.

Jednakże Aldermann przyszedł mu w sukurs.

- Diana świetnie się bawi - zauważył, spoglądając w głąb ogrodu, gdzie dziewczynka piszczała z uciechy, gdy Singh bujał ją coraz wyżej i wyżej. - A ja muszę pokazać sierżantowi te miniaturki, które go zainteresowały. Mam ich kilka na obudowanej rabacie.

Zszedł z tarasu do ogrodu.

- W takim razie do widzenia, panie sierzancie - powiedziała Daphne.

Wiel uścisnął podaną na pożegnanie dłoń, zastanawiając się, gdzie leży granica, której ta dobrze wychowana dama nie przekroczy. Na przykład, czy podałyby rękę posterunkowemu w mundurze? I czy słusznie wyczuwał u niej chęć pozbycia się go, która kazałaby jej podać rękę choćby i trędowatemu kanibalowi?

Zszedł po schodach i podążył za Aldermannem wąską ścieżką pomiędzy dwiema kępami bujnie kwitnących, kolorowych rododendronów, do zbudowanej z cegły podłużnej szopy bez okien. Tak jakby krzewy nie dość go zasłaniały, budynek był prawie całkowicie porośnięty pnącą różą; miało się wrażenie, że to ona podtrzymuje ściany, a nie odwrotnie. Uginała się pod ciężarem olbrzymich różowych kwiatów o miękkich, pomarszczonych płatkach, wydzielających intensywny aromat.

- Podoba się panu moja *Madame Gregoirei* - spytał Aldermann, wkładając klucz do zamka. - Podziwia ją pan w najlepszym momencie. Za miesiąc zostanie na niej garstka kwiatów.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i włączył światło.

- Bardzo ładna - zgodził się z nim Wiel, chociaż, prawdę mówiąc, nadmiar koloru i przesycone różaną wonią powietrze trochę go przytłaczały. Jego myśli nie wiadomo jak i kiedy zbłądziły ku matce, bujnie zaokrąglonej kobiecie z zamiłowaniem do krzykliwych bluzek, piżmowych perfum i taniego sentymentalizmu.

W szopie znajdowało się mnóstwo schludnie poukładanych narzędzi ogrodniczych. Z wysoko zawieszanej półki Aldermann wziął rękawice i nożyk do przycinania krzewów, sięgnął też po zawieszoną na haku torbę - trochę podobną do gazeciarskiej, zwłaszcza gdy zawiesił ją sobie na szyi. Uwagę Wielda przyciągnął tymczasem okazałych rozmiarów kredens, którego lite drewniane drzwiczki były zamknięte na solidną kłódkę.

- Świetne zabezpieczenie - powiedział z aprobatą.

- Słucham? Ach, to. To przez wzgląd na dzieci, naturalnie. Prawdziwego włamywacza taka kłódka mogłaby co najwyżej nieco opóźnić, panie sierzancie, ale nowoczesne ogrodnictwo wymaga stosowania nowoczesnych substancji. Mój zapas pestycydów i herbicydów wystarczyłby do zabicia całej armii!

Wyszli na zewnątrz i Aldermann starannie zamknął drzwi na klucz. Kiedy w końcu dotarli do ogrodu różanego, zastosowanie niesionej na szyi torby stało się oczywiste.

Od czasu do czasu Aldermann przystawał przy którejś z róż, odcinał przekwitły kwiat i wrzucał go do torby.

- Przepraszam, że się tym teraz zajmuję, ale to jedyny sposób, żeby nad nimi zapanować.

- To chyba niemożliwe, żeby sam się pan wszystkim zajmował? - zdziwił się Wiel, myślami będąc jeszcze przy wzmiance o śmiertelności zawartości kredensu.

- Ależ oczywiście! - Aldermann się roześmiał i powiódł wzrokiem po olbrzymiej polaci ogrodu. - Mój cioteczny dziadek, nawiasem mówiąc, twórca tego ogrodu, normalnie zatrudniał ogrodnika na stałe. Ale czasy, a wraz z nimi ceny, zmieniły się, jak pan wie. Syn tamtego ogrodnika prowadzi dziś firmę świadczącą usługi ogrodnicze. W sezonie przyjeżdżają tu raz, czasem dwa razy w tygodniu, żeby wszystkiego dopilnować. Ja robię co mogę, w tym prawie wszystko przy różach.

- Już samo to wygląda mi na rzetelny etat.

- Przyznaję, że opieka nad różami zajmuje centralną pozycję w moim życiu, ale i tak zostaje w nim dość miejsca, żeby zapracować na utrzymanie. Chociaż czasem marzę o tym, żeby móc się bez reszty poświęcić różom. Zastanawiam się wtedy, jaką szkodę ponosi człowiek, gdy surowe realia codziennej egzystencji nie pozwalają mu rozkwitnąć i osiągnąć pełni swojej natury.

Spojrzenie piwnych oczu spoczęło na Wieldzie - nie były już czujne, lecz szeroko otwarte, bezbronne, szczerze niewinne, ale i tak wzbudziły w nim niepokój, że Aldermann w jakiś niewiadomy sposób przeniknął sekret jego podwójnego życia.

- Całkiem możliwe, że ma pan rację - przytaknął sierżant. - Piękne narzędzie.

Ruchem głowy wskazał nożyk i zbeształ się w duchu za bezmyślne przycięcie obiecującego pędu osobistej filozofii Aldermanna. Był to z jego strony akt tchórzostwa, prawie na pewno zbędny - chociaż to akurat niczego nie zmieniało. Taki mechanizm obronny też się może przerodzić w nałóg. Zwykle uruchamia się w sytuacji zagrożenia, ale czasem włącza się sam z siebie, kiedy zagrożenia nie ma. I zdarza się, że działa jeszcze długo po tym, jak nie ma już czego bronić. Od blisko roku, od zakończenia wieloletniego związku, Wield prowadził życie cnotliwego odludka. W centrum jego świata nie kwitły róże; zamiast nich ziała destrukcyjna czerń kryjówki, w której nic się już nie ukrywało.

Aldermann uśmiechnął się w taki sposób, jakby przeniknął jego najtajniejsze myśli.

- To prawda. Wolę go od sekatora. Należał do mojego ciotecznego dziadka, ale, co ciekawe, to cioteczna babka pokazała mi, jak się nim posługiwać. Bardzo dbała o należyty wygląd ogrodu. Dziadek również, naturalnie, ale on nie próbował nikomu zaimponować, tylko w ten sposób wyrażał swoją miłość. Usuwanie przekwitłych kwiatów to smutna konieczność. Prawdziwy miłośnik roślin stara się to zrobić jak najszybciej i najdelikatniej.

Mówiąc, podniósł nóż w geście do złudzenia przypominającym rycerski salut. Słońce zalśniło na zakrzywionym srebrzystym ostrzu.

- Ach tak, miniatury! To je przecież chciał pan zobaczyć, nieprawdaż? Proszę tutaj. Niewiele ich mam, ale może coś panu wpadnie w oko. Baby Masquerade, o tutaj, jest bardzo ładna. Jej kwiaty zmieniają kolor w miarę rozkwitu; będą się interesująco prezentowały w oknie. Ja sam zresztą wolę tę miniaturową odmianę; w normalnym rozmiarze jest dla mnie zbyt krzykliwa.

- Te mi się podobają - przyznał Wield. Entuzjizm Aldermanna był zaraźliwy. - Co to za odmiana?

- Widzę, że ma pan dobry, staroświecki gust - powiedział z aprobatą Aldermann. - To podrodzaj *Polyantha*. Ta karłowata *Baby Faurax* jest wyjątkowo urocza, nie uważa pan?

Wield spojrzął na grona maleńkich pomponików w odcieniach lawendy oraz fioletu i pokiwał głową. Rzeczywiście, podobały mu się o wiele bardziej niż pełnowymiarowe, ciężkie od kwiatów krzewy. Kojarzyły mu się z niską wiejską chałupką z lśniącego kamienia z Cotswold, z ogródkiem, przez który płynie strumień.

Nagle sobie uświadomił, że wspomina letni domek, w którym dawno temu spędził radosne dwa tygodnie w towarzystwie swojego utraconego dziś kochanka.

- Diano? Chodź już do domu, kochanie!

Głos gospodyni przegnał wspomnienie. Pani Aldermann wyszła na taras. Od strony huśtawki dobiegł symboliczny protest, ale kadet Singh już zgarnął dziewczynkę na rękę, posadził sobie na barana i niósł, chichoczącą i rozgadaną, w stronę domu.

- Chyba na mnie pora, proszę pana - powiedział Wiold. - Miło, że poświęcił mi pan czas.

- Mam wrażenie, że nie tyle go poświęciłem, ile podzieliłem się nim z panem. Do widzenia.

Aldermann odprowadził Wiolda i Singha ścieżką z boku domu, ale w pewnym momencie zostawił ich i skręcił do odgradzonej od reszty ogrodu przyzmy kompostu, na którą zrzucił odcięte kwiaty i stanął nad nimi w zadumie. Oglądającemu się przez ramię Wioldowi przypominał pastora, który został sam nad ukwieconym grobem, gdy żałobnicy już się rozeszli. Skojarzenie z pastorem nie było wcale najgorsze, bo rozentuzjzmowany Aldermann miał w sobie coś z fanatyka religijnego - wydawał się podobnie niedostępny.

Sierzant stwierdził ze zdumieniem, że mu zazdrości. Ale czego? Z pewnością nie olbrzymiego ogrodu i przerośniętego domu. Nie zazdrościł mu też żony, wołu, osła i służących, o ile miał jakichś poza ogrodnikami z doskoku i - zapewne - sprzątaczką na przychodne. Może zatem chodziło o to, że Aldermann wiedział, co w jego życiu jest najważniejsze, i nie wahał się wykorzystać tej wiedzy w praktyce?

Singh nie chciał zakłócać spokoju zamyślnego sierżanta, ale teraz się odezwał:

- Nie przeszkadza panu, że pobawiłem się z tą małą, sierżancie? Pomyślałem, że w ten sposób ułatwię panu rozgryzienie jej mamuśki.

Wiold posłał mu zdumione spojrzenie, ale zaraz sobie uświadomił, że dla Singha wizyta w Rosemont wiązała się tylko ze sprawą uszkodzonego samochodu pani Aldermann. W tym kontekście jego zachowanie rzeczywiście było sprytne.

Zamiast jednak go pochwalić, Wiold zapytał oschle:

- Tak bardzo lubisz się bawić w piaskownicy? Zobaczymy, może uda się załatwić ci stałą posadę strażnika na przejściu dla pieszych przed szkołą.

Singh zerknął na niego z ukosa i uśmiechnął się kącikiem ust, gotowy roześmiać się z żartu, ale widok grubo ciosanego profilu Wiolda utrudniał uwierzenie w jego żartobliwe zamiary.

- Ta pani Aldermann... - kontynuował więc Singh, któremu bardzo zależało na aprobacie sierżanta. - Widziałem ją wczoraj w „Market Caffé”, kiedy uczyłem się kierować ruchem. Wie pan, z kim przyszła? Z żoną pana Pascoe!

Wield otworzył drzwi samochodu i usiadł za kierownicą.

- Uczyłeś się kierować ruchem w „Market Caffé”? Mam nadzieję, że tajniki sztuki policyjnej przyswajasz równie szybko, jak złe nawyki. No, wsiadaj, jeśli nie chcesz wracać piechotą.

Kadet Singh obiegł samochód z drugiej strony i wsiadł do środka. Na komisariat wrócili w milczeniu, które nie miało nic wspólnego z miłą atmosferą.

Radość gliniarza

(*Copper Delight*. Odmiana wielokwiatowa. Bardzo żywotna. Miedzianozłote kwiaty w gronach liczących od trzech do pięciu sztuk. Odporna na wędnięcie. Wymaga ochrony przed plamistością czarną. Słodki aromat).

Peter Pascoe huśtał córeczkę na kolanach, zaznaczając rytm musicalową przyśpiewką ze szkockim akcentem:

- Diabeł i Dalziel na tę samą zaczynają się literę! Diabeł to ladaco, a i z Dalziela pożytku niewiele!

Zachwycona rymowanką dziewczynka gulgotała radośnie, dopóki Ellie, która niepostrzeżenie zakradła się do salonu, nie spytała:

- A co porabia nasz spasiony leń?

- Nie mów tak o swojej córce - upomniał ją surowo Peter.

- Ha, ha, ha. Powiem ci, że czasem nazywam ją gorszymi słowami. Ale wróćmy do Dalziela.

- U Dalziela wszystko w normie, w każdym razie nie jest gorzej niż zwykle. Uczepił się tej sprawy Elgooda-Aldermanna, ale nie bardzo mogę z niego wyciągnąć, czego właściwie ode mnie oczekuje. Wield wybrał się tam wczoraj z wizytą...

- Do Aldermannów?

- Tak. Spokojnie, poszedł oficjalnie wypytać o ten porysowany samochód twojej psiapsiółki.

- I czego się dowiedział? - spytała nieco agresywnie Ellie.

Policyjne fortele zawsze przyjmowała z mieszanymi uczuciami. Czasem postrzegala je jako zagrożenie dla porządku społecznego, kiedy indziej zaś znajdowała w nich niepokojąco perwersyjną przyjemność.

- Niczego, zupełnie niczego - odparł pośpiesznie Pascoe.

Wolał nie wspominać o tym, że na pierwszą wzmiankę Wielda o zamkniętym kredensie sięgnął po telefon i odbył długą rozmowę z policyjnym patologiem, który

wyrecytował długą listę potencjalnie zabójczych chemikaliów stosowanych w ogrodnictwie i zakończył wyliczankę takimi słowami:

- Proszę mi dać mięcho, a ja panu znajdę substancję. Ma pan dla mnie mięcho?

- Przykro mi - odparł Pascoe, czując się jak rzeźnik w czasie wojny. - Nie mam mięcha. Ale gdyby miał pan zgadywać, to czy przychodzi panu do głowy coś, co mogłoby wywołać efekt podobny do zawału u człowieka ze zdiagnozowaną chorobą serca? Albo coś, co mogłoby sprawić, że zalany w pestkę kierowca na pewno się rozbije?

- Hmm... - mruknął z powątpiewaniem patolog. - Jest fluoroocetan sodu, używany do trucia szczurów, ale piekielnie trudny do zdobycia. Wywołuje przeróżne objawy: mdłości, załamanie psychiczne, drgawki padaczkopodobne, ale gdyby ten etap minął bez świadków, można by potem stwierdzić zawał serca, zwłaszcza dysponując historią choroby i nie robiąc sekcji zwłok. A ta druga sprawa... Po zainfekowaniu organizmu alkoholem, niewiele już trzeba, żeby do reszty zamącić człowiekowi w głowie. Wystarczyłby jakiś chlorowany węglowodór, na przykład chlordan. Albo jakiś organiczny fosforan, taki jak paration. Ale bez mięcha...

I tyle. Mięcho nie zachowało się ani w przypadku Bulmera, ani Eaglesa, bo obaj zostali skremowani. Zresztą, i tak nie byłoby powodów do ekshumacji. Badania laboratoryjne drzwi garażowych i lampki z biurka Elgooda nie wykazały żadnych oczywistych śladów manipulacji.

- Czyli nie ma żadnych dowodów na poparcie oskarżeń Elgooda? - spytała Ellie.

- Nie, nie ma, i zamierzam mu to powiedzieć - odparł stanowczo Pascoe. - Jutro się z nim spotkam. Podejrzewam, że poboczył się w tym swoim domku, złapał trochę słońeczka, przespał się z problemem i pewnie chętnie wszystko od- szczeka... Mała się chyba zmoczyła.

- To przez ten wierszyk o Dalzielu. Posadź ją na gazecie, przyniosę pieluchę.

Ellie wyszła, a kiedy wróciła, powiedziała z namysłem:

- Myślę, że masz rację co do Elgooda. Ale można by pomyśleć, że praca w Perfekcie szkodzi zdrowiu, nie uważasz?

- Dwa zgony, jeden na serce, drugi z przepicia? To chyba normalne w przeciętnej firmie. Tak mi się wydaje.

- Parę lat temu był ktoś jeszcze. Kiedy spotkałam się z Daphne, przypadkiem napatoczyłam się na wdowę po tamtym człowieku, stąd wiem. Niejaki Burke. Pracował z Aldermannem.

- Burke? Brzmi jakby znajomo...

- Serio? Zanim ten twój potężny jak komputer mózg rozkręci się na dobre, dobrze by było zmienić córce pieluszkę.

- Twoja kolej - przypomniał Pascoe, wstając z podłogi. - Ja muszę zadzwonić.

Kiedy dwie minuty później wrócił, Ellie zagadnęła go od niechcienia:

- Mam prośbę: gdybyś znów zmienił zdanie, daj mi znać, dobrze?

- Zmienił zdanie? Na jaki temat?

- Na temat tego, czy poważnie traktujesz śledztwo w sprawie Patricka Aldermanna.

- Chodzi ci o to, że widzisz się z jego żoną?

- Otóż to.

- Oczywiście, że dam ci znać.

- Po to, żebym przestała się z nią widywać?

Pascoe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Dostrzegam pułapkę. Nie, po to, żebyś wiedziała. Po prostu.

- Czyli nie przeszkadza ci, że znów się z nią spotkam?

- Przeszkadza mi, że zadajesz takie pytanie. Ścisłe rzecz biorąc, budzi to moje podejrzenia, jak w ogóle wszystko, co pachnie żoninym posłuszeństwem. Co ty kombinujesz?

Ellie wstała znad szczęśliwie przepieluszkowanej córeczki, po czym ze starego dębowego kredensu wyjęła butelkę szkockiej i dwie szklanki.

O Chyba biorę przykład z ciebie. Właśnie sobie pomyślałam, że jeszcze niedawno nie dowiedziałabym się, że Daphne jest żoną człowieka, którym się interesujecie. Odkąd przestałam pracować, ty znacznie chętniej opowiadasz o swojej pracy.

Ellie w dalszym ciągu była - oficjalnie rzecz biorąc - wykładowcą socjologii w college'u. Jej urlop macierzyński już się skończył, ale ponieważ rok akademicki dobiegał końca, i tak nie bardzo miałyby co robić i dlatego w porozumieniu z pracodawcą dokonała tylko symbolicznego powrotu do pracy, ograniczając się do oceniania egzaminów. Jak na ironię, i tak najprawdopodobniej czekał ją kolejny okres bezrobocia, gdy pięknie położona działka, na której stała szkoła, zostanie sprzedana, a personel włączony w skład ciała pedagogicznego politechniki w miejscowym Instytucie Szkolnictwa Wyższego. Większość kursów, które mogłaby prowadzić Ellie, zostanie zlikwidowana. W dodatku chodziły słuchy, że miejscowe władze zaproponują rekompensaty wszystkim tym, którzy dobrowolnie odejdą z pracy, i Ellie poważnie rozważała przejście na emeryturę - mogłaby wtedy przysiąść fałdów i dokończyć swoją drugą powieść (nawet jeśli wciąż uparcie wstrzymywała się z publikacją pierwszej).

- Czyli zaczynam chlapać ozorem, tak? Będę musiał bardziej uważać.

Ellie postawiła przed nim whisky i napiła się ze swojej szklanki.

- Mając do wyboru uznanie twojej niezwyklej gadatliwości za spóźniony wyraz uznania dla mojego nieprzeciętnego intelektu, trzeźwości osądu i niepodważalnej wiarygodności, albo za protekcyjną i seksistowską próbę rzucenia małej kobiecie ochłapu w nagrodę za to, że uziemiona bachorem całymi dniami wegetuje w domu, postanowiłam zinterpretować wątpliwości na twoją korzyść.

- Słyszałaś, Rose? - Pascoe podniósł córkę na wysokość swojej twarzy. - Moje życie nie poszło na marne. Niewiele mam, ale przynajmniej ktoś rozstrzyga wątpliwości na moją korzyść.

- Tylko w tym tygodniu - zastrzegła się Ellie. - To się może zmienić, ale w tym tygodniu wzięłam pod uwagę fakt, że Andy Dalziel najwyraźniej jest bardziej upierdliwy niż zazwyczaj.

- Nie bardziej, tylko inaczej - poprawił ją Pascoe. - Czasem się o niego martwię. W najwyższej formie jest znakomitym policjantem, ale czasy się zmieniają...

- A on nie. Wiesz, kiedy nadszedł czas, dinozaury po prostu musiały odejść. Za rogiem już się czai gotowy do przejęcia władzy Homo erectus.

- Pochlebiasz sobie. - Pascoe wyszczerzył zęby.

- Ale przecież byłbyś gotowy go zastąpić, prawda? - spytała z namysłem Ellie. - Nie chodzi o to, żebyś zajął dokładnie jego stanowisko, ale ty też na pewno czujesz, że dinozaury trochę za długo zwlekają z zejściem ze sceny.

- Czy też to czuję... Może i tak, ale przy okazji się o nie martwię. Czasem wydaje mi się, że Gruby Andy ma jednak jakąś śladową samoświadomość i w głębi serca widzi, co się święci. Może to dlatego ostatnio bywa taki niepewny. Ale potem przychodzi moment, w którym jestem pewien, że świadomie robi ze mnie durnia w sprawie Aldermanna. Na szczęście, prawdopodobnie uda się ją zamknąć przed jego powrotem.

- Gdzieś wyjeżdża?

- Ależ tak. Zapomniałem ci powiedzieć. Najwyraźniej nadinspektor też uważa, że Andy musi się nagiąć do praw nowego świata. Wczoraj wezwał go do siebie i powiedział, że na skutek splotu niekorzystnych okoliczności nie będzie mógł w przyszłym tygodniu uczestniczyć w konferencji w Scotland Yardzie, i chce, żeby to Andy nas tam reprezentował.

- Nie chodzi chyba o tę konferencję na temat nowych zadań policji w społeczeństwie mieszanym? Tę, na którą przyjadą Jankesi?

- Oraz żabojady, szwabry i makaroniarze, jak mówi Dalziel.

- Niech Bóg ma nas w opiece. Jak posłuchają Dalziela, od razu wrócą do domu i zaczną się uczyć obsługi taktycznej broni jądrowej!

Rose, rozdrażniona tym, że nie jest przedmiotem rozmowy, szarpnęła się w objęciach Pascoe.

- Chodź do mnie, mała. - Ellie wzięła ją na rękę. - Chyba czas do łóżka. Co powiesz na kropelkę szkockiej, żeby grzecznie spać do rana?

Ledwie weszła na schody, zadzwonił telefon.

- Ja odbiorę - powiedział Pascoe.

Podniósł słuchawkę, powiedział coś krótko, potem długo słuchał, ale zdążył wrócić do salonu, zanim Ellie zeszła z piętra.

- Coś ważnego? - zainteresowała się, sięgając po swoją szklaneczkę.

- Pewnie nie. Czysta ciekawość z mojej strony. Chociaż, jak się nad tym zastanowić, to dziwne...

- Mogę zgadywać? - spytała po chwili Ellie. - Mam trzy próby?

- Przepraszam, myślałem na głos. Pamiętasz, jak wspomniałaś tego Burke'a? Powiedziałem wtedy, że nazwisko brzmi znajomo. Zadzwoniłem potem na komisariat i poprosiłem, żeby sprawdzili gościa. Szybko poszło, tym bardziej, że ktoś z naszych prowadził śledztwo w tej sprawie.

- Było śledztwo?

- Może nie regularne śledztwo, ale faktycznie, wszczęto dochodzenie. Burke spadł z drabiny podczas remontu swojego domu i skręcił kark. Przyczyna zgonu to nieszczęśliwy wypadek. Sprawa czysta.

- No i?

- Sęk w tym, że kiedy zestawisz to ze słowami Elgooda, zaczyna to wyglądać trochę podejrzanie. Zwłaszcza że Burke był asystentem Eaglesa, głównego księgowego.

- I Aldermann dostał jego posadę?

- Otóż to. Chociaż to jeszcze, oczywiście, nic nie znaczy.

- Pewnie nie. Elgood o tym nie wspomniał, prawda?

- Nie, ani słowem. Za to teraz ja mu o tym wspomnę. Nawiasem mówiąc, kiedy znów się spotkasz z tą Aldermann?

- Z Daphne? Jesteśmy umówione jutro na kawę. A co?

- Nic. Jakie wrażenie zrobiła na tobie?

- Już ci mówiłam, polubiłam ją. Bystra, energiczna, oczywiście trochę ograniczona, ale na pewno nie głupia. Czemu pytasz?

- Wielki opisał ją jako bardzo sympatyczną, przeciętną gospodynię domową z wyższej klasy średniej. Ot, stereotypowa pani domu. Nie pasujecie do siebie.

- Wielki tak powiedział? Przypuszczam, że obecność gliniarza zawsze trochę hamuje szczerą reakcję. Nie mówił ci, jaka jest seksowna?

- Seksowna? - zdziwił się Pascoe. - Nie, w ogóle o tym nie wspomniał... Jego zdaniem jest zupełnie przeciętna, żeby nie powiedzieć brzydka. A ty uważasz, że jest seksowna?

- No pewnie. Może nie aż tak, żeby faceci ślinili się od razu na widok jej ogromnych cyców, ale z pewnością coś w sobie ma. Co akurat mogło ująć uwagi Wielkiego.

- Dlaczego?

Ellie tylko się uśmiechnęła i wstała, żeby dolać im whisky.

Nieprawdopodobieństwo

(*Blue Moon*. Mieszaniec herbatni. Bogaty aromat, liliowobłękitne kwiaty. Niełatwo go polubić).

Kiedy następnego dnia wczesnym popołudniem Pascoe zajechał pod fabrykę Perfecty, zastał ją pustą i cichą, jak niegdyś walijski pub w niedzielę.

Pokręcił się chwilę po niewielkiej recepcji, pokaszując demonstracyjnie i udając, że podziwia skromną wystawę łazienkowych gadżetów, w większości opatrzonych logo Elgoodware. W końcu zjawiała się kobieta w średnim wieku i surowym czarno-białym kostiumie.

- Pan Pascoe? - zagadnęła stosownym do stroju głosem. - Bridget Dominie, sekretarka pana Elgooda. Proszę za mną.

Pascoe posłusznie ruszył za nią, czując się jak rasowy mąż-pantoflarz, kiedy przyspieszył kroku, żeby nadążyć za dziarską kobietą. Duża foliowa torba, którą niósł w rękę, tylko potęgowała to wrażenie.

Po aluzjach Dalziela, jakoby Dick Dandys miał iście sułtańskie nawyki, panna Dominie rozczarowała Pascoe. Może zaawansowany wiek pchnął Elgooda w królestwo erotycznej dyscypliny? „Panna Dominie” to wszak nie najgorsze nazwisko dla silnej kobiety z biczem.

Pokonali kilka biegów schodów (nie znają tu wind?!), zanim stanęli przed drzwiami, na których matowym szkle wielkimi literami wypisano nazwisko Elgooda. Za nimi znajdowało się pomieszczenie, bez wątpienia będące biurem panny Dominie. Pascoe był zaskoczony jego obskurnym wyglądem; po Dicku Dandysie spodziewałby się raczej większej dbałości o pozory. Chyba że był to tylko opóźniacz, tak jak wąska i kręta ścieżka w ozdobnym ogrodzie, prowadząca do miejsca, z którego otwiera się zaskakująco piękny widok na wypielegnowane drzewa.

Panna Dominie zapukała do następnych drzwi, które otworzyły się z rozmachem, odsłaniając rzeczywiście zaskakujący widok.

Elgood - rozczochrany, bez marynarki, w rozpiętej kamizelce i przekrzywionym krawacie - wyglądał zgoła niedandysowato. W dłoni trzymał szklaneczkę bursztynowego płynu.

W pierwszej chwili Pascoe pomyślał, że przyłapał go na... Jak to powiedział Dalziel? Na służbowym pukaniu maszynistki.

- Proszę wejść, proszę - burknął poirytowany Elgood. - Dziękuję pani, panno Dominie. Sekretarka wyszła. Elgood zamknął za nią drzwi.

- Niech pan siada - powiedział.-- I niech pan sobie naleje. Tylko proszę się nie wymigiwać, że „na służbie nie piję”: to lucozade. Lubię czuć tego energetycznego kopa. No niechże pan siada!

Pascoe usiadł. Gabinet był większy i przyjemniej urządzone niż poprzedzający go pokój sekretarki, ale wcale nie przypominał luksusowego apartamentu. Ładny dywan. Niebrzydkie zasłony obramowujące błękitno-zielony, przyjemnie sielankowy widok za oknem - pod warunkiem, że oko zblądzi nieco dalej niż na industrialny krajobraz wokół fabryki i rozciągające się na drugim planie przedmieścia. Ściany wyklejone tapetą rodem z indyjskiej restauracji, obwieszone jarmarcznymi martwymi naturami i dużą odbitką zdjęcia, na którym grupa mężczyzn w garniturach z lat pięćdziesiątych pozowała przed bramą fabryki ozdobioną biegnącymi po łuku literami z kutego żelaza układającymi się w napis „Elgood”.

Elgood nalał Pascoe lucozade i usadowił się za staroświeckim, bardzo solidnym biurkiem. Na blacie leżała rozłożona gazeta, a na niej niedojedzona zapiekanka z wieprzowiną.

- Mój obiad - wyjaśnił Elgood, widząc spojrzenie Pascoe. - Pan już jadł? Szczęściarz z pana. Muszę panu powiedzieć, że przyszedł pan wyjątkowo nie w porę; uprzedzam, że może będę musiał pana szybko pożegnać. Chociaż jest i taka możliwość, że będziemy tu mogli siedzieć i gawędzić do wieczora. Różnie to bywa.

- Z czym? - zainteresował się Pascoe.

- Z tymi zebraniem pracowniczymi. Musimy oszczędzać, czekają nas cięcia. Jak wszystkich. W środę byli u nas kierownicy sklepów; zaprosiłem ich, żeby przedstawić sytuację. Spędzili u nas dwa dni i dziś w porze obiadowej zwołali wielkie zebranie w stołówce pracowniczej. Jeszcze trwa. Dlatego fabryka stoi, a w biurze nic się nie dzieje. Czekamy, aż się nagadają.

- Pracownicy pańskiego biura też tam są? - zdziwił się Pascoe.

- Większość. Tu nie ma dwóch odrębnych światów, panie Pascoe. Nigdy nie było. Wspólna praca, wspólne przywileje - takie mam motto, chociaż nie brakuje ludzi, którym się

to nie podoba. Zawsze dobrze się dogadywałem z pracownikami. To dlatego tak długo przetrwałem na stanowisku.

Pascoe miał wprawdzie wrażenie, że pozorna szczerość Dicka Dandysa jest tylko kolejną odmianą jego wielosłowa, mającą na celu uniknięcie rozmowy o Aldermannie, ale jego słowa zainteresowały go na tyle, że zauważył:

- Wydawało mi się, że taka była umowa z I.C.E., kiedy was przejmowali.

Elgood parsknął śmiechem.

- Ależ tak, taka właśnie była umowa. Tylko że firma, której śpieszno do przejęcia innej firmy, przypomina chłopaka, który koniecznie chce sobie pobzykać: na początku obieca dziewczynie złote góry, ale kiedy już zamoczy, trzeba czegoś więcej niż miłych wspomnień, żeby dotrzymał słowa. Różni ludzie chcieli się mnie pozbyć, ale mądre głowy w I.C.E. wiedzą, że spokój w Perfekcie to kasa w ich kieszeni, więc przetrwałem. Chłopaki mnie tu znają, ja znam ich... Dlatego teraz tu siedzę. Zawsze jestem pod ręką, na tym polega moja atrakcyjność. Kiedy oni tam na dole debatują, wiedzą, że ja czekam tutaj, u siebie. Ale może zajmijmy się tym, co pana tu sprowadza, dobrze? Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że niepotrzebnie się pospieszyłem; powinienem był wszystko dobrze przemyśleć, zanim do was poszedłem. Wasze wścibstwo jest mi teraz najmniej potrzebne.

- Co właściwie ma pan na myśli, mówiąc o „wścibstwie”? - spytał uprzejmie Pascoe.

- Nic konkretnego - odparł poirytowany Elgood. - Ale weźmy choćby pana: przychodzi pan tu jakby nigdy nic, i pewnie jeszcze zadaje pytania. Mam nadzieję, że Aldermanna o nic pan nie wypytywał? Jezu, ma pan chyba dość oleju w głowie, co?!

- Nie zadawałem panu Aldermannowi żadnych pytań. Wysłałem kogoś do jego domu, ale w zupełnie innej sprawie, może mi pan wierzyć. Nawiasem mówiąc, nie zauważył niczego podejrzanego.

Pascoe spodziewał się wybuchu złości ze strony gospodarza na wieść o dyskretnych podchodach do Aldermanna, ale Elgood spytał tylko sarkastycznie:

- A czego się spodziewał? Krwawych plam na dywanie?

Udając, że nie słyszał tej uwagi, Pascoe mówił dalej:

- Zapoznałem się również szczegółowo z istniejącą dokumentacją zgonów panów Eaglesa i Bulmera. Nie znalazłem w niej niczego niepokojącego.

- Tak? - Elgoodowi chyba ulżyło. - Wie pan, sam nie wiem, co mnie wtedy ugryzło. Każdemu się zdarza coś tam wyolbrzymić, prawda? Ostatnio mam tyle na głowie...

Wyraźna niechęć Elgooda do kontynuowania tematu miała na Pascoe wpływ odwrotny do zamierzonego: sprowokowała go, żeby podrażnić sprawę. Rzucił torbę na biurko.

- Mam tu pańską lampkę. Nasi technicy ją sprawdzili. Przetarty kabel.

- Czyli gówniana robocizna, jak zwykle - burknął Elgood.

- Niewykluczone, że przewód został uszkodzony celowo. Na przykład, przez pocieranie o krawędź biurka.

- Są jakieś ślady, które by na to wskazywały?

- Nie. Ale też nic nie dowodzi, że tak nie było. Podobnie rzecz się ma z pańskimi drzwiami do garażu: pękła sprężyna, przeciwwaga przestała funkcjonować jak należy. Zwykle zużycie, zmęczenie materiału albo...

- Albo co, panie komisarzu? - Elgood nie krył rozdrażnienia. - Wiecie coś czy nie?

Pascoe wzruszył ramionami.

- Nie. Ale niczego nie wykluczamy.

Elgood wstał. Spojrzał na zegarek i podszedł do wiszącej na ścianie grupowej fotografii.

- To znaczy, że trochę się wygłupiłem. Cóż, każdemu się zdarza.

- Panu chyba niezbyt często?

- To prawda - przytaknął Elgood. - Ale od wielkiego dzwonu każdy ma prawo się zbłądzić. Mnie też się przytrafiło, mam tylko nadzieję, że mi to nie zaszkodzi. Dziękuję za wizytę, panie komisarzu.

Odwrócił się do Pascoe, który udał, że nie rozumie aluzji.

- Jest jedna rzecz - powiedział. - Coś, co chyba lepiej by pasowało do pańskiej koncepcji, że pan Aldermann brutalnie usuwa niewygodnych ludzi ze swojej drogi. Pracował tu kiedyś niejaki Burke, prawda?

- Chris Burke? Owszem, pracował. A o co chodzi?

Elgood z zaciekawieniem wysunął podbródek. Oczy mu zablęsnęły.

- Jeżeli dobrze rozumiem, Aldermann został początkowo zatrudniony na niepełny etat.

- Zgadza się.

- I nie dołączyłby do etatowych pracowników, gdyby nie zwolniło się jakieś miejsce. A wolny etat pojawił się po śmierci pana Burke'a, który był asystentem pana Eaglesa, waszego głównego księgowego.

- Co z tego?

- To, że mamy tu kolejny zgon, który przyspieszył awans pana Aldermanna.

- Niechże się pan nie wygłupia! To było cztery lata temu!

- Skłonność do popełniania przestępstw nie zna ram czasowych - perorował Pascoe. -

A Burke zmarł w bardziej podejrzanych okolicznościach, niż Eagles i Bulmer.

- Co to za okoliczności?

- Spadł z drabiny i złamał sobie kark.

- Co w tym podejrzanego? Na rany Chrystusa, wy w tej policji to już naprawdę gonicie w piętke! Proszę posłuchać, panie komisarzu. Niepotrzebnie zawracałem panu głowę, po prostu coś mi się ubzdurało i tyle. Przepraszam. Przynajmniej Andy Dalziel miał się z czego pośmiać, więc nie był to całkiem zmarnowany czas. A teraz, pan wybaczy, ale naprawdę jestem trochę zajęty...

Pascoe wstał. Osiągnął zamierzony cel - skarga, o ile w ogóle można było mówić o skardze, została wycofana - ale jakoś nie był z tym szczęśliwy. Podeszedł do Elgooda i uściskał podaną na pożegnanie dłoń. Elgood był od niego niższy i ponad jego ramieniem twarze z fotografii uśmiechały się kpiąco do Pascoe, który nie potrzebował umieszczonych u dołu zdjęcia podpisów, żeby rozpoznać Dicka Dandysa: elegancki, wymuskany, szeroko uśmiechnięty stał w samym środku. Emanował spokojem i pewnością siebie.

Jedno z nazwisk zwróciło uwagę Pascoe.

- Widzę, że na tym zdjęciu jest jakiś Aldermann - zauważył. - To rodzina?

Odszukał Aldermanna: drobny mężczyzna z czarnymi wąsami i dość smętną miną (choć niby też się uśmiechał) przypominał mu trochę Neville'a Chamberlaine'a.

- Chodzi panu o naszego Patricka? Tak, to Eddie Aldermann, czyli... to będzie... jego cioteczny dziadek. Eddie był porządnym chłopakiem. Na początku wplątałem się w małe tarapaty i wtedy od kogoś dostałem namiar na Eddiego. Wszystko wyprostował i od tamtej pory zarządzał moimi finansami. Był genialny, miał taki dryg do liczb, że mógłby zostać milionerem. I zostałby nim, gdyby słuchał żony.

- Ach tak? Co ma pan na myśli?

Odkąd zaczęli rozmawiać o przeszłości, Elgood przestał pałać chęcią jak najszybszego pozbycia się gościa. Pascoe często zauważał, że jedyny okres historyczny, który interesuje większość ludzi, zaczyna się w ich dzieciństwie, a kończy mniej więcej dziesięć lat przed chwilą obecną.

- Flo Aldermann potrafiła być namolna. Eddie byłby zachwycony, pracując spokojnie za ustaloną pensję i mając dość czasu wolnego, żeby opiekować się swoim kawałkiem ogródka, ale Flo to nie wystarczyło. Właściwie nawet trochę ją rozumiem, bo Eddie miał prawdziwy talent do pomnażania pieniędzy. Problem polegał na tym, że nie był to jego jedyny talent. Miał również dobrą rękę do ogrodu, a w szczególności do róż. Flo przesadziła z ambicjami, zmuszając go do zakupu tej ich ogromnej rezydencji, Rosemont. Dom był zapuszczony i o wiele dla nich za duży, ale Flo się uparła, więc Eddie władował grube

tysiące, żeby go wyszykować. Sęk w tym, że ogród też wymagał podrasowania i tutaj Flo się nacięła. Eddie nie był z natury uparty - chyba że chodziło o ogrodnictwo, a teraz zamiast ćwierci akra miał do dyspozycji całe cztery albo pięć. Zaparł się kopytami, a jak go znam, to i szpadlem przy okazji, i od tamtej pory ogród stał się najważniejszy. Żyło im się wygodnie, naprawdę nie mieli na co narzekać, ale na mój gust to właśnie ogród w Rosemont odebrał Flo jej milion funtów.

- Patrick odziedziczył posiadłość? Nie mieli dzieci?

- Nie, Flo nie nadawała się na matkę. Ale Rosemont dostało się w spadku jej siostrzenicy, Penny Highsmith. Ładna z niej była dziewczyna. Śliczna!

Oczy Elgooda zalśniły entuzjazmem konesera.

- Czyli Patrick odziedziczył Rosemont po niej, tak?

- Skądże! - odparł poirytowany Elgood. - Penny jest matką Patricka, żyje i mieszka sobie gdzieś w Londynie.

Pascoe zupełnie nie wiedział już, co myśleć.

- Powiedział pan, że Penny była siostrzenicą pani Aldermann. Nazywa się Highsmith, nadal żyje, ale to Patrick jest właścicielem Rosemont i nosi nazwisko Aldermann...

- No dobrze, przyznaję, że trochę to wszystko zagmatwane. Wydaje mi się, że kiedy osiągnęła pełnoletniość, podzieliła spadek. Ona tęskniła za Londynem, za światłami wielkiego miasta, a on wolał zostać tutaj. Oddała mu więc dom, a sama wzięła całą resztę i urządziła się wygodnie na południu.

- A co z nazwiskiem?

- Zmienił je oficjalnie, gdy tylko skończył osiemnaście lat. Był tak zapatrzony w Eddiego, jakby ten miał słońce w tyłku. Patrick chciał go we wszystkim naśladować, pewnie przez to, że tak naprawdę nie miał ojca. Jeśli dobrze widziałem, to z Rosemont poradził sobie nie najgorzej, bo najwyraźniej ma dryg do róż, ale w sprawach księgowych nie dorasta Eddiemu do pięt.

- Mimo to, przyjął go pan do pracy w Perfekcie?

Rozmowa wróciła na stare tory i Elgood natychmiast zaczął wykazywać znajome oznaki zniecierpliwienia.

- A czemu nie? To był gest dobrej woli, przez wzgląd na dawne czasy. On szukał zajęcia, a ja nie widziałem nic złego w tym, że podsunę mu trochę roboty. W biznesie też jest miejsce na sentymenty, panie Pascoe.

- Chce pan powiedzieć, że Aldermann był bezrobotny? Księgowy?! - zdziwił się Pascoe, który umieszczał księgowych razem z lekarzami, przedsiębiorcami pogrzebowymi i dziwkami w kategorii „zawsze znajdują pracę”.

- Przez pewien czas pracował w jakiejś firmie w Harrogate, dopóki coś tam nie zazgrzytało i się nie rozstali. Mówiło się o jakiejś awanturze, ale w Yorkshire zawsze jest wiele hałasu o nic, więc pewnie nic wielkiego się tam nie wydarzyło. Kiedy go przyjąłem, od dwóch lat pracował jako wolny strzelec. Osobiście podejrzewam, że od tamtej pory żył z oszczędności i głównie zasuwał w tym swoim cholernym ogrodzie!

- Ale go pan nie zwolnił, a nawet przeciwnie, Aldermann awansował.

- Wcale nie. - Elgood ze złością pokręcił głową. - Prawdę powiedziawszy, właśnie miał dostać kopa w tyłek. Przyszła recesja, musieliśmy szukać oszczędności... Między innymi dlatego siedzę tu i czekam, aż się skończy to przekłete zebranie. Na początek postanowiliśmy się pozbyć wszystkich zatrudnionych na część etatu, od produkcji począwszy, na kadrcie zarządzającej skończywszy. Aldermann poszedł do odstrzału, ale niespodziewanie zmarł Chris Burke. A my mamy w firmie taką politykę, zarówno w fabryce, jak i w kierownictwie, że jak się zrobi wakat, oferujemy tę posadę któremuś z nieetatowców. A Aldermann był jedynym, który mógł zastąpić Burke'a. Dlatego awansował.

- Ale nie błyszczysz, prawda?

- Jakoś tam brnie do przodu, ale nie wkłada w tę robotę serca. Tyle że niezły z niego czaruś, no i ma znajomości. Są w zarządzie tacy, którzy widzą w nim ósmy cud świata.

Zabrzącał interkom. Elgood odebrał.

- Zebranie się skończyło, panie Elgood - zabrzmiał głos panny Dominie.

- Świetnie. Dziękuję.

Ku zdumieniu swojego gościa Elgood zaczął poprawiać ubranie: odwinął zakasane rękawy, zawiązał krawat, zapiął kamizelkę, włożył marynarkę. Do tej pory Pascoe przypuszczał, że ten niedbały wygląd to celowy zabieg przed spotkaniem z robotnikami.

Elgood chyba wyczuł, co mu chodzi po głowie, bo czesząc się przed wiszącą na ścianie fotografią jak przed lustrem, powiedział:

- Spodziewają się, że będę wyglądał sztywnie, może nawet odrobinę efekciarsko. To świadczy o pewności siebie. Zechce pan wyrzucić tę zapiekankę do śmieci? Dziękuję. I proszę schować gdzieś tę cholerną oranżadę; gdyby ją zobaczyli, nie nazywaliby mnie inaczej niż Doris. A teraz niech pan zmyka. Dziękuję, że się pan pofatygował.

Pascoe nieśpiesznie ruszył do drzwi.

- Mamy po prostu o tym wszystkim zapomnieć, panie Elgood?

- Wydawało mi się, że tak właśnie powiedziałem - zniecierpliwiał się Elgood.

- W takim razie... do widzenia.

- Panie komisarzu, ja nie żartuję - dodał Elgood ściszym głosem, gdy Pascoe otworzył drzwi. - Naprawdę proszę o tym zapomnieć. Wstyd mi, gdy tylko o tym pomyślę; nie chcę mieć procesu o zniesławienie, dlatego proszę: żadnych więcej porozumiewawczych spojrzeń i mrugnięć, dobrze? Nie wysyłajcie już tych swoich paskud z WK, żeby węszyły wokół Aldermanna pod jakimś wydumanym pretekstem, na który dziecko nie dałoby się nabrać. Straciłem głowę, ale to się więcej nie powtórzy. Przepraszam za kłopot.

- W porządku, panie Elgood. Życzę powodzenia w negocjacjach. I proszę na siebie uważać.

Wyszedł z gabinetu i usłyszał dobiegający z głębi korytarza klekot drzwi windy. Czyli panna Dominie celowo przegoniła go po schodach. Może wcale się bardzo nie pomylił, wyobrażając ją sobie z biczem w ręku!

Cofnął się i wyjrzał na korytarz. Z windy wysiadło czterech mężczyzn w roboczych kombinezonach, prowadzonych właśnie przez pannę Dominie, która najwyraźniej wołała nie sprawdzać swoich sił w rywalizacji z robotnikami. Pascoe skinął jej głową i wszedł do windy.

W drodze na dół winda zatrzymała się na pierwszym piętrze i do środka wszedł mężczyzna. Miał trzydzieści kilka lat, owalną twarz, bystre piwne oczy i gładko zaczesane czarne włosy. Był ubrany w granatowy garnitur o konwencjonalnym kroju. Jedynym odstępstwem od biznesowej powagi w jego wyglądzie była pięknie ukształtowana liliowobłękit- na róża w klapie marynarki.

Mężczyzna wyglądał znajomo, chociaż Pascoe widział go pierwszy raz w życiu. Na parterze przepuścił nieznanego przodem. Ten podziękował uśmiechem i wysiadł z windy, a Pascoe mignął wyhaftowany na aktówce monogram: P.A.

Może tym należało tłumaczyć fakt, że wydał się Pascoe znajomy, bo tak bardzo był podobny do wizerunku, który Pascoe wytworzył sobie w myślach. To musiał być Patrick Aldermann.

Niezajomy wszedł do cortiny zaparkowanej tuż przed wejściem; samochód Pascoe stał dalej, nieco z boku, na fabrycznym parkingu. Kiedy Pascoe mijał cortinę, kierowca spojrzął na niego przez niezamknięte jeszcze drzwi.

- Może gdzieś pana podwieźć? - zaproponował.

- Nie, dziękuję - odparł Pascoe. - Przyjechałem samochodem. Ale... Pan wybaczy, ta róża zwróciła moją uwagę. Ma niezwykle kolor.

- Podoba się panu? To odmiana Blue Moon. Proszę ją wziąć.

Nieznajomy wyjął kwiat z butonierki i włożył komisarzowi do ręki.

- Nie mogę... - wyjął zaskoczony Pascoe.

- Czemu nie? Kolor rzeczywiście ma nieprawdopodobny; każdemu przydałaby się w życiu odrobina nieprawdopodobieństwa, nie uważa pan? Tyle że mało kto ma odwagę je zaakceptować. Do widzenia panu.

Drzwiczki wozu zatrzasnęły się, silnik zawarczał ledwo słyszalnie i cortina oddaliła się z cichym pomrukiem.

Pascoe odprowadził samochód wzrokiem i skierował się na parking. Rozmyślał o ostatnich słowach Aldermanna - były chyba najbardziej zagadkowe ze wszystkich, jakie dzisiaj usłyszał, ale z pewnością nie one dały mu najbardziej do myślenia.

Eskapada

(*Escapade*. Odmiana wielokwiatowa. Kwiaty białe z odcieniem różowym, zebrane w duże grona, w pełni rozkwitu wydzielające słodki aromat).

Kadet Singh załamał się, gdy dotarło do niego, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

Przechodząc w drodze do komisariatu przez pasaż handlowy, napatoczył się na troje starych znajomych ze szkoły. Wypadło to nawet całkiem przyjemnie, zwłaszcza że dziewczynę wyraźnie kręcił jego mundur, a chłopcy (obaj bez pracy), choć mniej wyszczekani, również nie kryli zainteresowania jego karierą.

Niestety, pasaż był popularnym miejscem spotkań młodych bezrobotnych, których liczba osiągnęła tragiczne rozmiary. Dwóch dalszych kumpli dołączyło do grupy, po nich kolejnych dwóch młodziaków, których Singh nie znał - i nagle zorientował się, że otacza go tuzin ludzi.

Atmosfera nadal była sympatyczna, ale towarzystwo robiło się coraz bardziej niesforne. Dziewczęta - zebrała się ich już czwórka, doskonale świadome obserwującej je publiczności - adorowały go z taką przesadą, że zahaczało to o parodię. Jedna „pożyczyła” jego policyjną czapkę i zaczęła ją przymierzać. Któryś z chłopaków, zazdrosny o aplauz, jaki tym wywołała, zabrał jej czapkę i zaczął przedrzeźniać policjanta.

Twarz Singha zastygła w wymuszonym uśmiechu, podczas gdy jego umysł desperacko poszukiwał wyjścia z kompromitującej sytuacji. Próba odzyskania czapki mogła z łatwością przerodzić się w starą, dobrze mu znaną ze szkoły zabawę, w której przerzucana z rąk do rąk czapka krążyła po całym podwórku, a jej właściciel rozpaczliwie próbował ją przechwycić. W dodatku, w samym środku pasażu znajdowała się nadzwyczaj kusząca fontanna z brodzikiem, przy której starsi ludzie przysiadali na ploteczki i papieroska. Na myśl o tym, że musiałyby brnąć w wodzie wśród pudełek po papierosach, żeby wyciągnąć czapkę, jego śniadą skórę oblewał rumieniec wstydu.

Coś jednak musiał zrobić. Podekscytowana grupka młodych ludzi zaczynała pomału zwracać uwagę przechodniów.

- Przepraszam, panie władzo... - zabrzmiał kobiecy głos, bardzo wyraźny, chociaż wcale nie podniesiony.

Odwrócił się. Stała za nim wysoka, szczupła kobieta. Na plecach miała nosidełko z niemowlęciem.

- Tak, słucham? - wyjąkał.

- Czy wie pan, gdzie jest kawiarnia „Chantry Coffee House”?

- Naturalnie, proszę pani. To będzie tak...

- Wiem, że to gdzieś blisko katedry - ciągnęła kobieta - ale gubię się w tych krętych uliczkach. Nie idzie pan czasem w tamtą stronę? Wskazałby mi pan drogę.

- Już się robi.

Singh wyciągnął rękę, a gdy ktoś posłusznie włożył mu w nią czapkę, założył nakrycie głowy.

- Na razie, chłopaki. Tędy, proszę pani.

Kiedy zostawili młodych daleko za sobą, Singh wydał z siebie potężne westchnie ulgi.

- Dziękuję, pani Pascoe.

Ellie uniosła ze zdumieniem brwi.

- Zapamiętał mnie pan? Jak na policjanta przystało, ma pan pamięć do twarzy.

- Oby. - Singh zawahał się, ale po chwili mówił dalej: - Te chłopaki... Tak naprawdę, to są w porządku. Po prostu nie mają nic do roboty, bumelują po całych dniach.

- To wiem, ale wcale nie miałam pojęcia, że ratuję cię przed linczem. To dlatego wstąpiłeś do policji? Żeby nie bumelować po całych dniach?

W głosie Ellie brzmiało prawdziwe współczucie. Wierzyła wprawdzie, że ta sama pravicowa polityka, która wpędza młodych w bezrobocie, popycha ich do jedynej pewnej pracy, czyli służby w wojsku lub policji, ale nigdzie nie mogła znaleźć rzetelnych statystyk, które potwierdzałyby to przeświadczenie. Przydałby się jej chociaż jeden osobiście znany żywy przykład.

O dziwo, Singh sprawiał wrażenie urażonego.

- Nie, proszę pani. Mój tato ma sklep; gdybym chciał, mógłbym mu pomagać. Po prostu pomyślałem, że wolę spróbować pracy w policji.

- Aha. - Ta odpowiedź ostudziła entuzjazm Ellie. - I jak się panu podoba?

- Nie jest źle. Tylko czasem bywa nudno - odparł zdawkowo Singh. Nie zamierzał otwierać serca przed żoną detektywa, choćby była najmilszą osobą pod słońcem. Z drugiej strony, nie zaszkodzi, jeśli trochę u niej zapunktuje. - Ale tak naprawdę to chciałbym w

przyszłości pracować po cywilnemu. Służba mundurowa jest dobra na początek, ale to by było niesamowite, gdybym mógł współpracować z kimś tak doświadczonym jak pan Pascoe.

Uśmiechnął się promiennie. Ellie, szczerze rozbawiona, odwzajemniła uśmiech.

- Obiecuję, że nie powtórzę mu pańskich słów. Tylko by sobie narobił pan wstydu, a jemu woda sodowa mogłaby uderzyć do głowy. Tak czy inaczej, dziękuję za wskazanie drogi.

Zatrzymała się i Singh z zakłopotaniem stwierdził, że omal nie minęli „Chantry Coffee House”- eleganckiej kafejki o półkolistej, przeszklonej fasadzie, w zupełnie innym stylu (i z innymi cenami) niż „Market Caff”. Okolonych aksamitnymi kotarami okien nie zasłaniał ani brud (od zewnątrz), ani osiadająca na szybach para (od środka), a zamiast smrodku smażonego oleju wentylatory wydzielaly wyrazisty zapach palonej kawy, ale wystarczył jeden rzut oka na odchodnym, żeby stwierdzić, że jedna rzecz pozostała niezmienną: pani Pascoe umówiła się w kawiarni z tą samą kobietą, z którą wtedy siedziała w „Market Caff”. Tym razem Singh już wiedział, że nieznajoma nazywa się Daphne Aldermann.

To, że panie się przyjaźnią, nie wydało mu się niczym niezwykłym. Ellie zapewne zirytowałyby się, ale chyba nie zdziwiła, gdyby ktoś jej powiedział, że kadet Singh postrzega je bardzo podobnie: pewne siebie, elokwentne przedstawicielki klasy średniej, które nigdy nie musiały się przejmować takimi drobiazgami jak pieniądze czy dobre maniery. Od czasu wizyty w Rosemont dużo myślał o pani Aldermann. Jej rozmowa z Wieldem z pewnością miała jakieś drugie dno. Nie było żadnej epidemii niszczenia samochodów - na pewno nie na taką skalę, żeby uzasadniało to angażowanie w sprawę Wydziału Kryminalnego, a mimo to, Wield najpierw zadał serię głupich pytań, a potem zgasił Singha, kiedy ten zasugerował, że sama kobieta interesuje sierżanta bardziej niż uszkodzony samochód.

Nie przyszło mu do głowy, że Wielda interesuje mężczyzna, a nie kobieta. Dla Singha zniszczenie samochodu było cały czas punktem wyjścia prowadzonego przez WK śledztwa. Podrażniony zachowaniem sierżanta, kilkakrotnie wracał do wstępnego raportu z miejsca zdarzenia, sporządzonego przez policjanta, który pierwszy zjawił się na parkingu - ale to rzetelne zestawienie faktów było krótkie, jednoznaczne i bezużyteczne.

Wrócił do komisariatu i szedł właśnie przez parking do tylnego wejścia, gdy spostrzegł posterunkowego Davida Bradleya, który stał oparty o maskę swojego wozu i rozdzierająco ziewał. To właśnie Bradley i jego partner z patrolu, John Grainger, po odebraniu pierwszej skargi zostali wysłani do zbadania sprawy wandalizmu.

- Cześć, Dave - zagadnął rażno Singh.

- Cześć, Shady - powiedział Bradley, tak jak wszyscy przekręcając imię „Shaheed”.

- Masz chwilkę?

- Czekam, aż ten leń Grainger wylezie wreszcie z szatni i pofatyguje się do wozu. Bo co?

- W poniedziałek ktoś uszkodził samochody na parkingu wielopoziomowym. Czytałem twój raport.

- Poważnie? I co, coś nie tak z moim angielskim, kolego czarniawy?

Singh uśmiechnął się bez entuzjazmu. Fakt, że większość przypadków rasizmu, z jakimi stykał się w policji, miała przyjazny lub przynajmniej żartobliwy kontekst, wcale nie pomagał mu ich zaakceptować. W szkole było łatwiej: długa znajomość ułatwiała integrację, którą w rzadkich wypadkach musiał potwierdzać szybkim ciosem pięści. W policji zaś szybko się nauczył, że jeśli chce przetrwać, musi po prostu nauczyć się akceptować osobiste wycieczki ze strony przełożonych. Gdyby poskarżył się wydziałowi wewnętrznemu, jego pozycja stałaby się nie do zniesienia; gdyby wyszedł ze skargą na zewnątrz, tylko pogorszyłby sprawę. Nie musiał natomiast z tym samym stoicyzmem tolerować rasistowskich docinków ze strony innych kadetów oraz posterunkowych. Miał cięty język i bystry umysł.

- Nie, chociaż byłoby lepiej, gdybyś nauczył się w końcu łączyć litery w wyrazach. Ale ja nie o tym... Chciałem cię zapytać o tę panią Aldermann. Sierżant Wiel się nią interesuje.

Jeżeli Singh spodziewał się, że choć odrobinę przeniknie naturę zainteresowania ze strony Wiolda, to gorzko się rozczarował, ale forma, jaką przybrało zaprzeczenie, okazała się sama w sobie arcyciekawa.

- Sierżant Wiel? A co mu do tego?

- Nie wypytywał o nią?

- Nie, dlaczego miałby wypytywać? Po co w ogóle WK wtyka nos w tę sprawę? A w ogóle to wszystko jest w moim raporcie. Tylko trzeba umieć czytać.

- Nie jest lekko, kiedy używasz tych wszystkich długich słów, takich jak „wóz”. Co właściwie powiedziała pani Aldermann?

- Niewiele. Wezwał nas jakiś starszek, kiedy odkrył, że ktoś mu podrapał lakier. Pani Aldermann zjawiała się, kiedy już byliśmy na miejscu. Wsiadła do samochodu i w ogóle nie zauważyła rys na karoserii. Zresztą, nawet kiedy jej je pokazaliśmy, niezbyt się przejęła.

- Jak to? - zdziwił się Singh. - Nie zdenerwowała się?

- Trochę tak, ale głównie na nas, że zawracamy jej głowę. Śpieszyła się, to pamiętam. Mówiła coś, że musi odebrać dzieciaka ze szkoły. Ledwie ją złapaliśmy, tak jej się śpieszyło. Wskoczyła do auta i od razu ruszyła, nawet pasów nie zapięła.

- Nie włożyła zakupów do bagażnika?

- Nie, miała tylko torebkę. Zaraz, Shady, co to za przesłuchanie? Chcesz wygryźć pana Dalziela z roboty, czy co?

- Nie, to element mojego szkolenia - skłamał Singh. - W raporcie nie wspomniałeś o tym, że się nie przejęła.

- Bo raporty są od tego, żeby opisywać w nich istotne fakty. Nie uczyli cię jeszcze tego? No, ruszajże się, ciemiego, zanim nas ktoś tu zobaczy! Od pięciu minut powinniśmy być w drodze!

Te ostatnie słowa Bradley kierował już do swojego partnera, posterunkowego Graingera, którego zażywna stukilogramowa postać zarysowała się w drzwiach komisariatu. Grainger posłał mu całusa i nieśpiesznym zamaszystym krokiem ruszył w stronę samochodu.

- Ale współpracowała? - spytał Singh.

- Ty jeszcze o tym? - Bradley otworzył drzwi od strony kierowcy. - Trochę sobie pogadała, powiedziała, że to niewielka szkoda i że wołałaby, żebyśmy jej do tego nie mieszały. No to ja jej powiedziałem, że nie ma wyboru. Wtedy podała nam niezbędne szczegóły, a potem odjechała jak Stirling Moss.

Zapalił i przegazował silnik. Grainger dotarł wreszcie do drzwi pasażera.

- I wszystkie te porysowane samochody zostały zaparkowane koło dziewiątej albo niewiele później, tak?

- Zgadza się, Sherlocku.

- A ten tu czego? - spytał Grainger, z wysiłkiem gramoląc się do samochodu.

- Jest bardzo skrupulatny i chce się przekonać, jak pracują prawdziwi policjanci.

- No to trafił pod właściwy adres. - Grainger usadowił się w fotelu i przymknął oczy. - Nie szarp i omijaj dziury. To właśnie jest sekret udanej jazdy samochodem, Shady: nie szarpać i omijać dziury. Chociaż wątpię, żeby taki tępy rekrut to załapał.

- Samochody są passe, nie słyszeliście? - odparł Singh ze śmiertelnie poważną miną. - Nadinspektor powiedział, że teraz najważniejszy jest bliski kontakt z mieszkańcami. Chce wysłać osiemdziesiąt procent mundurowych na piesze patrole. Od pierwszego.

Grainger otworzył jedno oko.

- Spadaj stąd - powiedział. - Gdzieś ty się nasłuchiwał tych głupot?

- Zawiadomienie jest na tablicy ogłoszeniowej. Nie widzieliście? - spytał Singh, udając zdziwienie.

Grainger otworzył drugie oko.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. Naprawdę jest na tablicy. Piszą też, jak będą dobierać ludzi do tych patroli.

- To znaczy?

Singh nachylił się do okna wozu i konfidencjonalnie zniżył głos:

- Według wagi. Na pierwszy ogień pójda najgrubsi.

Bradley zaniósł się śmiechem.

- Ty bezczelny gnojku! - warknął Grainger.

Bradley dodał gazu i samochód wyjechał z parkingu.

Singh powiódł za nim wzrokiem, ciesząc się z udanego żartu, ale szybko spowaźniał. Czyli sierżant nawet nie porozmawiał z Bradleyem o jego raporcie? No cóż, raport pewnie nie ma wielkiego znaczenia, ale jest dość interesujący. A Singh miał jeszcze jeden pomysł. Bezceremonialność, z jaką potraktował go Wiel; naprawdę go ubodła - tym bardziej, że nie wyczuł w niej ani śladu rasistowskiego uprzedzenia. Tak jakby Wiel ocenił go jako człowieka i stwierdził, że nie nadaje się na gliniarza. To było przykre. Ale Singh mu jeszcze pokaże.

Wszystkim im pokaże!

- Jeśli kazał ci zapomnieć, to zapomnij - powiedział Dalziel. - Przecież jeszcze niedawno sam miałeś go dość.

- Przepraszam - odparł Pascoe. - Wiem, że nie mam nic konkretnego, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że coś jest na rzeczy. W porządku, zapomnijmy o tych domniemyanych zabójstwach, których już nikt nikomu nie imputuje. Zwłaszcza że te sprawy od początku wyglądały na czyste: jedna śmierć w wypadku i jedna z przyczyn naturalnych. Ale najciekawsze jest to, że kiedy poruszyliśmy jedyną sprawę, w której mogło dojść do jakichś machlojek, czyli sprawę śmierci Christophera Burke a, która umożliwiła zatrudnienie Aldermanna na etacie, pan Elgood twierdził stanowczo, że była to śmierć całkowicie przypadkowa.

- Burke? Ach tak, pamiętam. Spadł z drabiny, zdaje się? Skręcił kark?

- Tak, to ten. Wydawałoby się, że łatwiej zaaranżować coś takiego niż zawał albo wypadek samochodowy na pustej drodze. Ale nie, Elgood upiera się, że nie.

- Tak samo jak upiera się przy tamtych. - Dalziel wsunął flamaster do buta, żeby podrapać się po stopie.

- Ale przecież coś musiało go tu sprowadzić. Sam z początku potraktowałeś go poważnie - zauważył oskarżycielsko Pascoe.

- Wcale nie. - Dalziel czochrał się teraz po kostce. - Ja tylko poprosiłem, żebyś ty go potraktował poważnie. W przeszłości zdarzało mu się podrzucać nam użyteczne informacje, a dobry policjant nie zapomina takich rzeczy.

- Elgood jest twoim kapusiem?! - wykrzyknął z niedowierzaniem Pascoe.

- Nie kpjij sobie ze mnie, chłopcze. Wyobrażasz sobie, że umawiam się z Dickiem Dandysem na ławce w parku i w zamian za uzyskane informacje wciskam mu w garść parę funciaków? To nie tak. Po prostu zdarzyło się tak parę razy, dawno temu, że udało mi się wykołować konkurencję, bo szepnął nam słówko o jej szemranych interesach. Jak mawia Dick, w miłości i w interesach wszystkie chwytły dozwolone. I rzeczywiście, przeleci wszystko, co się nawinie pod rękę.

W głosie Dalziela pobrzmiwał autentyczny podziw. Flamaster wynurzył się tymczasem ze skarpetki i inspektor podwinął spodnie, żeby drapać się swobodnie po kolanie. Nie zauważył chyba, że skuwka została w skarpetce i miękka końcówka pisaka kreśli właśnie kolejną arystokratycznie błękitną linię na pokrytej bązgrołami żyłaków łydce.

- Chcesz powiedzieć, że wykorzystywał nas do kiwania konkurentów?! Cwany skurczybyk!

- Co prawda, to prawda. I wcale nie jestem pewien, czy się zmienił. Może znów robi zamieszanie, żeby poprawić swoją pozycję. Jeśli tak, to go dorwę i przeczołgam, ale ostatnio bardzo długo siedział cicho. Wydaje mi się, że kiedy firma została przejęta, skala rozgrywki go przerosła i stracił część dawnego zainteresowania. W końcu nie opiekujesz się cudzym domem z takim samym zapalem, jak własnym, prawda?

- Kiedy się z nim spotkałem, trzymał ten cudzy dom mocno w garści, i to bez niczyjej pomocy. Nie widziałem tam jakiegoś tłumu dyrektorów, czekających na zakończenie związkowego zebrania. Za to oczywiście widziałem Aldermanna. Akurat wychodził. Mówiłem ci, że dostałem od niego różę?

- Mnie chciał dać cały bukiet - dobiegł głos od strony drzwi.

To Wiel jak zwykle bezszelestnie wszedł do pokoju.

- Rany Boskie, sierżancie... - Dalziel obejrzał się przez ramię. - Powinien pan koniecznie podkuć sobie buty. No, ale skoro już pan tu jest, proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, jakie wrażenie zrobił na panu Aldermann.

- Tak jak napisałem w raporcie, panie inspektorze, trudno nawiązać z nim kontakt. Jest zamknięty w sobie i bardzo czujny, chociaż nie ma w tym nic podejrzanego. Za to wyraźnie się ożywił, kiedy zaczął mi pokazywać swoje róże.

- Można by powiedzieć, że interesują go bardziej niż żona i rodzina? - spytał Pascoe.

- Nie brakuje mężczyzn, których bardziej od żony i rodziny interesują golf i wyścigi chartów - zauważył Dalziel. - Ale to jeszcze nie czyni z nich morderców!

- Powiedziałbym raczej, że nie tyle bardziej go interesują, ile raczej są jego pasją - powiedział Wield. - Jeśli to ma jakiś sens. Traktuje je z wielką czułością, a kiedy odcinał przywiedle kwiaty, wyglądał jak chirurg przy pracy.

- Ha, niektórym konowałom też lepiej by pasował sekator niż skalpel - burknął Dalziel, który zwykł był postrzegać lekarzy raczej jako przyczynę wszelkich chorób niż jako uzdrowicieli.

- On używa noża - wyjaśnił Wield, uzasadniając swoje porównanie. - To bardzo ładny nóż. Ma piękny kształt i jest ostry jak skalpel.

- Mam nadzieję, że nie sugeruje pan, sierżancie, że właściciel ślicznego, błyszczącego nożyka ogrodniczego włóczy się w wolnych chwilach po okolicy i podryza ludziom gardła?

- Głos Dalziela wprost ociekał sarkazmem.

- Nie, panie inspektorze. Jedno nie ma z drugim żadnego związku.

- Typowy przypadek non sekator - mruknął Pascoe. - Nie zapominajmy o kredensie pełnym trucizn! - dodał pośpiesznie, widząc minę Dalziela.

- Widzę, że lubimy zabawy językowe - prychnął Dalziel. - A w kredensie są środki chwastobójcze! Nie ma żadnych dowodów, że Aldermann zabił nimi cokolwiek innego niż zielsko w swoim ogródku. Zresztą, jak niby miałyby załatwić Burke'a? Wdmuchnąć mu pestycydy do nogawki, kiedy ten wchodził po drabinie?

Podinspektor przestał się drapać po nodze i obciągnął nogawkę spodni, nie zauważywszy nowego deseni na łydce. Pascoe i Wield spojrzeli po sobie. Pascoe miał ogromną ochotę parsknąć śmiechem, ale niewzruszona mina sierżanta pomogła mu się opanować.

- Jeden powód - ciągnął Dalziel. - Podajcie mi jeden powód, dla którego mielibyśmy dalej tracić czas na tę sprawę.

- Ciekawość - odparł natychmiast Pascoe.

- Ciekawość? A co was tak ciekawi?

- To, w jaki sposób człowiek, który nigdy nie przejawiał wybitnego talentu do obranej przez siebie profesji, jest w tej chwili o krok od zostania dyrektorem finansowym filii dużego międzynarodowego koncernu.

- Na rany Chrystusa, z takim podejściem powinniśmy być podejrzliwi wobec co drugiego dyrektora, siedemdziesięciu procent polityków i dziewięćdziesięciu pięciu procent nadinspektorów policji! - zauważył wyraźnie zdegustowany Dalziel. - Dla mnie ten cały

Aldermann to taki idealny Pan Przeciętniak. Nudny. Zwyczajny do bólu. Żona, dwójka dzieci, ładny dom, kocha rodzinę i ogródek. Na wakacje lata pewnie na Korfu, a w Boże Narodzenie gości u siebie swoją siwowłosą matkę. Bo chyba ma siwowłosą matkę, co?

- Pani Penelope Highsmith - podsunął Pascoe, zerknąwszy do teczki. - Mieszka w Londynie, Denbigh Square, Woodfall House, lokal numer 31. Wiek i kolor włosów nieznane.

- Świetnie. Widzę, że jesteś dobrze poinformowany. Ale dlaczego Highsmith? Czemu nie Aldermann? Wyszła drugi raz za mąż?

- W ogóle nie wyszła za mąż. Highsmith to jej panięskie nazwisko. Wygląda na to, że nikomu nie zdradziła, kto był ojcem Patricka, a on sam wpadł na pomysł, żeby, osiągnąwszy pełnoletniość, przyjąć nazwisko ciotecznego dziadka.

Dalziela niezbyt chyba interesowała ta część rodzinnej historii Aldermannów.

- Highsmith... - powtórzył. - Penelope Highsmith? Mieszkała tutaj, ale wyprowadziła się jakieś piętnaście, dwadzieścia lat temu?

- Tak przypuszczam. Patrick chodził tu do szkoły.

- Penny Highsmith! Mój Boże, Penny Highsmith...

Twarz Dalziela rozpromieniła się jak zamek w Elsynorze, nad którym niespodziewanie rozstąpiły się chmury i wyszło słońce.

- Znał ją pan? - zainteresował się Pascoe.

- Poznaliśmy się kiedyś. O ile to ta sama osoba. W sobotnie wieczory przychodziła czasem do klubu na potańcówkę. Nie wiedziałem, że ma syna. Bardzo dziarska dziewczyna, żywa jak iskierka. Śliczna. I zabawna.

A jej wspomnienie budzi lubieżne ogniki zarówno w znużonych, cynicznych oczach Dalziela, jak i w błyszczących pytająco oczach Elgooda, pomyślał Pascoe. Dziewczyna naprawdę musiała być nieprzeciętna. Mówiąc o „klubie”, Dalziel miał oczywiście na myśli miejscowy klub rugby, z którym Pascoe był związany krótko i przelotnie jako zawodnik, jeszcze w swoich sierżanckich czasach. Nie przepadał ani za samą grą, ani za klubową atmosferą, za to podinspektor najwyraźniej był w młodości niezłym graczem.

- Nie mam wrażenia, żeby Patrick był do niej podobny - powiedział Pascoe. - Może bardziej przypomina swojego tajemniczego ojca?

- To możliwe... - przytaknął w zadumie Dalziel. - Coś wam powiem, chłopaki. Jutro wyjeżdżam na tę przeklętą konferencję. Na tydzień. Ponieważ wiem, że jak tylko się odwrócę, i tak zrobicie, co się wam żywnie podoba, daję wam ten tydzień, żebyście trochę powęszyli. To nie znaczy, że wolno wam zaniedbywać inne sprawy, ale jeśli będziecie mieli wolną chwilę... Wasza decyzja. Pasuje wam taki układ? No, ale teraz spadać. Mam jeszcze parę

spraw do załatwienia, zanim pójdę do domu się pakować. Aha, zostawcie mi te akta. Rzucę okiem.

Było to z jego strony albo niewielkie ustępstwo, albo kompletna zmiana frontu - wszystko zależało od punktu widzenia. Pascoe nie zamierzał wnikać w szczegóły.

- Niech się pan dobrze bawi, panie inspektorze - powiedział, kładąc teczkę na biurku.

Dalziel odchrząknął i obrzucił wzrokiem zabałaganiony blat, na którym jego wielkie jak łopaty dłonie niecierpliwie przekładały przedmioty z miejsca na miejsce.

Dopiero na korytarzu Pascoe zdał sobie sprawę, że Dalziel prawdopodobnie szuka skuwki od flamastra.

W blasku księżyca

(*Moonlight*. Mieszaniec piżmowy. Kaskady białych kwiatów, pełne staroświeckiego uroku).

Daphne Aldermann nie kryła rozbawienia faktem, że Ellie i Rose Pascoe są w „Chantry Coffee House” znane wcale nie gorzej niż w „Market Caff”.

- Lubię to miejsce - powiedziała niewzruszona Ellie. - Chociażby dlatego, że mają lepszą kawę.

- Która wynagradza ci konieczność zadawania się z takimi ludźmi? - natarła Daphne, rozglądając się po sali, w której dominowały przedstawicielki klasy średniej w średnim wieku. Nosiły stosowne do statusu oraz wieku kapelusze,

i rozmawiały stosownymi głosami.

- Przecież nie powiedziałam, że to ich lubię. Ludzie w ogóle mnie drażnią, ale tutaj przynajmniej mogę się na nich irytować bez dręczącego mnie poczucia winy.

- Podczas gdy irytacja na bezguście i odrażające nawyki zwykłej hołoty przyprawia cię o nagły atak wyrzutów sumienia? Teraz rozumiem.

- Nie ujęłabym tego w ten sposób, ale widzę, że chwytasz ogólną ideę.

- Kiedy dorastasz na plebanii, szybko sobie tę ideę przyswajasz. Kłótnie miejscowych damulek o to, która przyszykowała ładniejszy bukiet, potrafiły człowieka zdenerwować, ale wcale nie bardziej od zasługujących na wsparcie ubogich, którzy zaczynali się dobijać do drzwi, kiedy tata siadał do kolacji.

- A komu bardziej współczuć: ojcu, że przeszkadzają mu w jedzeniu, czy matce, że jej gotowanie pójdzie na marne? - spytała mimochodem Ellie.

Daphne się uśmiechnęła.

- To podchwytliwe pytanie, chcesz usłyszeć, że w moim domu rodzinnym panował patriarchy! Obawiam się jednak, że nic z tego nie będzie. Widzisz, moja matka zmarła, kiedy miałam trzynaście lat, i od tamtej pory to ja gospodarzyłam w domu. Mieliśmy kucharkę, ale

jej kuchnia opierała się głównie na frytkach i sosie pomidorowym, dlatego najczęściej to moje gotowanie się marnowało. Wściekałam się na to.

- I miałaś potem wyrzuty sumienia?

- Tylko kiedy intruz okazał się naprawdę potrzebujący.

- Albo naprawdę biedny. Fakt, że ludzie są zmuszeni żebrać o wsparcie u przedstawicieli Kościoła, dowodzi niewydolności państwa.

Ku zdumieniu Ellie, Daphne wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Dajże spokój, cokolwiek zrobi państwo, zawsze znajdą się tacy, którzy wydepczą dróżkę do drzwi zamożnego pastora o miękkim sercu. Taka już natura człowieka, moja droga.

Ellie postanowiła zignorować wyzwanie ideologiczne.

- Zamożnego pastora? - powtórzyła zamiast tego. - Wydawało mi się, że Kościół wymaga od swoich pracowników cnoty ubóstwa?

- Owszem, wymaga. Na szczęście, nie każe im się żenić z ubogimi kobietami. A u nas pieniądze miała mama.

W głosie Daphne zabrzmiała tęskna nuta, jakby rozmowa obudziła jakieś smutne wspomnienia.

- No, to przynajmniej po twoim ślubie ojciec mógł sobie pozwolić na wynajęcie porządnej gosposi - próbowała ją pocieszyć Ellie, ale próba spełzła na niczym.

- Tato też już wtedy nie żył - odparła Daphne ze łzami w oczach. - To było coś okropnego. Robił karierę, został archidiakonem. Do jego obowiązków należały między innymi oględziny budynków kościelnych na terenie diecezji w kontekście decyzji o remontach, renowacji i tak dalej. Pojechał do Świętego Marka w Little Leven. Kościół musiał być w fatalnym stanie: kamień z dzwonnicy spadł tacie na głowę. Śmierć na miejscu.

- Coś okropnego... - Ellie była autentycznie poruszona. - Współczuję. To musiało być dla ciebie straszne.

Jej dłoń zawisała nad dłonią Daphne. Nie wiedziała, czy kontakt fizyczny przyniesie pociechę, czy tylko przełamię tamę powstrzymującą powódź łez. Była na siebie wściekła za tę niepewność.

Na szczęście, Rose, daleka od cechującej dorosłych niedoskonałości, błyskawicznie zorganizowała dywersję. Kiedy przechodząca obok kelnerka przystanąła i pochyliła się nad nią, żeby rozkosznym „gu-gu” wyrazić swój zachwyt, niesiony przez nią talerz ciastek znalazł się w zasięgu rącek Rose, która natychmiast - z ogromną precyzją i nie mniejszym entuzjazmem - wraziła piąstkę w sam środek rożka z kremem.

Wybuchło zamieszanie, w którym smutek Daphne rozplyń się bez śladu. Ellie odetchnęła z ulgą, powierzając jej opanowanie sytuacji. Interweniowała dopiero wtedy, gdy Daphne zaczęła serwetką wycierać rączkę Rose.

- Niech sobie obliże - powiedziała. - Zaoszczędzę na następnym karmieniu.

Dochodziło południe, kiedy wyszły z kawiarni.

- Dokąd idziesz? - spytała Ellie.

- Wracam do samochodu. Zaparkowałam na samej górze.

- To tak jak ja. Czterdzieści pensów i gwarantowany zawrót głowy w zamian za prawo zaparkowania samochodu. Ten świat oszalał.

Wrócili do pasażu handlowego. Młodzież dalej kręciła się wokół Urzędu Pracy, starsi jak zwykle siedzieli na ławkach wokół fontanny. Wyobraźnia podsunęła Ellie przykre skojarzenie, że młodzi w rzeczywistości ustawiają się w długiej na czterdzieści lat kolejce do tych samych ławek.

Razem wjechały windą na górę. Parking dla klientów znajdował się na dachu pasażu. Przerzucony nad obwodnicą śródmiejską łącznik spinał go z wielopoziomowym parkingiem przy dworcu autobusowym.

Okazało się, że zaparkowały blisko siebie.

- Przynajmniej tym razem nie widać żadnych uszkodzeń - powiedziała Daphne, rzuciwszy okiem na lśniący świeżym lakierem samochód.

- Mój musieliby umyć, zanim udałoby się go im zadrapać - odparła Ellie. - To tutaj ci go wtedy zniszczyli?

- Nie, po drugiej stronie, przy dworcu. Na tym wielopoziomowym.

- Tam jest mniejszy ruch. Tutaj ciągle ktoś przyjeżdża albo odjeżdża.

- Pewnie masz rację. - Daphne otworzyła drzwi kluczykiem. - Chociaż trzeba chyba być żoną policjanta, żeby myśleć o tym w ten sposób.

- Serio? Jestem zawiedziona. Myślałam, że sama to rozgryzłam, w moim małym kobiecym mózdzku. - Te słowa zabrzmiały chyba bardziej kąśliwie, niż Ellie planowała. - To co, w poniedziałek za tydzień?

i Już się nie mogę doczekać. - Daphne wsiadła do wozu i uchyliła okno. - Posłuchaj, teraz to ty wybierasz lokal. A ja naprawdę nie mam nic przeciwko „Market Caff”.

Ellie parsknęła śmiechem.

- No co ty, „Chantry” jest w porządku. A jeśli smarkula zamierza dalej pchać łapki w dania klientów, to chyba wolę nie chodzić z nią po knajpach, w których podają gorące zapiekanki. Trzymaj się.

Daphne była niezłym, pewnym siebie kierowcą. Ellie odprowadziła volkswagena wzrokiem, a potem rozpoczęła serię skomplikowanych zabiegów, mających na celu posadzenie Rose - która, pozbawiona zachwyconej publiki, robiła się coraz bardziej krnąbrna - w dziecięcym foteliku na tylnej kanapie mini.

O jedenastej wieczorem Rose nadal była - a właściwie znów się zrobiła - krnąbrna. Jej dobiegające z drugiego pokoju skargi niepokoiły Pascoe, ale Ellie, wyczulona na emitowane przez małą długości fal dźwiękowych, bez wysiłku zdiagnozowała złośliwość primadonny i kazała mu siedzieć spokojnie i rozkoszować się kawą.

Późno zjedli kolację. Pascoe musiał zostać dłużej w pracy po tym, jak odebrali kolejne zgłoszenie kradzieży: pewna rodzina wróciła z wakacji do swojego małego wiejskiego domku i odkryła, że mimo zainstalowania polecanych przez policję zamków i alarmów padła ofiarą włamywacza. I nie kryła swojego oburzenia.

Na szczęście, w domu zgotowano mu miłsze przyjęcie: wołowina na zimno, sałatka włoska i butelka soave cierpliwie czekały na jego powrót. Ba, był to posiłek z gatunku tych, które tylko zyskują na tym, że w porze ich spożywania za otwartymi drzwiami do ogrodu zapada ciepły letni zmierzch.

Ellie zrelacjonowała mu swój dzień ze szczegółami, których nienawidziła u innych siedzących w domu matek; rzecz w tym, że jej opowieści o Rose naprawdę były interesujące, jak na w pół ironicznie zapewniała się w duchu.

- Kazali wam zapłacić za ten rozek? - zainteresował się Pascoe.

- Nie mam pojęcia. Daphne stawiała.

- I dobrze. Ty płac w „Market Caff”. Niech w „Chantry” wykosztowują się bogacze!

- Nie wydaje mi się, żeby Daphne spała na pieniądzach - zaprotestowała Ellie.

- Jak to? Sama przecież powiedziałaś, że jej staruszek opływał w kościelne dostatki.

Ellie dołała im obojgu kawy.

- Nie tyle kościelne, ile małżeńskie, jak mi się wydaje. Domyślam się, że po wypadku Daphne dostała w spadku to, co nie trafiło do potrzebujących ubogich, ale typowe dla elity wydatki, czyli chesne w szkołach i utrzymanie tego ich pałacyku, na pewno pochłonęły sporą część kapitału. Nawet jeśli Aldermann zarabia nie najgorzej.

- Pewnie tak. Chociaż karierę to robi raczej taką w kratkę i na pewno były okresy, w których musiał żyć z oszczędności.

- Daphne nie opowiadała za dużo o jego karierze... Ale kiedy wybryk naszej smarkuli zakończył łzawą scenę, z przyjemnością wymieniliśmy się historiami z narzeczeńskich czasów.

- Wymieniłyście się? - Pascoe uniósł brwi.

- Ależ tak. Ze wszystkimi pikantnymi szczegółami, rzecz jasna. Nasz Patrick był na praktykach w kancelarii księgowej w Harrogate, która opiekowała się rachunkami kościoła jej ojca. Kiedyś w czasie przerwy obiadowej Daphne wpadła do biura, żeby coś odebrać dla taty, i zastała tam tylko Patricka. Pogadali, zjedli razem obiad, a dalej to już samo poszło.

- W czasie przerwy obiadowej... Gdzie pracowała?

- Nigdzie. - Ellie uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Wtedy jeszcze uczyła się w szkole, słodka siedemnastka. W dobrej prywatnej szkole, naturalnie. Córka archidiakona Somerton nie mogła chodzić do pierwszego lepszego liceum czy zawodówki ogrodniczej. Z początku układało im się nie najgorzej, bo i czemu miałoby być inaczej? Nie był przecież jej pierwszym chłopakiem. Popsuło się dopiero pół roku później, kiedy przy okazji osiemnastych urodzin obwieściła, że się z Patrickiem zaręczyli i zamierzają się pobrać. Tata stanął okoniem, ale wydaje mi się, że nie podobała mu się raczej sama idea wczesnego zamążpójścia, niż osoba Patricka. Różne podstarzałe ciotki wmieszały się w sprawę i chociaż osiemnastoletnia dziewczyna teoretycznie ma prawo sama decydować o swoim życiu, to dobrze wiesz, że takiemu dzieciakowi można jeszcze paskudnie uprzykrzyć życie. A potem nagle jej ojciec zmarł. Widać, że Daphne do dziś ma wyrzuty sumienia, że nie pogodzili się przed jego śmiercią. Tak już jej chyba zostanie.

- Żałoba nie przeszkodziła jej w poślubieniu Patricka - zauważył Pascoe. - A ten cały archidiakon... Somerton, tak? Na co umarł?

- Kościół go zabił - odparła Ellie dramatycznym tonem.

- To znaczy, co? Umarł z przepracowania?

- Nie. Kamień spadł ze zwieńczenia dzwonnicy kościoła Świętego Marka w Little Leven i roztrzaskał mu czaszkę.

Pascoe zagwizdał przeciągle.

- Otóż to, straszny wypadek, ale jaka ironia losu!

- Ja bym powiedział, że to szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Dla Daphne? Nie przesadzaj!

- Dla Patricka. Nie masz wrażenia, że ludzie w wygodny dla niego sposób schodzą mu z drogi i umierają? Prawdę mówiąc, to już drugi taki przypadek, na który zwróciłaś moją uwagę. Świetnie ci idzie!

- Zaraz, zaraz... - zaproponowała Ellie. - My tu sobie sympatycznie plotkujemy o mojej przyjaciółce, w końcu po to się ma przyjaciół, żeby o nich plotkować, i nikomu nie dzieje się krzywda, a ty mi mówisz, że twoim zdaniem to wszystko bzdury.

- Zgadza się, tak właśnie powiedziałem. Posłuchaj, czy gdybyś myślała, że coś, co mi powiesz, może kogoś obciążyć, na przykład Aldermanna, i wskazać go jako mordercę, powiedziałaś mi?

Ellie przetrwała to pytanie.

- Powiedziałabym - odparła niepewnie. - Ale... Kurczę, czuję się jak kapuś. I to taki, któremu nie płacą.

Nagle Rose, której żale przycichły ostatnio do sennego gaworzenia, wydała z siebie wysokie C, po którym nastąpiła seria szlochów.

- Rany... - westchnęła Ellie. - Teraz naprawdę jest nieszczęśliwa.

- Mam iść?

- Nie. Zrób nam drinka, a ja się nią zajmę. Pewnie pobrudziła następną pieluszkę.

Ellie wyszła, a Pascoe wstał i nalał dwa kieliszki brandy. Wziął jeden z nich do ręki i stanął przy drzwiach do ogrodu. Nie było to Rosemont, tylko spłachetek gęsto przetykanej koniczyną trawy, którego granicę wytyczał rząd zżeranych przez szkodniki i choroby róż, i gęsty bukowy żywopłot, za którym rozciągały się łagodnie pofalowane pola. Kiedy kupowali ten dom, jego położenie wydawało się sympatycznie demokratyczne - dokładnie w pół drogi między miastem i college'em Ellie. Teraz jednak zanosilo się na to, że college zostanie zamknięty i kiedy Ellie we wrześniu wróci do pracy (o ile będzie miała do czego wracać), przeprowadzi się do ohydnych gmachu w centrum miasteczka, przy którym, jej zdaniem, komisariat policji prezentował się jak Hilton. Ostatnio Pascoe zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby warto poszukać domu w mieście. Zaoszczędziliby czas i pieniądze na dojazdach, a poza tym, młody człowiek z powiększającą się rodziną miałby ułatwiony dostęp do licznych niezbędnych w jego sytuacji usług.

Jednakże w takie ciepłe wieczory jak dzisiaj, kiedy szeroka twarz księżycy spoglądała w dół z jeszcze nie całkiem ciemnego nieba, Pascoe nie umiał sobie wyobrazić lepszego miejsca do życia. Wcale nie chciał mieszkać bliżej miejsca pracy. I tak nieustannie o niej myślał, nie potrzebował stale przebywać o rzut kamieniem od komisariatu. Nawet tu i teraz, z kieliszkiem brandy w ręce, łapał się na tym, że rozmyśla o tragicznych okolicznościach śmierci wielebnego Somertona. Kamień z dzwonnicy. Prawdziwy młot boży! Pełna dokumentacja z pewnością znajduje się w biurze koronera i nie ma w niej nic podejrzanego...

Ellie wróciła do pokoju, niosąc pochlipującą córeczkę.

- No już, już... Wcale się nie zmoczyła, wyglądała raczej na przestraszoną. Może miała jakiś zły sen.

- Zły sen! A o czym można śnić w jej wieku? - Pascoe się roześmiał. - Daj mi ją.

Wziął małą na rękę i zaczął ją kołysać. Szloch nie ustawał.

- Może faktycznie coś ci się śniło... Przypomniał mi się taki cytat: matura z angielskiego, poziom rozszerzony, Coleridge. Facet ciągle nawijało swoim synu. „Pewnego razu, gdy obudził się wielce zaniepokojony...”. Nie ma w tym za grosz rytmu, prawda? Potem było coś o „Wewnętrzny ból, co ukształtował ten twór dziwaczny, dziecięcy sen”. Coleridge miał rację: sen dziecka to rzeczywiście dziwna rzecz. Szkoda, że nie możesz nam o tym opowiedzieć, Rose.

- A wracając do tematu... Co takiego zrobił w tej sprawie Coleridge?

Pascoe uśmiechnął się szeroko, wyszedł do ogrodu i podniósł córeczkę wysoko do góry.

- Peter! Na litość boską, co ty wyrabiasz?!

- To, co zrobił Coleridge. Pokazuję jej księżyc.

- Powinni go byli zamknąć w domu wariatów! Ciebie zresztą też. Zaraz się przeziębisz! Dawaj ją tutaj.

- Czekaj, czekaj... Posłuchaj.

Płacz dziecka zmienił tonację z mol na dur, a po chwili przeszedł w charakterystyczne zachwycone gulgotanie. Rose pomachała piąstkami w stronę wysoko zawieszzonego księżycyca.

- Żałuj, doktorze Spock - powiedział Pascoe. - To myśmy z Coleridge'em tego dokonali.

Ellie, stojąca w drzwiach i przysłuchująca się radosnym przekomarzaniom męża i córki, złapała się na tym, że nie rozumie, dlaczego ten widok sprawia jej przykrość.

Straceniec

(*Desperado*. Krzew. Bujne kwiaty, żółte, z czasem różowieją. Obfite ulistnienie. Zapach słaby).

Z najwyższego poziomu dworcowego parkingu Shaheed Singh miał doskonały widok na miasto. Poranne słońce podkreślało szczegóły obrazu jak na kwasorycie. Singh zabawiał się wypatrywaniem znajomych miejsc z tego nieznanego punktu obserwacyjnego.

Chociaż w rzeczywistości wcale nie był on taki nieznanym. Przed parkingiem rozpościerał się główny dworzec autobusowy, skąd przejściem podziemnym pod ruchliwą obwodnicą przechodziło się do centrum miasteczka. A na obrzeżach centrum stała szkoła średnia, do której w przeszłości uczęszczał Singh. Czasem, zamiast iść do szkoły, dla rozrywki wjeżdżali z kolegami windą na najwyższy poziom parkingu i pomostem przechodzili na teren pasażu handlowego, gdzie przepadali w którymś z olbrzymich sklepów. Nie brakowało przy tym czasu na zabawę, która zwykle ograniczała się do plucia z pomostu na przejeżdżające dołem samochody - chociaż zdarzało się, że jakaś grupka odłączała się od reszty i szła do Woolwortha kraść. Singh rzadko brał udział w tych wypadach, i to nawet nie z powodów moralnych, a raczej po prostu ze względu na to, że w miasteczku, w którym mniejszość azjatycka była niezbyt liczna, wyróżniał się i mógł zostać łatwo zapamiętany.

Wstąpiwszy do szkoły policyjnej, miał nadzieję, że jego inność może się jeszcze okazać pożyteczna, szybko jednak wyzbył się złudzeń. Instynktowne uprzedzenia i zwykła niewiedza, z jakimi stykał się na co dzień, wstrząsnęły nim do głębi. Wielokrotnie zdarzało się, że tylko wrodzony upór pozwalał mu wytrwać - ten sam upór, dzięki któremu skutecznie oparł się ojcowskim próbom wtłoczenia go w ramki rodzinnego interesu. Teraz ten sam upór kazał mu skoncentrować się na Wieldzie.

Wydział Kryminalny to była elita. Antypatyczny Dalziel i ambitny Pascoe pewnie nie zdawali sobie nawet sprawy z istnienia Singha, za to sierżant Wield - jak najbardziej. Wield o nim wiedział i ewidentnie uważał, że jest bezużyteczny. Chłodna pogarda, jaką okazywał mu podczas wizyty w Rosemont (a na dobrą sprawę także przy każdym innym spotkaniu), nie

pozostawiała cienia wątpliwości, i główną ambicją chłopaka stało się udowodnienie sierżantowi, że się myli.

I dlatego Singh stał teraz na parkingu, zamiast w towarzystwie posterunkowego Wedderburna zgłębiać tajniki sztuki kierowania ruchem. Dobroduszny Wedderburn nie robił mu problemów, gdy Singh wyprosił kwadrans wolnego „z powodów osobistych”, ale kwadrans minął, a świetny pomysł Singha nie przyniósł żadnych efektów. Pięć minut temu z windy wysiadła dwójka dzieciaków, które jednak szybko przeszły pomostem na parking na dachu pasażu; nawiasem mówiąc, parking był już w połowie zapełniony, natomiast ten wielopoziomowy, po stronie dworca, zapełniał się od dołu do góry i na najwyższym poziomie znajdowało się na razie nie więcej niż dziesięć samochodów.

Zerknął na zegarek: już był spóźniony. Znów będzie musiał ugłaskiwać rozeźlonego Wedderburna galonami herbaty i kilogramami kanapek z bekonem. Wymarzony sposób na zareklamowanie się Wydziałowi Kryminalnemu.

Szczęknięły drzwi i winda wypluła pięciu młodych chłopaków, śmiejących się głośno i przekrzykujących kibicowskimi odzywkami. Singh zdążył rozpoznać dwóch starych kumpli ze szkoły (obecnie bezrobotnych), zanim tamci go spostrzegli. Jednym z nich był Mick Feaver, drobny chłopak o szczupłej twarzy, którego niepozorny wygląd stwarzał nie do końca fałszywe złudzenie cwaniaka. W szkole był pośmiewiskiem całej klasy i dla bezpieczeństwa starał się trzymać sztymę z Jontym Marshem. Marsh był wprawdzie niższy od niego, ale buty i zadziorności miał w sobie tyle, co szkolony do walki kogucik. Był odważny, dziarski i ekstrawertyczny, w grupie zawsze rwał się do przewodzenia i wyróżniał pogardą dla prawa. Do tej pory jemu samemu udawało się unikać poważniejszych kłopotów, ale z przyjemnością przechwalał się dokonaniem bliższych i dalszych krewnych, a zwłaszcza starszego brata, Arthura, który zaliczył już odsiadkę.

Zgodnie z przewidywaniami, to Marsh pierwszy zobaczył Singha. Jego reakcja na ten widok była również zgodna z przewidywaniami:

- Patrzcie! - zawołał. - Stary Shady!

Podszedł do Singha. Mick Feaver szedł za nim, zajmując typową dla siebie pozycję grzecznego pieska drepającego dwie stopy za właścicielem. Pozostałą trójkę Singh znał tylko z widzenia. Trzymali się z boku i zerkali na niego podejrzliwie.

- Co ty tu robisz, Shady? Coś się kroi?

Singh skinął Marshowi głową.

- Obserwuję - odparł zwięźle.

Marsh zaniósł się śmiechem.

- A cóż takiego obserwujesz, Shady?

Singh postanowił przemieszać fakty z fikcją.

- Było tu jakieś zamieszanie z niszczeniem samochodów - powiedział. - Od tamtej pory WK co rano przysyła kogoś, żeby miał parking na oku.

Marsh nie był głupi.

- Przecież ty nie jesteś z WK - zauważył. - Poza tym wybrałeś sobie kretyńskie miejsce do obserwacji. Zewsząd cię widać.

Shaheed Singh uśmiechnął się w odpowiedzi (tajemniczo, miał nadzieję) i puścił wodze fantazji:

- Oczywiście, że nie jestem z WK, frajerze - odparł przyjaźnie. - Podczepiłem się pod WK w ramach szkolenia. Widzieliśmy, jak wsiadacie do windy. Powiedziałem, że znam ciebie i Micka, więc zostawili mnie tutaj, żebym z wami pogadał, a sami nie muszą się ujawniać.

Marsh przyglądał mu się podejrzliwie, za to Mick Feaver gładko przełknął bzdurę i rozglądał się nerwowo w poszukiwaniu ukrytych policjantów. Pozostała trójka, która tymczasem znalazła się w zasięgu głosu, zaczęła nerwowo szeptać między sobą i wiercić się niespokojnie.

Singh, który bezbłędnie rozpoznał oznaki nastoletnich : wyrzutów sumienia, zamaskował swój triumf pobłażliwym uśmiechem. Miał rację! To byli oni - a w każdym razie niektórzy z nich. Przyszło mu to do głowy podczas tego żenującego spotkania z dawnymi znajomymi przy Urzędzie Pracy. A teraz zaryzykował, strzelił w ciemno - warto było!

Nagle poczucie triumfu gdzieś się ulotniło i Singh pierwszy raz poczuł się jak prawdziwy policjant - bo też pierwszy raz doświadczył napięcia w kontaktach szarych obywateli z przedstawicielem władzy, przeszłości z terażniejszością. Świetnie byłoby mieć na koncie pierwsze aresztowanie, ale nie był jeszcze gotowy na to, żeby swój pierwszy raz zaliczyć kosztem Jontyego i Micka.

Właściwie, po co w ogóle się w to angażował? Przecież tamten akt wandalizmu nie był żadną zbrodnią stulecia!

Prawda była taka, że chciał zaimponować sierżantowi Wioldowi. A Wiolda, jak już się domyślił, nie interesowały dzieciaki niszczące samochody, tylko pani Aldermann.

Dostrzegł wyjście z sytuacji, które nie wymagałoby wielkiego oszukiwania sumienia.

- Codziennie tędy przechodzicie? - zapytał.

- Nie, no co ty - zaprzeczył z ożywieniem Marsh. - Nie co dzień wybieramy się do centrum. Poza tym, zwykle idziemy przejściem podziemnym, prawda, chłopaki?

Pozostali, teraz już skupieni wokół Singha, przytaknęli chórem.

- Coś wam powiem. - Singh konfidencjonalnie zniżył głos. - WK wcale nie jest zainteresowany tymi porysowanymi w poniedziałek samochodami. Kto wie, czy ten, kto je porysował, nie wyświadczył nam przysługi. WK namierza szajkę złodziei samochodów. Tak się składa, że jeden z wozów, którymi się interesują, trafił niedawno do lakiernika: jasnozielony volkswagen polo. Prawdopodobnie prowadzony przez kobietę. Widzieliście może takie auto tutaj w poniedziałek?

Mogli po prostu zaprzeczyć, uprzeć się, że w zeszłym tygodniu w ogóle nie zaglądali na najwyższy poziom parkingu - i Singh chętnie by im odpuścił, mimo wewnętrznego przekonania, że to ich sprawka. Oni jednak się zawahali, zaczęli spoglądać po sobie i Singh, który już na dobre wszedł w rolę, dodał znudzonym tonem:

- Posłuchajcie, cokolwiek widzieliście, może nam to pomóc. O której ten wóz przyjechał? Kto prowadził? Jak był ubrany? Czy miał coś przy sobie, kiedy wysiadł? Dokąd poszedł? Ręka rękę myje, rozumiecie.

- Widzieliśmy ją - powiedział Mick Feaver. - To znaczy, ja ją widziałem... Tak mi się wydaje.

Z przeproszącą miną odwrócił się do pozostałych, sugerując im, że jeśli wolą, mogą teraz zaprzeczyć i się nie angażować, ale pokusa wkupienia się w łaski policji, w połączeniu z naturalną ludzką potrzebą gwiazdorstwa, były zbyt silne, i przyjaciele zamiast z wdzięcznością, spojrzeli na niego z wyrzutem. Wąska strużka informacji szybko zmieniła się w rwący potok.

- Zielone polo, zgadza się. Ładne autko.

- Mniej więcej dziesięć po dziewiątej. Przechodziliśmy tędy, kiedy parkowała.

- Wysoka blondyna. W średnim wieku. Duże zęby.

- Nie była taka zła. Całkiem, całkiem kobitka.

- Bo ty to w ogóle lubisz starsze, nie? Widziałem, jak patrzysz na jego matkę!

- Moja mama wcale nie jest stara. Nie aż tak.

- Ta mogła mieć ze trzy dychy. Elegancka babka. Taka lala z wyższych sfer.

- Fakt, nadęta krowa.

- Miała torebkę, małą. Nic więcej.

- Wyglądało to zabawnie, kiedy wsiadła do tego drugiego wozu.

- Nie, wcale nie zabawnie. Pomyśleliśmy, że szykuje się małe dymanko.

- No właśnie, bara-bara na tylnym siedzeniu. Bo na złodziejkę nie wyglądała.

- A co ty myślisz, że jak wyglądają złodzieje, frajerze?

W tym miejscu wymiana myśli została przerwana gwałtowną przepychanką.

- Powiedzieliście, że wsiadła do innego samochodu? - powtórzył Singh.

- No tak - przytaknął Jonty, któremu nie mniej od innych śpieszyło się do roli świadka koronnego. - Zaparkowała obok i przesiadła się do tego faceta.

- Do faceta? To znaczy, że widziałeś kierowcę?

- No, nie, miał przyciemniane szyby. Właściwie w ogóle go nie zauważyłem, dopóki nie wsiadła i nie odjechali.

- Od razu?

- Tak. Pewnie zapalił silnik, jak tylko ją zobaczył.

- Co to było za auto?

- Audi.

- Volvo.

- Nie, nie volvo. Volvo mają stale włączone światła.

- Ty było bmw 528i.

Ostatnią kwestię wygłosił Mick Feaver tak autorytatywnym tonem, że nikt już nie ośmielił mu się sprzeciwić.

- Nie zapamiętaliście przypadkiem numeru rejestracyjnego? - spytał Singh z nadzieją w głosie.

Pokręcili głowami. Tylko Mick Feaver bąknął coś o X, przy którym stało 9.

Singh triumfował. To było coś w sam raz do podrzucenia mimochodem sierżantowi Wieldowi. Desperacko myślał, co jeszcze mógłby wycisnąć od rwących się do współpracy świadków. Przyszło mu do głowy, że taka ekipa na pewno rzuca się w oczy, a przecież pani Aldermann twierdziła, że nikogo podejrzanego nie widziała. To mogło być znaczące.

- Widziała was? - zapytał.

- Pewnie tak - odparł Jonty. - Przejechała tuż obok.

- A ty się musiałeś wygłupić - dorzucił któryś z pozostałych.

- Co zrobiłeś? - zainteresował się Singh.

Marsh wykonał obsceniczny gest prawą pięścią.

- Pomyślałem, że pewnie jedzie na robótkę, napalona rura!

I tak to się właśnie zaczęło, pomyślał Singh w przeblysku geniuszu. Z początku chcieli pewnie napisać coś brzydkiego na zabrudzonych blachach volkswagena, ale czyściutka,

lśniąca karoseria nie sprawdziła się jako tabliczka. W ruch poszedł nóż, a potem poniósł chłopaków entuzjazm.

O tym jednak wolał nie wiedzieć.

- Dzięki, chłopaki. - Zerknął na zegarek: Wedderburn siedzi już pewnie w „Market Caff”, pije drugą herbatę i dostaje białej gorączki. - Przekażę to komu trzeba; może się przydać. Na razie.

- Pewnie. Jasna sprawa. Oczywiście. Na razie.

Wyszli na pomost prowadzący na parking przy pasażu handlowym. Z windy wysiedli jako podejrzani o przestępstwo, odchodzili zaś jako policyjni świadkowie. Singh miał niejasne przeczucie, że z tego rodzaju przemianą może się jeszcze nie raz spotkać w swojej karierze policyjnej.

Na razie jednak bardziej zaprzętała go najbliższa przyszłość, w której stuprocentowo pewna złość Wedderburna konkurowała z hipotetyczną aprobatą ze strony Wiolda. Wsiadł do windy i wcisnął guzik parteru.

Nabożeństwo wieczorne

(*Evensong*. Krzew. Roślina wysoka, bujna. Kwiaty intensywnie łośosiowe, z czasem lekko blaknące. Obficie kwitnie latem i jesienią. Proste, mocne łodygi. Silny słodki aromat).

Peter Pascoe złapał się na tym, że sprawa Aldermanna go fascynuje. Oczywiście nie było żadnej sprawy, a on nie zamierzał dopuścić do tego, żeby fascynacja przerodziła się w obsesję, ale osoba spokojnego, skrytego mężczyzny, którego spotkał przypadkiem i na krótko i który obdarował go różą, drażniła jego wyobraźnię jak na wpół zapomniana melodia.

Wszystko to było jedną wielką bzdurą, od początku do końca. Seks, alkohol i wysiłek związany z podejmowaniem prezesowskich decyzji zmaciły umysł Dicka Dandysa. Ot, ryzyko zawodowe, kiedy człowiek stale działa pod presją; sam Pascoe powinien doskonale o tym wiedzieć. Poza coraz bardziej irytującą epidemią włamań, WK miał w tej chwili na tapecie trzy domniemane gwałty, dwa podejrzenia o podpalenie oraz pokaźną liczbę niewątpliwych rabunków, napaści, rozbojów, oszustw i pomniejszych wykroczeń.

O tak, powinien znać na wylot wszelkie ścinające mózg konsekwencje przepracowania. Umiałby nawet rozpoznać objawy, do których zaliczało się sięgnięcie przed południem po telefon i - pod pretekstem przerwy na kawę - zadzwonienie do swojego odpowiednika w Harrogate.

Stosunki z Wydziałem Kryminalnym w Harrogate zrobiły się nieco napięte po tym, jak dochodzenie w branży porno doprowadziło do aresztowania, skazania i uwięzienia jednego z tamtejszych detektywów, ale sytuacja zdążyła się już unormować - dzięki wytrwałości Pascoe w dążeniu do zgody, i pomimo nieco mniej koncyliacyjnej postawy Dalziela, wyrażanej słowami: „Pieprzyć ich wszystkich! Są utyłani w gównie jak szczotki do mycia kibli!”.

- Ivan? Cześć, mówi Peter Pascoe. Jak leci?

- Doskonale, odkąd stary pojechał na tę konferencję o nowoczesnej policji - odparł komisarz detektyw Ivan Skelwith. - Złożę się, że wy też tęsknicie za Grubym Andym. Ale wiesz, to zabawne, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Wygląda na to, że ci wasi

włamywacze zapuścili się na nasz teren. Pewna rodzinka wróciła wczoraj z wakacji stwierdziła, że ktoś im obrobił dom. Komputer twierdzi, że to może być jedna i ta sama szajka.

- Poważnie? - Pascoe zwietrzył wiarygodny pretekst do odwiedzin. - Może bym do was podjechał i rzucił okiem?

- A co, masz za dużo czasu? Zapraszam. Kiedy?

- Dziś po południu?

- Kurczę, widzę, że się nie opieprzasz. Niech ci będzie. Koło trzeciej, dobrze? Ale, ale... Z czym właściwie dzwoniłeś?

- Z niczym ważnym... - Pascoe się zawahał. - Jest u was taka kancelaria księgowa, nazywa się „Bailey i Capstick”. Pracował u nich niejaki Aldermann. To było dawno, siedem albo osiem lat temu. Przypuszczam, że coś spaprał, może się za nim ciągnąć jakiś smród. Byłem ciekaw, czy coś kojarzycie.

- Sprawdzę to dla ciebie. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Jak tylko sam się czegoś dowiem, powiem tobie pierwszemu.

- W porządku. Do zobaczenia o trzeciej.

Ivan Skelwith, przystojny brunet z Lancashire, twierdził, że przyszedł pracować do policji w Yorkshire, ponieważ tylko dzięki stosowanym tutaj innym miarkom udało mu się spełnić wymóg minimalnego wzrostu policjanta. Przywitał Pascoe serdecznie, zaparzył herbatę i podał ciasteczka, co częściowo wynagrodziło Pascoe obiad, który sobie odpuścił, żeby ugłaskać oburzone Aldermannem sumienie.

Następną godzinę spędzili na miejscu ostatniego włamania. Sposób działania i okoliczności towarzyszące wyglądały identycznie jak w sprawach prowadzonych przez Pascoe. Nie zabrakło nawet rozeźlonych właścicieli domu, odgrających się, że pozwą do sądu firmę, która sprzedawała im alarm antywłamaniowy; złodzieje zneutralizowali go z wprawą świadczącą o starannym planowaniu. Najbardziej niezwykły był fakt, że winobluszcz porastający ścianę, na której zamontowano dzwonek alarmu, został zerwany, a rośliny na grządce przy ścianie były kompletnie zmiażdżone, jakby coś na nie spadło - lub ktoś na nie spadł. Nie znaleziono żadnych użytecznych odcisków butów ani innych śladów, ale udało się przynajmniej ograniczyć ramy czasowe włamania: zniszczenia były wprawdzie niewidoczne na pierwszy rzut oka, ale zatrudniony przez właścicieli ogrodnik, który raz na tydzień

przychodził pielęgnować ogród, stanowczo twierdził, że w piątek bluszcz był jeszcze nietknięty.

- Czyli weekendowa robótka - podsumował Pascoe. - Coś wam to pomogło?
- Ani trochę - odparł Skelwith.

Wrócili do biura Skelwitha, gdzie wypili następną herbatę, tym razem zagryzając pączkami z dżemem.

Skelwith patrzył, jak Pascoe z entuzjazmem pochłania swojego pączka.

- Na tym właśnie polega problem z małżeństwem - skwitował. - Seks na zawołanie i wykwintna kuchnia, a potem rodzą się dzieci i zostaje „zrób to sam” albo obejdz się smakiem.

- Tobie to chyba służy? Ile masz, czwórkę? Jak się miewa twoja udręczona małżonka?

- W styczniu będzie piąte. Pytałeś o tę kancelarię księgową... Nazywa się teraz „Bailey, Capstick, Lewis i Grey”, tyle że Bailey od dwudziestu lat nie żyje, a Capstick drugi rok jest na emeryturze. Nie wiem, czy po drodze było „Bailey, Capstick, Lewis i Aldermann”, ale dopiero sześć lat temu przyjęli pana Greya, który przez ten czas dochrapał się statusu wspólnika. Rzecz w tym, że ten wasz Aldermann w jakiś sposób sobie u nich przechlapał i, jak twierdzi mój informator, powinien się cieszyć, że skończyło się tylko na wyrzuceniu z pracy.

- A twoim informatorem jest...?

- Nasz sierżant Derby. Mogłeś go widzieć, kiedy wchodziłeś; siedzi przy biurku. Podobno był już tutaj, zanim założono uzdrowisko. W każdym razie zna miasto jak nikt inny.

- Bardzo przydatny człowiek. Ale pewnie nie zna szczegółów, co?

- Niestety, nie. Ci księgowi to skryty narodek, zwłaszcza kiedy w grę mogą wchodzić jakieś przewały, podwójna księgowość, takie tam... Derby uważa, że najlepiej byłoby zignorować samą firmę i uderzać prosto do starego Capsticka. Po pierwsze, facet niepodzielnie rządził kancelarią, kiedy Aldermann dostał kopa w tyłek. Po drugie, sam został przed rokiem zwolniony, bo w wieku siedemdziesięciu lat podagra za bardzo dawała mu się we znaki. Nie był zachwycony tym, że, jak to ujął, „takie młokosy próbują go ściąć w kwiecie wieku”. Derby twierdzi, że tak właśnie wyraził się Capstick podczas pożegnalnej kolacji. Mówię ci, nasz sierżant ma dar do naśladowania głosów.

- Niesamowity facet. Na pewno ma też dla mnie jakiś adres.

- Ależ oczywiście - przytaknął z uśmiechem Skelwith. - Capstick ma dom na wsi. Ma też starą, srogą gospodynię, która na krok go stamtąd nie puszcza. Tych, którzy przyjdą mu w

sukurs i, albo go odwiedzą, albo, co lepsze, wywiozą stamtąd, Capstick nagradza długimi i najczęściej skandalicznymi wspominkami z ostatniego półwiecza dziejów śmietanki towarzyskiej Harrogate. Na dodatek, tak się szczęśliwie składa, Peter, że będziesz miał do niego po drodze. Adres brzmi: Church House, Little Leven.

Wiek nadał symetrię postaci Herberta Capsticka: wieńcząca jego głowę szopa siwych włosów znalazła idealny odpowiednik w grubym zawoju z bandaża wokół jego stóp. Pomędzy nimi znajdowało się szczupłe, chociaż wcale nie- wymizerowane ciało, odziane w staroświeckie, opatrzone kieszeniami szorty do rugby i bawełnianą koszulkę, spoczywające na dużym, głębokim, miękko tapicerowanym wózku inwalidzkim. Wózek stał przy otwartych drzwiach przypominającej dżunglę oranżerii.

Kobieta, która przeprowadziła Pascoe przez dom, spojrziała z dezaprobatą na Capsticka i wyszła. W milczeniu wysłuchiwała prośby Pascoe o spotkanie z panem domu, skwitowała je dosłownie dwoma słowami, a potem kazała mu czekać na progu, gdy sama zniknęła we wnętrzu domu. Kiedy znów stanęła w drzwiach, skinęła na gościa i przez smętny salon zaprowadziła go do miazmatycznej oranżerii.

Sroga gospodyni, domyślił się Pascoe.

- Pani Unger ma wszystkie cnoty właściwe jej klasie i profesji - powiedział wysokim, klarownym głosem Capstick. - Z taką samą nieufnością traktuje światło słoneczne i intruzów. Na pewno przyjemniej będzie panu przenieść krzesło na słońce; chętnie sam bym do pana dołączył, nie odważę się jednak ryzykować surowych konsekwencji w postaci gruzłowatego budynku i niedogotowanych warzyw. Mam nadzieję, że nie będzie panu przeszkadzało, że rozmawiamy przez próg. Upodobni to nieco naszą rozmowę do zwierzeń w konfesjonale, co w obliczu pańskiej profesji nie będzie wcale od rzeczy. Który przypadek defraudacji w mojej bogatej sześćdziesięcioletniej karierze pana interesuje, panie komisarzu?

Szare oczy osadzone w pomarszczonej twarzy starego lwa łypnęły pytająco spod nieuczesanych - a może po prostu niemożliwych do uczesania - siwych włosów. Pełne wargi wygięły się w uśmiechu.

Pascoe uśmiechnął się w odpowiedzi i wziął głęboki wdech.

- Nie chodzi o pańskie grzeszki, panie Capstick - wyjaśnił. - Interesuje mnie Patrick Aldermann.

- Ach, Patrick... Zapewne pan już z nim rozmawiał?

- Prawdę mówiąc, nie - odparł skrepowany Pascoe. - Spotkaliśmy się tylko raz, przelotnie.

- Tymczasem przyjeżdża pan do mnie, człowieka, którego nigdy pan nie widział na oczy, i jest gotowy otwarcie, bez żadnych wstępów poruszyć ten temat? Dziwne. Może ktoś chwalił mnie przed panem za szczerść, prostolinijność i prawość charakteru?

- Może.

- A może powiedziano panu, że stary Capstick ma tak serdecznie dość samotności i zaczątków starczej demencji w tym bożym bastionie, że zaczął już rozmawiać z wróblami i łatwo go będzie sprowokować do prawie dowolnej werbalnej niedyskrecji?

Pascoe pozwolił sobie na parsknięcie śmiechem.

- Widzę, że źle mnie poinformowano. Przepraszam, panie Capstick, moja wizyta ma charakter całkowicie nieoficjalny. Nie jestem nawet władny pogrozić panu sugestią, że mógłbym pewnego dnia odwiedzić pana w bardziej oficjalnym charakterze. Nie mogę wprawdzie powiedzieć, że skończyłem służbę, ale to, co w tej chwili robię, ma służyć wyłącznie zaspokojeniu mojej ciekawości. Mam mówić dalej? Czy po prostu sobie pójść?

Zanim Capstick zdążył odpowiedzieć, wróciła pani Unger, niosąc duży składany stolik. Stała znacząco przed Pascoe i poczekała, aż ten - orientując się poniewczasie - rozłoży nogi stolika. Wtedy postawiła go przed nim i wyszła. Na blacie stał imbryk z herbatą, dzbanuszek z mlekiem, cukierniczka, dwie filiżanki i talerz babeczek maślanych.

- Pani Unger pana zaaprobowała - mruknął Capstick. - To właśnie sygnalizują babeczki. Herbatę podałaby nawet samemu Hitlerowi, ale babeczki maślane to znak wyjątkowej łaski. Bolesnie ją pan rozczaruje, nie jedząc ich. Muszę jednak pana ostrzec, że jeśli je pan zje, będzie pan okrutnie cierpiał. Trudny wybór. Ale z pewnością w pańskim fachu takie dylematy nie są niczym niezwykłym; zdarzają się sytuacje, w których lojalność wobec pracodawców kłóci się z lojalnością wobec współpracowników. Rozumie pan, o czym mówię, panie Pascoe?

- Tak mi się wydaje...

- Przed laty miałem taki problem z Patrickiem Aldermannem. Nie wiem, czy teraz historia się nie powtarza. Może mnie pan uspokoić?

Pascoe nalał im obu herbaty.

- Nie jestem pewien - odparł. - Mogę natomiast pana zapewnić, że wyobrażam sobie tylko jedną sytuację, w której mógłbym rozważyć wyrządzenie krzywdy panu Aldermannowi: gdyby moje działanie mogło zapobiec skrzywdzeniu kogoś jeszcze bardziej bezbronniejszego niż on. Przykro mi, jeżeli to nie wystarczy.

Spojrzał podejrzliwie na złowrogie babeczki, wziął jedną z nich do ręki i odważnie ugryzł.

- Wystarczy, panie Pascoe, wystarczy w zupełności. Jeden kęs panu nie zaszkodzi. Gdyby zechciał pan wynieść resztę do karmnika dla ptaków, tam, na trawniku, mielibyśmy zapewnioną rozrywkę podczas rozmowy. Śpieszę w tym miejscu nadmienić, że ptakom najwyraźniej babeczki nie szkodzą.

Pascoe przeniósł babeczki na stolik dla ptaków, oglądając się przy tym przez ramię na stary dom, z obawą, że któraś z firanek drgnie przypadkiem z oburzenia. Nic się jednak nie poruszyło. Wypielegnowany trawnik kończył się gęstwiną obsypanych kwiatami krzewów, wśród których nie brakowało róż w pełnym rozkwicie, oraz wysokim cyprysowym żywopłotem. Dalej było widać wieżę kościoła, od której dom wziął swoją nazwę*. Prawdopodobnie był to kościół Świętego Marka, a wieża była prawdopodobnie tą samą wieżą, z której kamień roztrzaskał głowę wielbnego Somertona.

Pascoe wrócił na krzesło przy drzwiach. Bez zbędnych wstępów Capstick zaczął mówić:

- Patrick Aldermann odbywał staż w mojej firmie w roku 1968 albo 1969. Nie wyróżniał się jako księgowy, ale był spokojny, grzeczny i rzetelny, a kiedy człowiek zadał sobie trud i lepiej go poznał, Patrick okazywał się także interesujący i całkiem miły. Ja w każdym razie za takiego go uważałem. Znałem także jego wuja, a właściwie ciotecznego dziadka, Edwarda Aldermanna. Również był księgowym, zresztą znakomitym. To on zarobił na remont Rosemont, gdzie dziś mieszka młody Patrick. Też był cichy i spokojny z natury, i bardzo sympatyczny przy bliższym poznaniu. Przy czym, oczywiście, dawał się wodzić żonie za nos. To ona kazała mu zarabiać coraz więcej i to ona zmusiła go do zakupu tej olbrzymiej posiadłości, o wiele za dużej dla nich dwojga. W przypadku Rosemont Edward przynajmniej częściowo postawił na swoim: dla niej odbudował dom, dla siebie zaś ogród, wystarczająco duży, żeby móc się w nim schować. Nie zmienia to faktu, że żona go przeżyła, ale przynajmniej zmarł w swoim ogrodzie, przy przycinaniu róż. Na serce. Ona zresztą również. To jeden z tych ciekawych przykładów działania ironii losu. Może jego duch się jej objawił i śmiertelnie ją przestraszył? Często się nad tym zastanawiam. Trzeba panu wiedzieć, że Patrick uwielbiał mówić i słuchać o starym Eddiem. Zabawne: wątpię, żeby widział go więcej niż z dziesięć razy w życiu, w dodatku zawsze były to krótkie odwiedziny, ale kochał Eddiego jak rodzzonego ojca. Na pewno wie pan o tym, że Patrick zmienił nazwisko? Stażował już u

* Church House (ang.) - w wolnym przekładzie „Dom przy kościele” (przyp. tłum.).

nas, kiedy osiągnął pełnoletność. Zmiana nazwiska była jedną z pierwszych rzeczy, jakie wtedy zrobił. „Nie nazywam się już Highsmith”, obwieścił, „tylko Aldermann”. Wszystko odbyło się legalnie, w urzędzie. Niektórzy uznali, że to dziwaczne; ja osobiście byłem wzruszony. Nie uważa pan, że zdarzają się czasem więzy duchowe równie silne, jak więzy krwi? Jakkolwiek by to tłumaczyć, młody Patrick bez wątpienia odziedziczył po Eddiem zamiłowanie do ogrodów i dobrą rękę do kwiatów, zwłaszcza do róż. Muszę panu powiedzieć, że moje róże sadzili obaj parający się ogrodnictwem Aldermannowie. Widzi pan tę *Mrs Sam McGredy*?

Pascoe podążył spojrzeniem za wyciągniętym palcem wskazującym gospodarza i zobaczył kanciasty, wynędzniały krzak, na którym mimo smętnego stanu zakwitło kilka intensywnie miedzianoróżowych kwiatów. Lśniły jak klejnoty na szyi księżnej wdowy.

- To Eddie ją tu zasadził, ponad trzydzieści lat temu. Razem z półtuzinem innych, z własnych sadzonek. Dziś jest już stara, o wiele za stara. Bo róże też się starzeją, panie Pascoe, tak jak ludzie. Już dziesięć lat temu była stara i słaba. Przypuszczam, że nigdy nie opiekowałem się nimi jak należy. Poza tym jestem raczej typem ogrodnika-obszawatora, a nie pracownika. No i jestem sentymentalny: nie podoba mi się myśl, że miałbym wyrwać z ziemi coś, co przez tyle czasu sprawiało mi przyjemność. Kiedy jednak pokazałem je młodemu Patrickowi, nie miał takich oporów. „Większość należałoby wykopać”, powiedział. I tak też się stało. Wyrzucił je i przygotował ziemię pod posadzenie nowych. Ja bym po prostu włożył nowe w dziury po starych i przyklepał, a on rył, kopał, grabił, coś tam dosypywał, aż w końcu zostawił ziemię, żeby się odleżała. „Stare musi ustąpić miejsca nowemu”, mówił, „ale i nowe musi na swoje miejsce zasłużyć”. No i chyba zasłużyło, nie uważa pan? Proszę spojrzeć: *Pascalu Peer Gynt, Ernest Morse, Kings Ransom*. Nie wydaje się panu, że mogą wynagrodzić wszystkie życiowe porażki?

Pascoe posłusznie spojrział. Nazwy niewiele mu mówiły, ale tęcza barw na obrzeżach ogrodu bez wątpienia przyciągała wzrok. Dalej, gdzie trawnik nieco opadał, rysowały się ciemne i ostre sylwetki cyprysów, a za nimi zaczynał się kościelny dziedziniec. Nagle Pascoe poczuł dziwną sympatię do starca, który, siedząc przy drzwiach ogrodu i podziwiając resztki ognistych kolorów, musiał wiedzieć, że one zblakną, a cyprysy na zawsze pozostaną na swoim miejscu, niezmiennie i czekające.

- Zachował pan jedną z tych starych róż - przypomniał Pascoe. - Czyj to był pomysł?

- Słucham? A, mówi pan o *Mrs Sam*. Chyba razem doszliśmy do takiego wniosku. Byliśmy zgodni: ja chciałem tego ze względów sentymentalnych, Patrick... Nie wiem, może z szacunku? Eddie by się uśmieł, może nawet zawstydził, gdyby zobaczył, jak Patrick traktuje

jego pamięć. Tak mi się wydaje, że to właśnie dlatego wybrał księgowość. Nie miał do tego talentu, ale chciał robić to samo, co jego cioteczny dziadek.

Pascoe, który od jakiegoś czasu dyskretnie zerkał na zegarek, dostrzegł swoją szansę.

- Czy to dlatego musiał odejść z firmy? - wtrącił. - Nie wywiązywał się z obowiązków?

Capstick pokręcił z uśmiechem głową.

- O nie, tego nigdy nie można mu było zarzucić. Spisywał się doskonale, z czasem zostałby wspólnikiem w kancelarii... Nie, panie Pascoe. Poszło o co innego. Nie powtórzę tego przy świadkach, ale Patrick okazał się nieuczciwy. - Wydał wargi, jakby to ostatnie słowo miało kwaśny posmak. - Nikt się tego nie spodziewał. Dobrze mu się układało w życiu. Ożenił się z czarującą młodą panną, urodziło im się dziecko, wyglądało na to, że niczego mu do szczęścia nie brakuje. Mnie martwiły tylko koszty utrzymania tego ich ogromnego domu. Sam podatek od nieruchomości musiał być zabójczy dla młodego człowieka ze skromną pensją, a on jeszcze był w stanie zadbać o dom i ogród. Próbowałem rozmawiać z nim o tym już wcześniej, kiedy jeszcze mieszkał tam sam, ale tylko się uśmiechał i zmieniał temat. No, pomyślałem, przynajmniej teraz, kiedy się już ożenił i dochował dzieciaka, dom się zaludni i zacznie pełnić swoją właściwą funkcję. Poza tym, logiczne wydawało się, że dziewczyna ma jakieś własne pieniądze, które pomogą im przetrwać, dopóki Patrick nie zacznie zarabiać tyle, ile powinien. Proszę, oto pańska przekąska!

Zaskoczony Pascoe odwrócił się i zobaczył falującą masę ptaków - od wróbli, przez sikorki i szpaki, aż po kosi - objadającą się babeczkami.

- Na klientach też robił dobre wrażenie - podjął opowieść Capstick. - Podobał się ludziom: spokojny, dyskretny, a zarazem pewny siebie. Praktycznie sam obsługiwał różnych pomniejszych klientów; dwoje z nich poprosiło, żeby właśnie on zajął się ich rachunkami, a to zawsze pochlebia człowiekowi. Jedną z tych dwojga była starsza wdowa, pani McNeil. Miała pokaźną emeryturę i dla rozrywki zamartwiała się perspektywami inwestycyjnymi swojego kapitału. Spełnianie jej nieustannych zachcianek, żeby wypłacić pieniądze stąd i przelać je tam (przy czym nigdzie nie zagrzały miejsca dość długo, żeby był z tego jakiś pożytek), było piekielnie nużące. Kiedy tylko mogłem, podsyłałem ją Patrickowi i byłem zachwycony, kiedy poprosiła, żeby pan Aldermann został głównym opiekunem jej rachunku. Zgoda, przez pierwsze półtora roku zdarzało mi się zaglądać mu przez ramię i sprawdzać, jak sobie radzi, ale potem dałem mu spokój. Ilekroć napatoczyłem się na panią McNeil, wychwalała go pod niebiosa. Nie ma dla niego rzeczy zbyt trudnych, mówiła. Jej inwestycje miały się doskonale. Pamiętam, że kupowała Patrickowi prezenty na urodziny i Boże

Narodzenie, takie typowe prezenty od starszej pani dla młodego mężczyzny: ciepłe swetry, żeby się nie przeziębiał od przeciągów w firmie, i zakładane na buty gumowe kalosze. Pół biura się z niego śmiało. Aż nagle któregoś dnia starsza pani przyszła do biura, a Patricka nie było, ponieważ mimo jej najszczerszych wysiłków złapał grypę. Zatraskana, nie wiedziała, czy nie powinna odwiedzić go w domu. Wzdrygnąłem się na myśl o bezbronnym chłopinie leżącym w łóżku i narzucającej mu się z opieką pani McNeil, spławiłem ją więc, tłumacząc, że sama wygląda mi na przeziębioną i nie powinna narażać młodego pana Aldermanna na zaognienie choroby. A żeby zupełnie już ją zagadać, przyniosłem jej akta, żeby omówić z nią jej inwestycje i dać jej kolejną okazję do pochwalenia Patricka. Ona mówiła, a ja zerkałem w papiery z narastającym poczuciem, że coś w nich nie gra. Nie było to nic konkretnego i nic, jak mi się wtedy wydawało, poważnego. Pomyłka wynikała pewnie z braku doświadczenia i namolności pani McNeil. Mnie również zdarzało się zasypywać ją naukowymi terminami, które miały sprawić wrażenie, że robię głupstwa, których się domaga, podczas gdy w rzeczywistości robiłem coś zupełnie innego. Albo w ogóle nic. Po jej wyjściu bardzo dokładnie przejrzałem jej teczkę. Wydawało mi się, że w ten sposób wyświadczę Patrickowi przysługę, ale byłem zdruzgotany tym, co tam znalazłem. To było jedno wielkie kłamstwo. Patrick przerzucał pieniądze pani McNeil z miejsca na miejsce, a po drodze obrywał z nich po kawałku. Zawsze były to drobiazgi, nie znalazłem żadnej transakcji na dużą sumę, ale przez trzy czy cztery lata przejął w ten sposób dwie trzecie funduszy, którymi miał zarządzać. To było pomysłowe, jednakże prędzej czy później musiało wyjść na jaw. Teraz mógł liczyć tylko na to, że zdobędzie pieniądze z innego źródła i spłaci dług.

Capstick zawiesił głos i smętnie pokręcił swoją lwią głową. Pani Unger pojawiła się w tej samej chwili, jakby tylko czekała na taką przerwę w jego wywodach. Skinęła głową z aprobatą na widok pustego talerza i zabrała stolik herbaciany.

- Co pan zrobił, kiedy pan to odkrył? - spytał Pascoe, kiedy zniknęła.

Capstick westchnął.

- Z początku nic. Chciałem to przemyśleć, a poza tym, proszę nie zapominać, że Patrick był na zwolnieniu. Dopiero trzeciego dnia upewniłem się telefonicznie, że już wstał z łóżka, i pojechałem go odwiedzić. Bez zbędnych wstępów oświadczyłem, że wiem o sprzeniewierzeniu pieniędzy pani McNeil. Nie zaprzeczył, nie próbował się tłumaczyć, nic z tych rzeczy. Po prostu siedział i patrzył na mnie z tym swoim spokojnym, stonowanym zainteresowaniem, które tak dobrze znałem. Powiedziałem, że moim zdaniem należałoby zacząć od poinformowania klientki o całej sytuacji. Zamierzałem ją również zapewnić, że

firma wynagrodzi jej wszelkie poniesione straty, oraz zaoferować pełną współpracę podczas ewentualnego dochodzenia policyjnego.

- Ewentualnego? Czyli miał pan nadzieję, że obejdzie się bez udziału policji i uda się panu obronić dobre imię kancelarii? Aldermannowi musiało bardzo ulżyć.

- Wątpię, panie Pascoe. Nie chciałem, żeby moje zapewnienie o odszkodowaniu dla pani McNeil było postrzegane jako zachęta do nieskładania skargi. Poinformowałem Patricka, że na moją wyraźną prośbę spotkanie z nią odbędzie się w obecności jej adwokata, który będzie jedyną osobą władną jej coś doradzić. Czy to wyjaśnia pańskie wątpliwości?

- Przepraszam, nie chciałem okazać panu lekceważenia. Po prostu pomału układam sobie to wszystko w głowie. Czy adwokat odradził pani McNeil wstąpienie na drogę prawną?

- Nie wiem, jak by się to skończyło, bo do spotkania nie doszło. Kiedy skontaktowałem się z klientką, okazało się, że jej przeziębienie się nasiliło, rozwinęła się z niego grypa i pani McNeil leży w łóżku. Postanowiłem parę dni odczekać, aż wirus się nad nią zlituje, ale tym razem czekałem na próżno.

- To znaczy?

- Patrick, młody mężczyzna, szybko wrócił do zdrowia. Pani McNeil, kobieta prawie osiemdziesięcioletnia, nie miała tyle szczęścia. Zmarła, panie Pascoe. Zmarła.

Pascoe wyprostował się na krześle i przybrał obojętny wyraz twarzy, żeby jak najlepiej zamaskować szaloną gonitwę myśli w głowie.

- Na grypę? Zabrali ją do szpitala?

- Nie, zmarła w domu. Nikt się tego nie spodziewał, ale wydaje mi się, że u ludzi w tym wieku taka śmierć nie jest niczym niezwykłym. Między innymi dlatego pani Unger tak stanowczo odmawia wystawiania mnie na te letnie zefirki, które traktuje jak syberyjskie zawieruchy.

- Jak to się stało, że Patrick Aldermann nie stanął przed sądem? - zaciekawiał się Pascoe. - Po śmierci pani McNeil stracił chyba szansę na to, że przez wzgląd na stare dobre czasy klientka mu odpuści. Skowyt oszukanych zapisobiorców musiał być chyba słyszalny w całym kraju!

- Otóż wcale nie. Owszem, w testamencie było kilka zapisów na rzecz starych przyjaciół, służących, paru organizacji dobroczynnych, ale pani McNeil nie miała żadnych bliskich krewnych, i pieniędzy spokojnie wystarczyło na spłacenie tamtych zobowiązań, a resztę majątku zapisała w całości i bezwarunkowo panu Patrickowi Aldermannowi z Rosemont. Jedynym oszukanym zapisobiorcą był więc sam Patrick.

- No proszę...

- Oczywiście spotkałem się z adwokatem pani McNeil. Znaliśmy się już wcześniej i chciałem, żeby dowiedział się o wszystkim ode mnie, zanim sam zauważy, że coś tu nie gra. Chociaż wcale nie mam pewności, że cokolwiek by zauważył. Długo się zastanawialiśmy, co dalej, ale w końcu uznaliśmy, że nie ma sensu wszczynać oficjalnego śledztwa.

Rzeczywiście, nie było, pomyślał Pascoe, ale trzymał język za zębami.

- Bardzo dokładnie przejrzałem resztę dokumentacji klientów Patricka, wszystko było w najlepszym porządku. Spotkałem się z nim, porozmawialiśmy po raz ostatni. Zapowiedziałem, że następnego dnia spodziewam się znaleźć na biurku jego rezygnację, i ją znalazłem. Powiedziałem mu również, że mam nadzieję więcej go nie spotkać, i nie spotkałem. I tylko kiedy czasem siaduję sobie tu w lecie i podziwiam niezwykle kolory kwiatów w ogrodzie, żałuję tamtej decyzji. Była słuszna, ale jej żałuję. Moi współcześni, którzy jeszcze nie pomarli, są tak samo unieruchomieni jak ja, panie Pascoe. Młodszy czasem mnie odwiedzają, ale szybko zaczynają niecierpliwie zerkać na zegarek. Wyobrażam sobie natomiast, że Patrick przyjeżdżałby do mnie, czynił mi zarzuty, że zaniedbuję róże, i popijał ze mną herbatę aż do zachodu słońca.

Capstick umilkł i opuścił głowę na pierś, jakby zasnął. Kiedy jednak Pascoe ostrożnie odsunął krzesło, żeby wstać, Capstick spojrział na niego z uśmiechem.

- Pan też już pędzi?

- Tak. Przykro mi, ale naprawdę czas na mnie.

- Naturalnie. Zbrodnie nie będą czekać. Coś panu w ogóle pomogłem?

- Wydaje mi się, że nawet bardzo - odparł ostrożnie Pascoe.

- A zaszkodziłem Patrickowi? - spytał smutnym głosem gospodarz.

- Trudno powiedzieć, panie Capstick. To skomplikowane.

Pascoe wstał i ostatni raz rzucił okiem na ogród. Wydawało mu się, że w nieruchomym powietrzu słyszy śpiew młodych głosów.

- Wieczorne nabożeństwo i próba chóru - wyjaśnił Capstick, widząc, jak nadstawia ucha. - Nie wiedziałem, że już tak późno. Starzy ludzie nie zauważają upływu czasu. Mam nadzieję, że nie zepsułem panu planów związanych z kolacją.

- Oczywiście, że nie. Ja również mam nadzieję, że zdąży pan na kolację. Czy to ten sam kościół, w którym zginął teść pana Aldermanna?

- Patricka? Tak, ten sam. To była prawdziwa tragedia.

- Był pan tutaj, kiedy to się stało?

- Nie, akurat nie. Była sobota, a ja na weekend wyjechałem z domu. Za to pamiętam, że wszyscy we wsi o tym mówili, kiedy wróciłem.

- Mhm - przytaknął Pascoe.

Sam nie wiedział, czy jest zawiedziony, czy jednak nie.

- To był bardzo porządny gość, ten Somerton. Może trochę zanadto poważny, ale porządny.

- Znalście się panowie? No tak, naturalnie, wasza kancelaria prowadziła księgowość kościoła.

- Jest pan dobrze poinformowany - przyznał Capstick. - Ale kościelne rachunki to nie wszystko, zarządzaliśmy również prywatnym majątkiem Somertona. To była całkiem ładna, okrągła sumka, około pięćdziesięciu tysięcy. To dlatego myślałem, że młoda Daphne wspomże Patricka finansowo. Najwyraźniej się pomyliłem.

- Pańska kancelaria zajmowała się osobistymi inwestycjami wielebnego Somertona? - upewnił się Pascoe.

- No tak... A co?

- Nic. - Pascoe się uśmiechnął. - Zwykła ciekawość policjanta.

Ściskając na pożegnanie dłoń Capsticka i zbierając się do wyjścia, myślał o Patricku Aldermannie umawiającym się na lunch z uczennicą, która przyszła do kancelarii w jakiejś kościelnej sprawie, i o tym, jak nieco później tego samego dnia pod jakimś pretekstem wyjął akta jej ojca i z zachwytem przekonał się, ile jest warta.

Dręczony takimi właśnie mrocznymi myślami, Pascoe wrócił do komisariatu, gdzie z niejakim zaskoczeniem zastał czekających na niego sierżanta Wiolda i kadeta Singha.

Wszyscy trzej weszli do gabinetu Pascoe; Wiold był tak samo nieustępliwie brzydki jak zwykle, a na śniadej, przystojnej twarzy Singha malowała się niepewność, czy za chwilę czeka go kara, czy pochwała.

- Powinien pan chyba wysłuchać, co kadet Singh ma do powiedzenia, panie komisarzu - powiedział Wiold.

Pascoe wysłuchał.

- No, no... - mruknął.

Maskarada

(*Masquerade*. Odmiana wielokwiatowa. Bardzo bujna. Kwitnie przez cały sezon. Kwiaty o lekko nieregularnym pokroju i barwach od żółtej, przez różową, do czerwonej).

Andrew Dalziel się nudził. Osobiście uważał, że gdyby Bóg chciał, żeby policjanci uczestniczyli w konferencjach, poprzyklejałby im tyłki do krzeseł. Języki zresztą pewnie też.

Sobota, czyli dzień otwarcia konferencji, była jeszcze w porządku: spotkał starych znajomych, pogadali, popili - ale po wypełnionej wykładami i seminariami niedzieli był skłonny wstąpić do Towarzystwa Obchodów Dnia Bożego.

W poniedziałek wyszedł z hotelu wcześniej rano z wyświechtanym planem miasta w garści i udał się na Denbigh Square. Przed wyjazdem spisał sobie z trzymanyh przez Pascoe akt adres Penelope Highsmith - bez żadnych konkretnych zamiarów, raczej intuicyjnie, na wypadek gdyby zmienił zdanie i postanowił jednak coś zrobić w sprawie Aldermanna. Woodfałł HoUse okazał się starą, wysoką kamienicą zbudowaną w dzielnicy Victoria. Dalziel przebiegł wzrokiem umieszczoną pod szkłem na portyku listę nazwisk, po czym poszedł do siedziby Scotland Yardu.

Spóźnieniem zapracował na kilka dezaprobujących spojrzeń; ale w porze obiadu wrócił na Denbigh Square. Niestety, w czasie jego pobytu drzwi wejściowe Woodfałł House otworzyły się tylko raz - kiedy wszedł przez nie starszy mężczyzna z psem.

Kiedy spóźnił się na popołudniową sesję, dezaprobata zmieniła się w groźną niechęć.

Po ogłoszonym przez czarnoskórego funkcjonariusza z Miami wykładzie o pracy policji w środowiskach zróżnicowanych pod względem rasowym, rozpoczęła się dyskusja. Dalziel włączył się do niej z zapałem, powątpiewając w użyteczność amerykańskich doświadczeń dla Brytyjczyków.

- Nam się tutaj cały czas powtarza, że potrzebujemy więcej czarnych w policji - zaczął. - Może to i dobry pomysł, nie wiem, ale nawet jeśli tak, to musimy się nauczyć wykorzystywać was w jakiś inny sposób, niż wy to robicie. Z tego, co widzę w telewizji, u

was jest pełno czarnych w policji, a mimo to, bijecie nas na głowę liczbą aktów przemocy na tle rasowym.

Szeregowi policjanci odpowiedzieli stłumionym śmiechem. Szefostwo spojrzało na Dalziela spode łba.

- Pan wybaczy - odparł Amerykanin - ale czy na swoim terenie często ma pan do czynienia z napięciami międzyrasowymi?

- Tylko kiedy odwiedzi nas drużyna z Londynu.

Niżsi stopniem zarechotali głośno. Wierchuszka powtórzyła pod nosem i zanotowała sobie nazwisko Dalziela.

Wymknął się natychmiast po zakończeniu sesji, zanim ktoś zdążyłby go przechwycić, i tym razem dopisało mu szczęście: kiedy dotarł na Denbigh Square, pod Woodfall House zajechała taksówka. Od razu rozpoznał kobietę, która z niej wysiadła. W myślach usiłował dodać półtorej dekady do zapamiętanego z przeszłości obrazu, ale wysoka elegantka w obcisłych sztruksach i lekkiej bawełnianej kurtce prawie się nie zmieniła. Nawet niesforne kręcone włosy miała tak samo czarne jak dawniej. Uprzejmie zamieniła kilka słów z taksówkarzem, zapłaciła mu i lekkim krokiem wbiegła po schodach.

Dalziel podszedł bez pośpiechu, zatrzymał się, jakby coś zwróciło jego uwagę, i z wahaniem zerknął na kobietę otwierającą drzwi. Spojrzała na niego pytająco.

- Penny? - spytał. - Nie może być! Penny Highsmith?!

- Zgadza się. A kim pan jest, do licha?

- Andy Dalziel. Pewnie mnie sobie pani nie przypomina, ale kiedy mieszkała pani w Yorkshire, bywała pani czasem w sobotnie wieczory w klubie rugby. Tam się poznaliśmy. Andy Dalziel.

- Andy Dalziel? Ależ tak, na Boga, pamiętam! Byłeś gliną, prawda? Andy Dalziel! A niech mnie, przytyło się trochę, co?

- Troszeczkę. - Dalziel z uśmiechem wszedł na schody. - Za to ty się nic a nic nie zmieniłaś. Jak tylko cię zobaczyłem, pomyślałem: albo to jest Penny Highsmith, albo Penny ma sobowtóra. Co słyhać?

Wyciągnął rękę. Penny uścisnęła ją niepewnie, za to on energicznie potrząsnął jej dłonią.

- No proszę, jaki ten świat jest mały - ciągnął. - Bardzo mały.

- Tak... Chyba rzeczywiście.

Stali przed drzwiami, klucz tkwił w zamku, ale nic nie wskazywało na to, żeby chciała zaprosić gościa do środka. Dalziel pamiętał ją jako spokojną i niefrasobliwą dziewczynę, ale życie w Londynie potrafi u każdego stępić poczucie gościnności.

- Przyjechałem na konferencję w Yardzie - wyjaśnił.

- W Yardzie?

- Scotland Yardzie.

- Czyli nadal jesteś w policji. Myślałam, że po czterdziestce wszyscy idziecie na emeryturę.

- Nie wszyscy. A ty? Co porabiasz?

- Różnie...

- No to świetnie! - Dalziel się rozpromienił. - Opowiem chłopakom w klubie, że cię spotkałem, ale teraz muszę lecieć. Właśnie wracałem do hotelu; o tej porze zwykle siedzimy już przy herbatce. Trzymaj się, na razie.

Jeszcze raz podali sobie ręce, Dalziel odwrócił się i zaczął schodzić po schodkach. Jeśli Penny go nie zawoła, zanim znajdzie się trzy stopnie od chodnika, będzie musiał coś wymyślić.

Odezwała się, gdy stanął na czwartym stopniu od dołu:

- Czyli masz teraz wolną chwilę? - spytała. - Może wpadłbyś do mnie na herbatę?

- Bardzo to miłe z twojej strony. - Dalziel odwrócił się do niej. - Nie chciałbym sprawiać kłopotu, ale na chwilę... Chętnie.

Mieszkanie było wygodne, chociaż nie luksusowe - typowe lokum kobiety aktywnej, która więcej czasu spędza poza domem niż w domu.

Dalziel rozparł się wygodnie w głębokim fotelu i patrzył, jak Penny Highsmith krząta się przy parzeniu herbaty. Bez kurtki jej krągła figura prezentowała się jeszcze lepiej, zwłaszcza pod półprzezroczystą jedwabną bluzką ze stójką, która maskowała zdradzające wiek zmarszczki na szyi - bo poza tymi zmarszczkami niewiele wskazywało, że ma pięćdziesiąt kilka lat, a nie czterdzieści, na jakie wyglądała. To nieuczciwe, pomyślał Dalziel. To mężczyźni powinni starzeć się z wdziękiem, tymczasem te same lata, które tylko zaokrągliły biust Penny, rozdeły jego brzuch do ogromnych rozmiarów.

No, ale nie przyszedł tu po to, żeby ją uwieść. Chociaż kiedyś, dawno temu...

Pamiętał taką jedną potańcówkę w klubie, balangę jakich wiele, na której piwo było nie mniej ważne od tańców. Prawie nie wstawał od baru, co najwyżej po to, żeby pójść do

łazienki. I po jednej z takich właśnie wycieczek wpadł na Penny Highsmith wychodzącą z damskiej toalety. Z oddali dobiegały dźwięki nastrojowego walczyka. Poprosił ją i przetańczyli najpierw przez cały korytarz, potem przez drzwi do szatni... I tam, w ciemności, w atmosferze gęstej od potu i zapachu maści rozgrzewającej, objęli się namiętnie. Błądzące po omacku ręce Dalziela nie napotkały szczególnego oporu, ale w tej samej chwili za drzwiami rozległ się krzyk: „Andy! Andy Dalziel?! Gdzież on jest, do diabła? Andy? Wzywają cię! Masz wracać na posterunek, i to migiem!”.

Dalziel nic sobie z tego nie robił, ale Penny szepnęła: „Nie, bo za chwilę tu wejda. Później. Będzie jeszcze okazja”.

Nie było. Obowiązki służbowe nie tylko zniszczyły moje małżeństwo, pomyślał z goryczą, ale też wielokrotnie uniemożliwiły skok w bok.

- Proszę. Prawie mnie kiedyś bzyknałeś w klubowej szatni, prawda?

Jej głos tak zgrabnie wpasował się w jego myśli, że zakłopotany Dalziel aż podskoczył. Chyba nie myślał na głos?

Penny postawiła przed nim tacę z herbatą i usiadła na niskim pufie obok fotela.

- Przepraszam - powiedziała. - Zaszokowany? Nie wiedziałam, że gliniarza można czymś zaszokować.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu - i w jednej chwili upodobniła się do tamtej Penny sprzed lat: spokojnej i niefrasobliwej, a przy tym niezależnej, zaradnej, samodzielnej, lubiącej przyjemności, mało absorbującej, ale nie zgadzającej się na uwiązanie przez innych. I bardzo, ale to bardzo atrakcyjnej.

- To nie szok, to po prostu... żal. Na Boga, Penny Highsmith, czas ci służy.

- Ty się zaokrągliłeś, alkohol i nieprzespane noce też zostawiły widoczne ślady, ale specjalnie się nie zmieniłeś. Andy Dalziel, twardy, szybki, brutalny!

Zaśmiała się, żeby złagodzić wydźwięk tego komentarza. Dalziel też się roześmiał; potraktował jej słowa jako komplement.

- Wyjechałaś - powiedział. - W jednej chwili byłaś tam, w następnej zniknęłaś.

- No, nie poszło to aż tak szybko, chociaż zawsze chciałam wyjechać. Yorkshire było w porządku, ale tęskniłam za Londynem. W ogóle pierwszy raz pojechałam na północ tylko na parę tygodni, żeby zaopiekować się ciotką Florence. Potem ona umarła, ja dostałam w spadku dom i pieniądze... Nie od razu. Zanim sprawa została do końca wyjaśniona, mój syn poszedł do szkoły. Podobało mu się w Yorkshire; pewnie dlatego, że wcześniej wiedliśmy dość nieuporządkowane życie. W każdym razie nie chciałam psuć mu szczęścia, więc na kilka

lat osiadłam na północy... Wybacz, że to powiem, ale kilka lat to było dla mnie aż za dużo. Często się. Nie jestem chyba specjalnie udomowiona.

Dalziel nalał sobie herbaty i posłodził, ograniczając się do dietetycznej dawki cukru, czyli dwóch czubatych łyżeczek.

- Nie wyszłaś za męża?

- Nie. Po co?

- Taka ładna dziewczyna... Chętnych na pewno nie brakowało.

- To prawda. - Uśmiechnęła się szeroko. - Wiesz, że aukcja się kończy, kiedy oferty przestają napływać. Wtedy trzeba się śpieszyć: po raz pierwszy, po raz drugi, po raz trzeci... Sprzedane! Ale nie, ja zawsze ceniłam sobie niezależność. Prawdę mówiąc, większość ludzi ją sobie ceni, tylko nie wszyscy sobie z nią radzą. Miałam trochę szczęścia, młodo urodziłam Patricka i sama go wychowałam, więc odebrałam solidną lekcję niezależności. Bywało ciężko, ale było warto.

- Patrick... - Dalziel upił łyk herbaty. - Tak ma na imię twój synek?

- Synek, też coś! Od dawna jest dorosły.

- I co, nadal mieszka gdzieś u nas? Czy też się przeprowadził?

- Nie, został w tym starym domu. Od samego początku miał lekkiego hyzia na jego punkcie. Potrzeba by chyba dynamitu, żeby go stamtąd wyciągnąć.

- Widujecie się czasem? Odwiedzasz go?

- Rzadko. - Penny zmierzyła Dalziela podejrzliwym spojrzeniem. - Co ty się tak dopytujesz?

Dalziel zwykle przedkładał frontalny atak nad owijanie w bawełnę, tym razem jednak instynkt mu podpowiadał, że więcej zdoła osiągnąć podstępem niż konfrontacją.

Mrugnął znacząco i odparł:

- Tak się zastanawiam, czy nie miałabyś ochoty na sentymentalne spotkanie w tamtej szatni.

Penny się roześmiała, głośno i szczerze. To też zawsze mu się w niej podobało - że jej śmiech nie brzmiał jak zgrzytliwy jazgot papugi.

- Nie, nie spędzam tam aż tyle czasu. Ot, wpadam czasem na weekend, żeby zobaczyć wnuki. Ożenił się. Patrick się ożenił, i to z córką pastora, niezwykle szanowaną. Pewnie żeby odpokutować za grzechy matki-skandalistki! To miła dziewczyna, dobrze się u nich czuję, ale dwie noce w zupełności wystarczają. Nie rozumiem, jak mogłam na lata utknąć w tej gigantycznej stodole!

- Dom naprawdę jest aż tak ogromny?

Penny zastanawiała się przez chwilę.

- Właściwie to chyba nie. Ale sypialni ma z pół tuzina, czyli niedorzecznie dużo dla dwojga; potrzeba by sporej rodziniki, żeby go zappełnić. Poza tym nie ma w nim nic szczególnego, tylko ten przeklęty gigantyczny ogród. Co ja mówię, ogród, to prawdziwy park jest! A dalej rozciągają się lasy, pola... Od sąsiedniego domu dzieli go co najmniej mila.

Dalziel dolał sobie herbaty.

- Dziwię się, że go nie sprzedałaś.

- Ależ sprzedałam. Prawie. Wszystko było załatwione w taki sposób, żeby do transakcji doszło, kiedy Patrick skończy gimnazjum; myślałam, że to będzie dobry moment na taki przełom. Chciał studiować księgowość, a ja doszłam do wniosku, że równie dobrze może to robić tu, w Londynie. Ale nie wyszło.

Penny spojrzała na zegarek. Dalziel w przejawie niezwyklej u niego delikatności zaczął ważyć w myślach zalety i wady kontynuowania rozmowy w tej chwili lub przełożenia jej na później. To drugie rozwiązanie było ryzykowne: jeżeli Penny odmówi, naciskanie na dalszą rozmowę tu i teraz będzie wyglądało bardzo podejrzanie. Z drugiej strony, kilka drinków może zdziałać cuda. Poza tym odkrył, że ma szczerą ochotę jeszcze raz spotkać się prywatnie z Penny Highsmith.

- Nie będę cię zatrzymywał - powiedział, dźwigając się z fotela. - Myślisz, że udałoby się nam jeszcze spotkać? Warto byłoby się porządnie pośmiać, a poza tym, takiemu prowincjuszowi jak ja przydałby się ktoś miejscowy, kto by go oprowadził po mieście i nie pozwolił oskubać z kasy.

- Oskubać? Ciebie? - zadrwiła Penny. - Równie dobrze można by próbować oskubać kawałek chodnika.

- Tak naprawdę jestem bardzo wrażliwy. - Dalziel uśmiechnął się od ucha do ucha. - To jak będzie?

Zawahała się.

- Dzisiaj jestem już umówiona... Właściwie do końca tygodnia jestem raczej zajęta.

Szlag by to trafił, pomyślał Dalziel. Trzeba było siedzieć na tyłku.

- Chyba żeby w piątek udało mi się coś wymyślić. Tak będzie dobrze?

Dalziel zaczął myśleć ze zdwojoną szybkością. Piątek, ostatni dzień konferencji. Będzie pożegnalny bankiet, czyli masa nudnych przemówień. Gościem honorowym był jakiś emerytowany sędzia, który miał mówić o współczesnej interpretacji prawa. Na Boga, w tej robocie częściej wysłuchuje popierdysów takich staruchów niż ma okazję zjeść wieczorem coś na ciepło. Połączenie jednego z drugim wydało mu się zaś wyjątkowo nieatrakcyjne.

- Piątek będzie idealny. Co powiesz na ósmą wieczór? Doskonale. Może zarezerwowałabyś nam miejsce w jakiejś sympatycznej knajpce, żebyśmy mogli coś przekąsić? Bo jeśli zdasz się w tej sprawie na mnie, wylądujemy pewnie na rybie z frytkami!

Zatrzymał się przy drzwiach. Zostało jedno pytanie, zapewne ostatnie. A Penny mogła przemyśleć sprawę, zmienić zdanie i zostawić mu wiadomość w Yardzie, że jednak nie ma czasu na randkę.

- Nie powiedziałaś w końcu, dlaczego nie sprzedałaś domu - zauważył. - Nie było chętnych?

- Nie, to nie to. Z łatwością znalazłam kupca. Wszystko było załatwione, musieliśmy tylko podpisać umowę.

- I? - ponaglił Dalziel.

- Kupiec zmarł - odparła Penelope Highsmith.

Nemezys

(*Nemezys*. Odmiana karłowata. Kwiaty pomponikowe, drobne, fioletowoszkarłatne z miedzianym połyskiem, zebrane w grona na mocnych młodych pędach).

- Musimy znać ich nazwiska - powiedział Wiel.

Twarz Singha stała się śniadą maską cierpienia.

- Po co? Kiedy wczoraj z panem rozmawiałem, nie pytał pan. A ja chłopakom powiedziałem, że to nie ma nic wspólnego z tymi porysowanymi samochodami.

- To przestępstwo - upierał się sierżant.

- Wiem, ale myślałem, że interesuje was tylko ta babka z volkswagena, pani Aldermann.

- Nie ty będziesz decydował, co nas interesuje - warknął Wiel. - Ty masz pilnować przestrzegania prawa, słuchać rozkazów i w nic nie wdepnąć, oto co masz robić.

Dlaczego on mnie tak nienawidzi? Singh nie mógł się nadziwić. Kiedy poprzedniego dnia opowiedział Wielowi o wynikach swojego detektywistycznego ćwiczonka, wydawało mu się, że dostrzega w jego oczach cień aprobaty - albo przynajmniej zainteresowania. Teraz jednak widział w nich wyłącznie tę przerażającą obojętność, która nie mogła być niczym innym, jak tylko zasłoną dla antypatii.

Wiel obserwował go beznamiętnie, modląc się w duchu, żeby ta rozmowa jak najszybciej dobiegła końca. Odkąd pierwszy raz zobaczył chłopaka, postanowił mieć z nim jak najmniej do czynienia. W innych okolicznościach łatwo byłoby mu dotrzymać danej sobie obietnicy, ponieważ kontakt przeciętnego kadeta z WK był zwykle incydentalny i przelotny - ale los, Dalziel i Pascoe zdecydowali inaczej. Im częściej zaś Wiel widywał Singha, tym wyraźniej czuł, że jego pierwsza reakcja się potwierdza. Wiel go kochał. Nie! Wzdragał się na to słowo. Singh go pociągał, zauroczył... Wiel nie był pewien, co się z nim dzieje. Wiedział tylko, że to niebezpieczne.

Mijał prawie rok od zakończenia długiego związku, który - jak sądził sierżant - miał trwać wiecznie, ale zabiła go odległość, kiedy jego przyjaciel wyprowadził się do pracy do

miasta odległego o sto mil. Wiel - zapalony motocyklista - nie przejął się zbytnio tą przeprowadzką, nawet jeśli niepewne i nieregularne godziny pracy sprawiały, że najczęściej to on jeździł do przyjaciela, a nie odwrotnie. Analizując tę sprawę później, doszedł do wniosku, że po prostu wolał jeździć; odpowiadało mu, że musi pokonać jakiś dystans, bo dzięki temu udawało mu się wyraźnie oddzielić pracę od życia. Tamten potrzebował jednak bliskości i z czasem ich związek zwiądnął i obumarł.

Potem nadszedł czas na przemyślenia. Rozgoryczenie i wstręt do samego siebie omal nie doprowadziły go do odrzucenia dyskrecji i ujawnienia się - ale w ostatniej chwili się wycofał. Jak zwykle. Za otwartość zapłaciłby utratą pracy. Znał na pamięć swoje prawa, wiedział o liberalizacji współczesnego świata - ale wiedział również, że w Wydziale Kryminalnym policji w Yorkshire będzie skończony. A co miał w tej chwili z życia poza pracą? Nic. Wypełniał obowiązki służbowe, pielęgnował szczątkowe życie towarzyskie, przygotowywał się do następnego egzaminu policyjnego, oglądał telewizję. Wodze wyobraźni puszczał tylko oddając się z zapamiętaniem swojej jedynej pasji literackiej: lekturze powieści H. Ridera Haggarda, zwłaszcza tych, w których występował ten brzydki, niewyrośnięty myśliwy, Alan Quatermain, którego stale otaczali niezwykle przystojni młodzi mężczyźni. Wielowi nie przyszło do głowy, że to przejaw sublimacji, ponieważ w ogóle nie myślał w takich kategoriach. Przynajmniej czuł, że trzyma życie mocno w garści - nawet jeśli tkwił w emocjonalnej pustce.

Pewnego dnia znajdzie się ktoś inny, tego Wiel był pewien. Nie był jednak typem człowieka wchodzącego w związki szybkie i tymczasowe. Pewnego dnia znajdzie się ktoś inny, równy mu wiekiem, dojrzałością i dyskrecją.

Tymczasem musiał ze zgrozą przyjąć do wiadomości, że widok tego chłopca rozbudzał w nim takie emocje! Fakt, że dotyczyło to samego środka tej sfery życia, którą tak starannie oddzielał od sfery uczuć, dowodził poważnego zagrożenia.

Dlatego znów musiał grać gliniarza bez serca, chociaż nie do końca wiedział, po co to robi. Wieczorem poprzedniego dnia Pascoe porozmawiał przez telefon z Dalzielem, a dziś rano zapowiedział, że trzeba będzie ściągnąć młodziaków na komisariat.

- No, młody, nie wyglupiaj się - powiedział Wiel. - Musi ich przesłuchać ktoś, kto zna się na rzeczy.

- Tylko o to chodzi? - Singh uczeplił się tej drobiny pocieszenia. - Żeby jeszcze raz opowiedzieli, co widzieli? Nie będziecie ich ścigać za zniszczenie samochodu?

Wiel chętnie obiecałby mu, że nie, wątpił jednak, żeby w praktyce było to takie proste - zwłaszcza jeżeli tamci przyznają się do winy. A chłopakowi nie zaszkodzi, jeśli na

własnej skórze się przekona, że wstąpienie do policji oznacza zmianę w relacjach z dawnymi kumplami. Poza tym, może się wreszcie nauczyć, żeby schodzić Wieldowi z drogi. To by bardzo uspokoiło sytuację.

- Nie wiem, co postanowi pan Pascoe - odparł grobowym głosem, po czym, poruszony do żywego nieutulonym żalem malującym się na twarzy chłopaka, usłyszał samego siebie, jak mówi dalej: - Ale zanim będzie można iść z tym do sądu, musieliby się przyznać, a jeśli oglądają telewizję, to chyba wiedzą, że tego robić nie należy, co?

Singh trochę się rozchmurzył.

- Z nazwiska znam tylko dwóch - powiedział. - To moi kumple ze szkoły: Mick Feaver i Jonty, to znaczy John, Marsh.

- Feaver i Marsh - powtórzył Pascoe. - Co o nich wiemy?

- O Feaverze nic. Marsh ma na koncie jakieś młodociane przechery, ale nic poważnego. Za to jego rodzina zawsze była na bakier z prawem. Na pewno słyszał pan o jednym z jego starszych braci, Arthurze.

- Arthur Marsh? Brzmi znajomo... Proszę powiedzieć coś więcej.

Wield, który przewidział taką reakcję komisarza, sięgnął po akta Marsha.

- Najpierw, podobnie jak John, szaleństwa młodości, potem zawiasy za drobne kradzieże z domów, które odwiedzał jako serwisant telewizorów. Wylali go z pracy, więc zaczął się włamywać i kraść same telewizory. Dostał półtora roku, wyszedł, znów zatrudnił się jako technik, firma splajtowała, zasiłek... Pół roku temu wyrok za podanie fałszywych informacji: pobierał zasiłek w pełnej wysokości, ale dorabiał sobie na boku. - Wield prześliznął się wzrokiem po dokumencie, zatrzymał u dołu strony i uśmiechnął się złowieszczo. - Miał pecha: pomagał kłaść trawnik u jakiegoś waźniaka z ubezpieczeń społecznych. Rano gościu zobaczył Arthura z kumplami przy robocie, a po południu w kolejce po zasiłek.

- Pech - przyznał Pascoe. - Ile dostał?

- Tylko grzywnę. Pewnie wystąpił o dodatkowe świadczenie, żeby mieć z czego zapłacić.

- To potwierdza przypuszczenia młodego Singha. Marsh to może być twardy orzech do zgryzienia. Zacznijmy od niego, Feaver niech jeszcze skruszeje.

- Jasne. Do pokoju przesłuchań z nim?

- Nie. Proszę przyprowadzić go tutaj. Tylko niech pan nie wspomina o jego bracie, nic z tych rzeczy. Pójdziemy dalej drogą wytyczoną przez kadeta Singha; niech Marshowi się wydaje, że jest po prostu porządnym obywatelem.

Po chwili do pokoju dumnym krokiem wszedł Jonty Marsh, zadziorny, ale czujny.

- Proszę siadać, panie Marsh - zagał Pascoe. - Dziękuję, że pan przyszedł.

Przez następne kilka minut delikatnie podsycił w Marshu pewność siebie, podkreślając znaczenie świadka w pracy policji, aż czujność prawie całkiem zanikła. Wielki w milczeniu siedział z boku i podziwiał technikę Pascoe, który odpytał chłopaka z wydarzeń na parkingu do momentu, gdy Daphne Aldermann wysiadła z samochodu, a wtedy porozumiewawczym mrugnięciem dał znać Wielkiemu, żeby przejął świadka.

Sierżant wprawdzie nie do końca zrozumiał ten zabieg, ale podążył dalej oczywistym tropem i wypytał Marsha o samochód, do którego wsiadła pani Aldermann. Marsh z początku potwierdził, że było to bmw, ale naciskany przez ponurego Wielkiego przyznał w końcu, że wcale nie jest pewien, że właściwie cytuje tylko słowa Micka Feavera. Przypomniał sobie natomiast, że samochód był granatowy, i powtórzył to, co mówił wcześniej Singhowi - że miał przyciemniane szyby.

Wielki doszedł do momentu, w którym granatowe bmw zniknęło chłopakom z oczu, i zrobił krótką przerwę. Pascoe wyjął papierosy i poczęstował Marsha.

- Doskonale, Jonty - powiedział z aprobatą. - Mogę tak do ciebie mówić? Jonty? Pierwsza klasa. Chciałbym, żeby wszyscy nasi świadkowie byli tak jednoznaczni. Powtórzmy: potwierdzasz, że zielony volkswagen polo, z którego wysiadła ta kobieta, to ten sam volkswagen, który został porysowany?

- Tak jest. - Marsh wydmuchnął dym. - Absolutnie.

- Zeznałbyś tak pod przysięgą?

- Przecież mówię! - obruszył się Marsh. - Jestem na sto procent pewien.

Pascoe nie odpowiedział, przyglądał mu się tylko z zainteresowaniem. Na twarzy chłopaka odmalowały się kolejno zaskoczenie, powątpiewanie, a na końcu zgroza.

- To znaczy, nie... Ja...

- Wystarczy, Marsh - przerwał mu Pascoe. - Przynajmniej na razie.

Kazał wyprowadzić chłopaka. Wielki z uznaniem pokiwał głową.

- Ładnie - powiedział. - Przyznał się, aż miło, ale...

- Weźmy tego drugiego - wszedł mu w słowo Pascoe.

Z Feaverem rozegrał to zupełnie inaczej.

- Wiemy, że razem z kumplami porysowaliście tamte samochody, więc mam nadzieję, że nie będziemy na to tracić czasu - warknął.

- Nie, proszę pana - wyjąkał Feaver.

- Co to ma znaczyć? Zaprzeczasz?

- Nie, chodziło mi o to, że nie będziemy tracić czasu... No bo...

- Czyli porysowaliście te samochody, tak? Powiedz to!

- Tak, porysowaliśmy te samochody - powtórzył potulnie chłopak.

- Tak lepiej. A teraz chcę, żebyś nam pomógł. Zostanie ci to zapisane na plus.

Od tego momentu schemat przesłuchania był taki sam jak poprzednio: Pascoe wypytał świadka o wydarzenia sprzed przesiadki pani Aldermann, po czym oddał go Wieldowi. Feaver był całkowicie pewny, że drugim samochodem było bmw 528i. Granatowe, ze srebrnymi akcentami. Dwie anteny. W numerze rejestracyjnym oprócz iksa i dziewiątki, o których powiedział już Singhowi, dodał teraz prawdopodobną dwójkę.

Na koniec Pascoe podsunął mu kartkę papieru i kazał podać nazwiska i adresy pozostałej trójki.

- Coś przegapiliśmy? - spytał Pascoe Wielda, gdy Feaver został wyprowadzony z pokoju.

- Jeżeli zamierzamy ich przyskrzynić za te podrapane auta, to może trzeba było wydebić od nich zeznania, póki byli w nastroju? Chociaż nie mam wrażenia, żeby zależało panu akurat na ich zeznaniach...

W głosie Wielda zabrzmiał dyskretny wyrzut.

- Rzeczywiście, nie. Proszę ich tu wprowadzić razem.

Tym razem chłopcy nie dostali krzeseł: stanęli przed biurkiem, za którym siedział obserwujący ich z marsową miną Pascoe.

- Obaj przyznaliście się do przestępstwa polegającego na uszkodzeniu mienia, a konkretnie czterech samochodów zaparkowanych na parkingu wielopoziomowym przy dworcu autobusowym. Powiedziałem wyraźnie: obaj się przyznaliście - podkreślił, widząc oskarżycielskie spojrzenie, jakie Marsh posłał Feaverowi. - Sprawdziłem w archiwum policyjnym: macie czyste konta, co działa na waszą korzyść. Mamy tu również w komisariacie funkcjonariusza, który jest gotowy za was ręczyć. Biorąc to wszystko pod uwagę, postanowiłem zaryzykować. Wydam zalecenie, żeby na razie wstrzymać śledztwo. To nie znaczy, że postępowanie zostanie umorzone: będzie trwać tak długo, jak uznam to za stosowne. Musicie zrozumieć, że od teraz jesteście notowani i nie macie co liczyć na dalsze ulgi ani z mojej strony, ani ze strony innych funkcjonariuszy. Czy to jasne?

Pokiwali głowami. Pascoe czekał.

- Tak, proszę pana - powiedział Feaver.

Pascoe dalej czekał.

- Tak - przytaknął Marsh. - Jasne.

- Cieszę się. A teraz spadajcie, i żebym was tu więcej nie widział!

Ale Jonty Marsh nie dał się łatwo zastraszyć. Przystanął przy drzwiach, odwrócił się i zapytał:

- A co z tą drugą sprawą?

- Jaka drugą sprawą? - spytał Pascoe z kamienną twarzą. - Nie ma żadnej „drugiej sprawy”.

Kiedy drzwi zamknęły się za chłopcami, odpreżył się podał Wieldowi wyciągniętą od Feavera listę nazwisk.

- Proszę przypilnować, żeby ktoś z mundurowych pogadał sobie z tą trójką, dobrze?

- Tak jest. Dziękuję, panie komisarzu. W imieniu młodego Singha, ma się rozumieć.

- Za co? Co ja takiego zrobiłem? - zdziwił się Pascoe.

- Chociażby za to, że... - Wield zawiesił głos i uśmiechnął się krzywo. - Za nic.

Przecież nic pan nie zrobił.

- W takim razie cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

- Tak jest, panie komisarzu. Ale pozwoli pan, że zapytam... Jaka właściwie była w tym moja rola?

- Przepraszam, że tak to wyszło, ale wolałem, żeby to pan zadawał pytania o ten drugi samochód. Nie chciałem naprowadzać świadków.

- Na co?

i Na szczegóły wyglądu samochodu, do którego wsiadła Daphne Aldermann. Widzi pan, przypomniałem sobie, że znam kogoś, kto jeździ bmw 528i z rejestracją zaczynającą się od X, ciemnogrnatowym ze srebrnymi akcentami i przyciemnianymi szybami. Niedawno je widziałem. Spadły na nie drzwi od garażu.

- Elgood? - Wield nie krył zaskoczenia.

- Zgadza się. Dick Dandys. Przypomniałem sobie jeszcze coś: kiedy rozmawialiśmy u niego w biurze, wspomniałem o pańskiej wizycie w Rosemont pod pretekstem sprawy samochodu pani Aldermann, i odniosłem wrażenie, że skądś już o tym wie. A kto mógłby mu o tym powiedzieć, jeśli nie któreś z Aldermannów?

- Co dokładnie powiedział? - zainteresował się Wield.

Pascoe się zawahał. Dalziel odpowiedziałby w tym momencie, że to wzmianka Elgooda o „paskudach z WK” naprowadziła go na skojarzenie z Wieldem, ale on, Pascoe, nie był taki twardy.

- Nie pamiętam dokładnie, ale coś musiało być w tonie jego głosu, w doborze słów...
Tak czy inaczej, sprawdziłem samochód Elgooda i wiem, że dwie ostatnie cyfry numeru rejestracyjnego to 2 i 9.

- Co to oznacza?

- Wiemy teraz - odparł z namysłem Pascoe - że dzień przed tym, jak Dick Dandys przyszedł się nam poskarżyć, że jest następny na liście ofiar Patricka Aldermanna, gościł w swoim nadmorskim domku jego żonę!

Część trzecia

- Moim zdaniem nigdy w ogóle nie pomyślałaś o czymkolwiek - powiedziała Róża surowo.

Lewis Carroll,
O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra
(przeł. M. Słomczyński)

Nowina

(*News*. Odmiana wielokwiatowa. Kwiaty półpełne, fioletowobordowe. Kwitnie przez cały sezon).

Dick Elgood leżał na wznak, unosząc się na łagodnie falującym morzu. Gorące palce słońca pieściły mu skórę. W tej chwili czuł się zespolony z całym światem.

Gdyby lekko uniósł głowę i spojrzął w dal między swoimi stopami, zobaczyłby najpierw piętnaście jardów mieniącej się w słońcu wody, potem drugie tyle jasnożółtego piasku, a dalej upstrzone plamkami zieleni urwisko, na którym stał biały domek z ochrowym dachem. Prawie mógłby pomyśleć, że jest w Toskanii - ale Elgood miał w głębokim poważaniu zarówno Toskanię, jak i resztę świata leżącą na wschód od miejsca, w którym się znajdował. Nie zamierzał zapuszczać się dalej niż na ten kawałek wybrzeża Yorkshire, rozciągający się zaledwie godzinę drogi od jego biura.

Dwadzieścia lat temu, kiedy kupował ten dom, z miejsca, w którym w tej chwili pływał, widziałby tylko czubek komina. Od tamtej pory, co roku, zimą Morze Północne wyciągało zimne ręce i garściami wyrывało ziemię z miękkiego klifu, podkopując go, aż w końcu trawiasty brzeg osuwał się pod własnym ciężarem w dół.

- Ile jeszcze? - spytał Elgood.

- Może nawet pięćdziesiąt lat - odparł agent nieruchomości. - A może tylko dziesięć.

Elgood wyciągnął z tego średnią i podpisał umowę. Nie zawracał sobie głowy sukcesją, a podobała mu się idea budynku, którego los jest równie krótki i niepewny jak los człowieka. Poza tym, cena domu naprawdę sięgnęła dna, o ile w tym wypadku można tak powiedzieć.

Nigdy nie żałował tej decyzji. Tutaj przyjeżdżał, żeby się odprężyć - czasem w towarzystwie, czasem sam. Miejsce idealnie się nadawało zarówno na romans, jak i na wypoczynek.

Dzisiaj interesowały go wyłącznie rozkosze samotności. Po kilku dniach negocjacji i nieustannego napięcia udało się w końcu wypracować porozumienie z robotnikami w kwestii

zwolnień. To była ciężka praca, najcięższa w jego życiu. Przełom nastąpił poprzedniego dnia, kiedy podczas rozmowy w cztery oczy z szefem komitetu pracowniczego Elgood powiedział - szczerze, ale i chytrze:

- Jeżeli się nie dogadamy i dojdzie do strajku, jedyną pociechą będzie dla was fakt, że razem z wami ustawię się w kolejce po zasiłek.

Taka aluzja wystarczyła. Pracownicy dobrze wiedzieli, że każdy ewentualny następca Elgooda może być tylko gorszy od niego.

Dobili więc targu i dzisiejszy wtorek miał tylko dla siebie. To była jego terapia. Jego nagroda.

Albo i nie. Spod półprzymkniętych powiek dojrzał błyszczący w słońcu dach samochodu parkującego obok domku.

- Ożeż ty... - mruknął.

Przyszło mu do głowy, żeby zanurkować i przepłynąć pod wodą za cypel małej zatoczki, znikając w ten sposób z oczu intruzowi. Nie dałby jednak rady zbyt długo się ukrywać; zresztą, nigdy nie przepadał za chowaniem się przed ludźmi, przynajmniej dopóki w grę nie wchodziłi koledzy-nudziarze albo rozeźleni mężowie. Ten samochód był zwiastunem kłopotów albo przyjemności, a Elgood nie zwykł uciekać ani przed jednym, ani przed drugim.

Odwrócił się na brzuch i spokojnym kraulem ruszył do brzegu. Wyszedłszy z wody, sięgnął po ręcznik i usłyszał jakiś dźwięk. Zadarł głowę i rozpoznał schodzącego po urwisku gościa (wskutek erozji droga w dół była jednocześnie łatwa i niebezpieczna), ale nie pomogło mu to w rozstrzygnięciu, czy spotkanie będzie źródłem kłopotów, czy raczej przyjemności. Intruzem była Daphne Aldermann.

Zobaczył wysoką, smukłą kobietę o długich blond włosach związanych niedbale z tyłu głowy i odsłaniających twarz, której słońce i lekki wysiłek fizyczny nadawały piękno przekraczające możliwości zwykłej sztuki kosmetycznej. Pod spodniami i koszulą w kratę poruszały się długie, muskularne nogi i obfite piersi, na wspomnienie których ogarnęło go podniecenie.

Ona zaś ujrzała niskiego mężczyznę o siwiejących włosach, które - mimo że zwykle równo zaczesane - teraz, wilgotne od morskiej wody, sterczały na wszystkie strony ponad lekko asymetryczną twarzą; czujne, przenikliwe oczy podkreślały jej charakterystyczny pogodny wyraz. Kiedy się poznali, wydał jej się dość stary i raczej zabawny, ale to pierwsze wrażenie szybko minęło. Z początku bała się widoku starego, wychudzonego, ziemiście bladego ciała, okazało się jednak, że opalony i wysportowany Elgood prezentuje się bez

ubrania wcale nie najgorzej. Jeśli zaś chodzi o żywotność i wrażliwość tego, co skrywały kąpielówki, nie miała powodów do narzekań. Zresztą, w tej chwili w ogóle o tym nie myślała.

- Cześć, skarbie - powiedział Elgood. - Co za miła niespodzianka. Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Wczoraj wieczorem Patrick rozmawiał przez telefon z Erikiem Quayle'em, który mu powiedział, że dogadałeś się ze związkowcami i dziś pewnie przyjedziesz tutaj, żeby odpocząć.

- Rozmawiał z Quayle'em, powiadasz...

Korzystając z jego nieobecności, postanowili się umówić na spotkanie i zaplanować nową taktykę. Wiedział, że może sobie pozwolić na lekceważący uśmiech. Każdy z nich był przeświadczony, że wykorzystuje tego drugiego do swoich celów, ale obaj byli skazani na porażkę. Do zebrania zarządu, na którym zostanie poruszona kwestia obsady stanowiska dyrektora finansowego, został zaledwie tydzień. Elgood był praktycznie pewien, że po tym, jak sukcesem w negocjacjach potwierdził swoje wpływy w firmie, może spokojnie stawić czoła Quayle'owi, ale i tak nie zamierzał ryzykować. Dlatego jeszcze wczoraj zadzwonił do Londynu i puścił w ruch pewien sprytny mechanizm, który przy odrobinie szczęścia pozwoli mu raz na zawsze utracić nominację Aldermanna.

- A ty pomyślałaś, że odrobina słońca i starego Dicka ci nie zaszkodzą, tak? Świetnie. Cieszę się, że przyjechałaś.

Wziął Daphne za rękę, gotowy przyciągnąć ją do siebie, jeśli tylko by wyczuł, że to odpowiedni moment. Jednakże empatia, która stanowiła sekret jego miłosnych sukcesów i działała bezbłędnie nawet w chwilach najwyższego podniecenia, podpowiedziała mu, że Daphne nie jest gotowa na nic więcej. Przytrzymał więc tylko lekko jej dłoń i ruszył w stronę domku.

- Chodź - powiedział. - Napijemy się kawy i zaplanujemy resztę dnia. Na długo przyjechałaś?

Nie odpowiedziała, ale Elgood trajkotał pogodnie przez całą drogę na górę, kiedy wspinali się po zerodowanych kamieniach i prowizorycznych ziemnych stopniach na szczyt urwiska. Na górze zatrzymał się przy wbitym w ziemię pomalowanym na białą słupku, który co roku na wiosnę przesuwano w głąb łądu, znacząc zimowy zabór terenu. Czasem przesuwano go o dwa jardy lub więcej, czasem wystarczyły dwie stopy. W ciągu dwudziestu lat tylko raz zdarzyło się, że nie musiał przenosić słupka.

- Ten kołek cię nie niepokoi? - spytała Daphne. - Kiedy widzisz, jak się zbliża, niczym ślepiec opukujący laską drogę przed sobą: stuk, stuk, stuk. I tak rok w rok.

Elgood parsknął śmiechem.

- Masz wyobraźnię, kochana! Chociaż pomysł trochę makabryczny.

- Przepraszam. Pomyślałam po prostu o morzu, które podgryza nas od spodu, i nagle wydało mi się takie złowieszcze...

- Złowieszcze? No cóż, ja pewnie patrzę na to inaczej: syn górnika, wychowany w górniczej wiosce, gdzie o każdej porze dnia i nocy ktoś siedział pod ziemią i rył tunele pod naszymi stopami. Oczywiście nie było to morze, ale mógł to być mój ojciec, albo brat, albo najlepszy kumpel-ktoś, kogo znałem osobiście. Dlatego teraz mi to nie przeszkadza. Ba, sprawia mi przyjemność, że mogę zaszyć się zimą w domku, nasłuchiwać łoskotu fal i czasem wychwycić w nim odgłos pęknięcia i huk, kiedy kawał ziemi wali się do wody - bo wiem, że to tylko stare dobre morze; nie mój ojciec, nie mój brat, nie mój kumpel, nie żaden inny nieszczęśnik, którego znałbym z imienia.

- Ja to rozumiem - zapewniła go z zapalem Daphne. - Chodzi mi o to, że to miejsce jest takie śliczne, a zarazem takie nietrwałe.

- Inaczej niż ukochane przez twojego męża Rosemont, tak? Ale nawet Rosemont nie jest wieczne. Żyją tam przecież robaki i krety; nie zdziwiłbym się, gdyby w ogrodzie buszowały myszy i szczury. One wszystkie ryją w ziemi. Poza tym, tam, gdzie one dziś ryją, kiedyś była powierzchnia gruntu. Myślałaś o tym kiedyś? Górnicy wiedzą o tym najlepiej. Znajdują odciski liści, muszli, kości, stóp - utrwalone w kamieniu pół mili pod ziemią! Wobec takich powolnych zmian człowiek jest niczym; nic jego istnienia jest cienka jak włos. Dlatego, jeśli morze upomni się o mój dom szybciej, niż diabeł o moją duszę, będę się czuł tak, jakbym żył wiecznie!

Daphne się roześmiała.

- I to ty mnie zarzucasz bujną wyobraźnię?!

Widząc, że balsam jego słów wywarł na gościu pożądany efekt rozluźniający, Elgood zaproponował:

- Chodź, napijmy się wreszcie tej kawy.

Odesłał Daphne do niedużej kuchni, sam zaś poszedł się przebrać. Wiedział, że jak na swój wiek trzyma się doskonale i nie musi się bać wysiłku fizycznego - ani pływania, ani ognistej gry wstępnej. Zdawał sobie jednak sprawę, że ze swoim sześćdziesięcioletnim - choćby i najlepiej wytrenowanym - ciałem nie zniósłby chłodnej, obiektywnej oceny ze strony niezaangażowanej emocjonalnie kobiety.

A Daphne, jak się domyślał, nie była w tej chwili zaangażowana. Właściwie wątpił, by kiedykolwiek była.

Jej pierwsze słowa po tym, jak wniosła tacę z kawą do zwyczajnie wyglądającego, ale całkiem wygodnego salonu, potwierdziły jego domniemania:

- Dick... Chciałam ci powiedzieć, że między nami wszystko skończone.

- Aha.

Wystarczyłoby przysłać pocztówkę, pomyślał.

Jedną z żelaznych zasad, którymi się kierował, brzmiała: nigdy nie sprzeciwiaj się kobiecie, kiedy mówi, że to koniec - bo, albo mówi poważnie (wtedy opór i tak nie ma sensu), albo nie (wtedy spodziewa się oporu, a spełnienie oczekiwań kobiety zawsze jest nierozważne).

- Napij się kawy, kochanie - powiedział spokojnie. - A ja wzniosę toast: za przyjaźń. Spędziliśmy ze sobą piękne chwile, nikomu nie stała się krzywda... Dlatego oszczędźmy sobie wyrzutów sumienia i wzajemnych oskarżeń.

Uśmiechnął się do niej znad filiżanki i pożałował, że nie rozstali się wcześniej. Z własnego bolesnego doświadczenia wiedział, że następstwem niespodziewanych sukcesów często bywają poważne kłopoty. A powodzenie znajomości z Daphne Aldermann było jednym z najbardziej nieoczekiwanych wydarzeń w całym jego życiu.

Poznali się krótko po tym, jak Aldermann zaczął pracować w Perfekcie jako asystent tej pokraki, Chrisa Burke'a. Zatrudnienie go było aktem dobroczynnym, podyktowanym przez wzgląd na dawne czasy. Poderwanie jego żony było zaś aktem instynktownym, w którym chodziło o to, żeby nie wyjść z wprawy. Instynkt podpowiadał mu wprawdzie, że nie należy do niej startować, ale nie umiał się powstrzymać.

Zupełnie naturalnie przyszła mu sugestia (tak dyskretna, że później z łatwością mógł się jej wyprzeć), że Aldermann zajęcie miejsca Burke'a zawdzięcza w równym stopniu swoim zaletom, jak i urodzie Daphne. A kiedy na stypie po śmierci Timothyego Eaglesa zdybał Daphne w kącie sali, nie zdołał się oprzeć pokusie i - mimo że walka o władzę w zarządzie rozgorzała już na dobre - tak samo subtelnie zasugerował, że awans jej męża na stanowisko głównego księgowego jest w znacznej mierze uzależniony od wyrazu jej ślicznych niebieskich oczu. Była to z jego strony wyłącznie zwykła retoryka flirtu, pusta i sztuczna, która jednak, ku jego zdumieniu, wywołała odpowiedź, a właściwie reakcję, drugiej strony. Kiedy później o tym myślał, dochodził do wniosku, że Daphne puszczała mimo uszu jego miłosne aluzje, natomiast ożywiała się na każdą wzmiankę o posadzie i zarobkach. Widząc, że coś najwyraźniej chodzi jej po głowie, przybrał pragmatyczny ton i napomknął, że stypa nie jest chyba najlepszym miejscem do poważnej rozmowy.

Dwa dni później umówili się na drinka w przerwie obiadowej. Tydzień potem spotkali się ponownie. Atmosfera pozostawała rzeczowa, może była w niej nuta szczerzej przyjaźni - tak czy inaczej, niepewność sytuacji niepokoiła Elgooda. Częściowo postrzegał te spotkania jako okazję do uzyskania poufnych informacji o mętnej sytuacji finansowej Aldermanna, które mogły mu się przydać w nadchodzącej bitwie, a częściowo widział w nich podtekst erotyczny, jak przy grze wstępnej. Jeszcze inna jego część (nie bardzo potrafił wskazać, gdzie ulokowana) budziła go w środku nocy i szeptała mu do ucha, że zachowuje się nieprzyzwoicie i niemoralnie.

Dlatego podczas ostatniego z tych spotkań usiłował wytłumaczyć Daphne, że jej mąż dostał posadę głównego księgowego wyłącznie dlatego, że był pod ręką, a nie dlatego, że on, Elgood, tego chciał; napomknął też, że osobiście dołoży wszelkich starań, żeby zablokować wejście Aldermanna do zarządu. Jeszcze tego samego dnia, w piątek, odbył podobną w tonie rozmowę z samym Aldermannem, zakończoną pamiętnym „Po moim trupie!”.

I pewnie to właśnie był decydujący moment. Kompletnie zaskoczony odebrał w niedzielę telefon od Daphne: była wyraźnie poruszona i koniecznie chciała się z nim spotkać. Rano wybierał się do swojego domku na urwisku, żeby odpocząć po weekendzie, który musiał poświęcić głównie na sprawy służbowe, zaproponował więc, żeby spotkali się na parkingu i razem pojechali nad morze. Daphne nie była przekonana do tego pomysłu, ale w końcu się zgodziła i Elgood nie był wcale pewien, czy się pojawi, dopóki z miną początkującego szpiega nie wskoczyła mu do samochodu.

Po drodze nie rozmawiali o niczym konkretnym. Elgood widział wyraźnie, że Daphne nie bardzo wie, po co właściwie przyszła. Nie naciskał jej więc, słuchał tylko, jak mówi. Oprowadził ją po domku, potem poszli na spacer na plażę. Niebo było zachmurzone, morze szare i nieruchome. W najbardziej banalnym schemacie uwodzenia Elgood zaproponowałby kąpiel nago, ale przy takiej pogodzie scenariusz na razie pozostawał nienapisany.

Zdziwił się, słysząc, że Aldermann z optymizmem patrzy w przyszłość. W pewnym sensie Patrick był tam razem z nimi: jego pewność siebie, opanowanie i samozadowolenie były jak olbrzymie spokojne morze wobec ich wątpliwości, trosk i lęków, które - mimo że na pozór niewzruszone - stawiały mu tylko symboliczny opór, jak zbudowane z miękkiego kamienia urwisko.

Dochodziło południe, kiedy zaproponował, żeby coś zjedli; rozmowa przestała się kleić, potrzebowali więc innego zajęcia. Podał kurczaka na zimno, sałatkę i białe wino.

Mało zjedli, sporo wypili. Nie zamierzał upijać Daphne (chlubił się tym, że nigdy nie było mu to potrzebne), przestał jej więc dolewać do kieliszka, kiedy była jeszcze całkiem

trzeźwa, ale wyraźnie się odprężyła. Od chwili przyjazdu nie widział jej tak zrelaksowanej. Kiedy brał ją w ramiona, wyczuł napięcie innego rodzaju - determinację i świadomość nowicjuszki, że potrafi zrobić to, co do niej należy.

Kochali się. Pierwszy raz wypadł może nie nadzwyczajnie, ale z pewnością obiecująco. Daphne skrywała niezgłębione pokłady wrażliwości. Kiedy potem sączyli razem brandy, trajkotała wesoło, odreagowując napięcie, a Elgood zadowolony się spokojnym oczekiwaniem, aż odzyska siły, żeby móc na poważnie spróbować smakołyku, który dopiero zaczął rozpakowywać.

Wiał wiatr znad morza. Pnąc róża - w smutnym stanie zaniedbania i zarobaczywienia - pięła się po ścianie domku i przy silniejszych podmuchach jej łodyga tłukła o szybę. Daphne urwała w pół słowa i krzyknęła cicho.

- Co się stało?

- Nic. Tylko to stukanie... W pierwszej chwili pomyślałam, że to może Patrick!

- Przebrany za krzak róży? Tak, tego właśnie można by się po nim spodziewać.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ma obsesję na punkcie róż, nie uważasz? Podobno w szafce na akta trzyma więcej katalogów z różami niż firmowych dokumentów.

Nie miał ochoty znów rozmawiać o Patricku. Nieobecni mężowie zajmowali bardzo odległą pozycję na liście tematów, które chciałby poruszać po seksie z ich żonami.

- Obsesję? To chyba niewłaściwe słowo. - Daphne zmarszczyła brwi. - Kocha swój ogród, kocha dom, ale nie wydaje mi się, żeby przedkładał je nad dzieci. Albo nade mnie.

Elgood nie był zachwycony kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- No, ale po tym, jak wpakował wszystkie twoje pieniądze w Rosemont...

- Nie tylko w Rosemont. Ani mnie, ani dzieciom nigdy niczego nie brakowało. Nie powiedziałabym, że to obsesja, raczej... osobliwość. To jego przeświadczenie, że wszystko się ułoży i nic nigdy nie zdoła zagrozić Rosemont...

- Dobrze, niech będzie „osobliwość”. - Elgood czuł, że jest prawie gotowy do powtórki z rozrywki, i chciał jak najszybciej zmienić niewygodny temat. - Patrick ma magiczną moc, którą ochrania swój zamek z bajki. Jeszcze brandy, kotku?

- Nie, dzięki. Rzeczywiście tak to czasem wygląda. Patrick zawsze powtarza: „Nie przejmuj się”, ja się przejmuję, a potem i tak się okazuje, że to on miał rację. Przeszkody same jakoś znikają mu z drogi. Sam pomyśl, cztery lata temu wyleciał od Capsticka i nie miał roboty. A dziś? Spójrz, jak daleko zaszedł, i to praktycznie bez wysiłku. Właściwie trudno mu

się dziwić, kiedy z takim przekonaniem zapowiada, że zasiądzie w zarządzie, nawet jeśli ty się temu sprzeciwiasz.

W jej głosie nie było nawet cienia podstępny, brzmiała w nim tylko szczerą chęć zrozumienia męża, ale Elgood odebrał jej słowa nie tyle jako ciekawy wtęret, ile raczej jako groźbę. Nagle przypomniała mu się lampka na biurku. Poglądził pierś Daphne, ścisnął sutek między kciukiem i palcem wskazującym, ale ta pieszczota była mu tak samo obojętna jak jej, i kiedy chwilę później Daphne powiedziała, że powinna się zbierać, jeśli ma zdążyć odebrać córkę ze szkoły, nie protestował.

Podrzucił ją na parking przy dworcu, a sam wrócił do biura, usiadł przy biurku i długo gapił się na lampkę, aż w końcu uśmieł się z własnej głupoty i wziął do pracy. Potem wrócił do domu i bez problemów odstawił samochód do garażu. Nie spał najlepiej, w złowieszczych snach główne role grali Bulmer i Eagles, ale po solidnym śniadaniu poczuł się znacznie lepiej.

Zszedł do garażu i pociągnął za drzwi, które zwykle dałoby się otworzyć jednym palcem. Wyglądało jednak na to, że się zacięły, szarpnął więc mocniej - i w tej samej chwili musiał uskoczyć przed walącą mu się na głowę stalową konstrukcją.

No dobrze, może jego reakcja była przesadna - ale chyba zrozumiała? Poza tym, wszystko dobre, co się dobrze kończy. Teraz sytuacja wróciła do normy, do tego stopnia, że zaczął się zastanawiać, czy nie zaprosić Daphne na strzebiennego.

Spokój mi tu! - upomniał się w duchu. To by było proszenie się o kłopoty. A poza tym, chyba nie była w jego typie - co zresztą potwierdziły jej następne słowa:

- Ja się do tego nie nadaję. Chciałam się z tobą spotkać, żeby mieć pewność, że rozumiesz: to nie jest w moim stylu. Okropnie się przestraszyłam, kiedy policjanci przyszli do nas do domu i zaczęli wypytywać o mój samochód. Przed oczami ciągle stawali mi tamci chłopcy z parkingu; boję się, że mogli mnie widzieć.

- Mówiłem ci już o tym przez telefon, ale powtórzę: najprawdopodobniej w ogóle nie zwrócili na ciebie uwagi. A jeśli to oni porysowali ci samochód, to przecież nie pójdą chyba z własnej woli poplotkować z policją, prawda? Poza tym, to był zwykły wandalizm, a nie żadna zbrodnia stulecia.

- Mimo to przysłali tego paskudnego gościa z WK, żeby mnie przepytał.

Temu Elgood nie mógł zaprzeczyć, bo musiałby jej wytłumaczyć jaki, jego zdaniem, był prawdziwy powód wizyty policjanta. A tego wstydu z przyjemnością sobie oszczędzi.

- Tu się z tobą zgodzę. Nasi Stróże prawa mają za dużo wolnego czasu. A ty? Masz czas na jeszcze jedną kawę? Albo na coś mocniejszego?

Stało się dokładnie to, na co liczył: Daphne pokręciła głową i wstała.

- Nie, naprawdę. Muszę wracać.
- Jak chcesz. Ale nadal jesteśmy przyjaciółmi?
- Pewnie.

Cmoknął ją w policzek. Uśmiechnęła się.

- To głupie, ale okropnie się cieszę, że spotkałam się z tobą i wszystko wyjaśniłam. Czuję się, jakbym właśnie wyszła od dentysty.

- Różnie mnie nazywają, ale „dentysta” to jednak rzadkość.

i Przepraszam, nie o to mi chodziło... Po prostu czasem coś sobie ubzduram, potem się zamartwiam i przychodzą mi do głowy najbardziej absurdalne pomysły. Na przykład, ostatnio poznałam taką kobietę, zupełnie przypadkowo, i okazało się, że jest żoną policjanta. Bardzo ją lubię, jest taka inteligentna i bezpośrednia, i kompletnie niezależna. Od męża, znaczy. I wiesz co? Wczoraj w nocy obudziłam się o czwartej, świącie przekonana, że to policja ją na mnie nasłała, żeby mnie szpiegowała! Nienawidzę tych koszmarów z czwartej nad ranem, a ty? O, to jest kolejna cecha Patricka: on ich nigdy nie miewa. No, ale potem zaczął się nowy dzień i dotarło do mnie, jaka byłam głupia. Tylko, że ostatnio coraz częściej zdarzają mi się takie sytuacje. Zupełnie jakbym dostawała jakiejś nerwicy!

Ten przyływ szczerości przyniósł Daphne wyraźną ulgę.

Wyszli na dwór.

- Wspominałaś Patrickowi o swojej nowej przyjaciółce? - zapytał mimochodem Elgood, otwierając drzwi samochodu.

- Naturalnie, przedwczoraj wieczorem. Nie wiedziałam jak zareaguje, zwłaszcza że kiedy się poznałyśmy, ona akurat protestowała przeciw szkole, do której chodzi Diana. Ale znasz Patricka, jemu nic nie przeszkadza. Zaproponował, żebym któregoś dnia zaprosiła ją z mężem na kolację.

- Na twoim miejscu byłbym ostrożny z zapraszaniem gliniarza do domu - zauważył tylko na w pół żartobliwie Elgood. - Mówiłaś, że jak ona się nazywa?

Daphne mu powiedziała, a potem z przerażeniem patrzyła, jak łapie się za głowę i z przeciągłym jękiem opiera o samochód.

- Co się stało?! - krzyknęła zaniepokojona.

Bała się głównie o Elgooda, który jej zdaniem wyglądał, jakby właśnie dostał zawału, ale troszeczkę martwiła się także o siebie, pośpiesznie rozważając potencjalne konsekwencje swoich słów. Chwyliła Elgooda za ramiona. Opuścił ręce, odsłaniając twarz, na której - jak z ulgą, ale i zdumieniem stwierdziła Daphne - nie malował się grymas cierpienia, lecz czystej wody zgroza.

- O co chodzi, Dick? Wszystko w porządku?

- Też chciałbym to wiedzieć. - Patrzył na nią przez kilka długich sekund, zanim westchnął i dodał: - Lepiej wróćmy na chwilę do domku. Muszę ci coś powiedzieć. Ale na początek ty mi powiedz, co wiesz o tej Ellie Pascoe.

Wspominki

(*Memońam*. Rabatowy mieszaniec herbatni, wyhodowany w latach sześćdziesiątych XX w. Białe kwiaty, smutno wyglądają w deszczu).

Środa zaczęła się dla Pascoe od trupa.

Wtorek skończył się na Dalzielu, i Pascoe wcale nie był pewien, co woli.

Grubas zadzwonił po siedemnastej. Bez słowa wysłuchał relacji z przesłuchania Marsha i Feavera. Nowinę o Elgoodzie i Daphne Aldermann zbył lekceważeniem.

- Wcale nie jestem zaskoczony - powiedział. - Gdyby położyć Elgooda na OIOM-ie, dopominałby pewnie się o podwójne łóżko. No, ale przynajmniej Aldermann miałby w tej sytuacji motyw. A poza tym, to by wyjaśniało, dlaczego Dick zrobił się taki nerwowy na jego punkcie.

- Ja tam byłem zaskoczony - powiedział Pascoe. - Ellie zna Daphne osobiście, i słuchając jej, nie miałem wrażenia, żeby pani Aldermann była miłośniczką szybkiego bzykanka. Chyba że ten romans z Elgoodem to coś poważnego. To by sporo wyjaśniało.

- Jeśli to coś poważnego, to Dick nie ma o tym zielonego pojęcia - odparł stanowczo Dalziel. - Jediną osobą, którą traktuje poważnie, jest on sam. Przestraszył się i szukał u nas otuchy: lampka, drzwi od garażu, dwa zgony w firmie... Zebrało się tego trochę. A nie mógł przecież sam przekopać się przez raporty koronerów, prawda? Czy twoja żonka spotyka się jeszcze z tą Aldermann? Ellie to bystra dziewczyna, nawet jeśli czasami miewa głupie pomysły. Poproś ją, żeby spróbowała coś z niej wyciągnąć.

- Chyba są umówione rano na kawę, ale wątpię, żeby Ellie spodobał się pomysł wyciągania czegokolwiek z pani Aldermann.

- Dlaczego? - spytał szczerze zdumiony Dalziel.

- Jestem pewien, że jeśli zapytasz ją o to osobiście, chętnie objaśni ci swoją pozycję moralną.

- Pozycję moralną? Zawsze myślałem, że moralnie to jest po bożemu: na wznak, z zamkniętymi oczami i przy zgaszonym świetle. Domyślam się, że chcesz się jeszcze raz spotkać z Elgoodem?

- Zgadza się. Dzwoniłem już do niego do biura, ale znów wyjechał nad morze; Bóg jeden wie z kim tym razem. Jego sekretarka zapowiedziała, że jutro będzie bardzo zajęty, i zapytała, czy sprawa może poczekać do czwartku. Nie chciałem okazywać pośpiechu, więc się zgodziłem.

- Tylko uważaj, jak będziesz z nim rozmawiał. Cudzołóstwo nie jest przestępstwem.

- Za to marnowanie czasu policjanta jak najbardziej.

- Nadal uważasz, że to strata czasu? Może i masz rację... W takim razie mam dla ciebie coś, co będzie bardziej warte twojej uwagi: kolejny trup w życiu Aldermanna, dowiedziałem się o nim od Penny Highsmith. Niedoszły kupiec Rosemont. To musiała być połowa lat sześćdziesiątych, Patrick był świeżo po gimnazjum. Przypuszczam, że Edgar Masson, adwokat starszej pani, po jej śmierci dalej prowadził sprawy rodziny, więc powinien znać szczegóły. A nawet jeśli nie, to i tak o sprawach innych ludzi wie najwięcej.

Pascoe pośpiesznie notował.

- Coś jeszcze?

- Tak. Zapytaj go o testament. Byłem dzisiaj w Somerset House*. Na konferencji jakiś szwab gadał coś o wojnie wywrotowej. Co te niedołęgi mogą wiedzieć o wojnach? Już nawet nie pamiętają, kiedy jakąś wygrali! Dlatego wyszedłem. A w Somerset House dowiedziałem się, że cioteczka Flo była intestatem.

- Czyli testamentu nie było - błysnął erudycją Pascoe.

- Wiem, kto to jest „intestat” - burknął Dalziel. - Tak jak wiem, że Edgar Masson nie ma zwyczaju wypuszczać z rąk zamożnych klientów, dopóki nie zapłacą mu za sporządzenie testamentu. Stąd wiem, że w którymś momencie testament istniał. A skoro już o testamentach mowa... Po tym, jak mi opowiedziałeś o tym księgowym, Capsticku, że prowadził rachunki Somertona, pomyślałem, że skorzystam z nadarzającej się okazji i rzucę okiem na testament wielebnego. Faktycznie, zostawił w spadku sześćdziesiąt tysięcy funtów, ale z tego tylko dwadzieścia zapisał córce. Resztę kazał wydać na różne szlachetne cele. Tak że jeśli Aldermann spodziewał się wielkiego majątku, to się rozczarował.

* W okresie, w którym toczy się akcja książki w londyńskim Somerset House mieścił się Główny Urząd Stanu Cywilnego (przyp. tłum.).

- W siedemdziesiątym pierwszym dwadzieścia tysięcy to i tak był ładny kawał grosza -- zauważył Pascoe.

- A sześćdziesiąt to była fortuna. Dobra, muszę lecieć. Właśnie trwa seminarium o roli policjantek w wielorasowej interakcji kontrapołącznej czy coś w tym guście.

- I koniecznie chcesz wziąć w nim udział, tak? - spytał z niedowierzaniem Pascoe.

- Nie wygłupiaj się, Peter! - Dalziel parsknął szyderczym śmiechem. - Seminarium niedługo się kończy, a ja dzwonię z telefonu tego frajera, który je prowadzi. A podejrzliwy jest skurczybyk... Nawet barek z whisky zamyka na klucz!

Może to tylko wyobraźnia podpowiedziała Pascoe, że tuż przed odłożeniem słuchawki usłyszał trzask łamanego drewna, ale w wypadku Dalziela taka wizja mogła z równym powodzeniem być fantazją, jak i wiarygodną hipotezą.

Następnego dnia rano, przy kawie, streścił Wielowi rozmowę z podinspektorem.

- Dzwonił z biura jakiejś szycy - podsumował. - Z wiekiem coraz trudniej się z nim dogadać; człowiek nigdy nie wie na czym stoi. Przed wyjazdem na konferencję kazał nam nie tracić więcej czasu na Aldermanna, a teraz sam o niczym innym nie mówi. Dlaczego?

- Odnowił znajomość z panią Highsmith - zauważył znacząco Wiel, maczając w kawie oblaną czekoladą pełnoziarnisty herbatnik.

- Nie rozumiem, co miałyby z tego wynikać - odparł sztywno Pascoe. - Czekolada się panu topi.

- To z gorąca. Czekolada tak ma. Myśli pan, że jeszcze się spotkają?

- Tak sugerował. Taki sam efekt uzyskałby pan, jedząc herbatniki bez czekolady i zapijając je mokrą.

- To by był zupełnie inny rodzaj wielorasowej interakcji kontrapołącznej - odparł z powagą sierżant. - Czy to oznacza, że zdaniem pana Dalziela sprawa dojrzała do tego, żeby oficjalnie się nią zająć?

Pascoe wskazał ruchem ręki swoje biurko, na którym piętrzyła się korespondencja śmierci: raporty policyjne, opinie lekarskie, protokoły z sekcji zwłok.

- Współczesne społeczeństwo ma to do siebie, że nikt już nie umiera bez śladu - zauważył w zadumie. - Jeżeli mamy się zająć tą sprawą, to punktu zaczepienia musimy szukać gdzieś w tych papierach. Proponuję, żebyśmy na początek spróbowali jakoś je uporządkować.

- Chronologicznie?

- To nie jedyna metoda - napomknął uprzejmie Pascoe. - Ale na początek wystarczy. Zaczniemy od roku 1960: pani Florence Aldermann umiera na zator tętnicy wieńcowej. Protokół lekarski nie pozostawia wątpliwości. Pani Aldermann nie wróciła do pełni sił po poprzednich kłopotach z sercem. Poza tym, nie ma w jej śmierci nic podejrzanego, jeśli nie liczyć braku testamentu, dzięki któremu cały spadek dostał się Penny Highsmith. Przeskoczmy dekadę naprzód. Wielebny Ohver Somerton. Kawał gruzu z dzwonnicy kościoła Świętego Marka w Little Leven roztrzaskał mu głowę.

- Chwileczkę. Po drodze musiał być jeszcze co najmniej jeden zgon. Pan Dalziel wspominał o człowieku, który chciał kupić ten dom, ale nie zdążył, bo umarł.

- A tak, rzeczywiście. Mam szczerą nadzieję, że okaże się, że zmarł ze starości sto mil stąd. Dziś przed południem będę o tym rozmawiał z Massonem, tym adwokatem.

- Zanotuję, że w tym miejscu jest coś do wyjaśnienia.

- Dobrze. Możemy wrócić do naszego wielebnego? Wszelkie wypadki bez świadków są z natury rzeczy podejrzone, ale tutaj nie było wątpliwości. Koroner do niczego się nie przyczepił.

- Wola Boża - mruknął Wield.

- Proszę się liczyć ze słowami, bo tutaj będzie nam potrzebna każda pomoc. No dobrze, to był rok siedemdziesiąty pierwszy. Przejdźmy dalej: siedemdziesiąty szósty, pani Catherine McNeil. Zmarła na oskrzelowe zapalenie płuc, które rozwinęło się jako powikłanie po szczególnie zjadliwej grypie. Czy to nie był czasem jeden z tych okresów, kiedy tak dużo się mówiło o grypie? Jakiś chiński wirus, syjamski, patagoński czy jeszcze inny...

- Postaram się sprawdzić. Ile miała lat?

- Siedemdziesiąt osiem.

- W takim wieku niewiele trzeba. To ją okradał Aldermann? I to ona zapisała mu pieniądze?

- Zgadza się. Zresztą Aldermann sam też złapał grypę. Kiedy był na zwolnieniu, wyszło na jaw, jak się zabawiał pieniędzmi pani McNeil.

- I co? Tak długo na nią kichał, aż wchłonęła śmiertelną dawkę mikrobów?

Pascoe spiorunował Wielda wzrokiem.

- Drwiny proponuję zostawić panu Dalzielowi, dobrze?

- Tak tylko ćwiczę, panie komisarzu - mruknął sierżant.

Obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

- To był początek siedemdziesiątego szóstego. Trzy i pół roku później, we wrześniu siedemdziesiątego dziewiątego, umiera Christopher Burke. To pierwsza z trzech śmiertelnych ofiar w Perfekcie, gdzie sześć miesięcy wcześniej Aldermann zatrudnił się na pół etatu.

- Burke to ten, co malował dom i spadł z drabiny?

- Tak mi się wydawało, ale z raportu koronera wynika, że do remontu domu wynajął fachowców. Tamtego dnia przygotowywali się do malowania okapu dachu, ale wcześniej musieli wymienić kawałek rynny. Domniemywa się, że Burke wskoczył na drabinę po powrocie z pracy, żeby sprawdzić, jak udała się naprawa. Pośliznął się, spadł i skrzył kark.

- Świadkowie?

- Brak. - Pascoe zajrzał do akt. - Zmarł między czternastą trzydzieści i piętnastą trzydzieści. Jego żona o czternastej trzydzieści wyszła; w chwili wypadku nie było jej w domu, a kiedy po godzinie wróciła, zastała męża leżącego na patio z tyłu domu.

- Gdzie się podziela ekipa remontowa? - zainteresował się Wield.

- Niedługo po tym, jak wymienili tę rynnę, zaczęło padać. Chwilę czekali, ale ponieważ nie zanosilo się na poprawę pogody, znaleźli sobie zajęcie w środku domu. Wie pan, jacy są ci malarze.

- Dziwne...

- Co, malarze?

- Nie. Dziwne, że facet wszedł na drabinę w czasie deszczu. Prosto z biura.

- Też mi to przyszło do głowy. Wygląda na to, że pogoda była w kratkę. Wyobrażam to sobie tak: wracam do domu w chwili, kiedy akurat nie pada, dziwię się, że nigdzie nie widać robotników, wbiegam na drabinę, żeby zobaczyć, jak dużo - albo jak mało - zrobili, i po wszystkim.

- Rzeczywiście, takie głupstwo do pana pasuje, panie komisarzu. Zwłaszcza gdyby wcześniej zjadł pan suto zakrapiany obiad w Klubie Konserwatysty, narzekając z kolegami na nieróbstwo brytyjskich robotników.

- Nie rozmawiał pan przypadkiem ostatnio z moją żoną? - Pascoe parsknął śmiechem.

- Ale ma pan rację, warto to sprawdzić. Tylko ten zgon, no i śmierć wielebnego, zasługują choćby w minimalnym stopniu na miano „podejrzanych”. Im szybciej uda nam się rozwiązać te podejrzenia, tym szybciej będziemy mogli zapomnieć o całej sprawie.

- Jak sprawdzić coś takiego po tylu latach? Raport z sekcji zwłok nie wspomina chyba o alkoholu?

- Nie, nie wspomina, ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, czyli nieszczęśliwy wypadek w domu, żona w szoku i tak dalej, to koroner mógł celowo

przemilczeć fakt, że nieboszczyk mąż był nawalony jak szpak. Widzę, że sprawę prowadził pan Wellington... Zna go pan?

Pytanie Pascoe padło w reakcji na małe trzęsienie ziemi na twarzy Wiolda.

- Kiedyś mnie objechał za pyskowanie podczas przesłuchania.

- Doskonale. Skoro jesteście starymi znajomymi, pogada pan z nim. - Pascoe zapisał sobie coś w notatniku. - Na koniec zostawiłem dwie sprawy, które wypłynęły jako pierwsze. Brian Bulmer miał w zeszłym roku śmiertelny wypadek samochodowy po firmowym przyjęciu bożonarodzeniowym. Obawiam się, że w tym wypadku wpływ alkoholu nie ulega wątpliwości. Żadnych innych uczestników ruchu, żadnych świadków; wygląda na to, że na oblodzonej jezdni stracił panowanie nad kierownicą i przygrzał w słupek. Jak pan może pamiętać, był dyrektorem finansowym Perfecty. Później nadszedł maj, i Timothy Eagles, główny księgowy i rywal Aldermanna w walce o miejsce w zarządzie, dostał zawału. Nocny strażnik znalazł go w toalecie podczas pierwszego obchodu, o dwudziestej. Eagles był ubrany do wyjścia. Wiemy, że pożegnał się z sekretarką, która punktualnie wyszła z biura, zostawiając mu parę listów do podpisania. Podpisał je, potem pewnie się ubrał, a potem źle się poczuł. Albo zdążył wcześniej pójść do łazienki, albo poszedł tam, żeby napić się wody. W każdym razie tam osunął się na ziemię i zanim go znaleziono, było już, niestety, za późno na pomoc lekarską.

- Aldermann był wtedy jego asystentem, zdaje się? Korzystali z tej samej łazienki?

- Tak przypuszczam. Do czego pan zmierza, sierżancie?

- Wychodząc do domu, Aldermann znajduje Eaglesa, który właśnie ma zawał. Zamiast jednak wezwać pomoc, Aldermann zamyka za sobą drzwi łazienki i wychodzi.

Pascoe zagwizdał przez zęby.

- Piąte, nie zabijaj - przypomniał. - Ale nie ma przykazania, które nakazywałoby gorliwie zabiegać o życie bliźniego. To by wymagało nie lada zimnej krwi. Pan poznał go osobiście, i jak pan uważa? Byłby do tego zdolny?

- To łatwiejsze niż morderstwo.

- Czyżby? Nie założylbym się. Ludzie mają silną instynktowną potrzebę pomagania.

- Niech pan to powie staruszkom, które widziały ludzi przyglądających się zza firanek, kiedy napadano je i okradano w biały dzień. Mogłyby sporo powiedzieć o ludzkich instynktach.

- Pewnie tak.

Pascoe z irytacją spojrział na zalegające na biurku papiery- ska. Nic tu się nie trzyma kupy, jakby to powiedział Dalziel. Zaczynało mu to działać na nerwy, ale mógł się tylko

przekopywać przez dokumenty do skutku: albo znajdzie jakiś pozytyw, albo ciężar negatywów da mu pretekst do wycofania się. Cały czas miał jednak świadomość tego, jak niebezpieczne potrafią być puste hipotezy i daremne zamieszanie.

Tyle że naprawdę nie miał wyboru. Albo się jest policjantem, albo nie. Przebiegł w myślach plan najbliższych spotkań: Masson, drugi raz Capstick, wdowa po Burke'u, znowu Elgood... Westchnął ciężko.

- Dobrze się pan czuje, panie komisarzu? - zaniepokoił się Wield.

- Świetnie jak diabli. Po prostu dręczy mnie czasem takie paskudne przeczucie, że jeśli nie będę uważał, mogę się zmienić w policjanta.

Czarny chłopak

(*Black Boy*. Wysoki krzew. Nowoczesna odmiana, ale aromat starej róży. Kwiaty podwójne. Fioletowy odcień).

Kadet Shaheed Singh nabierał coraz większych wątpliwości, czy na pewno dobrze wybrał zawód.

Przykład przełożonych nie napawał go entuzjazmem. Nie zdziwił się zbytnio, odkrywając u swoich instruktorów z kursu tę samą mieszankę napastliwego sarkazmu i protekcyjnej poufałości, którą doskonale pamiętał z nie tak przecież odległej szkolnej przeszłości - ale po policjantach z terenu, których poznał podczas czterotygodniowej praktyki, naprawdę spodziewał się czegoś więcej.

No i znalazł. Komisarze i sierżanci ze służby mundurowej byli dla niego życzliwi, traktowali go jednak jak leniwego półgłówka. Natomiast w Wydziale Kryminalnym pan Dalziel go przerażał, sierżant Wiel nienawidził, a u sympatycznego z pozoru pana Pascoe po wyjeździe zwierzchnika ujawniła się nietypowa opryskliwość.

Jeśli chodzi o posterunkowych, to z większością łączyły go przyjazne i żartobliwe układy, ale instynktowny - choć wcale nie złośliwy - rasizm był trudny do przełknięcia. Nawet George Wedderburn, z którym Singh spędzał większość poranków, kierując ruchem na rondzie przy bazarze, przyzwyczaił się, że ma w jego osobie osobistego służącego.

- No dobra, Shady, ruch zelżał - powiedział dziś rano, zerknąwszy na zegarek. - Skocz teraz po paczkę park drive'ów, gazetkę i zamów w „Caff” herbatę, dobrze? Tylko bez żadnych pogawędek o zdrowiu tatusia!

Żartobliwy wtętu na końcu nawiązywał do spóźnienia Singha w dniu, w którym się czaił na parkingu. Kiedy Wedderburn opanował złość, udał, że bierze mętne tłumaczenie Singha za próbę ukrycia faktu, że był na randce. Posterunkowy Grainger, wciąż obruszony za żarty Singha z jego nadwagi, dodał tonem znawcy:

- Tym czarniawym to nic, tylko baby w głowie. Tam u siebie stale coś kombinują. To przez ten upał. I przepaski biodrowe.

Socjolog dostrzegłby w tych słowach klasyczny u białego mężczyzny przejaw poczucia kulturalnej wyższości i seksualnej niższości, ale Singh tylko uśmiechnął się szeroko

i poszedł sobie, żałując, że podejrzenia o niezwykłą aktywność seksualną nie są w jego przypadku ani trochę uzasadnione.

Kiedy wyszedł z trafiki z papierosami oraz gazetą dla Wedderburna i zagłębił się w bazar, napotkał dwa kolejne powody wątpliwości.

Pierwszym był młody mężczyzna o bardzo długich włosach, ubrany w sprane dżinsy i brudny T-shirt z nadrukowaną zaciśniętą pięścią, do którego miał przypięte dwa znaczki: CND* i „Precz z torysami”. Rozdawał ulotki opatrzone nagłówkiem „Brutalność policji - fakty”. Na widok munduru Singha uśmiechnął się szyderczo.

Po drugiej stronie bazaru Singh spotkał innego młodego człowieka: miał bardzo krótkie włosy, ale też był ubrany w sprane dżinsy i brudny T-shirt, tyle że z nadrukowaną brytyjską flagą. Ulotki, które rozdawał, były zatytułowane „Imigracja - fakty”. Na widok twarzy Singha uśmiechnął się pogardliwie.

„Market Caff”, z zaparowanymi oknami i rachitycznym wentylatorem (który na bekonowy zaduch i ciężki oddech mieszkańców Yorkshire działał jak mikser na śmietankę - wydawało się, że raczej zagęszcza atmosferę, niż ją rozprasza), jawił się Singhowi wyczekiwany azylem. Zanim jednak zdążył wejść do środka i zaciągnąć się gęstym aromatem, ktoś złapał go za ramię.

- Cześć, Shady. Co słyhać?

Singh odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Mickiem Feaverem. Spojrzał na niego podejrzliwie.

- U mnie wszystko w porządku. Czego chcesz?

- Zamienić słówko.

Singha olśniło: Feaver nie tylko nie wyglądał groźnie, ale miało się wrażenie, że sam desperacko szuka jakiejś pociechy. Jego rysy zawsze wyrażały niepewność i lęk, jednakże tym razem na jego twarzy malował się niepokój większy niż zwykle; zasiniały policzek i rozbita warga pewnie mu nie pomagały.

Ktoś właśnie wychodził z kafejki. Singh zajrzał przez otwarte drzwi do środka i stwierdził, że Wedderburna jeszcze nie ma.

- Słuchaj, szedłem właśnie na herbatę - powiedział. - Napijesz się?

* CND - Campaign for Nuclear Disarmament - Kampania na rzecz rozbrojenia nuklearnego (przyp. tłum.).

Nie czekając na odpowiedź, wszedł do „Market Caff”. Przy kontuarze przekonał się, że Feaver depcze mu po piętach. Singh zamówił trzy herbaty i tradycyjny wafelek z czekoladą dla Wedderburna.

- Weź te dwie - polecił Feaverowi.

Sam wziął trzeci kubek oraz wafel i ruszył na poszukiwanie wolnego miejsca.

Zauważył panią Pascoe z dzieckiem. Ciekaw był, czy pani Aldermann też przyjdzie, a jeśli tak, to czy rozpozna w Micku jednego z chłopaków z parkingu, ale i tak było już za późno, żeby się tym przejmować. Albo za wcześnie. Pani Pascoe uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Jedyne dwa wolne krzesła w całym lokalu znajdowały się akurat przy jej stoliku, ale na szczęście, w tej samej chwili siedząca w kącie grupka sprzedawców z bazaru zaczęła się zbierać do wyjścia, co Singh w porę zauważył i zajął miejsca.

Mickowi nieśpieszno było do rozpoczęcia rozmowy. Singh, który w innych okolicznościach wziąłby go na przeczekanie, domyślał się, że cokolwiek chłopak ma do powiedzenia, musi powiedzieć przed pojawieniem się Wedderburna. Skinął na trzecią herbatę i wafel.

- On zaraz przyjdzie - powiedział.

- Wiem. Posłuchaj, Shady, dzięki, że wczoraj w areszcie powiedziałaś to, co powiedziałaś.

- To, co powiedziałem? - zdziwił się Singh.

- No tak. Ten gliniarz, nie ten paskudny, tylko ten drugi, powiedział, że ktoś się za nami wstawił. Wiedziałem, że to ty.

- Aha. Nie dziękuj, nie ma za co.

- Nic złego z tego nie wyniknie, co?

- Z czego?

- No wiesz, z tych porysowanych samochodów.

- Nie, spokojnie - zapewnił go Singh, który uzyskał takie właśnie zapewnienie od (mrukliwego, jak zwykle) sierżanta Wiolda.

- Obaj się przyznaliśmy. Tak powiedział ten Pascoe: że obaj się przyznaliśmy. Obaj, nie tylko jeden.

Słuchając tego płaczliwego tonu, Singh zaczynał rozumieć, o co chodzi.

- Tak było - przytaknął.

- A ten kutas Marsh powiedział chłopakom, że tylko ja. Że tylko ja ich sypnąłem.

- Cały Jonty - odparł filozoficznie Singh. - Zawsze lubił błyszczeć.

Jego filozofia nie była jednak zaraźliwa, bo Feaver ciągnął ze złością:

- Lubi kłapać jadaczką. O tobie też zresztą gada różne rzeczy: na przykład, że przy chłopakach udajesz, że dalej jesteście najlepszymi kumplami, a potem biegniesz na policję i wszystko kablujesz.

- Tak mówi?

Powściągliwa reakcja Singha chyba rozczarowała Feavera, bo dodał:

- Czarna Świnia. Tak właśnie cię nazywa, czarna Świnia.

Singh napił się herbaty. Była mocna, z wyraźnie wyczuwalną nutą teiny; w niczym nie przypominała delikatnego naparu, który w sklepie jego matka podawała ojcu. Ojciec był człowiekiem łagodnym, ale stanowczym, który posłuszeństwo syna traktował jak swoje naturalne prawo. Shaheed nie zamierzał tego negować, ale coś w nim - albo raczej coś poza nim, w jego europejskim otoczeniu - sprzeciwiało się myśli, że miałby do końca życia być zwykłą płotką, a do tego właśnie sprowadzałyby się praca w sklepie. Dlatego wstąpił do szkoły policyjnej. Wycofanie się w tej chwili byłoby niezwykle trudne, praktycznie niemożliwe, ale siedząc w miazmatycznej kawiarnianej atmosferze i słuchając, jak niewiele dzieli „Shady ego Singha” od „czarnej świni”, zatęsknił nagle za ojcowskim sklepikiem i wysłuchiwaniami szczegółowych wskazówek, jak najlepiej ustawiać puszki na długich półkach.

- Ale ty, Mick, na pewno sprostowałeś, co? - zapytał. - Powiedziałeś, jak było?

- Nie kpiluj. - Feaver pomacał się po rozciętej wardze. - To właśnie zarobiłem, jak się wczoraj z nimi spotkałem. Ty się nie masz czego bać, ciebie nie ruszą.

W jego głosie brzmiały zazdrość, oskarżenie i pogarda. Singh widział, że nie ma powrotu do starej, zwyczajnej, nieskomplikowanej szkolnej przyjaźni.

- Chcesz złożyć skargę? - spytał oficjalnym tonem.

- Nie - odburknął Feaver. - Co to da?

Istotnie, co to da? Ponad ramieniem Feavera Singh zauważył, że pani Pascoe, która od jakiegoś czasu zerkała niecierpliwie na zegarek, nagle wstała i włożyła dziecko do nosidełka. Zauważyła, że Singh na nią patrzy; uśmiechnęła się na pożegnanie i skierowała do wyjścia. Kiedy wychodziła, przez uchylone drzwi dostrzegł masywną sylwetkę George'a Wedderburna: stał przy straganie warzywnym i rozmawiał z jakimś znajomym.

- Mój partner już idzie - powiedział. - Zostało nam pół minuty.

- Chodzi o Jonty'ego Marsha - wypalił nieoczekiwanie Feaver. - Wiesz, jak lubi opowiadać o swoim bracie, Arthurze, jaki to z niego twardziel i w ogóle, nie?

- No wiem, pamiętam.

- No więc jakiś tydzień temu, kiedy się jeszcze z nimi spotykałem, Jimmy Bright coś wspomniał o Arthurze; chyba zapytał, co u niego... Jakoś tak. Na co Jonty, że jest zajęty, ale jak to zwykle Jonty, dał do zrozumienia, że wie coś więcej. Więc Jimmy zapytał: „Co, dalej kradnie?”. A Jonty na to, że nie, że to zabawa dobra dla dzieciaków, takich jak my. Rozumiesz, jak zwykle zgrywał ważniaka. Jimmy się wkurzył i mówi: „To w takim razie przymknęli go za dziecinną zabawę, tak?”. Wtedy Jonty się zajeżył i powiedział, że Arthur nie jest sam, ma kumpli i zajmują się jakąś grubszą robotą niż wybicie okna w kuchni i podprowadzenie radjka. Obrabiają duże domy, z których towar trzeba wywozić furgonetką.

Feaver zawiesił głos. Singh utkwiał wzrok w kubku z herbatą, bo nie mógł spojrzeć w oczy Mickowi Feaverowi - słabemu i strachliwemu, ale w gruncie rzeczy dobrodusznemu chłopakowi, którym wszyscy zawsze próbowali się trochę opiekować, a który właśnie został jego pierwszym szpiclem.

Milczenie podziałało lepiej niż wszelkie słowa, bo Feaver odetchnął głęboko i wykonał ostatni, decydujący krok: od ogółu do szczegółu.

- Powiedział, że następnym razem Arthur zabierze go na robotę. Podobno mieli jakiś wypadek i przyda im się pomoc. Jimmy go wyśmiał, powiedział, że to bzdura, bo każdy może sobie tak gadać, a potem gdzieś usłyszeć, że była akcja, i twierdzić, że brał w niej udział. No i Jonty wtedy powiedział: „Dobra, będzie robota w pierwszy weekend lipca”, i jeżeli Jimmy umie czytać, to przeczyta o niej w gazetach. Pierwszy weekend lipca. A dom nazywa się Rosemont.

To był koniec, bo do kawiarni wszedł Wedderburn. Feaver wstał. Singh podniósł wzrok i spojrzał mu w oczy.

- To na razie - rzucił Mick, odwrócił się na pięcie i wyszedł, przepchnąwszy się obok Wedderburna z takim impetem, że niedźwiedziowaty posterunkowy odprowadził go złym spojrzeniem.

- Znajomy? - spytał Wedderburn, sadowiąc się na krześle po Feaverze.

- Tak. - Singh wpatrywał się w zamknięte drzwi kafejki. - Stary znajomy, nic więcej.

Spacerowicz

(*Blush Rambler*. Odmiana pnąca. Bardzo bujna, obficie kwitnąca latem, w późniejszym okresie znacznie słabiej. Kwiaty różowawe, duże, odporne na niekorzystne warunki pogodowe. Odmiana podatna na pleśnienie).

Idąc do kancelarii notarialnej „Masson, Masson, Grey i Coatbridge”, Pascoe nie spodziewał się rewelacji. Mógł co najwyżej ubolewać nad faktem, że wzajemne stosunki stróżów prawa i innych jego sług cechuje spora doza wzajemnej podejrzliwości, i tylko okazana przez Edgara Massona szczerą chęć spotkania się z nim dawała mu jakąkolwiek nadzieję.

Powód tej gorliwości Massona stał się oczywisty już podczas pogawędki z bardzo sympatyczną irlandzką recepcjonistką. Wyjaśniła Pascoe, że pan Edgar, człowiek wiekowy i starszy wspólnik w kancelarii, oficjalnie przeszedł na emeryturę, faktycznie jednak zachował urząd i gabinet, w którym przesiaduje całe ranki i knuje coraz to nowe intrygi, żeby pokrzyżować szyki podstępny młodszym wspólnikom.

- Żal mi go - podsumowała Irlandka. - Taki samotny starszy pan. Mogliby mu przecież wydzielić jakąś działkę, którą mógłby się dalej zajmować, ale to już chyba nie te czasy, prawda? Dzisiaj, jak człowiek jest stary, to się go spycha na bok i robi miejsce dla młodych. Ja tam lubię pana Massona. Potrafimy przegadać długie godziny, chociaż żadna w tym moja zasługa, staruszek chętnie pogada z każdym, kto zechce go słuchać. Dosłownie z każdym. Nie jest wybredny. Proszę iść od razu do niego na górę.

Pascoe poszedł więc na górę, modląc się w duchu, żeby uznano go za „dosłownie każdego”. I właściwie się nie zawiódł. Jedyne problemy polegały na tym, że pan Masson - bardzo łysy, bardzo okrągły i bardzo rumiany siedemdziesięciopięciolatek - miał skłonność nie tylko do rozmawiania z każdym, ale także na każdy temat. Był żywym dowodem uwodzicielskiej mocy skojarzeń słownych. Tknięty nagłą myślą, potrafił uciec w dygresję w pół akapitu, czasem nawet w pół zdania, jakby się bał, że umrze, zanim zdąży wszystko powiedzieć. Po jakimś czasie Pascoe metodą prób i błędów nauczył się, jak sobie z tym

radzić: ignorował wszystkie wtręty odbiegające od tematu i wykorzystywał kluczowe frazy - takie jak „Florence Aldermann” albo „Penelope Highsmith” - jak owczarki, służące do zaganiań rozmówcy na pożądane tory.

Po mniej więcej dwudziestu minutach wiedział już, że w pierwotnej wersji testamentu pani Aldermann kazała podzielić większość swojego majątku pomiędzy Królewskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami i Kościelne Stowarzyszenie Misyjne; mniejsze sumy miały przypaść w udziale kilku osobom, w tym jej siostrzenicy, Penelope Highsmith. Na kilka dni przed śmiercią wezwała jednak pana Massona do Rosemont, żeby przedyskutować kwestię radykalnych zmian w treści testamentu. Po poprawkach siostrzenica miała otrzymać około czterdziestu procent majątku, głównie kosztem KTOZ, a ich wprowadzenie miało być uzależnione od powodzenia negocjacji z Penny Highsmith w sprawie jej pozostania w Rosemont w charakterze gospodyni i towarzyszki dla starszej pani. Tamtego dnia żadna decyzja nie zapadła i pan Masson po długiej dyskusji (nawet bardzo długiej, jak domyślał się Pascoe) wyszedł ze świadomością, że pani Aldermann w najbliższych dniach się z nim skontaktuje. Testament został u niej w domu.

Zanim jednak doszło do ponownego spotkania, pani Aldermann zmarła.

- W swoim ogrodzie różanym - dodał pan Masson. - Mówi się, że ogrodnictwo to zdrowa i kojąca nerwy rozrywka, doskonała dla młodych i starych. Ja tak nie uważam. Pamiętam taką sprawę sądową: pewien człowiek pozwał do sądu producenta opatentowanych wideł, które miały odciążać kręgosłup...

- Pani Aldermann - wtrącił czym prędzej Pascoe. - Testament. Siostrzenica.

- Testamentu nie znaleziono - odparł Masson, który za każdym razem wracał do tematu tak gładko, jakby nawet na moment z niego nie zboczył. - Jej siostrzenica, pani Highsmith, a właściwie panna Highsmith, ściśle rzecz biorąc, bardzo miła kobieta, naprawdę przemiła, twierdziła, że nie widziała go na oczy. Dodała również, że nie podjęła jeszcze decyzji, co zrobić z propozycją ciotki, ale ja dobrze znałem panią Aldermann: nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może jej odmówić. Kiedy rozmawialiśmy o testamencie, w ogóle nie brała takiej możliwości pod uwagę. Wydawało się więc oczywiste, że pani Aldermann, pewna, że nagnie siostrzenicę do swojej woli, zniszczyła stary testament, z zamiarem sporządzenia nowego, gdy tylko znów się spotkamy, dwa dni później. Tak to musiało wyglądać.

Pascoe spojrział na niego z powątpiewaniem. Masson wyraził przekonanie niezwykle naiwne u człowieka doskonale obeznanego z tak cyniczną profesją.

- Nie wydaje się panu, że to zniknięcie testamentu było bardzo... wygodne? -
podsunał.

- Wygodne? Dla kogo?

Najwyraźniej wiek rozmiękczył Massonowi mózg.

- Dla wszystkich tych, którzy skorzystali na fakcie, że pani Aldermann zmarła, nie
pozostawiwszy testamentu. Czyli dla pani Highsmith, a później także dla jej syna.

- Na Boga, nie! Dlaczego miałbym coś takiego podejrzewać?

- Po prostu wydało mi się... wygodne. I tyle.

- Gdybym przy każdym intestacie myślał podobnie, musiałbym być podejrzliwy jak...
jak policjant! - wykrzyknął Masson. - Przecież, kiedy mąż pani Aldermann, kochany stary
Eddie, umarł bez testamentu, nikt nie sugerował, że to wygodne dla pani Aldermann!

Pascoe się poddał.

- Był pan później adwokatem pani Highsmith?

- Naturalnie. Sama mnie o to poprosiła, więc dlaczego miałbym odmówić?

Rzeczywiście, dlaczego? - pomyślał Pascoe. Na braku testamentu skorzystała także
kancelaria Massona: po prostu wymienili jedną bogatą klientkę na drugą.

- Pani Highsmith próbowała później sprzedać Rosemont, prawda?

- Tak, chociaż dopiero po kilkunastu latach. Rzecz jasna, prowadziłem dla niej tę
sprzedaż. Piękna posiadłość, Rosemont. Oczywiście, nie każdemu się podoba, poza tym,
mnóstwo ludzi zniechęcało się, słysząc cenę wywoławczą, ale ja doradzałem pani Highsmith
cierpliwość, aż w końcu trafił się kupiec. No bo każdy dom ma swojego kupca, tylko trzeba
umieć go znaleźć. Pamiętam...

- Rosemont - powiedział Pascoe.

- To był straszny pech. Byliśmy o krok od wymienienia się podpisanymi umowami,
kiedy ten człowiek zmarł. Gdyby zmarł choć dzień później, po wymianie umów, a przed
formalnym domknięciem sprzedaży, sytuacja zrobiłaby się arcyciekawa, tak jak to było w
sprawie...

- Czyli Rosemont nie zostało sprzedane?

- Niby jak? Komu? Na podstawie której umowy? Tutaj sytuacja była całkowicie jasna;
spadkobiercy tego człowieka dostali nawet zwrot zadatku. Pani Highsmith była
rozczarowana. Chociaż to dla pana Neville'a sprawa zakończyła się tragicznie.

- Pan Neville to niedoszły nabywca? Na co zmarł, panie Masson? - spytał Pascoe,
modląc się w duchu o odpowiedź „zginął w wypadku samochodowym na innym
kontynencie”.

Ale w odpowiedzi Massona ziściły się jego najgorsze obawy.

- Został otruty - odparł stary adwokat, z lubością cedząc słowa.

- Otruty?!

- Otóż to. Nie pamięta pan? To była głośna sprawa, głównie przez to, że „Grandison” i „Old Brew House” tak zajadle próbowały oczyścić się z podejrzeń, że zaczęły nawzajem wywlekać sobie różne brudy.

Hotel „Grandison” i restauracja „Old Brew House” były dwoma najdroższymi przybytkami w okolicy.

- To znaczy, że pan Neville mieszkał w „Grandisonie”, stołował się w „Old Brew House”, i w jednym z nich został otruty?

- Pewnie nie, ale, jak to mówią, tłumaczą się winni - triumfował pan Masson. - Biedny pan Neville zatruł się parationem. To pestycyd, ponoć bardzo toksyczny. Najpewniej podczas jakiejś wycieczki krajoznawczej poczęstował się świeżo przyskanym owocem. Jednakże miał owoce także w swoim pokoju hotelowym, a poza tym jadł jakiś po posiłku w „Brew House”. Podobno, zanim na miejsce dotarła kontrola z sanepidu, wyrzucili całe skrzynki brzoskwiń i winogron. Na pewno ich renoma na tym ucierpiała.

Masson mówił z satysfakcją typową dla przedstawiciela jednego przepłacanego zawodu nawieść o tym, że przedstawicielom innego się nie poszczęściło.

- A dlaczego w ogóle urządzał sobie jakieś wycieczki? - zainteresował się Pascoe.

- Przypuszczam, że przyjechał na obchód swoich przyszłych włości. Dopiero co wrócił z Rodezji, tej dawnej. Rodzina została w Londynie, a on przyjechał się rozejrzeć, może kupić jakąś farmę. Pochodził z tych okolic i myślał o tym, żeby tu dożyć swoich dni. I rzeczywiście, dożył, biedaczysko. Miał chrapkę na taki ładny kawałek ziemi, tylko że tam dom był w kiepskim stanie. Wtedy agent nieruchomości podsunął mu Rosemont, które przylegało do tamtej działki. No i Neville się w nim zakochał. Podejrzewam, że zamarzyło mu się życie wiejskiego dżentelmena. W tym ogromnym ogrodzie mógłby postawić całą masę budynków gospodarczych, prąd i wodę miałby na wyciągnięcie ręki. Przed śmiercią zdążył jeszcze nabyć tę ziemię, ale nie udało się już wymienić podpisanych umów na sprzedaż domu, a rodzina, która nie chciała ani jednego, ani drugiego, została z działką. I sprzedała ją poprzedniemu właścicielowi ze stratą! Powiadam panu, nie ma cwaniaka nad farmera z Yorkshire.

- I to właśnie tam spacerował owego feralnego dnia, tak?

- Tak sędzę. Wpadł do Rosemont, żeby jeszcze o czymś z panią Highsmith pogawędzić, ale wtedy czuł się jeszcze dobrze. Nawet wypili razem herbatę. Och, mówię panu, paskudna sprawa. Pani Highsmith była okrutnie zawiedziona. Trudno się jej dziwić.

- Innych chętnych na Rosemont nie było?

- Nie, ale tylko dlatego, że nie mieli kiedy się zgłosić. Pani Highsmith była tak wstrząśnięta tym nieszczęściem, że wycofała dom ze sprzedaży. Na pewno nie chodziło jej o pieniądze, nawet jeśli utrzymanie domu kosztowało majątek; dostała bardzo przyzwoity spadek, do tego doszły dochody z inwestycji pani Aldermann, a właściwie jej męża, który miał nosa do pieniędzy, i fortuna systematycznie rosła. Tylko że pani Highsmith tęskniła za Londynem. Doszło w końcu do tego, że praktycznie się tam przeprowadziła, gdy tylko syn poszedł na kurs księgowości. A kiedy osiągnął pełnoletność, zadzwoniła do mnie, żeby załatwić pewne formalności.

- Czyli?

- Przeniesienie aktywów. To prosty zabieg, i powszechnie stosowany. Minimalizuje zabójcze podatki, których przy zwykłym dziedziczeniu się nie uniknie.

Ktoś zapukał do drzwi i otworzył je, nie czekając na odpowiedź. Do pokoju wszedł trzydziestoparoletni mężczyzna. Skinął głową Pascoe i odezwał się do Massona:

- Przepraszam, że przeszkadzam, Edgarze, ale śpieszę się do sądu, a chciałem jeszcze z tobą porozmawiać. Muszę się poradzić w dwóch sprawach. Kiedy będziesz wolny? Ja za dwadzieścia minut muszę wyjść.

- Zaraz przyjdę - zapewnił go z entuzjazmem Masson. - Chyba i tak skończyliśmy naszą rozmowę z panem komisarzem.

- Komisarzem? - powtórzył młodszy mężczyzna.

- Tak. Komisarzu Pascoe, to jest Ian Coatbridge, nasz młodszy wspólnik.

- Bardzo mi miło - powiedział Coatbridge. - Jeżeli potrzebuje pan pomocy, jestem do pańskiej dyspozycji.

Pascoe odpowiedział grzecznym uśmiechem. Domyślał się, że gdy tylko Coatbridge dowiedział się od Irlandki, że Masson zabawia gliniarza rozmową, pognał na górę, żeby powstrzymać ewentualny niekontrolowany wyciek poufnych informacji.

- Raczej nie będzie takiej potrzeby - odparł. - Właśnie kończyliśmy. Pan Masson bardzo mi pomógł.

Po wyrażającej uprzejme zainteresowanie twarzy Coatbridge'a prześliznął się grymas irytacji. Pascoe uśmiechnął się i postanowił głębiej wrazić kij w mrowisko.

- Czy to właśnie po tym przeniesieniu aktywów Patrick stał się właścicielem domu? - spytał Massona.

- Tak. Właściwie to było dziwne: pani Highsmith podzieliła spadek dokładnie na pół, przez co Patrick dostał Rosemont i niewiele gotówki. Nie rozumiałem, po co młodemu człowiekowi taki wielki dom, gdzie tylko hula wiatr. Myślałem, że będzie go chciał sprzedać, ale nie. Co więcej, tydzień później zjawił się u mnie i zaczął się dopytywać, jak załatwić oficjalną zmianę nazwiska na Aldermann. Od tamtej pory oczywiście mieszkał na stałe w Rosemont. Ty też uważasz, że to dziwne, lanie?

Coatbridge uśmiechnął się bez przekonania.

- Każdy klient ma swoje dziwactwa - odparł.

Było widać, że jest okrutnie zakłopotany, ale Pascoe, wychodząc, mocno powątpiewał, czy młodszy wspólnik naprawdę ma powody do zmartwienia. On sam nie miał cienia wątpliwości, że mętne wspominki Massona tyle samo maskują, co ujawniają.

Góra lodowa

(*Iceberg*. Odmiana wielokwiatowa. Bardzo bujna, kształtna, wdzięczna, dobrze uformowana. Kwiaty jednolicie białe, dobre do dużych rabat. Doskonała na żywopłoty).

Kiedy zadzwonił telefon, Ellie Pascoe nie była w najlepszym humorze.

Poprzedniego dnia wieczorem w nieprzyjemny sposób uświadomiła sobie, że teoretycznie znów jest pełnoetatowym nauczycielem akademickim, kiedy dostarczono jej do domu karton wypełniony po brzegi egzaminami do sprawdzenia. Jej kolega z pracy, który je przywiózł, gadał (w kółko i rozwlekle) o sobie i swojej przyszłości w nowo powstającej placówce edukacyjnej. Nazywał się Rothman i był Żydem o niepodważalnie liberalnych poglądach, przebywającym na dobrowolnym wygnaniu z Johannesburga. Nieustannie wprowadzał Ellie w zakłopotanie swoimi rasistowskimi żartami, które - gdyby słyszała je z ust innej osoby - doprowadzałyby ją do białej gorączki.

- Dyrektor mówi, że w nowym Instytucie będą się nami lepiej opiekować - mówił właśnie z zapalem. - Ale ja, Ellie, ciągle słyszę w głowie ten głos: „Teraz wszyscy weźmiecie *der* prysznic. *Bitte* ustawić się w kolejka i jeden, drugi wchodzić *unter der* prysznic”.

W końcu zebrał się do wyjścia. Na progu Ellie zapytała go jeszcze, ile ma czasu na sprawdzenie prac.

- Ja wiem... Ze dwa dni? Masz przecież teraz mnóstwo wolnego czasu, szybko się z tym uwiniesz.

Zatrzasnęła z impetem drzwi i wykonała obelżywy gest pod adresem dygoczącej framugi.

Ale egzaminy kiedyś musiała przejrzeć, a im szybciej się za to weźmie, tym lepiej. Następnego dnia była umówiona tylko z Daphne Aldermann na kawę. W poniedziałek, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, spotkały się w „Chantry” i tak jej się to spodobało, że nie protestowała, kiedy ewidentnie spragniona przyjaźni Daphne zaproponowała środę i uparła się, żeby wrócić do „Market Caff”. To właśnie ten ukłon w stronę demokracji przekonał Ellie, że bez względu na niesprawdzone egzaminy nie wolno tego spotkania

przekładać na później, i kiedy została wystawiona do wiatru, nie była zachwycona - nawet jeśli Daphne miała (a na pewno miała) jakieś rozsądne usprawiedliwienie. Dlatego, kiedy po godzinie rozdzierającego ziewania nad egzaminami (miała wrażenie, że jej zuchwa próbuje uwolnić się od narzucanych przez ciało ograniczeń, w podobny sposób jak egzaminowani przekraczali wszelkie granice języka i logiki) podniosła gwałtownie słuchawkę i usłyszała głos Daphne, spodziewała się usłyszeć właśnie jakieś rozsądne usprawiedliwienie.

- Muszę się z tobą zobaczyć - wypaliła Daphne bez zbędnych wstępów.

- Tak? To ja ci coś powiem: trzeba było przyjść o wpół do dziesiątej do „Market Caff”, to może by ci się udało.

- Zaraz wpadnę. Chciałam tylko sprawdzić, czy jesteś w domu.

- Owszem, jestem w domu. I jestem bardzo zajęta, bo właśnie poprawiam egzaminy - odparła Ellie w przyпіływie irytacji. - Po prostu powiedz, o co ci...

Daphne się rozłączyła.

Zdumiona Ellie odłożyła słuchawkę. Nie ulegało wątpliwości, że szykują się kłopoty. Daphne brzmiała oschle i wrogo, jak tylko potrafią dobrze wychowane angielskie dziewczyny, a Ellie naczytała się dostatecznie dużo Marksa, żeby wiedzieć, że z gniewem burżuazji nie ma żartów.

Wciąż zaniepokojona wróciła do oceniania prac. Pół godziny później zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

- Widzę, że trafiłaś - zagaiła trochę bez sensu Ellie.

- Nie było łatwo - odparła oskarżycielskim tonem Daphne.

Wyglądało na to, że wyczuwalne przez telefon złość i napięcie zdążyły trochę osłabnąć i Daphne szuka sposobu na ich ponowne wzmożenie. Ellie postanowiła utrudnić jej życie.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - Uśmiechnęła się. - Nie masz pojęcia, jaki wpływ na mózg ma przejrzenie setki egzaminów, w których łącznie jest może pół sensownego pomysłu.

- Rzeczywiście, nie mam, bo i skąd? Jak reakcjonistka z klasy średniej, z dziećmiakami w prywatnych szkołach, miałyby rozpoznać sensowny pomysł? Do tego trzeba intelektu.

Delikatny rumieniec złości i wstydu przydawał Daphne wyjątkowej atrakcyjności. Gdybym przyłapała faceta na takiej refleksji, nazwałabym go seksistowską świnia, pomyślała Ellie.

- Coś cię zdenerwowało...

- Jakaś ty bystra! - Daphne szybko wspinała się na sam biegun swojej zjadliwej lodowatej złości. - Prawdziwa żyleta! Ile ja bym dała za taką przenikliwość! Trudno, może i

jestem zwykłym pionkiem w wojnie klas, ale przynajmniej nie jestem dwulicową suką, która szpieguje przyjaciółki!

Ellie zdążyła się przez ten czas cofnąć w głąb salonu, w którym pracowała; Rose w nosidełku leżała przy otwartych drzwiach ogrodowych i gulgotała do wróbli walczących o okruchy w karmniku.

Ellie osunęła się na fotel.

- Z tego punktu widzenia zupełnie nie przypominasz pionka - zauważyła. Nadal nie zamierzała dać się sprowokować. - A teraz proszę cię, Daphne, daruj sobie na chwilę ognistą retorykę i powiedz w prostych słowach, o co ci chodzi.

- Nie udawaj, że nie wiesz! - parsknęła Daphne. Niestety, jej szyderczy śmiech niepokojąco przypominał szloch.

- Mogę coś podejrzewać, ale nie będę miała pewności, dopóki mi nie powiesz. Tylko byłabym ci wdzięczna, gdybyś najpierw zechciała usiąść.

Daphne zawahała się, ale usiadła na podłokietniku wysokiego fotela z szerokim zagłówkiem. Rose, której perspektywa kłótni między dorosłymi wydała się w pierwszej chwili* atrakcyjna, doszła do wniosku, że rozmiar nie zastąpi zajadłości, i wróciła do obserwowania wróbli.

- Chcę, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie - powiedziała Daphne. - Tylko jedno: tak albo nie. Czy kiedy postanowiłaś przygarnąć mnie pod swoje czułe lewicowe skrzydełka, wiedziałaś, że twój mąż prowadzi dochodzenie przeciwko mojemu?

- O rety... - westchnęła Ellie. Potwierdziły się jej najgorsze przypuszczenia.

- Tak czy nie?! - krzyknęła Daphne, czepiając się tej namiastki potwierdzenia.

- To nie takie proste. Prosta odpowiedź na to pytanie oznaczałaby akceptację wszystkich jego implikacji, na co ja się nie zgadzam.

- Dajże spokój! Nie zgrywaj czepialskiej academiczki. To naprawdę proste pytanie.

- A ty nie zgrywaj tępej gospodyni domowej, co to jej w głowie tylko pieczenie ciast i układanie bukietów! - odparowała Ellie, zadowolona, że przynajmniej wie, na czym stoi. - To nie jest proste pytanie, i dobrze o tym wiesz. Pozwól, że najpierw wyłożę ci powody, dla których zawarłam z tobą znajomość. Zaczęło się od tego, że podwiozłam cię do miasta, bo padało. Tylko tyle. Nie miałam pojęcia, kim jesteś. No dobrze, domyśliłam się, że twoje dziecko chodzi do St. Helena School, i rozbawiła mnie twoja reakcja na widok transparentu w samochodzie, ale wtedy kierowałam się tylko zwykłą ludzką przyzwoitością. To po pierwsze. Po drugie, wcale nie przygarnęłam cię pod czułe lewicowe skrzydełka, chociaż przyznam, że

doceniam urok tego sformułowania. Po prostu, kiedy zaczęliśmy rozmawiać, zwyczajnie cię polubiłam.

- To musiało być dla ciebie zaskoczenie. Co z tym zrobiłaś? Obejrzałaś trzy spoty partyjne z rzędu jako pokutę?

- O, widzisz? To jeden z powodów, dla których cię lubię: jesteś inteligentna i dowcipna. - Ellie zaryzykowała uśmiech. - Zgoda, może była w tym z mojej strony odrobina politycznej protekcjonalności, na zasadzie: „Kto by pomyślał? Ja, prawdziwa aktywistka, polubiłam kogoś takiego!”. Ale czy możesz szczerze zaprzeczyć, że nie traktowałam mnie z taką samą wyższością, tyle że z perspektywy społecznej? „Patrzcie państwo: dobra, stara, tolerancyjna Daphne spędza czas w towarzystwie anarchistki!”. Nie mam racji?

- Mówisz, że jestem inteligentna - powtórzyła z wyrzutem Daphne. - Na pewno wystarczająco inteligentna, żeby zauważyć, że unikasz odpowiedzi na moje pytanie.

Było jednak widać, że trochę się rozluźniła.

- Po prostu chciałam przygotować grunt - wyjaśniła Ellie. - Do rzeczy. Kiedy powiedziałaś mi, jak się nazywałeś, i wspomniałaś, gdzie pracuje twój mąż, to owszem, skojarzyłam, że Peter interesuje się nim z powodów zawodowych. Nic z tym nie zrobiłam, bo jedyne, co mogłam zrobić, to zdławić naszą znajomość w załączku, a na to nie miałam najmniejszej ochoty. Dlaczego? Ciebie interesuje proste „tak” lub „nie”, a ja cię tu zarzucam dziesiątkami powodów... Przykro mi, ale podam ci jeszcze trzy. Po pierwsze, nie zgadzam się, żeby sprawy mojego męża ograniczały moją wolność wyboru. Po drugie, to, co powiedział mi o sprawie twojego męża, zabrzmiało jak kiepski żart. I po trzecie, polubiłam cię. Można sobie walczyć o wolność, równość i prawa człowieka, ale o przyjaciół jest znacznie trudniej, i kiedy się jakiś trafi, trzeba go łapać szybko.

- Wzruszyłam się - odparła Daphne ostro. Na chwilę umilkła, a kiedy podjęła temat, mówiła łagodniej i z mniejszą pewnością siebie: - Przepraszam, chciałam, żeby to wyszło sarkastycznie. Niepotrzebnie. To naprawdę wzruszające, co powiedziałaś, to o przyjaciółach i w ogóle. Wiesz co? Nie siedziałam tak i nie rozmawiałam z nikim o przyjaźni chyba od czasów szkolnych. Jakie te wszystkie szkolne układy, przyjaźnie i kłótnie były ważne! Jednego nie rozumiem: jak mogłaś, będąc moją przyjaciółką, słuchać, jak twój mąż mówi o Patricku, i... i...

- I co?

- Nie wiem! Skąd mam wiedzieć?! - wybuchnęła Daphne. - Może ty mi powiesz, co dokładnie zrobiłaś, kiedy w rozmowie znów wypłynęło nazwisko Patricka. Bo wypłynęło, prawda?

- Owszem, wypłynęło. Może nie powinno było, ale zrozumiem, Peter mi ufa. Opowiada mi o swojej pracy, a ja chcę, żeby to robił. Czasem są to rzeczy obrzydliwe i odrażające, ale on sam wcale nie jest obrzydliwy ani odrażający, a ja wiem, że policja, w której służy Peter i jeszcze paru takich jak on, jest znacznie lepsza od takiej, w której by ich zabrakło. A zatem tak, wspominał o twoim mężu, i tak, ja powiedziałam mu o tobie. Rozumiesz chyba, że nie mogę ci dokładnie powtórzyć, co mówił? Zapewniam cię jednak, że nic z tego, co powiedział, w żaden sposób nie naraża na szwank naszej znajomości. Uwierz mi, proszę. A jeśli chodzi o ciebie... Opowiadałam o tobie jak o nowej przyjaciółce, co do której mam nadzieję, że z czasem zostanie starą przyjaciółką.

- Tylko tyle? - nalegała Daphne, nie dając się zwieść sentymentalnym ozdobnikom. - Czyli nie powtórzyłaś mu żadnych szczegółów osobistych na mój temat?

Ellie z niepokojem wróciła pamięcią do nocnej rozmowy przy winie, kiedy to opowiadała Peterowi o przeszłości Daphne, jej narzeczeństwie, charakterze i finansach. Modląc się w duchu, żeby Daphne jej uwierzyła, odparła:

- Nie powiedziałam niczego, czego nie powiedziałabym o każdej innej bliskiej przyjaciółce.

Odpowiedź była po jezuicku pokrętna, ale najwyraźniej dostatecznie treściwa, żeby przytępić ostrze sceptycyzmu Daphne. Chyba że introspekcyjne milczenie, w które popadła Daphne, marszcząc brwi, służyło tylko przegrupowaniu sił przed kolejnym szturmem. Ellie doszła do wniosku, że najlepszy będzie szybki manewr wyprzedzający.

- Daphne, przepraszam. Sama wpakowałam się w sytuację, z której nie ma dobrego wyjścia. Przyznaję się do tego i przepraszam. Ale co się właściwie stało? Bo coś się przecież musiało stać, że wpadłaś do mnie jak po ogień. Zaczniemy od tego: skąd się dowiedziałaś, że Peter interesuje się twoim mężem?

- Nie domyślasz się? - spytała z goryczą Daphne. - Przecież moje życie prywatne jest dla ciebie jak otwarta księga.

- Nie mam pojęcia. Naprawdę. Z ręką na sercu. Jak mam cię przekonać, że mówię prawdę?

Daphne spojrzała na Ellie podejrzliwie.

- Zrobiłabyś mi drinka? Wiem, że jeszcze wcześniej, ale jestem trochę roztrzęsiona. Nie jestem specjalistką od klótni. Nie tak mnie wychowano.

- Jasne. Szkoocka może być?

Ellie bez pośpiechu wzięła się za przyrządzanie drinków: poszła do kuchni po lód, czystą ściereczką wypolerowała szklanki i dopiero wtedy sięgnęła po butelkę. Intuicja jej nie zawiodła. Daphne zaczęła mówić, nie czekając, aż gospodyni się do niej odwróci.

- Dick Elgood mi powiedział. Wspomniałam mu o tobie, tak w żartach, że znam żonę policjanta. Wtedy mi powiedział.

- O czym? - spytała Ellie, wlewając whisky' do szklanki po kropelce, jakby dodawała oliwy do majonezu.

- O tej kretyńskiej skardze, którą złożył na policji. I o tym, że twój mąż prowadzi to śledztwo. Powiedział też, że po tym, jak mu opowiedziałam o tym dziwnie wyglądającym sierżancie z WK, który przyszedł do nas do domu i wypytywał mnie o samochód, rozmawiał z twoim mężem i wytłumaczył mu, że popełnił głupi błąd, ale teraz wołałby, żeby sprawa została zamknięta. Tylko że oni wcale jej nie zamknęli, prawda? Prawda?

Dopiero teraz Ellie odwróciła się do Daphne.

- Wydaje mi się, że zamknęli, chociaż, uwierz mi, nie mam pojęcia, na jakim etapie - odparła.

Podawała przyjaciółce whisky. Sama sobie też naląła, ale tylko dla towarzystwa, z dużą domieszką wody. Wołała teraz nie pić: po zakończeniu tej trudnej sceny wciąż czekało ją sporo pracy, a potrzebowała trzeźwej głowy i bystrego oka, żeby przy sprawdzaniu egzaminów oddzielić ziarno od plew.

- Drugi raz mnie prosisz, żebym ci uwierzyła - zauważyła Daphne, sącząc whisky.

- Zdaję sobie sprawę, że chwilowo nie jestem osobą szczególnie wiarygodną, ale ciągle nic nie rozumiem. Dlaczego Dick Elgood ci o tym wspominał? Zresztą, cofnijmy się jeszcze dalej, dlaczego ty mu opowiadałaś o tym, że policja interesuje się twoim samochodem?

- Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

- Nie, nie wiem! - Ellie podniosła głos, aż Rose znów spojrzała ciekawie w ich stronę.

- Przecież powiedziałam!

- W takim razie powiem ci: po tym, jak zostawiłam swój samochód na parkingu w tym dniu, kiedy go porysowali, przesiadłam się do samochodu Dicka i resztę dnia spędziliśmy w jego nadmorskim domku!

- Aha - mruknęła osłupiała Ellie.

- Dlatego opowiedziałam mu o zniszczonym samochodzie, a potem o odwiedzinach tego sierżanta. Bardzo się interesował wszystkim, co mówił sierżant, tylko że wtedy nie wiedziałam dlaczego.

- Nie mogłaś wiedzieć... - Ellie kompletnie się już pogubiła. - Daphne... Pojechałaś do domku Elgooda, żeby...

O dziwo, nie była w stanie dokończyć tego zdania.

- Żeby się różnić - powiedziała Daphne tym swoim donośnym, wyraźnym, stanowczym, znamionującym prywatną edukację głosem. - Tego słowa chyba szukasz. Więc naprawdę nie wiedziałaś? Ciekawe. Bo to znaczy, że albo mąż ci nie powiedział, co samo w sobie jest interesujące, albo on też o niczym nie wie, a ty teraz musisz się zdecydować, czy łącząca nas dozgonna przyjaźń pozwoli ci mu o tym powiedzieć. I to chyba jest w tym wszystkim najciekawsze.

Wstała, odstawiła szklankę i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Daphne! - zawołała za nią Ellie. - Porozmawiajmy jeszcze, proszę.

- Dobrze, porozmawiamy, jeśli tego właśnie chcesz, ale nie w tej chwili. - Głos Daphne był bardzo spokojny. - Spotkajmy się jutro przed południem, w „Chantry”. Miałam przyjść dziś rano do „Market Caff” i wygarnąć ci, co o tobie myślę, ale stchórzyłam. W „Chantry” będę się chyba pewniej czuła, co? A ty mi wtedy powiesz, co postanowiłaś.

Takiego wyjścia nie można było popsuć pościgiem i wymówkami. Ellie tkwiła na fotelu bez ruchu, jak spętana zaklęciem księżniczka, dopóki nie usłyszała trzaśnięcia drzwi wejściowych i warkotu odjeżdżającego volkswagena. Wydawało jej się, że przez cały ten czas siedziała całkowicie nieruchomo, ale kiedy w końcu drgnęła i spojrzała na szklankę niechcianej szkockiej w ręce, odkryła, że szklanka jest praktycznie pusta, a ona zdecydowanie ma ochotę na dolewkę.

Klitajmestra

(*Clytemnestra*. Mieszaniec piżmowy. Kwiaty różowo-żółte, o pomarszczonych płatkach i skórzastych liściach. Ma skłonność do krzewiastego rozrostu. Świetnie prezentuje się jesienią).

- Pana Capsticka nie ma w domu - oznajmiła pani Unger surowym tonem guwernantki, która stwierdza, że musi powtórzyć coś tak oczywistego, że w ogóle nie powinna o tym wspominać.

Pascoe nie był pewien, czy w jej ustach to zdanie należy traktować dosłownie, czy tylko w zgodzie z konwencją.

- Rozumiem. Jestem komisarz Pascoe, byłem tu parę dni temu... Może pani pamięta?

Niewzruszone niebieskie oczy, osadzone w wiekowej, pomarszczonej jak suszone jabłko twarzy, skupiły się na jego czole, jakby wypatrywały w tym miejscu jakiegoś znaku uwierzytelniającego. Pascoe przyszło do głowy, że ich drażniąca nieprzeniknioność może wynikać z krótkowidztwa, nie zaś - jak można by w pierwszej chwili pomyśleć - z jasnowidztwa.

- Rozmawiałem z panem Capstickiem w oranżerii - mówił dalej. - Poczęstowała mnie pani przepyszными babeczkami maślanymi.

Twarz pani Unger pojaśniała. Raz go już zaakceptowała, a Pascoe domyślał się, że nie należy do kobiet, które łatwo zmieniają zdanie.

- Pojechał do Harrogate - odparła takim tonem, jakby Capstick udał się do jakiejś mitycznej krainy. - Jeden z jego kumpli po niego przyjechał.

Czyli naprawdę nie było go w domu, co właściwie było Pascoe na rękę.

- Może w takim razie mógłbym porozmawiać z panią, pani Unger? Nie zajmę pani dużo czasu, obiecuję.

Skwitowała jego zuchwałość delikatnym wydeciem ust. Pascoe zinterpretował je prawidłowo: zajmie jej dokładnie tyle czasu, ile ona uzna za stosowne. Jego obietnice nie mają tu nic do rzeczy.

Otworzyła drzwi na oścież i usunęła się na bok, żeby go przepuścić, po czym zamknęła je za nim na zasuwę (to na pewno zwykły odruch, wmawiał sobie zaniepokojony Pascoe, nie żaden złowrogi gest). Zamknęła również drugie drzwi, wewnętrzne; darowała sobie tylko zasuwę.

- Niech pan siada - zaordynowała.

Pascoe usiadł, a pani Unger ku jego zdumieniu wyszła z pokoju. Zdziwiony, rozejrzał się dookoła. Pokój był niczego sobie, może trochę zbyt kwadratowy i za wysoki przy takich rozmiarach. Dębowy kredens i duża dębowa witryna z książkami (jedno i drugie po wiktoriańsku masywne i ciężkie) przesłaniały całą ścianę na lewo od fotela, w którym Pascoe siedział przy ozdobnym marmurowym kominku.

Zebrał się na odwagę, wstał i podszedł do witryny. Przez ozdobnie rżnięte szkło odczytał kilka tytułów tłoczonych złotem na skórzanych grzbietach. Zamiłowanie gospodarza do Trollope'a można było przewidzieć, ale obecność Colette była zaskakująca.

Odwrócił się na dźwięk jakiegoś grzechotu za plecami i zobaczył panią Unger z drewnianym stolikiem herbacianym na kółkach, który ustawiała właśnie obok fotela.

- Napije się pan herbaty.

To nie było pytanie. Wyglądało na to, że pani Unger, zupełnie jak Dalziel, sama wie najlepiej, co jest dobre dla innych.

Pascoe skinął głową i podziękował, a potem zapadł się głębiej w fotelu (i podupadł na duchu) na widok tacy babeczek maślanych spoczywającej na dolnym blacie wózka.

Atak wydał mu się najlepszą obroną.

- Chciałem porozmawiać o dniu, w którym zginął wielebny Somerton - zaczął. - To ten dzentelmen, któremu kamień spadł na głowę z dzwonnicy Świętego Marka. Wiem, że to było ponad dziesięć lat temu, ale może pani pamięta?

Pani Unger nie odpowiedziała. Pascoe mówił, a ona przez ten czas naląła mu herbaty. Zamieszał, napił się. Milczenie się przedłużało. Uśmiechnął się półgębkiem, wziął talerzyk, nałożył sobie babeczkę i skosztował.

- Mmm, pyszności... - powiedział.

- To była sobota. Marzec, bodajże druga sobota marca. Prawdziwy marcowy dzień: pochmurny w jednej chwili, słoneczny w następnej, a wietrzny od rana do wieczora.

Data i opis dnia zgadzały się co do joty z tym, co Pascoe wyczytał w raporcie koronera. Była nawet taka teoria, że wyjątkowo silny wiatr mógł się przyczynić do obluzowania feralnego kamienia.

- O ile wiem, pana Capsticka nie było wtedy w domu, prawda?

- Nie, nie było.

- Ale pani była?

- Byłam.

- Ktoś jeszcze tu był?

Cisza. Pascoe odgryzł następny kęs. I jeszcze jeden.

- Tak. Pamiętam, że był tu wtedy ten młody człowiek od róż.

Podeksytowany Pascoe pośpiesznie dojadł babeczkę i sięgnął po następną, gdy tylko wzrok pani Unger prześliznął się po jego pustym talerzyku.

- Od róż, powiada pani? Czyli pan... - Ugryzł.

- Aldermann, tak się nazywał. Trzeba przyznać, że miał podejście do kwiatów.

Ale najwyraźniej nie do pani Unger. Aldermann raczej nie dostawał babeczek śmietankowych.

- Co dokładnie wtedy robił?

- Sadził i przycinał kwiaty. Podobno marzec to właściwy miesiąc na takie prace. Powiedziałam mu, że pana Capsticka nie ma, a on na to, że nic nie szkodzi i że popracuje sobie w ogrodzie. Więc wpuściłam go do ogrodu i zostawiłam samego.

- Do której tu był, pamięta pani?

- Mniej więcej do czwartej. Zaczęło lać jak z cebra, a wiatr był taki, że deszcz zacinał prawie poziomo. Wtedy zawołał, że będzie się zbierał, i sobie poszedł.

Miejscowy pastor znalazł ciało Somertona za kwadrans piąta, wróciwszy z przyjęcia weselnego po ślubie, którego wcześniej udzielił. Był umówiony z wielebnym o czwartej, ale się spóźnił.

Pascoe domyślał się, że wesele musiało być huczne i suto zakrapiane.

Dokończył drugą babeczkę.

- Mogę się rozejrzeć po ogrodzie? - zapytał.

Pani Unger bez słowa wyprowadziła go z pokoju, przeszła przez oranżerię, w której Capstick przesiadywał niczym jakaś delikatna orientalna roślina, i wskazała Pascoe wyjście do ogrodu.

- Dziękuję pani.

Szybkim krokiem przemierzył trawnik i podszedł do żywopłotu, nad którym wznosiła się dzwonnica. Rododendrony kwitły w najlepsze; ich kwiaty intensywnością barw rywalizowały z kwiatami dwóch albo trzech krzewów bzu, ale ich zapach nie miał szans w starciu z ciężkim aromatem półtuzina swobodnie pleniących się kęp lawendy. Właściwie wszystkie te krzewy wyglądały tak, jakby od ładnych paru lat nikt się nimi nie interesował.

Gałęzie zwieszały się swobodnie nad poprowadzoną w gąszczu wąską ścieżką. Przedarłszy się przez nie, Pascoe dobrnął do małej furtki w cyprysowym żywopłocie. Klębek drutu, któremu deszcze, rosa i rdza nadały jesiennobrazową barwę, przytwierdzał drzwi do spróchniałego słupka. Za nimi rozpościerał się zapuszczony trawnik starego cmentarza, upstrzony nagrobkami, na których napisy zostały zatarte przez czas, pogodę i niezliczone drobne palce porostów.

Z trudem otworzył furtkę; najwyraźniej mieszkańcy domu Capsticka korzystali z innych ścieżek do nieba. Stąpając ze skrucłą wśród grobów dawno pomarłych mieszkańców Little Leven, dotarł do kościoła i wysiliwszy nieco pamięć, odszukał miejsce, w którym wielebny Oliver Somerton został rażony odłamkiem świętego kamienia. Trochę nerwowo podniósł wzrok na dzwonnice, która w tej chwili wcale nie wyglądała groźnie. Może chociaż tyle dobrego wynikło ze śmierci archidiakona, że znalazły się pieniądze na remont wieży.

Stojąc z tej strony kościoła, był zupełnie niewidoczny od strony głównej bramy i rozpostartej za nią wioseczki. Jedyną oznaką sąsiedztwa cywilizacji (poza nagrobkami, naturalnie) były dachy domów Capsticka i jego najbliższych sąsiadów, wznoszące się nad łagodnym trawiastym wybrzuszeniem terenu. Pascoe uświadomił sobie, że patrząc z tego miejsca, wcale nie ma wrażenia zaniedbania tej okolicy. Stare zawsze ustępowało miejsca nowemu i śmierć wcale nie przerywała tego procesu. Ludzie umierali, a życie toczyło się dalej w opustoszałej po ich odejściu przestrzeni. Przez jakiś czas miejsce złożenia ich szczątków znaczyły gładkie, kanciaste obeliski opisane literami o ostrych krawędziach; słusznie koszono wokół nich trawę i składano im kwiaty u stóp. Z czasem jednak młodzi się starzeli, a do ziemi składano tych, którzy ich przeżyli - i równie słuszne było to, że krajobraz wchłania stare nagrobki, tak jak głębokie, ciemne warstwy ziemi wchłaniają kości.

Coś świsnęło Pascoe koło głowy i spadło na wyłożoną kamieniami ścieżkę. Przestraszony odskoczył i zadarł głowę: wysoko, wysoko w górze opatrzony dziobem łebek przekrzywił się na bok, jakby brał nowy namiar na cel.

- Dzięki za przypomnienie - mruknął Pascoe, przenosząc wzrok na biały rozbryzg na kamieniu.

Podobno trafienie ptasimi odchodami przynosi szczęście, przypomniał sobie.

Spojrzał na zegarek: najwyższa pora wracać do domu. Musi odwiedzić inne miejsca zgonów, zagłębić się w innych metafizycznych medytacjach i przejechać wiele mil, zanim będzie mógł położyć się spać. Wiele mil.

Zanim dojechał na High Grove, gdzie pod numerem dwunastym mieszkała pani Mandy Burke - wdowa po Christopherze Burke'u, dawnym asystencie głównego księgowego

Perfecty - medytacyjny nastrój prysnął. Po pierwsze, babeczki pani Unger okazały się odporne nawet na wypity do obiadu kufel najlepszego bittera w Yorkshire i ciężko zaległy mu w żołądku. Po drugie zaś, ozdobny biało-różowy bruk w kształcie rombów na patio, na którym pan Burke spotkał swoją śmierć, nie wyglądał nawet w przybliżeniu tak nastrojowo jak wytarte pod stopami tysięcy ludzi szare kamienne płyty, na których archidiakon zakończył swój żywot, a otynkowana otoczkami tylna ściana domu z fioletowobrazowymi framugami okien nie działała na wyobraźnię z taką mocą, jak mroczna dzwonnica Świętego Marka. A poza tym, zamiast spokojnego towarzystwa wiekowych zmarłych, przy High Grove powitała Pascoe wdowa Burke, której wiekowość (mimo wysiłków najlepszych kosmetyczek w hrabstwie) była wprawdzie niepodważalna, ale której żywość również nie podlegała żadnej wątpliwości.

- Tu właśnie upadł, panie komisarzu. To znaczy, Peter. Mogę tak do pana mówić? Peter? Dokładnie w tym miejscu.

Wskazywała ów punkt z teatralną manierą przewodników, którzy, oprowadzając turystów po dawnych rezydencjach szlacheckich, pokazują miejsce - często zaznaczone niezmywalnymi plamami krwi - w którym jakiś pechowy członek arystokratycznego rodu (dziś żyjącego z pieniędzy za bilety wstępu) dokonał swego żywota. Na patio nie było krwi, stał natomiast stolik ze szklanką i dzbankiem pełnym płynu, który wyglądał na lemoniadę.

I tak ma jeszcze jakieś resztki przyzwoitości, pomyślał Pascoe. Mogła przecież zasłonić „dokładnie to miejsce” leżakiem, z którego po długim oczekiwaniu poderwał ją w końcu wciśnięty do oporu dzwonek przy drzwiach.

O dziwo, informacja, że jej gość jest policjantem, raczej załagodziła niż wzmogła jej irytację z powodu niespodziewanej wizyty. Przedstawiciele współczesnej klasy średniej darzyli policję głęboką nieufnością i zwykle domagali się okazania legitymacji oraz wyraźnego sprecyzowania celu odwiedzin, zanim wpuścili funkcjonariusza za próg domu. Tymczasem wdowa Burke otworzyła drzwi na oścież, zaprosiła komisarza do środka i bez cienia zdziwienia czy niechęci zgodziła się porozmawiać o nieżyjącym mężu, gdy tylko Pascoe nieśmiało podsunął ten temat.

- Może zostaniemy tutaj, na patio? - zaproponowała. - Szkoda marnować taką wspaniałą pogodę, doprawdy. W garażu powinien być gdzieś drugi leżak, poszukaj go sobie. Ja przyniosę drugą szklankę; na pewno umieras z pragnienia. Zaraz wracam. - z obiecującym uśmiechem na ustach wróciła do domu. Korzystając z chwili samotności, Pascoe trochę się rozejrzył. Jak przez mgłę pamiętał High Grove z okresu, kiedy sam szukał domu. Osiedle właśnie wtedy zostało ukończone, przyjechali z Ellie rzucić na nie okiem - i jeden rzut oka

wystarczył im w zupełności, chociaż High Grove nie prezentowało się wcale najgorzej, jak na taką zamożną dzielnicę. Na osiedlu wybudowano trzy rodzaje domów jednorodzinnych, pogrupowanych po pięć: cztery w rogach prostokąta i piąty w środku, jakby budowniczowie wierzyli w magiczną moc geometrii. Dom Burke'ów, zbudowany w stylu Chatsworth House*, rozmiarami i luksusem ustępował tylko pałacowi

Blenheim**. To konkretne skupisko chatsworthów sąsiadowało z grupą hardwicków - parterowych domów z dwoma salonami i dwiema sypialniami (albo jednym salonem i trzema sypialniami). To właśnie hardwicka oglądali wtedy z Ellie. Właściciele chatsworthów nie mieli tej przyjemności, gdyż od hardwicków oddzielał ich siedmiostopowej wysokości ozdobny żywopłot (wzorowany, jak twierdził agent, na włoskich ogrodach klasztornych), uzupełniony wszelakim zielskiem, które pleniło się swobodnie na obrzeżach długiego trawnika. Można się jednak było spodziewać, że człowiek na drabinie byłby z tamtej strony widoczny.

Bocznymi drzwiami wszedł do garażu. Stało w nim volvo kombi, którego bagażnik był po brzegi wyładowany czymś, co musiało być towarem przeznaczonym do sprzedaży na bazarze: słomiane maty, wyplatane z trzciny koszyki, zasłony z koralików, kwiaty z jedwabiu i tak dalej. W skromnej przestrzeni obok volvo stały sterty kartonów zawierających podobne drobiazgi. Z gąszczy kolonialnej trzciny wyłowił w końcu porządny angielski składany leżak.

Wrócił na patio i mocował się z meblem, usiłując zmusić go do posłuszeństwa, gdy wróciła wdowa Burke, niosąc wysoką szklanę, którą zaczęła napępiać obiecująco wyglądającą lemoniadą.

Leżak niespodziewanie przybrał właściwy kształt.

- Siadaj - poleciła Pascoe wdowa i wręczyła mu szklanę.

Usiadł. Wdowa zdjęła szlafrok, którym owinęła się najprawdopodobniej przed otwarciem gościowi drzwi, i udrapowała się wdzięcznie na swoim leżaku.

Bez szlafroka jej ciało łatwiej poddawało się rozumowej analizie. Opalona skóra nie okrywała wprawdzie jędrnych mięśni dwudziestolatki, ale wiek wcale nie pożyłił gładkiej powierzchni zmarszczkami bezlitosnych zim. Piersi pod skąpym bikini w równym stopniu prężyły się i rozlewały, a brzuch był przyjemnie płaski.

Czterdzieści parę lat, ocenił Pascoe. I jest na czym wzrok zaczepić.

* Chatsworth House - rezydencja księcia Devonshire (przyp. tłum.).

** Blenheim Palace - pałac księcia Marlborough jedyna rezydencja pałacowa w Anglii niebędąca własnością rodziny królewskiej ani Kościoła (przyp. tłum.).

Musiała zauważyć, że zaczepił wzrok, bo uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Na zdrowie - powiedziała.

- Na zdrowie.

Pascoe pociągnął solidny łyk lemoniady, która sparzyła nieprzygotowane gardło niczym lawa. Zakrztusił się, zacharczał, zapluł. Rozcieńczalnikiem w napitku nie była woda, lecz wódka - co tłumaczyło serdeczność gospodyni.

- Oj, przepraszam, powinnam była cię uprzedzić. Naprawdę nie pijecie na służbie?

- Zawsze z umiarem - odparł Pascoe, stanowczym gestem stawiając szklankę dokładnie w „tym” miejscu.

- To tak jak ja. - Wdowa Burke zerknęła na niego sponad szklanki. Taki gest powinien być żenująco absurdalną parodią zachowania wampa z epoki kina niemego, ale w jej wykonaniu wcale nią nie był.

- Chodzi o pana Burke'a - powiedział bez zbędnych wstępów Pascoe.

- Jest jakiś problem z ubezpieczeniem? A może ktoś wydzwania i sapie wam do telefonu?

- Słucham?

- Na pewno jest jakiś powód, dla którego po tak długim czasie chcecie rozmawiać o biednym Chrisie. Pomyślałam, że go od ciebie wydobędę.

Wdowa się roześmiała, odsłaniając równe białe zęby.

- To rutynowa procedura, pani Burke - zełgał nieprzekonująco Pascoe.

- Mandy. Nie chcesz być ze mną szczery, to przynajmniej bądź miły. Nie chcę, żebyś pomyślał, że jestem gruboskórna, Peter, ale już dawno się pogodziłam z jego brakiem. Życie toczy się dalej, a ja je uwielbiam. Chociaż nie każdy może to o sobie powiedzieć. To taki gorączkowy wyścig i ciągła przepychanka, ale najważniejsze to nie przestawać biec. Prędzej mnie zepchną z bieżni, niż dam się wyprzedzić, za to Chris... Był w moim wieku, a czasem zachowywał się jak mój ojciec. To czterdziestka go tak załatwiła: dobił do czterdziestki, a wtedy w głowie zadzwonił mu jakiś budzik, takie „drrrrń!” jak kuchenny minutnik, obwieszczając, że oto wkroczył w wiek średni. Potem wystarczyło pół roku i tym właśnie się stał: mężczyzną w średnim wieku.

- Co nie przeszkodziło mu w środku dnia wspiąć się na wysoką drabinę - zauważył Pascoe, zerknąwszy na okap domu. - Kto by pomyślał...

- Mówisz tak, bo jesteś młody - orzekła stanowczo wdowa. - Sprawdzanie po robotnikach to część syndromu wieku średniego. Płacę i wymagam. Chris miał głowę do liczb, ale nie do wysokości.

- Istotnie... Był księgowym, prawda?

- Tak. W Perfekcie. Produkują sanitariaty. Powinieneś zobaczyć moją łazienkę, Peter. Mam w niej dosłownie wszystko.

- Wiem. Wspomniała pani o niej w zeznaniu podczas śledztwa. Powiedziała też pani, że przed wyjściem z domu wzięła prysznic?

- Zgadza się, wzięłam. Pamiętam, że myślałam potem, że może to się stało, kiedy byłam pod prysznicem. Jak się woda leje, człowiek nic nie słyszy: telefonu, dzwonka do drzwi, dosłownie nic. Przed wyjściem nie przyszło mi do głowy wyjrzeć na patio, a on już mógł tam wtedy leżeć. Paskudna świadomość.

W tym miejscu w zeznaniach pani Burke widniała lakoniczna adnotacja „Przerwa”. Może po prostu się załamała; nawet teraz na jej niebrzydką twarz padł cień.

- To bez różnicy - powiedział łagodnym tonem Pascoe. - Pani mąż zginął na miejscu.

- Rzeczywiście, to pocieszające. - Otarła łzy z oczu, uśmiechnęła się dzielnie i pociągnęła łyk drinka. - Gorąco dziś... Może zdejmiesz marynarkę?

- Nie, i tak zaraz muszę uciekać. Czy kiedy go pani znalazła, widziała pani jakieś ślady świadczące o tym, że ktoś mógł przy nim być?

- O czym ty mówisz?

- Na przykład, o dwóch szklankach. - Pascoe podniósł swój drink.

Mandy próbowała mu dolać wódki, a kiedy pośpiesznie cofnęła rękę, dolała sobie.

- Nie, niczego takiego nie było. Pamiętam, że odstawiłam samochód do garażu, bocznymi drzwiami wyszłam prosto na patio, a on już tam leżał. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś inny się tam kręcił. Bo i po co? A zresztą, gdyby nawet, to przecież ktoś taki na pewno by się przyznał, prawda?

- Oczywiście. Czy pan Burke przyjaźnił się z kolegami z pracy? Z panem Elgoodem? Panem Eaglesem? Albo, powiedzmy, panem Aldermannem?

- Widzę, że sporo wiesz... - przyznała z podziwem wdowa. - Od razu się zorientowałam. Jak tylko cię zobaczyłam, pomyślałam: oho, to jest człowiek, który dużo wie. Niech no się zastanowię... Z Elgoodem nie. Znali się, ale to był taki kontakt jak podwładnego z przełożonym. Z Timem Eaglesem i jego żoną spotykaliśmy się kilka razy w roku na kolacjach, raz u nich, raz u nas, na zmianę. A jeśli chodzi o Aldermanna, tego, co to potem wskoczył na jego miejsce, to Chris za nim nie przepadał. Mówiło się, że wcześniej, kiedy praktykował prywatnie, były z nim jakieś kłopoty, ale Chrisowi nie o to chodziło. Nie lubił plotek. Miał zasady i może trochę starotestamentową wizję moralności, ale był też z natury niedowiarkiem i nie potępiał nikogo, dopóki na własne oczy nie zobaczył twardych

dowodów. Mimo to, nie lubił Patricka Aldermanna. Twierdził, że jest zbędny, nawet jeśli zatrudnia się go tylko na pół etatu. Uważał go za krętacza i nie chciał mieć z nim do czynienia.

- Skarżył się na pana Aldermanna?

- Tak oficjalnie, znaczy? To bardzo prawdopodobne. Mógł trzymać nerwy na wodzy, dopóki nie był czegoś pewien, ale później nie było litości: mówił głośno, co myśli, i nie obchodziło go, że przy okazji pół kraju o tym usłyszy. Ojej, lemoniada się skończyła... Strasznie szybko paruje w tym upale. Ja sobie jeszcze zrobię. Może przynajmniej rozluźnij krawat i napij się jeszcze ze mną?

Pani Burke wstała, zachwiała się, oparła o ramię Pascoe, żeby nie stracić równowagi, i odczekała, aż grawitacja podsunie mu pod nos ciężkie bomby jej piersi. Zaniepokojony komisarz wysliznął się bokiem z leżaka, klękając przy tym na jedno kolano.

- Uważaj! Nie podarłeś sobie spodni? Zresztą, nie przejmuj się, z igłą i nitką potrafię działać cuda. Mogłabym cię połatać i odesłać do domu, a żona by nie zauważyła, że jesteś po naprawie.

- Spokojnie, nic się nie stało. Naprawdę muszę już iść. Bardzo pani dziękuję, pani Burke.

- Mówi mi Mandy, i wpadnij jeszcze kiedyś. Albo zajrzyj do mojego sklepiku: „Tysiąc jeden drobiazgów Mandy”. Dla przyjaciół zawsze znajdę coś ciekawego.

- Może tak zrobię. A dziś nie jest dzień targowy?

- Jest, ale smażyłam się tam w tym skwarze od rana i pomyślałam, że po południu moja asystentka sama da sobie radę. Wszystko jest w porządku, dopóki człowiek jest młody i chudy, ale kiedy nabierze ciała, szybko zaczyna słuwać potem.

Zatrzęsła delikatnie całym ciałem, jakby chciała zademonstrować to zjawisko.

Pascoe uśmiechnął się i wyszedł. Odczuwał ogromną ulgę, ale kiedy ruszył w drogę powrotną, z zaskoczeniem skonstatował, że dręczy go niejasne przeczucie: mimo że oparł się wszystkim jej awansom i odrzucił propozycję połatania spodni, wstawiona i figlarna pani Burke w jakiś sposób go wykiwała. Na razie nie wiedział tylko, w jaki.

Emocje

(*Emotion*. Remontanka. Pięknie ukształtowane kwiaty rozwijają się z ciasno zwiniętych pąków. Liście jasnozielone).

Sierżant Wield był w duchu przekonany, że cała sprawa Aldermanna to jedna wielka bzdura, na którą szkoda czasu, dlatego po tym, jak spędził całe przedpołudnie na nadganiu papierkowej roboty, a potem zjadł pośpieszny obiad w gorącym, zatłoczonym pubie, w nie najlepszym humorze udał się na spotkanie z panem Wellingtonem, koronerem w śledztwie w sprawie śmierci Burke'a.

Suchego jak szczapa Wellingtona (który zdążył przez ten czas przejść na emeryturę) cechowała niezachwiana wiara w umiar, skromność i szacunek dla władzy - cnoty, które wiek podeszły w naturalny sposób podsuwa człowiekowi pod rozwagę. Upływ lat przytępił jego apetyt, ale najwyraźniej nijak nie wpłynął na charakter.

- Wield? Wield... Pamiętam pana. Był pan kiedyś bardzo zuchwały wobec mnie, i to w moim własnym sądzie! Udzieliłem panu surowej reprimendy.

- Zgadza się, proszę pana - przytaknął Wield i przeszedł do sprawy Burke'a.

Także w tej kwestii nie miał szczęścia: koroner nie mógł się zdecydować, czy czuje się bardziej urażony sugestią, że Burke - człowiek słynący ze swej trzeźwości - miałby coś wypić, czy raczej, że on, Wellington - człowiek słynący ze swej prawości - mógłby chcieć taki fakt zatuszować. W tym miejscu nastąpił wykład o niekompetencji współczesnych policjantów, niemoralności współczesnej młodzieży oraz niedojrzałości współczesnych koronerów.

Rozmyślając o przyjemności, jaką sprawiłoby mu złożenie zeznań w hipotetycznym dochodzeniu w sprawie pana Wellingtona, Wield prawie zdążył minąć biurko sierżanta dyżurnego, kiedy ten go zatrzymał.

- Młody Singh o pana pytał - powiedział. - Miał chyba coś pilnego.

- Tak? - Wield się skrzywił. - Gdzie jest?

- Poszedł do stołówki, zdaje się. Mówił, że mu gorąco. Kto by pomyślał, że tym czarniawym też tak dokucza upał, co?

Wield doszedł do wniosku, że herbata powinna go orzeźwić i pomóc trochę ochłonąć. Odchrząknął i zszedł do stołówki, gdzie zastał niewielu ludzi. Singha nigdzie nie było widać. Od wychodzącego akurat posterunkowego Wield dowiedział się, że młody kadet nie wstąpił do stołówki, tylko poszedł dalej, do szatni na końcu korytarza. Coraz bardziej poirytowany, pokonał dodatkowe dwadzieścia jardów i pchnął drzwi szatni.

Ale nie wszedł do środka.

W głębi, naprzeciw wejścia, rozebrany do pasa Singh stał pochylony nad umywalką i ochlapał się wodą, podśpiewując najnowszy sentymentalny przebój. Mięśnie jego drobnego, idealnie uformowanego torsu poruszały się jak światło prześlizgujące się po powierzchni jeziora w zimowy dzień. Wield wstrzymał oddech i znieruchomiał, oparty o framugę drzwi, ale chłopak wyczuł jego obecność i się odwrócił.

- Witam, panie sierżancie - zawołał rażno. - Szukałem pana.

- Tak? A co ty właściwie robisz?

- Chciałem się opłukać. Kto może podjąć decyzję, żebyśmy mogli chodzić w samej koszuli? Te kurtki są diabelnie ciężkie.

Przyjacielski ton Singha wzruszył Wielda, ale kiedy chłopak ruszył w jego stronę, osuszając ciało garścią papierowych ręczników, sierżant powiedział:

- Będę czekał na ciebie w stołówce przez dwie minuty ani chwili dłużej.

Zamówił herbatę, po namyśle wziął jeszcze sok pomarańczowy; doszedł do wniosku, że nie ma sensu posuwać się w szorstkości aż do chamstwa. A poza tym, już niedługo nic nie będzie łączyło Singha z ich komisariatem.

A mnie z Singhem? - pomyślał ironicznie. Też nic?

Kadet zjawił się pół minuty później, trochę wystraszony, ale rozluźnił się nieco, gdy Wield podsunął mu sok pomarańczowy.

- Masz, zrobi ci się chłodniej. Co to za pilna sprawa?

- Widziałem się dziś rano z Mickiem Feaverem - zaczął Singh. - Wie pan, tym od tych porysowanych samochodów.

Kiedy Wield słuchał jego słów, zainteresowanie zawodowe z wolna przeważało w nim nad osobistym.

- Na pewno powiedział „Rosemont”? - zapytał.

- Na pewno - zaperzył się Singh. - A poza tym, on też był pewien, że tak właśnie powiedział, bo tylko w ten sposób mógł udowodnić, że nie kłamie.

- Słucham? - spytał Wiel, pogubiwszy się w tym braku zaimków.

- Każdy by mógł powiedzieć, że w przyszłym tygodniu robi skok na jakiś tam dom, prawda? Włamań nie brakuje, wystarczy, że taki ktoś po fakcie wybierze jedno z nich i przypisze sobie. No. Tak czy inaczej, pomyślałem, że powinienem komuś o tym powiedzieć.

- Ale widzę, że się nie śpieszyłeś? Rozmawiałeś z nim rano, tak? A mamy już popołudnie.

- Nie mogłem nikogo znaleźć, poza tym, też byłem trochę zajęty - bronił się Singh.

- No tak, zapomniałem, ile masz zajęć na tym stażu.

Wiel domyślał się, że Singh przez parę godzin bił się z myślami, zanim postanowił popchnąć sprawę naprzód i wykonać krok, który zadecyduje o przyszłości jego układów z Marshem i Feaverem, którzy w trzy dni ze starych kumpli stali się - odpowiednio - przestępcą i wtyką. Tak gwałtowna zmiana mogła każdego przyprawić o mdłości.

Na szczęście (albo na nieszczęście), młodość jest odporna nawet na zdrady, i Singh mówił dalej:

- Czy Rosemont to nie jest ten dom, w którym razem byliśmy, panie sierżancie? U tej kobiety, której porysowali samochód? I która ma taką miłą córeczkę?

- To możliwe, ale założę się, że jest więcej domów o takiej nazwie. Nie pora jeszcze wypinać pierś do medali.

- Ale jeśli to by był ten sam dom, to będziecie robić zasadzkę? - Na śniadej, przystojnej twarzy Singha odmalowało się podniecenie. - Mógłbym przy tym być?

- Na twoim miejscu bym się tak nie napalał. Nawet jeśli chłopak mówił o tym samym domu, wiele się jeszcze może wydarzyć. Poza tym brałem udział w paru zasadzkach i zwykle wygląda to tak, że siedzisz po ciemku przez całą noc, marzniesz, nudzisz się, jest ci niewygodnie, i nic się nie dzieje. Potem wstaje nowy dzień, a ty masz przekrwione oczy, sztywne mięśnie i resztkę sił najchętniej zużyłbyś na uduszenie tego tępego skurczybyka, który cię w to wpakował, gdybyś tylko dorwał go w swoje ręce. Dlatego, uwierz mi, nie ma się do czego śpieszyć. - Wiel dopił herbatę i odsunął się od stołu. - Trzeba o tym powiedzieć panu Pascoe, gdy tylko wróci - ciągnął. - On ma ręce artysty, więc duszenie będzie przyjemniejsze. Chyba że on z kolei przekaże sprawę panu Dalzielowi, kiedy ten w weekend wróci z Londynu. Widziałeś z bliska ręce pana Dalziela?

Wiel pokręcił głową, wstał i bez pośpiechu wyszedł ze stołówki.

Peter Pascoe nie był pewien, czy powinien się cieszyć z uzyskanej przez chłopaka informacji; nie wierzył w zbiegi okoliczności. Zanim skończył rozmawiać z Singhem, kadet cieszył się, że nie jest przestępcą, i wcale nie był zachwycony, że jest policjantem.

- No i co pan na to, sierżancie? - spytał Pascoe Wielda, gdy drzwi zamknęły się za chłopakiem.

- Rosemont pasuje do wzorca. Duży dom, ale nie aż tak, żeby na stałe mieszkała w nim służba. Stoi z dala od miasta, ale nie na jakimś kompletnym odludziu. No i pewnie jest w nim mnóstwo rzeczy, które warto zwędzić, a które zarazem nie są dość wartościowe, żeby pod nieobecność właścicieli lądowały od razu w bankowym sejfie.

- To pierwsza rzecz, którą należałoby sprawdzić: czy w ciągu najbliższych dwóch tygodni dom będzie stał pusty. Paskudna sprawa... Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby czaić się tam przez siedem nocy z rzędu, jeśli się okaże, że Aldermannowie faktycznie wyjeżdżają gdzieś na tydzień, na przykład.

- Albo na dwa - podsunął usłużnie Wield.

i No dzięki! Nie bardzo widzę też szanse na to, żeby młody Singh wyciągnął coś jeszcze od tego swojego kumpla; pewnie i tak jest już śmiertelnie przerażony tym, co zrobił. A my nie możemy takiego sygnału zignorować. Niech pan sprawdzi Aldermannów... Chociaż nie, sam to zrobię. Najwyższy czas, żebyśmy zostali sobie oficjalnie przedstawieni. A pan niech jeszcze raz wyciągnie akta Arthura Marsha i poszuka tam czegoś, co mogłoby się nam przydać. I wszyscy nadstawiamy ucha, czy ktoś gdzieś nie chlapnie o jego powiązaniach z tą serią włamań. Pan Dalziel zapowiedział, że dziś pod wieczór zadzwoni; wtedy mu wszystko opowiem. Wygląda na to, że Aldermann zawsze umie zwrócić na siebie uwagę, w taki czy inny sposób. A właśnie, przypomniałem sobie, jak panu poszło z Wellingtonem?

- Nie spodobała mu się myśl, że taki bogobojny, szlachetny i powszechnie szanowany obywatel jak Burke mógłby być narąbany jak messerschmitt. A jeszcze bardziej nie spodobała mu się sugestia, że on sam mógłby chcieć ten fakt ukryć.

- Czyli Burke był trzeźwy jak świnia, czego nie można powiedzieć o wdowie po nim.

- Jakie wrażenie na panu zrobiła?

- Bardzo przystępnej. A zarazem skrytej. Tak jakby za wszelką cenę unikała powiedzenia mi całej prawdy.

Pół do szóstej zadzwonił telefon, a chwilę później w słuchawce przy uchu Pascoe zabrzmiał stentorowy głos Dalziela. Wysłuchawszy streszczenia konferencji - lakonicznego, zgryźliwego i obscenicznego w stopniu podlegającym zaskarżeniu - Pascoe równie zwięźle, choć skąpiąc metafor, zrelacjonował przebieg rozmów z Massonem i panią Burke.

Dalziel zadał mu kilka pytań, po czym podsumował:

- Czyli twoim zdaniem Masson coś kombinuje, a wdowa Burke coś ukrywa.

- Takie właśnie mam wrażenie - przytaknął ostrożnie Pascoe.

- Zastanowię się nad tym - zadudnił basem Dalziel. - Mów dalej, ja sobie będę tu spokojnie myślał.

Pascoe powiedział mu o informacji od Singha.

- Pięknie! Świetnie się chłopak spisał. Powiedz mu, że jestem z niego zadowolony.

- Ale to jeszcze nie musi nic znaczyć - zauważył Pascoe, zaskoczony entuzjazmem podinspektora. - Nie mamy pewności...

- Pewność czy nie, jak tylko okaże się, że Aldermannowie chcą gdzieś zniknąć, masz doskonały pretekst, żeby się tam wprosić i przeczesać dom. Nigdy nie wiadomo, co się trafi.

- Zawsze mi się wydawało, że jako policjant mam raczej uniemożliwiać takie bezprawne najścia - odparł lekko oburzony Pascoe.

i Czyżbym słyszał moralizatorski ton? - spytał groźnie Dalziel. - Posłuchaj no, mamy tu takiego jednego czubka z Walii; wiesz, tego, co tak głośno gardłuje w telewizji. Jednym z jego postulatów, oprócz rozdania policji karabinów maszynowych, wprowadzenia kary chłosty i kary śmierci przez powieszenie, jest przyznanie glinom prawa do nachodzenia mieszkańców w domach o dowolnej porze dnia i nocy, i to bez konieczności posiadania nakazu! A mieszkańcy musieliby zostawiać na posterunku zapasowe klucze do domów. Facet ma mnie za przygłupiego komucha. Więc ciesz się, Peter, tym, co masz.

- Przepraszam, panie inspektorze. Cieszę się. O, już się nacieszyłem.

- Widzę, że przez telefon to ty chojrak jesteś... Wracając do Massona, czy twoim zdaniem podejrzuje Penny Highsmith o zniszczenie testamentu cioteczki Flo?

- Zastanawiałem się nad tym, bo jestem prawie pewien, że nie wszystko mi powiedział.

- Będę się z nią widział w piątek, spróbuję coś wymacać.

Ta wizja sprawiła, że twarz Pascoe stężała w uśmiechu.

- A propos testamentów... Ta pani Burke wygląda na zadowoloną z życia?

- Nawet bardzo. I dobrze ustawioną finansowo.

- Świntuszek z ciebie. Jak myślisz, dobrze zarabia na tym swoim sklepiku?

- Być może, ale osobiście mam wrażenie, że po prostu lubi ruch, krzątanie i towarzystwo, najlepiej męskie. Jest dość ekstrawagancka.

- Nie wiedziałem, że tak się to teraz nazywa. Myślę, że warto byłoby przyjrzeć się z bliska jej finansom: ile Burke jej zostawił, jakie ma teraz dochody... Handluje na tym krytym

bazarze, prawda? To jak załatwiła sobie miejscówkę? Nie jest o nie łatwo; jak tylko coś się zwolni, to najczęściej się okazuje, że jest dawno zaklepane przez innego kupca. To znana sprawa. Wszyscy radni w komisji handlu są zaopatrzeni w najlepszą whisky do końca życia.

Pascoe coś sobie zapisał.

- Skąd ta podejrzliwość? - spytał.

- Jaka znowu podejrzliwość? Po prostu jestem ciekawy. Jeszcze jedno, powiedziałaś, że pół do trzeciej pojechała na zakupy, pół do czwartej wróciła, wyszła z garażu prosto na patio, a on już tam leżał, tak?

- Tak. Mam tu przed sobą komplet raportów: koroner, policja, lekarz... Wszystko się zgadza.

- Zobacz spis rzeczy osobistych.

- To znaczy?

- Kiedy zabrali Burke'a na sekcję, musieli mu opróżnić kieszenie i spisać wszystko, co przy nim znaleźli - wyjaśnił Dalziel cierpliwie, choć nieco podniesionym głosem. - Znajdź tę listę i przeczytaj mi ją.

Pascoe pośpiesznie przerzucił papiery.

- No i? - upomniał się Dalziel.

- Mam ją, mam tutaj. Portfel z...

- Chrzanić portfel. Chodzi o drobiazgi.

- Chusteczka. Drobniki. Kluczyki...

- Zaczekaj. Gdzie był wtedy samochód?

- Czyj? - spytał tępo Pascoe.

- Burke'a! W tych domach jest wąski podjazd i garaż na jeden samochód, prawda? No właśnie. Jeżeli pani Burke mogła wyjechać o czternastej trzydzieści, to znaczy, że podjazd był pusty, zgadza się? A jeśli godzinę później udało jej się wrócić, to na podjeździe nadal nic nie mogło stać. Gdzie w takim razie był samochód Burke'a?

- W jakimś innym miejscu? - zasugerował bystrze Pascoe.

- Otóż to! A dlaczego?

- No, Burke wpadł do domu po coś, czego wcześniej zapomniał, i nie chciało mu się podjeżdżać pod sam dom.

- Zapomniał czegoś, co zostawił na drabinie?

- Może wiedział, że żona będzie wyjeżdżała, więc zostawił auto na ulicy, żeby jej nie zastawić.

- Taki był uprzejmy?

- Sądząc z tego, co o nim mówią, to niespecjalnie - przyznał Pascoe. - Ale co twoim zdaniem mamy z tym zrobić? Uważasz, że to ważne?

- Nie mogę myśleć za ciebie, mój chłopcze - westchnął Dalziel. - Rozmawiałeś już z Dickiem Dandysem?

- Będę się z nim widział jutro, mówiłem ci już.

- Aha. Tu, gdzie jestem, wszystko się człowiekowi miesza. Co za przekłete miejsce, jak jakieś mrowisko! Lubię ulice, gdzie znam połowę ludzi, których spotykam, a większość pozostałych przynajmniej z grubsza rozumiem. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę, nawet za cenę przestawania z takimi jak ty. Informuj mnie.

- Naturalnie. Miłej konferencji.

Rozległ się trzask słuchawki.

- Wie pan co, sierzancie? - zwrócił się Pascoe do Wiolda. - Inspektor chyba tęskni.

- To miłe. Co robimy?

Pascoe spojrział na zegarek.

- Nie mamy wielkiego wyboru: możemy zrobić jedną z zaledwie kilkudziesięciu rzeczy. Z których żadna nie zajmie nam więcej niż kilka godzin. Ale powiem szczerze, że ja też zatęskniłem za domem, więc chyba po prostu wrócę do żony.

Ellie sprawiała wrażenie roztargnionej, ale złożył to na karb wstrząsu duchowego spowodowanego kontaktem ze stertą wciąż zalegających w salonie egzaminów. Trudno by jednak było w ten sam sposób wyjaśnić jej gwałtowną reakcję, kiedy zauważył mimochodem:

- Nareszcie obejrzą sobie tę twoją przyjaciółkę, Daphne.

- Jak to? - Ellie aż podskoczyła. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tylko tyle, że muszę ich odwiedzić i pogadać. Dostaliśmy cynk, że szykuje się włam do Rosemont. To drobiazg, pewnie fałszywy trop i tyle.

- I wcale nie chodzi wam o to, żeby znów powęszyć po domu? - spytała z nadzieją Ellie.

Zdumiony Pascoe spojrział na nią z rozbawieniem.

- Rozumujesz jak nasz Gruby Andy, wiesz? Ale nie, nie o to nam chodzi. Naprawdę dostaliśmy cynk; młody Sherlock Singh się popisał. Jak ci idzie sprawdzanie prac?

- Rosie dorwała dwie z nich i przeżuła - odparła smętnie Ellie. - Bóg jeden wie, co sobie pomyśli egzaminator.

- Że się wściekłaś i cię poniosło.

- To niewiele się pomyli. A tobie jak minął dzień? Macie coś nowego o Elgoodzie?

- Niewiele. Jutro chcę się z nim spotkać.

- Tak? Po co? - zaniepokoiła się Ellie.

- Jest parę drobiazgów, które chciałbym wyjaśnić. Mamy piwo w lodówce? Napiłbym się. Przynieść ci?

- Nie, dzięki. Peter? Tylko pamiętaj, że Daphne jest moją przyjaciółką.

- Kiedy pojedę do Rosemont, tak? - odpowiedział wymijająco Pascoe. - Obiecuję, że będę obrzydliwie uprzejmy.

Pascoe wyszedł, zostawiając Ellie wpatrzoną niewidzącym wzrokiem w ustawioną w kominku paprotkę.

- Ożeż w mordę... - mruknęła.

Niewinność

(*Innocence*. Odmiana smukła i bujna. Kwiaty kremowobiałe z różowymi plamkami. Słodki zapach).

Pascoe na spotkanie z Elgoodem przybył pięć minut przed czasem. Kiedy podchodził do drzwi biura, te otworzyły się i panna Dominie wyprowadziła przez nie mężczyznę w wymiętym szarym garniturze. Obrzuciła Pascoe lodowatym spojrzeniem - chociaż nie umiał powiedzieć, czy przez to, że przyszedł za wcześnie, czy dlatego, że wjechał na górę windą. Wychodzący gość dzielnie skierował się ku schodom.

Wazeliniarz, pomyślał Pascoe.

- Przyszedł pan wcześniej - zauważył Dick Elgood. - Mam nadzieję, że to znaczy, że się panu śpieszy. Bo mnie tak. Mam masę roboty.

- Postaram się nie zająć panu zbyt wiele czasu. Mam dosłownie kilka pytań.

- Nie dość już ich było, na litość boską?! Ostatnim razem wyraźnie powiedziałem, żeby pan sobie darował, a mimo to, zewsząd słyszę, że wciąż pan węszy.

Elgood był wyraźnie zły, ale Pascoe miał wrażenie, że w jego głosie słyszy także nutę niepokoju.

- Taka praca, panie Elgood. - Jak to kiedyś powiedziała Ellie, główną zaletą pracy gliniarza jest fakt, że można posługiwać się wyświechtanymi frazesami, a i tak nikt nie odważy się rzucić zgniłym jajem. - Wcale nie łatwa - ciągnął Pascoe, rozkręcając się w potoku banałów. - I specyficzna: jak człowiek zacznie drażnić w jednym miejscu, to nie ustaje, dopóki nie stwierdzi, że nie doszło do przestępstwa. Nieważne, kto mu przyklaskuje, a kto zaprzecza. Trzeba przeć naprzód.

- Czyżby? - spytał Elgood z przekąsem. - Nawet jeśli nasyła się własną żoną, żeby szpiegowała ludzi?

Pascoe wyprostował się na krześle, jakby kij połknął. Aktorskie popisy wywietrzały mu z głowy.

- Byłoby dobrze, gdyby wyjaśnił mi pan, co ma na myśli, panie Elgood.

- A co tu wyjaśniać? Chyba że powie mi pan, że tylko zbiegiem okoliczności dzień po naszej rozmowie w komisariacie pańska żona zaprzyjaźniła się z panią Aldermann.

- Wydaje mi się, że nie muszę tego komentować. Zastanawia mnie tylko jedno: skąd pan wie tak dużo o pani Aldermann?

- To małe miasto, nie tylko policja słyszy tu różne rzeczy - odparł wyzywająco Elgood.

Chce, żebym się wygadał, pomyślał Pascoe, wciąż wytrącony z równowagi drwinami z Ellie. To znaczy, że Daphne Aldermann wspomniała Elgoodowi o swojej nowej znajomej. Niech to szlag! To rzeczywiście mogło wyglądać podejrzanie, oględnie mówiąc. Sam Pascoe niezbyt się tym przejął, ale na myśl o wstydzie, jakiego naje się Ellie, jeśli ta Aldermann pomyśli... Zresztą, może to się już stało: wieczorem Ellie była jakaś dziwnie... powściągliwa. Z drugiej strony, sama przecież powiedziała, że jest dzisiaj umówiona z Daphne na kawę, więc...

Pokręcił głową, żeby rozwiać mgłę takich myśli. Otóż to, mgła. Doskonałe określenie większości jego przemyśleń w tej sprawie: same niejasności i żadnego konkretnego, którego mógłby się ucześcić.

Chyba najwyższy czas skonfrontować Elgooda z faktami.

- Powiem panu, co wiemy - zaczął. - Nie będzie pan wtedy odczuwał pokusy, żeby mnie okłamywać. Wiemy, że dzień przed naszą rozmową w komisariacie spotkał się pan z panią Daphne Aldermann na najwyższym piętrze parkingu wielopoziomowego. Wiemy, że przesiadła się do pańskiego samochodu i razem odjechaliście. Wiemy, że wróciła po samochód dopiero po pięciu godzinach.

- Żona to panu powiedziała, prawda?

- Nie -- odparł znużonym tonem Pascoe. - Żona ani słowem nie wspominała o panu. Powiem więcej, wydaje mi się, że nic o panu nie wie. Chociaż, oczywiście, mogę się mylić. Ale wróćmy do tematu, panie Elgood. Mamy świadków pańskiego spotkania z panią Aldermann na parkingu. Zaprzeczy pan, że do niego doszło?

Elgood pokręcił głową, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju wdzięcznym, tanecznym krokiem. W niczym nie przypominał Freda Astaire'a, a mimo to, w każdym, nawet najdrobniejszym ruchu, było u niego widać astaire'owską swobodę. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur z granatowej moherowej tkaniny, krawat w bordowe prążki i złotą kamizelkę z perłowymi guzikami.

- Nie zamierzam zaprzeczać, że się spotkaliśmy. Po co miałbym to robić? Moje życie prywatne to moja sprawa. Mam rację?

- Moja także - zirytował się Pascoe. - Od momentu, gdy poskarżył mi się pan, że mąż kobiety, z którą się pan umówił, próbował pana zabić. Przecież to wszystko zmienia, na Boga! Chociażby przez to, że mamy motyw.

- Że niby mąż miałby być zazdrosny? - Elgood parsknął śmiechem, który brzmiał w pięćdziesięciu procentach szczerze.

- Co pana tak bawi?

- Pan, panie Pascoe. Ciągłe nic pan nie rozumie. Proszę mi wierzyć, Aldermann nie jest typem zazdrośnika. A poza tym i tak nie miałby być o co zazdrosny. Spotkaliśmy się wtedy z Daphne pierwszy raz, jeśli nie liczyć paru drinków w przerwie obiadowej, kiedy każdy mógł nas zobaczyć. Co innego, gdyby ktoś zagrażał tym jego bezcennym różom.

- Może pan im zagraża, blokując jego awans? - spytał Pascoe, próbując innego podejścia.

- Być może. - Elgood spoważniał. - Ale decyzja należy do niego. Ja dbam tylko o interes firmy. Zresztą, w przyszłą środę, zanim wróci, będzie po wszystkim.

- Zanim wróci? - zdziwił się Pascoe. - To znaczy, że wyjeżdża?

- Tak, w poniedziałek, do tej elitarnej szkoły koło Gloucester, w której uczy się jego syn. Nie dziwota, że brakuje mu pieniędzy, kiedy musi płacić takie czesne! Przeniosłem spotkanie zarządu na środę, żeby nam nie przeszkadzał.

Elgood przemawiał z satysfakcją władcy absolutnego, ale Pascoe był zdumiony, jak wielki wpływ na życie i decyzje innych ludzi może mieć taki spokojny i niepozorny (sądząc z tego, co o nim mówiono) człowiek jak Patrick Aldermann.

- Żeby nie przeszkadzał? Sam pan powiedział, że nie czuje się pan zagrożony.

- Po prostu chcę mieć to z głowy. Ile razy mam to panu powtarzać? Moje życie prywatne to moja sprawa, proszę się do niego nie mieszać. Spotkałem się z panem dzisiaj, panie Pascoe, żeby udzielić panu ostatniego ostrzeżenia: dalsze wścibstwo ze strony pana, pańskich ludzi albo nawet pańskiej żony potraktuję jako nękanie przez policję, a wtedy uderzę na samą górę, wyżej niż pan stoi, wyżej nawet niż Andy Dalziel, żebyście dali mi spokój. Ja naprawdę mam wysoko ustosunkowanych przyjaciół, panie Pascoe. Proszę to sobie przemyśleć.

Pascoe powoli wstał.

- Ustosunkowani przyjaciele. Groźby. Drwiny z mojej żony. Przy pierwszym spotkaniu byłem skłonny pana polubić, panie Elgood. Wydał mi się pan taki... naturalny. Niezepsuty. Oryginalny. Teraz jednak wygląda pan boleśnie znajomo.

Trzeba Elgoodowi oddać sprawiedliwość - spieszył się.

- Panie Pascoe, proszę posłuchać, naprawdę nie chciałem urazić pańskiej żony. Wszystko poza tym podtrzymuję, ale żona to co innego.

- Kto jak kto, ale pan na pewno zna się na rzeczy - mruknął Pascoe, idąc do wyjścia.

Zadzwoił telefon. Elgood natychmiast chwycił słuchawkę, jakby ulżyło mu, że odzyskuje kontakt ze światem zewnętrznym.

- Słucham? - burknął, odwracając się plecami do wychodzącego gościa.

Pascoe zdążył już otworzyć drzwi. Wyglądało na to, że zejście ze sceny będzie miał może nie upokarzające, ale na pewno bardzo przeciętne.

- Pascoe! - zawołał Elgood. - To do pana. Tylko proszę się pośpieszyć.

Dzwonił Wiel.

- Miałem nadzieję, że tam pana złapię, panie komisarzu. Miałem dziś z rana wolną chwilę, więc pomyślałem, że spróbuję załatwić jedną albo dwie sprawy z tej pańskiej listy. Zacząłem od finansów pani Burke. Śmierć męża pozwoliła jej się całkiem wygodnie urządzać, ale nie aż tak, żeby można to było uznać za motyw. Zainteresowałem się też tym jej sklepikiem i powiem krótko: to prawdziwa kopalnia złota. Ale najciekawsze jest to, w jaki sposób załatwiła sobie dzierżawę. Poprosiła o przysługę kogoś, kto miał u niej dług wdzięczności, i wepchnęła się bez kolejki.

- Zamieniam się w słuch - powiedział Pascoe. Słuchał jeszcze przez trzy albo cztery minuty, nic sobie nie robiąc z teatralnie zniecierpliwionej miny Elgooda. - Dziękuję, sierzancie - powiedział w końcu i odłożył słuchawkę.

- Skończył pan, komisarzu? Mogę już odzyskać swój gabinet?

Zamiast odpowiedzieć, Pascoe bez pośpiechu opadł na krzesło.

- Mam jeszcze jedno pytanie, panie Elgood, jeśli pan pozwoli...

- Nie, do diabła, nie pozwolę! - wybuchnął Elgood. - Nie rozumie pan aluzji?!

- Rozumiem doskonale. Właśnie kilka usłyszałem i zanim sobie pójdę, chciałbym z panem porozmawiać o tym, co właściwie łączy pana z panią Mandy Burke.

Kiedy jej mąż musiał obywać się bez kawy w biurze Dicka Elgooda, Ellie sączyła już drugą filiżankę, siedząc w „Chantry” w towarzystwie małej Rose.

Nie była z natury przesadnie nerwowa, ale do tego spotkania podchodziła z obawą człowieka, który jest świadom tego, że zawinił, ale nie bardzo wie, jak to się stało, i nie ma zielonego pojęcia, jak swoją winę naprawić. Najchętniej obgadałaby wszystko na spokojnie z Peterem, ale nie mogła tego zrobić, nie ujawniając powodów swojego niepokoju, a wtedy

stałaby się w oczywisty sposób winna zdrady, o którą ją oskarżano. Wyczuła jednak w zachowaniu męża jakąś rezerwę, tak jakby wiedział już o związku łączącym Daphne i Elgooda.

Zdenerwowana zapaliła papierosa. To był głupi i kosztowny nałóg, ale jej ciało miało swoje potrzeby, których lekceważenie potrafiło być nie mniej niebezpieczne od zaspokajania.

W skrytości ducha liczyła na to, że Daphne znów ją wystawi. Ellie nie stałaby się przez to mniej winna, ale przynajmniej Daphne też miałaby coś na sumieniu. Rose - rozdrażniona faktem, że ma do towarzystwa tylko wiecznie zadumaną matkę - zaczynała się wiercić i ćwierkać w poszukiwaniu większej publiki. Lada chwila zaczęła obwieszczać swoje niezadowolenie rykiem, na dźwięk którego farbowane koafiuery klientek „Chantry” zatrzęsa się z dezaprobaty.

Czas się zbierać. Ellie zgasila papierosa i dopiła kawę.

Drzwi się otworzyły. Do kawiarni weszła dziwnie podenerwowana Daphne. Z westchnieniem ulgi osunęła się na tapicerowany tweedem fotel. Rose zagulgotała na powitanie.

- Przepraszam za spóźnienie. Cześć, Rosie. Tak, bardzo proszę dwie kawy. Nie, dziękujemy za babeczki.

Kelnerka, która - jak to kelnerki mają w zwyczaju - natychmiast doskoczyła do nowej klientki, teraz zniknęła w kuchni.

- Mam nadzieję, że nic się nie stało? - spytała Ellie.

- Nic poważnego. Podrzuciłam Dianę do St. Helena i dopiero jadąc tutaj, do miasta, uświadomiłam sobie, że zapomniałam portfela i musiałam wrócić po niego do domu. Ale nawet wtedy bym się tak nie spóźniła, gdyby nie to, że na podjeździe stał samochód i jakiś obcy facet łaził dookoła domu. Kiedy zapytałam, co robi, odparł, że jest z wodociągów i szuka głównego zaworu instalacji wodnej. Zapytałam po co, a wtedy on powiedział, że mamy nieopłacony rachunek za wodę i przyjechał nam powiedzieć, że albo zapłacimy go od ręki, albo faktura zostanie przekazana do windykacji. A ponieważ nikogo nie zastał w domu, postanowił znaleźć zawór, na wypadek gdyby trzeba było natychmiast odciąć wodę!

- Rany boskie! I co?

- Objechałam go jak święty Michał diabła i kazałam mu się wynosić. Zadzwoiłam do Patricka, ale wyjechał dziś do Londynu i wróci dopiero w sobotę rano, więc pogrzebałam w jego biurku i znalazłam ten rachunek. Faktycznie, nie był zapłacony, ale to jeszcze chyba nie daje im prawa, żeby nas tak nachodzić, prawda?

- To zależy, ile upomnień wcześniej dostaliście. Ale czekaj, ten facet... Wylegitymował się?

- Nie. Nie dałam mu szansy.

- Ale przyjechał zwykłym samochodem, nie taką białą-niebieską furgonetką?

- Nie, miał starego forda escorta. Co to za policyjne przepytanie, Ellie?

- Peter powiedział wczoraj coś takiego... Posłuchaj, nie powinnam ci tego mówić, ale w tej sytuacji... Zresztą, on i tak chce do was wpaść. Ostatnio notuje się sporo włamań do dużych domów, zwykle stojących na uboczu, i dostali cynk, że Rosemont też jest na tej liście.

- Coś podobnego!

- No właśnie. Peter twierdzi, że najprawdopodobniej nic z tego nie wyniknie, ale przyszło mi do głowy, że może ten gość robił rozpoznanie.

Daphne była tak przerażona, że Ellie natychmiast pożałowała swoich słów.

- Słuchaj, to naprawdę nie musi jeszcze nic oznaczać - dodała pośpiesznie. - Jeśli chcesz, poproszę Petera, żeby to sprawdził.

- Tak, bardzo cię proszę, porozmawiaj z nim - powiedziała Daphne. Po chwili milczenia dodała: - To pewnie wyszło w rozmowie po tym, jak ze szczegółami zrelacjonowałaś mu nasze wczorajsze spotkanie, co?

- Nie. Nie powiedziałam mu, że u nas byłaś. I nie powtórzyłam mu ani słowa z tego, co mówiłaś.

- Słowo honoru? - spytała lekko kpiącym tonem Daphne.

- Słowo harcerki. Peter powiedział, że dzisiaj rano jedzie do Elgooda, nie wiem po co, ale jeśli się okaże, że to ma coś wspólnego z tobą, to musisz mi uwierzyć, Daphne, że nic mu nie powiedziałam.

Spojrzały sobie w oczy. Żadna nie spuściła wzroku. W końcu Daphne uśmiechnęła się półgębkiem.

- Wierzę ci - powiedziała. - W nocy dużo myślałam o różnych sprawach i doszłam do wniosku, że pomyśl, że mogłabyś być policyjnym szpiegiem, jest prawie tak samo niedorzeczny, jak wizja ciebie w dziwnym kapeluszu na konferencji torysów.

- No dzięki!

- Ja mam nosa do ludzi - ciągnęła Daphne. - A ty od razu zrobiłaś na mnie wrażenie osoby do bólu szczerzej, może nawet nudnej w tej szczerości.

- Jeszcze raz dziękuję, ale ostrzegam, że nie wiem, na jak długo wystarczy mi wdzięczności, jeśli będziesz kontynuować tę wyliczankę w tym stylu. No i nie rozpędzaj się;

pamiętaj, co ci powiedziałam: rozmawiałam o tobie z Peterem. Może i nie jestem typem twardzielki i prowokatorki, ale nie jestem też niewiniątkiem.

- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. - Daphne dopiła kawę. - Masz chwilę? Chciałabym porozmawiać o Dicku, o mnie i o Patricku. O tym, co się wydarzyło, i w ogóle.

- Na pewno tego chcesz? - zapytała skrepowana Ellie.

- Nie mogę ci zaufać?

- Sama zdecyduj. No dobrze, wal.

- Nie tutaj. Nawet jeżeli policyjni wywiadowcy nie zainstalowali tu podsłuchu ze względu na ciebie, to baby z Koła Gospodyń Domowych zrobiły to ze względu na mnie. Przejdźmy się.

Daphne dyskretnym skinieniem głowy przywołała kelnerkę.

- Chyba moja kolej - powiedziała i otworzyła torebkę. Jej opanowanie ulotniło się bez śladu. - Szlag by to... Do domu wróciłam, ale portfela i tak nie zabrałam. Ellie, mogę na ciebie liczyć?

Ellie sięgnęła po torebkę.

- Ludzi bogatych najłatwiej poznać po tym, że nigdy nie mają przy sobie pieniędzy - powiedziała.

Daphne się roześmiała. Kelnerka była mniej rozbawiona.

Elgood załamał się tak nieoczekiwanie, że kompletnie zaskoczył Pascoe, który, mimo że uciekł się do starej sztuczki (udając, że wie więcej niż w rzeczywistości), nie brzmiał zbyt przekonująco. Gdyby Elgood uparł się przy swoim pierwszym wytłumaczeniu - że interweniował w sprawie Mandy Burke i dzierżawy sklepu na bazarze wyłącznie z dobrego serca, chcąc pomóc wdowie po swoim pracowniku - Pascoe najprawdopodobniej by mu uwierzył. A bez tego nie miał wielu punktów zaczepienia, zostałby mu tylko podejrzany brak samochodu na podjeździe i agresywnie obronna reakcja Elgooda na próbę powiązania śmierci Burke'a ze zgonami Eaglesa i Bulmera.

Plus, oczywiście, donżuańska reputacja Elgooda i energiczny sposób bycia pani Burke, a przede wszystkim swoboda, z jaką traktowała pytania Pascoe - tak jakby ktoś ją przed nim ostrzegł.

Jednakże nawet najmocniejsze podejrzenia są niczym puch w zetknięciu z huraganem słusznego gniewu szanowanego obywatela i Pascoe był gotów się wycofać, gdy tylko Elgood

sięgnie po telefon i wykręci pierwszą cyfrę numeru nadinspektora. Naciskał jednak dalej, mnożąc insynuacje. Elgood podniósł słuchawkę, zawiesił palec nad tarczą telefonu...

- Do diabła... - powiedział nagle znużonym tonem. - Co ja w ogóle robię? Zachowuję się jak przestępca, do cholery, a przecież nic nie zrobiłem. Jeszcze chwila i zacznę wydzwaniać do adwokata.

Usiadł przy biurku i wcisnął guzik interkomu.

- Panno Dominie? Kochana, podaj nam, proszę, kawę. Tak, dla dwóch osób.

W tej chwili wyglądał na swoje lata - zmęczone sześćdziesiąt - ale kiedy mówił, udało mu się uśmiechnąć:

- Rozpracowałem pana, panie Pascoe. Nie odpuści pan, co? Kiedy przyszedłem z panem porozmawiać, puściłem maszynę w ruch. Andy Dalziel nie jest głupi. Mógłbym pana wyrzucić, a pan z miejsca pojechałby do Mandy, prawda? Pewnie, że prawda. Dlatego proszę posłuchać: chcę mieć po prostu święty spokój. Widzi pan, ja nie popełniłem żadnego przestępstwa i nie chcę mieć problemów, dlatego powiem panu to, co powiem, żeby sprawę raz na zawsze wyjaśnić i pozbyć się pana z mojego życia. Ale wszystko nieoficjalnie. Rozumiemy się?

Panna Dominie, jak zwykle nieoceniona, przyniosła tacę z dwiema filiżankami kawy. Postawiła ją na biurku, otaksowała Pascoe spojrzeniem i wyszła.

- Nie mogę panu niczego obiecać - zastrzegł się Pascoe. - Nie tak w ciemno.

Elgood wyjął z szuflady butelkę prawie bezbarwnego płynu i nalał po trochu do obu filiżanek.

- Śliwowica - wyjaśnił. - W ogóle nie czuć zapachu. Ale zgoda, sam pan zdecyduje, a ja w razie czego wszystkiego się wyprę. Oto, co się wydarzyło. Nie myli się pan, miałem mały romansik z Mandy Burke; była ze dwa razy u mnie w domku nad morzem. To bardzo... gorąca kobieta, rozumie pan? Biedny Chris Burke jej nie wystarczał. Po tamtym obiedzie spotkaliśmy się przez przypadek. To było w „White Rose”, pamiętam. Oprócz mnie na obiedzie był nasz dyrektor sprzedaży, dwóch gości z zarządu oraz, nie wiadomo dlaczego, Patrick Aldermann. Sprawa była błaha, chodziło o dostawę towaru do nowego domu czyichś rodziców czy coś w tym guście, ale chłopaki z zarządu lubią sobie konkretnie podjąć. Po obiedzie tamci wyszli, a ja przemknąłem się do baru, żeby splukać czymś smak biznesowej gadki. I kogo widzę? Mandy, naturalnie. Wypiliśmy po jednym i chyba oboje poczuliśmy chętkę, wie pan, jak to czasem bywa. Popiliśmy sobie, zrobiliśmy się trochę lekkomyślni, kiedy więc zaproponowała przejażdżkę, odparłem: „Czemu nie?”. Wyszliśmy z restauracji i wsiedliśmy do jej samochodu. Myślałem, że wyjedziemy gdzieś za miasto, znajdziemy jakąś

cichą boczną drózkę, ale Mandy ruszyła prościutko w stronę domu. I proszę mi wierzyć, że gdy tylko się zorientowałem, co robi, wytrzeźwiałem w mgnieniu oka! Tylko że z nią nie było żadnej dyskusji; nie pozostało mi nic innego, jak skulić się w fotelu i modlić, żeby mnie ktoś nie zauważył. Drugi raz się zdenerwowałem, kiedy wyszliśmy z garażu i zobaczyłem porzucony przez robotników sprzęt. Mandy powiedziała, że już się zmyli i nie będą nam przeszkadzać. Wszedłem za nią do domu; pomyślałem, że skoro już z nią przyjechałem, to nie ma sensu się czaić. Nie będę się rozwodził nad tym, co było potem, ale zabawialiśmy się dobrą godzinkę i już miałem jej powiedzieć, że muszę się zbierać, kiedy usłyszeliśmy jakiś hałas na dworze. Pomyśleliśmy, oczywiście, że to wrócili robotnicy. Zanim zdążyłem zareagować, Mandy zerwała się z łóżka i podbiegła do okna; ona już taka jest, zawsze najpierw działa, potem myśli. Odciągnęła zasłony i wrzasnęła jak oparzona. Ja jej się nawet nie dziwię, to była scena jak z francuskiej farsy: Chris tkwił na czubku drabiny jak mała na patyku i przez okno zaglądał do pokoju! Mogę się tylko domyślać, co się stało: może widział nas razem w mieście, a może już od jakiegoś czasu miał żonę na oku - tak czy inaczej przyjechał, zostawił samochód na ulicy i podszedł pod dom. Pewnie zobaczył w garażu wóz Mandy i po cichu próbował wejść do domu, ale ponieważ Mandy to stara wyga, więc na wszelki wypadek zamknęła jedno i drugie drzwi na zasuwkę. Chris zobaczył zasłonięte okna w sypialni, podstawioną drabinę... No i postanowił na nią wleźć. Zazdrość bywa taka zabawna, panie Pascoe. Poeci pisali o mężczyznach, którzy z miłości wspinali się na najwyższe góry, a Chris Burke musiał poczuć zazdrość, żeby wejść na drabinę! Miał lęk wysokości i w ogóle był niezdarą, więc na widok Mandy, gołej jak ją pan Bóg stworzył, no i mnie, bo stałem zaraz za nią, pewnie podskoczył z wrażenia. Drabina się przechyliła, runęła i zniknął nam z oczu. Nigdy nie zapomnę tamtej chwili, panie Pascoe. Nigdy.

Elgood pokręcił głową, gdy tamten widok stanął mu przed oczami. Dopił kawę, rozcieńczył fusy dolewką śliwownicy i ją również wypił.

- Od razu zbiegliśmy na dół. Chris już nie żył. Mandy wpadła w histerię. Ja sam byłem niewiele lepszy, ale w końcu udało mi się ją uspokoić. Ubraliśmy się; cokolwiek miało się wydarzyć, nie pomogliśmy ani Chrisowi, ani sobie, biegając po ogródku na golasa, prawda? A pomału zaczynało do nas docierać, w jak niezręcznej sytuacji się znaleźliśmy. Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie Pascoe: umarł człowiek, byliśmy wstrząśnięci, zwłaszcza że to był mój kolega, a jej mąż, ale w gruncie rzeczy nikt za starym Chrisem nie przepadał i nikt nie zamierzał oplakiwać go dłużej niżby wypadało. Żadne z nas nie życzyło mu śmierci, ale co się stało, to się nie odstanie, a nie chcieliśmy wylądować na okładkach brukowców. Szefem I.C.E. jest Holender, człowiek bardzo porządny i religijny. Nie byłby

zachwycony, dowiedziawszy się, że prezes jednej z filii firmy jest zamieszany w taką głośną sprawę. A Mandy oczami wyobraźni już widziała te krzykliwe nagłówki: „Spadł czy został popchnięty?”. Rozumie pan. Dlatego kiedy zasugerowałem, że się zmyję, myślałem nie tylko o sobie, ale o nas obojgu. Nikt nie przyszedł ani nie zadzwonił, więc pewnie sąsiedzi niczego nie widzieli. Wsiedliśmy do samochodu, skuliłem się na tylnym siedzeniu, Mandy odwiozła mnie do miasta, a potem wróciła do domu i znalazła zwłoki męża. Proste! Niczego nie zmieniliśmy, nie próbowaliśmy zacierać śladów: wszedł na drabinę, spadł i się zabił. Co najwyżej zmieniliśmy trochę jego motywację, nic więcej. Nie popełniliśmy przestępstwa, nie mieliśmy takiego zamiaru. To było tylko takie dyplomatyczne... przemeblowanie.

Elgood spojrzał pytająco na Pascoe, jakby oczekiwał skinienia głową.

- Prawdę mówiąc, panie Elgood, przestępstwem było całe wasze działanie od chwili, gdy postanowiliście nie zawiadomić od razu policji - odparł beznamiętnie Pascoe. - A pani Burke jest dodatkowo winna składania fałszywych zeznań w śledztwie.

- A to się liczy? - spytał naiwnie Elgood. - W sensie prawnym, znaczy?

- Jak przed sądem. A sądy nie lubią być okłamywane. Nie lubią również prób przekupywania świadków.

- Jakiego przekupywania?

- Domyślam się, że kiedy pomógł pan pani Burke rozkręcić interes na bazarze, miała to być dla niej zachęta lub nagroda za dochowanie tajemnicy?

- Nic podobnego! - wybuchnął Elgood. - Ta pomyłona baba już po paru miesiącach zaczęła coś przebąkiwać o małżeństwie, więc szybko się z nią rozstałem. A ten stragan na bazarku wypłynął jakoś tak przypadkiem. Potraktowałem go jako prezent pożegnalny, żeby miała jakieś zajęcie. Od tamtej pory praktycznie nie miałem z nią do czynienia.

- Ale zadzwonił pan do niej i ostrzegł, że mogę ją odwiedzić, prawda?

- Prawda, prawda. I miałem rację - burknął Elgood. - No, panie komisarzu, teraz zna pan całą prawdę, co dalej?

- Nie zechciałby pan się podpisać pod takim zeznaniem? - spytał Pascoe z nadzieją w głosie.

- Czy ja wyglądam na idiotę?! Powiedziałem panu to wszystko, żeby przestał pan węszyć i mącić wodę. To nie jest dobry moment.

- Pański holenderski szef nie byłby zachwycony?

- Skandal mógłby w tej chwili nie na żarty podważyć moją pozycję. Zwłaszcza taki skandal: pikantny i komiczny jednocześnie.

- O aspekcie kryminalnym nie wspominając. Czy to dlatego mnie pan spławił, kiedy przyszedłem porozmawiać o Aldermannie?

- Częściowo. Ale poza tym, tak jak panu powiedziałem, dotarło do mnie, że się wygłupiłem. Dlaczego tak pan draży ten temat, panie Pascoe? Nie ma pan chyba żadnych podstaw do podejrzeń, prawda?

- Wystarczyłoby pańskie zachowanie, panie Elgood. Nie uważa pan? - Pascoe wstał i podał gospodarzowi rękę na pożegnanie. - Obawiam się, że muszę porozmawiać z przełożonymi o tym, co od pana usłyszałem.

- Byle pan pamiętał, że nic pan nie usłyszał. - Elgood uściśnął wyciągniętą dłoń. - Mandy Burke też nie będzie chciała z panem rozmawiać przy świadkach.

- To się okaże. Aha, jeszcze jedno, zanim sobie pójdę... Co takiego powiedziała pani Aldermann o swoim mężu, że w ogóle zaczął go pan podejrzewać?

- Nic. - Elgood ze smutkiem pokręcił głową. - Już panu mówiłem, nic. Niech pan da spokój, panie Pascoe. Proszę.

- Poświęcał mi wiele uwagi. Okazywał zainteresowanie, był taki zabawny. I taki przy tym staroświecki. Stary, to też, ale przede wszystkim staroświecki. Tylko w taki konkretny sposób, bez żadnej rozlazłości; po prostu ma zasady, których się trzyma. Taki facet z innej epoki, zanim modny stał się permissywizm, pełna swoboda i „rób, co chcesz, nikt cię nie będzie oceniał”. A że do tego jest seksowny? Gość sześć cali niższy ode mnie i trzydzieści lat starszy?! W życiu bym nie pomyślała, że to możliwe. Może po prostu brakowało mi autorytetu, namiastki ojca, ale to nie jest żadne wytłumaczenie. Wtedy sporo wypłam do obiadu, ale po alkoholu zwykle chce mi się spać, a nie bzykać!

Daphne parsknęła śmiechem i zaraz zakryła usta dłonią, zakłopotana, jakby się roześmiała w kościele.

A do kościoła wcale nie było tak daleko, siedziały z Ellie na ławce w parku wypełniającym łukowate zakrzywienie czerwono-kremowego gmachu przytułku dla ubogich, który zachłannie wyciągał półksiężycowate ramiona, jakby chciał zagarnąć poczerniały ze starości kościółek z wysoką wieżą. Kościół wybudowano w 1699 roku na miejscu poprzedniego, spalonego trzy lata wcześniej, gdy pewien miejscowy szaleniec pozazdrościł Londynowi i postanowił wzniecić pożar, przy którym ten londyński wyglądałby jak ognisko. Pożar ograniczył się do pochłonięcia średniowiecznego kościółka, a później Bóg zesłał deszcz, który go ugasił, wdzięczni ojcowie miasta odbudowali go w bardziej protestanckim

stylu, a dwieście lat później ich wiktoriańscy następcy połączyli pobożność z dobroczynnością i obudowali go przytułkiem. W ten sposób powstał przyjemnie cichy zakątek położony niespełna sto jardów od handlowego centrum miasteczka - nawet zbyt cichy, jak się okazało, dla niektórych spośród zamieszkujących go staruszków (przytułek pełnił obecnie rolę zespołu mieszkań komunalnych). Nie brakowało na wespół zartobliwych skarg, że widok z salonu na cmentarz nie jest szczególnie zachęcający.

- Źle się wam układa z Patrickiem? - spytała Ellie.

- Nie. A właściwie to nie wiem. Do niedawna w ogóle się nad tym nie zastanawiałam, tak nam się spokojnie żyło. Patrick potrafi kompletnie niczym się nie martwić... Znasz to uczucie, kiedy siedzisz sobie w ogródku knajpy we włoskim miasteczku, słońce grzeje, a ty właśnie wypijaś kieliszek albo dwa wina i jesteś całkowicie pogodzona ze światem? Patrick tak ma cały czas.

- Nie brzmi to jakoś bardzo źle...

- Może kiedy ma się taką naturę, ale kiedy musisz z kimś takim żyć, to już nie jest tak różowo. Nie mam nic przeciwko życiu chwilą, ale każda chwila kiedyś mija. Zrywa się wiatr, zaczynasz marznąć, trzeba pozmywać po obiedzie, w nocy budzi cię kaszel córki, dostajesz okresu... Życie na sto sposobów potrafi ci przypomnieć o tym, że polega na przemijaniu. A twój towarzysz życia, twój małżonek, siedzi sobie gdzieś w kącie, zadowolony z siebie, i nic, ale to absolutnie nic go nie rusza. Po jakimś czasie przestajesz się irytować i zaczynasz martwić.

- I próbując ukoić te troski, wskakujesz do łóżka sześćdziesięcioletniego donżuana?

- Spodziewałam się po tobie większego wsparcia - poskarżyła się Daphne.

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

- Zresztą, postawmy sprawę jasno, ja nigdzie nie wskoczyłam. Poruszałam się niepewnie, z wahaniem; byłam głupia. Ale wiesz, jak to się stało, że w ogóle wpadliśmy na siebie z Dickiem? Chciałam porozmawiać z nim o Patricku! Chciałam się dowiedzieć, jak mu się układa w pracy, bo zaobserwowałam zmianę w jego zachowaniu, takie tłumione podniecenie... Albo niepokój, nie umiałabym powiedzieć. A on nigdy o tym ze mną nie rozmawiał. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie jest czasem tak, że to jego wieczne zadowolenie ze wszystkiego to tylko pozór, a naprawdę dzieje się z nim coś bardzo złego. Rozumiem teraz, że Dickowi wprost spadłam z nieba z moimi podejrzeniami. Nie miałam pojęcia, oczywiście, że już wcześniej postanowił zablokować awans Patricka. Parę razy umówiliśmy się na drinka w przerwie obiadowej. Dick nie szarżował. Ot, zdarzyło mu się przypadkiem dotknąć mojej ręki, współczująco ścisnąć za ramię, za kolano. Nie zrozum mnie

źle, wyczuwałam w jego zachowaniu pożądanie, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Może nawet na nie reagowałam. To wszystko było takie niewinne...

Ellie zastrzygła uchem, słysząc dobór słów, miała jednak dość oleju w głowie, żeby nie poruszać teraz tego tematu.

- Muszę mu oddać sprawiedliwość - ciągnęła tymczasem Daphne. - Nigdy niczego wprost nie zaproponował, chociaż można by chyba powiedzieć, że w tamten piątek przygotowywał grunt pod coś więcej. Zanim pojechałam z nim do jego domku, spotkaliśmy się przy drinku i wtedy nieoczekiwanie wypalił, że otwarcie sprzeciwia się przyjęciu Patricka do zarządu. Powiedział, że jest mu przykro, jeśli wiązałam z tym awansem jakieś nadzieje finansowe, ale muszę zrozumieć, że jego zdaniem Patrick po prostu się do tego nie nadaje. Rozmyślałam o tym przez całą sobotę. Prawdę mówiąc, nie przyszło mi do głowy, że możemy mieć problemy finansowe. Nie miałam pojęcia, ile naprawdę wydajemy. Nie zastanawiałam się też specjalnie nad tym, jak Patrick sobie radzi z wydatkami, chociaż nie zarabia przecież jakiejś fortuny. Potem przyszła niedziela. Byłam chyba bardziej niż zwykle rozdrażniona tym jego wiecznym samozadowoleniem i nerwy mi puściły. Właściwie jeszcze się tak naprawdę nie martwiłam; wiedziałam, że mamy jakieś pieniądze, zarówno z oszczędności taty, jak i Patricka. Po naszym ślubie to Patrick zajął się finansami, a ja zakładałam, że dokonał jakichś długofalowych i bardzo zyskownych inwestycji. Chciałam tylko przebić się przez tę jego skorupę, wywołać jakąś reakcję. No i się doigrałam. Bez mrugnięcia okiem wyjaśnił mi, że mój skromny spadek od dobrych siedmiu, ośmiu lat w ogóle nie istnieje, bo pochłonęły go konieczne wydatki. Nie wierzyłam własnym uszom! Zapytałam o jego własne pieniądze; wiedziałam, że kiedy jeszcze pracował dla Capsticka, jedna z klientek zapisała mu większą sumę w spadku. Okazało się, że i te pieniądze wydaliśmy i praktycznie nie mamy oszczędności. Przyznał również, że wprawdzie po śmierci pana Eaglesa awansował na stanowisko głównego księgowego i dostaje większą pensję, ale i tak ledwie wiążemy koniec z końcem. I wszystko to tłumaczył mi bez cienia zdenerwowania! Zapytałam, jak sobie wyobraża utrzymanie dotychczasowego stylu życia, na co odparł, że owszem, jest ciężko, ale on niezłomnie wierzy w lepsze jutro. Właściwie już niedługo powinno być znacznie lepiej. Wykrzyczałam mu wtedy w twarz, że jeśli sobie wyobraża, że wejdzie do zarządu Perfecy, to się grubo myli. Zdziwił się i odparł, że miło byłoby zasiadać w zarządzie i nie widzi przeszkód, żeby w przyszłości do tego doszło, ale przecież, nawet jeśli mu się nie uda, to jeszcze nie będzie koniec świata. Ja już byłam wściekła, wściekła i trochę wystraszona. Zapytałam go, jakim cudem on, księgowy, chce utrzymać taki dom jak Rosemont i ten wielki ogród? I dodałam, że przecież, sprzedając je i przeprowadzając się do

czegoś mniejszego, moglibyśmy jednym pociągnięciem rozwiązać wszystkie nasze problemy. No, to do niego wreszcie dotarło. Decydująca była chyba wzmianka o sprzedaży domu. Nie, nie rozzłościł się, bynajmniej. Po prostu zaczął mi z zapalem tłumaczyć, że w przeszłości zawsze udawało mu się zatrzymać Rosemont i że głęboko wierzy w to, że i tym razem przezwycięży wszelkie przeciwności. Zmartwiałam. Dla mnie znaczyło to tylko jedno: Patrick sobie wmówił, że wejdzie do zarządu. Zadzwoiłam do Dicka i powiedziałam, że musimy porozmawiać. zaproponował, żebyśmy spędzili razem cały następny dzień. Umówiliśmy się na parkingu. Oczywiście słyszałam już wcześniej, że ma domek nad morzem, ale nie przypuszczałam, że to jest takie jego miłosne gniazdko. A poza tym, byłam przerażona nienormalnym zachowaniem Patricka, no i wściekła na niego jak diabli, że wydał moje pieniądze, nie zapytawszy mnie o pozwolenie! Przyszedł poniedziałek. Rano spotkałam się z Dickiem i pojechaliśmy nad morze.

Daphne umilkła. Spacerujące po parku, dwie starsze panie głośno zachwyciły się Rosie i bez słów piętnowały zajęcie ich osobistej ławeczki przez jakieś dwie parweniuszki.

- W którym momencie - zagadnęła lekkim tonem Ellie - doszłaś do wniosku, że czas przenieść się do łóżka z dyskusją na tematy finansowe?

Starsze panie ruszyły dalej, jedna z oburzeniem, druga wbrew sobie.

- Nie wiem. Tak jakoś wyszło. Pewnie za dużo wypiałam. I bardzo się rozgadałam. I wiesz, to zabawne, im dłużej gadałam, tym lepiej rozumiałam Patricka. Z perspektywy czasu wyraźnie widać, że rzeczy jakoś same układały się po jego myśli. Właściwie mogłabym mu prawie wybaczyć ten jego głupi optymizm. Zaczęło się od tego, że chciałam się na niego poskarżyć, a skończyło na tym, że prawie go broniłam!

- Ale sama się nie broniłaś?

- Chyba niespecjalnie. Nie pamiętam, żeby się rozbierała. Chociaż to, co najważniejsze, pamiętam doskonale; jakkolwiek by patrzeć, Dick był jedynym facetem, z jakim byłam, nie licząc mojego męża. Było bardzo miło, ale też bardzo inaczej niż zwykle. Inaczej fizycznie. Dick jest bardzo kościsty, nawet mięśnie ma twarde i węzłaste. Poza tym wydał mi się bardzo duży... no wiesz, tam. Nie jestem specjalistką, ale miałam wrażenie, że jest nieproporcjonalnie duży.

- Jak na jego gabaryty?

- No właśnie. - Daphne zachichotała. - Powiedział potem, że było wspaniale, ale wątpię, żeby mówił serio. Wydawało mi się też, że myślami błądził cały czas gdzie indziej. Teraz wiem, że musiałam go zaniepokoić, ale ja nie miałam o tym pojęcia! Wmówił sobie, że ostrzegam go przed Patrickiem, który pozbywa się wszystkich ludzi stających mu na drodze, i

jak spłoszony chomik pognął na policję! Śmiechu warte to wszystko... Ci sami faceci, którzy zarzucają nam, że bujamy w obłokach i wyzywają nas od neurotyczek, przy pierwszej okazji wskakują na te swoje dyrektorskie biurka piszcząc, bo im się mysz przywidziała!

- Szybko się uczysz - pochwaliła ją Ellie. - Rzeczywiście, można z nich mieć niezły ubaw.

- Chociaż pewnie mniejszy, kiedy są policjantami i zaczynają tę mysz gonić.

Zapadła długa cisza, gdy obie wbiły wzrok w omszałe nagrobki widoczne przez szpary w zielonej balustradzie, którą zainstalowano po tym, jak kruszący się kościelny mur został uznany za zbyt niebezpieczny. Mocno sfatygowane nagrobki stały w nierównych rzędach, różniły się też wielkością oraz stopniem przekrzywienia i pochylenia, niczym zbieranina wiekowych weteranów, którzy po raz ostatni zebrali się na defiladzie.

- Co ty na to? - spytała Daphne.

- Nic. Nie chcę naskakiwać na Petera za to, że wykonuje swoją pracę, a jeśli zacznę go bronić, będzie to można zinterpretować jako sugestię, że twój mąż ma coś do ukrycia. Mam dylemat.

- Nie przesadzaj. Nie wierzę, żeby Peter serio myślał, że Patrick coś ukrywa. Nie miałam go jeszcze okazji poznać osobiście, ale kiedy o nim mówisz, mam wrażenie, że jest sympatycznym i rozsądnym człowiekiem.

- Ja też nie znam twojego męża - odparła wymijająco Ellie. - Za to ty będziesz miała niedługo okazję poznać mojego. Chce się z wami spotkać, zanim w poniedziałek wyjedziecie.

- Może w sobotę po południu? Wcześniej nie damy rady.

- Powiem mu. Chodź, Rosie, idziemy. Mam wrażenie, że uniemożliwiamy tym dwóm starszym paniom codzienną kontemplację rzeczy ostatecznych.

Ellie czuła się jak tchórz, ale nie bardzo wiedziała, jak inaczej mogłaby się zachować. Wstała i ułożyła sobie małą w nosidełku. Ledwie z Daphne trochę się oddaliły, starsze panie objęły ławkę w posiadanie z szybkością prawowitych lokatorów depczących po piętach ekipie eksmisyjnej.

- Zawsze mi się wydawało, że to młodzi zajmują miejsce starych - zauważyła Daphne.

- Nie wierz w to. Stajemy się społeczeństwem geriatrycznym, w którym starzy odgryzają się młodym. Ich przewagą jest perfekcyjny plan rekrutacyjny. Nazywa się „życie”.

Ruszyły przed siebie - dwie wysokie kobiety, brunetka i blondynka, złączone przyjaźnią, o której obie wiedziały, że wkrótce może się też okazać zawieszeniem broni.

Penelopa

(*Penelope*. Odmiana wysoka, obficie kwitnąca. Młode kwiaty bladuróżowe, z czasem bieleją. Intensywny zapach. Doskonała na żywopłoty).

Penny Highsmith miała mocną głowę, ale nie mogła się mierzyć z Dalzielem, w którego osobie rodowód, profesja i naturalne skłonności stworzyły prawdziwego zawodowca. Nikomu nie dał się pobić, a i równych sobie spotykał nadzwyczaj rzadko. Długie konferencyjne popijawy nie pozostały jednak bez echa, i braki snu Dalziel nadrabiał, przesypiając bezczelnie całe seminaria, a na spotkanie z Penny zabrał ze sobą ból głowy - dokuczliwy, choć odległy niczym burza szalejąca w sąsiedniej dolinie. Na szczęście, po dwóch kufiach wodnistego londyńskiego piwa podawanego w całkiem zwyczajnej knajpce ze stekami, którą odwiedzili za radą Penny, chmury w jego umyśle rozwiały się i kolejne karafki czerwonego wina zamawiał w takim tempie, że maltańscy kelnerzy popatrywali po sobie znacząco.

Całkiem niesłusznie, rzecz jasna. Dalziel nie uważał wina za alkohol sensu stricto i w ten sposób chciał tylko okazać swoją gościnność; nie w głowie mu były ani amory, ani nawet przepytywanie towarzyski. Poza tym był w świetnym humorze: siedział sobie w restauracji, jadł największy stek, jaki byli mu w stanie zaproponować, i rozmawiał z wesołą, inteligentną i atrakcyjną kobietą.

To właśnie powiedział Penny, która - bardzo rozsądnie - poprosiła właśnie o butelkę wody mineralnej, żeby przystopować z winem.

- Cieszę się, że dobrze się bawisz, Andy - odparła. - Wiesz co, po tym, jak wtedy wieczorem się pożegnaliśmy, pomyślałam sobie, że to bardzo dziwne, że tak się przypadkiem napatoczyłeś w okolicy, kiedy akurat wracałam do domu. Zaczęłam się zastanawiać, czy to nie było coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

- Przeznaczenie, tak? Gwiazdy? Coś w ten deseń?

- Niezupełnie. Raczej... zasadzka. Zwykła policyjna robota. Coś w ten deseń. Kiedy jednak teraz na ciebie patrzę, to wierzyć mi się nie chce, żebyś tak świetnie udawał. Mam rację?

- Nie wygłupiaj się, nie bawiłem się tak dobrze odkąd zakazali publicznego wieszania.

- Miło mi. Musisz wiedzieć, że cię sprawdzałam, kiedy wczoraj rozmawiałam z Patrickiem.

Obserwowała go czujnie sponad kieliszka.

- Wczoraj? - powtórzył zaskoczony Dalziel. - To znaczy, dzwoniłaś do niego?

- Nie. Był u mnie. Właśnie przyjechał do Londynu. Na krótko, tak jak ty. I z obowiązku odwiedził mamusię.

- O, to inaczej niż ja - zauważył z galanterią Dalziel. - Dla mnie to czysta przyjemność.

- Poniekąd ci wierzę, ale tylko dlatego, że Patrick twierdzi, że w życiu o tobie nie słyszał.

- Pytałaś go o mnie?

- Mimochodem. Wypytywałam o starych znajomych. Nie starasz się, Andy. Był czas, kiedy robiłeś wokół siebie tyle hałasu, że słyszeli o tobie na szkockiej granicy

- Wyszumiałem się. Długo posiedział?

- Nie, jak zwykle. Nigdy nie byliśmy sobie przesadnie bliscy.

- A to ciekawe, biorąc pod uwagę, że sama go wychowałaś. Myślałaś kiedyś o tym, żeby wyjść za jego ojca? A może on już miał żonę?

- Nie twój zakichany interes.

- Przepraszam. - Dalziel dolał Penny wina i karafka zrobiła się pusta. Zanim zdążył skinąć na kelnera, już stanęła przed nim kolejna, pełna. - To nie przelewki, w pojedynkę wychować chłopaka. Chociażby ze względów finansowych musiało ci być ciężko, a poza tym, w tamtych czasach nie mieliśmy samotnych matek i ojców, tylko zdziry i łajdaków.

Penny wybuchnęła tym swoim cudownym śmiechem.

- Umiesz zagadać do dziewczyny, Andy! Tak naprawdę nie było aż tak źle. Nie brakowało złośliwców, zresztą nadal ich nie brakuje, ale przeciętny człowiek miał to w nosie. Zwłaszcza tutaj, na południu. A co do pieniędzy... Przyjaciele pomogli.

- Cioteczka Flo też, prawda?

- Ciotka Flo i wuj Eddie byli dla mnie bardzo hojni.

- Istotnie, cioteczka niekiepsko cię urządziła. Zdziwiłaś się, kiedy usłyszałaś testament?

Dalziel bacznie obserwował Penny, czekając na odpowiedź. Po tym, jak Pascoe zrelacjonował mu swoją rozmowę z Massonem, Dalziel samodzielnie wyciągnął pewne wnioski, ale na razie nie wiedział, czy coś mu z tego przyjdzie.

- Nie było testamentu. - Penny łyknęła wina. - Odziedziczyłam wszystko, bo byłam jedyną żyjącą krewną.

- Był jeszcze Patrick.

- No tak, Patrick. - Zachwycił się Rosemont...

- Dopiero po tym, jak zamieszkaliście tam po śmierci twojej ciotki, czy już wcześniej?

Pokręciła głową. Gęste, czarne loki zatańczyły, skrząc się w blasku porozwieszanych w restauracji lamp imitujących latarnie od powozów.

- Zawsze uwielbiał Rosemont. Wpadaliśmy tam od czasu do czasu, jeszcze kiedy był malutki; wcześniej ja bywałam tam z matką, wtedy często zostawałyśmy dłużej. Bawiła mnie czasem myśl, że cioteczka Flo najpierw musiała pilnować swojej zbląkanej siostry, a potem także siostrzenicy!

- Skutecznie.

- Miała pomocnika - zauważyła Penny.

- W osobie wuja, tak? Jaki on właściwie był?

Twarz Penny złagodniała.

- Wujek Eddie był cudownym człowiekiem. A Flo go zamęczała. Zaczęło się pewnie od zwykłego przyciągania się przeciwieństw, ale jak już wpadł w jej sidła, nie dała mu chwili spokoju. Był świetnym fachowcem, tak sobie wyobrażam, i przewidującym inwestorem, ale dopiero pod batem cioteczki Flo mógł zarobić dostatecznie dużo, żeby wystarczyło na utrzymanie Rosemont i życie w luksusie. Cudownie się stało, że pokonał ją jej własną bronią. Pewnie zawsze sobie wyobrażała, że Rosemont jest symbolem jej statusu: wiejska rezydencja w sam raz na miarę jej ambicji. Za to wuj urządził sobie w nim prawdziwy azyl. Uwielbiał sam dom, ale chyba jeszcze bardziej kochał ogród. Zwłaszcza róże.

- Tak jak Patrick? - podsunął Dalziel.

- Właśnie - przytaknęła z namysłem Penny. - Tak jak Patrick. Od pierwszego wejrzenia zakochał się w Rosemont, mimo że z początku wpadaliśmy tam tylko w niektóre weekendy, a ciotka Flo stale go strofowała i kazała mu siedzieć cicho. Ja nie zapuszczam łatwo korzeni. No i zawsze byłam i będę stworzona do życia w mieście. Teraz już może mniej się włóczę, ale uwielbiam Londyn, nawet ten dzisiejszy, którym zawładnęli Arabowie. Tutaj człowiek żyje naprawdę. Kto za długo przebywa wśród warzyw, sam staje się warzywem. Patrick był inny. Nigdy się nie skarżył, ale było oczywiste, że dwa dni w Rosemont znaczą

dla niego więcej niż dwa miesiące gdziekolwiek indziej. Całkiem możliwe, że to była jedyna niezmienna rzecz w jego życiu. Ja nie cierpię wszystkiego, co niezmiennie. Posłuchaj, chyba się trochę wstawiłam. Możemy zamówić kawę, zanim stur- lam ci się tu z krzesła?

Dalziel odwrócił głowę i odszukał wzrokiem kelnera, który natychmiast doskoczył do niego z nową karafką - całkiem rozsądnie, biorąc pod uwagę dotychczasową historię posiłku i fakt, że byli z Penny dopiero w połowie drugiego dania.

- Kawę - powiedział Dalziel. - Chłopak musiał być wstrząśnięty, kiedy twój wuj umarł.

- Pewnie tak, ale jak zwykle dusił to w sobie. Kochał Eddiego; pod wieloma względami kochał go bardziej niż mnie. Próbowалам mu tłumaczyć, że teraz będziemy pewnie rzadziej jeździć do Rosemont; prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że w ogóle przestaniemy tam bywać. Zupełnie się tym nie przejął, ale nie dlatego, uważasz, że poważnie zmartwił się moimi słowami. Miałam raczej wrażenie, że ma mnie za głupią, skoro ośmielał się w ogóle coś takiego sugerować. I słusznie, jak się potem okazało. Cioteczka Flo przyjechała do Londynu i dostała zawału; poszłyśmy akurat razem na herbatkę do Harrodsa, to był taki nasz doroczny obyczaj. Później odwiedzałam ją w szpitalu, pomagałam jej, kiedy dochodziła do zdrowia, aż w końcu zaprosiła nas do Rosemont, żebyśmy jej towarzyszyli, nim wróci do pełni sił. Wydaje mi się, że miała świadomość, że nigdy do końca nie wyzdrowieje, dlatego zaproponowała, żebym zamieszkała u niej na stałe... Ale przecież już ci o tym opowiadałam, prawda? Jak to się stało, że znowu o tym rozmawiamy?

- Wiesz, gadu, gadu, a czas leci. Cioteczka Flo padła trupem wśród róż, ale zanim się to stało, poszła ci na rękę i podarła swój testament.

Dalziel nie chciał, żeby zabrzmiało to aż tak cynicznie - a jeśli chciał, to przecenił łączący go z Penny stopień alkoholowej zażyłości. Wyraz wywołanego winem rozleniwienia natychmiast zniknął z jej twarzy.

- Co to ma znaczyć, do diabła? - spytała ostrym tonem.

- Nic, po prostu zauważam szczęśliwy zbieg okoliczności. Nie śpieszą się z tą kawą...

- Chrzanić kawę! - Teraz głos Penny brzmiał naprawdę groźnie. - Andrew Dalziew, co chciałeś przez to powiedzieć? Sugerujesz, że po śmierci Flo sama zniszczyłam jej testament? Do tego zmierzasz?

Inni goście, zaintrygowani jej podniesionym głosem, zaczęli zerkać ciekawie w stronę ich stolika. Dalziel zupełnie się tym nie przejął. W Yorkshire powszechnie wiadomo, że łatwiej byłoby przyłapać go na zajściu w ciążę niż wprowadzić w zakłopotanie. Zrobiło mu się tylko przykro, że taki dysonans musiał wybrzmieć akurat w taki miły wieczór. Ponieważ

jednak oskarżenie Penny miało stuprocentowe pokrycie w faktach, nie widział powodu, żeby się tego wypierać.

- A nie tak było? - spytał. - Wiesz, nikt by nie miał do ciebie pretensji.

Nikt poza zarządem KTOZ oraz świątobliwymi mężami kierującymi Kościelnym Stowarzyszeniem Misyjnym, ale ich potencjalne sprzeciwy, i tak błahe, w wyobraźni Dalziela brzmiały co najwyżej jak beczenie strzyżonych owiec.

Wbrew jego oczekiwaniom to wielkoduszne zapewnienie nie podziałało na Penny uspokajająco.

- Ty spasiony łajdaku! Nic się nie zmieniłeś, co? Zawsze mi mówiono, że kawał drania z ciebie. Sam sobie możesz dopić to barachło. Dam ci dobrą radę: jeśli jeszcze kiedyś zdarzy ci się zaprosić damę na kolację, co nastąpi pewnie nie wcześniej niż za pięćdziesiąt lat, postaw jej jakieś przyzwoite wino, a nie pięć galonów taniego sikacza. Pozdrów ode mnie Yorkshire.

Wstała, omal nie przewracając krzesła, okręciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Dalziel z aprobatą zauważył, że prawie nie chwieje się na nogach. Godna podziwu była również konsekwencja, z jaką trzymała się swojej wersji wydarzeń. No, ale przestępca, który puszcza farbę pod wpływem gróźb lub obietnic, w dziewięciu przypadkach na dziesięć jest po prostu idiotą.

Zresztą myślenie o Penny Highsmith jako kryminalistce przychodziło mu z wyraźnym trudem, gdy jej urocze tylne krągłości znikwały za drzwiami.

Kelner podał kawę i whisky.

- Rachunek - rzucił oschle Dalziel.

Jednym haustem wypił szkocką, obejrzał rachunek, który kelner-jasnowidz sporządził w czasie jego kłótni z Penny, zaakceptował go, zapłacił, i wstał.

Wziął torebkę Penny, wiszącą wciąż na oparciu krzesła - czyli tam, gdzie sama ją zostawiła - i wyszedł. Na chodniku nikogo nie było, ale przejeżdżający taksówkarz zwolnił na widok klienta wymachującego torebką i zatrzymał się przy Dalziele w tej samej chwili, gdy Penny wyszła z pobliskiego sklepu.

Dalziel wsiadł do taksówki, ale nie zamknął drzwi. Chwilę później Penny dosiadła się do niego, a on podał kierowcy jej adres.

- Mogę dostać z powrotem moją torebkę? - spytała Penny. - Proszę.

Kiedy Dalziel oddał jej torebkę, od razu zajrzała do portfela.

- Spokojnie - powiedział Dalziel. - Zapłaciłem swoimi.

- Tylko sprawdzam - odparła lodowato.

- Posłuchaj, Penny, przepraszam. Po prostu znalazłaś się po niewłaściwej stronie kija.

- W twoim wypadku oba końce są umazane gnojem.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, a kiedy stanęli przed drzwiami wejściowymi, Penny przekreśliła klucz w zamku i spróbowała sama wśliznąć się za próg. Bark Dalziela był szybszy.

- A ty gdzie się pchasz?

- Posłuchaj mnie. - Masywna niczym kamienna płyta twarz Dalziela zastygła w wyrazie takiej żarliwości, jakby jakiś drugorzędny renesansowy rzeźbiarz., który właśnie zmajstrował posąg rozeźlonego Ajaksa, postanowił nieco oszlifować jego rysy i sprzedać go jako rozmodlonego świętego Piotra. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że dla mnie to był fantastyczny wieczór i że dawno się tak świetnie nie bawiłem. Naprawdę świetnie, nie żartuję. Dziękuję ci.

Zaskoczenie na jej twarzy przeszło w szczerą konsternację.

- O co ci chodzi? - spytała. - Ale tak naprawdę.

- Chcę być twoim przyjacielem - odparł bez zająknięcia Dalziel. - Posłuchaj, może wejść i sprawdzę, czy nie zakradł się do ciebie jakiś bandzior? Wiesz, te londyńskie oprychy...

Ze śmiechem pokręciła głową, co Dalziel potraktował jako zaproszenie. Zrobił czujną minę gorliwego posterunkowego i wszedł do środka.

- Tu wszystko w porządku - oznajmił. - Sprawdzę pokoje.

Z agresywną pewnością siebie, typową dla człowieka, który nie spodziewa się absolutnie żadnych kłopotów, otworzył drzwi sypialni. Stojący tuż za nimi mężczyzna uderzył go prosto w nos, mocno i celnie. Dalziel zatoczył się na ścianę, a Penny wrzasnęła przeraźliwie, gdy napastnik powalił ją barkiem na podłogę i wybiegł na schody.

- Rany boskie... - jęknął Dalziel, trąc załzawione oczy.

W końcu odzyskał wzrok na tyle, żeby dostrzec gramolącą się na klęczki Penelope. Po upadku cudowna korona kruczoczarnych loków przekrzywiła się jej na głowie i spod peruki wyrzały krótkie, przygniecione loki, posiwiałe niemal do białości.

- Nic ci się nie stało? - spytał.

- Twoja obecność na niewiele się zdała. Boże, twój nos! Wygląda koszmarnie!

Pomógł jej wstać i razem obeszlą resztę pomieszczeń. Intruz musiał być schludnym włamywaczem - o ile w ogóle był włamywaczem. Bardzo się starał zostawić mieszkanie w takim stanie, w jakim je zastał; Penny musiała przyznać, że mogłaby się nie zorientować, że ktoś u niej był.

- Czego szukał, do licha ciężkiego? - spytał, upewniwszy się, że nic nie zginęło.

- Bóg raczy wiedzieć - odpowiedział Dalziel z łazienki, gdzie moczył nos w wodzie.

- Co twoim zdaniem powinnam zrobić? Wezwać policję?

- Ja jestem policją, zapomniałaś? - Dalziel przypomniał sobie właśnie, że wykpił się z pożegnalnej kolacji rzekomymi dolegliwościami gastrycznymi. - Zacznij od wymiany zamka, bo ten, który masz, nie powstrzymałby niedorozwiniętej papugi.

- Muszę przyznać, że nie brakuje ci zimnej krwi. Miałam w domu włamanie, a ciebie tylko na tyle stać?

- Dopiero się rozkręcam.

Dalziel zdjął marynarkę i krawat i rozsiadł się na sofie.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz? - zdziwiła się Penny.

Dalziel zrobił zdziwioną minę.

- Chyba nie myślałaś, że zostawię cię tu dziś samą? - spytał zbolonym głosem.

Przez chwilę Penny zastanawiała się, czy nie powinna znów się rozzłościć, ale w końcu tylko westchnęła, zdjęła perukę (którą zdążyła już szybko poprawić na głowie) i przeczesła palcami siwiejące włosy. W sekundę postarzała się o piętnaście lat.

- Górne zęby też już mam nie swoje - powiedziała.

- To świetnie, bo zaczynałem się bać, że mogę być dla ciebie za stary. Ale obawiam się, że oprócz nosa nie mam w sobie ani jednego kawałka, który dałoby się oddzielić od reszty.

Penny uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- To się jeszcze okaże.

Napili się szkockiej, poszli do łóżka, a potem usiedli w łóżku i dolali sobie szkockiej.

- Była taka historia, z mitologii, o jakimś bogu, który zstępował na ziemię w różnych przebraniach, żeby zabawiać się z dziewczynkami... - zagaiła Penny.

- Bardzo sensowny pomysł - ocenił Dalziel.

- Pewnego razu przybrał postać łabędzia, kiedy indziej stał się deszczem, a jeszcze przy innej okazji bykiem.

- Jak to zrobił pod postacią deszczu?

- Nie wiem, ale doskonale wiem, jak sobie poradził w roli byka!

Dalziel uśmiechnął się skromnie, jakby odbierał order z rąk królowej.

- Trzeba było mnie wykorzystać te piętnaście lat temu. Od tamtej pory bardzo zwolniłem obroty.

- Jak my wszyscy.

- Ty nie. Pewnie dzięki mieszkaniu w Londynie. Dla mnie tutaj żyje się zbyt szybko.

- Tak jak dla mnie tam żyło się zbyt wolno. Zawsze tęskniłam za Londynem, a najciekawsze jest to, że z czasem wcale nie było mi łatwiej. Bywałam u was, nie zapominaj; to przecież raptem parę godzin jazdy pociągiem. Ale zawsze mi czegoś brakowało i musiałam wrócić.

- Dlatego postanowiłaś w końcu sprzedać dom?

- Tak.

- Co na to Patrick?

- Patrick? Nic. On w ogóle nigdy nie dramatyzował. Choć było po nim widać, że nie jest zachwycony. No, ale to było także moje życie, a każdy ma tylko jedno, prawda? Patrick dopiero co skończył gimnazjum, uznałam, że to dobry moment na przeprowadzkę, tym bardziej że za dwa lata i tak by się usamodzielniał. Dlatego wystawiłam dom na sprzedaż.

- A Patrick?

- Żył tak samo jak dawniej, jakbyśmy w ogóle nie rozważali wyjazdu. Co za chłopak! Czasem doprowadzał mnie do białej gorączki. Kiedy wydarzyło się lub miało wydarzyć coś, co mu się nie podobało, zwyczajnie to ignorował. Pamiętam, jak kiedyś wrócił do domu, to było mniej więcej w tym właśnie okresie, i poinformował mnie, że po rozmowie z nauczycielami postanowił zostać księgowym. Tak po prostu. Wyjaśniłam mu, że może to równie dobrze zrobić w Londynie, jak w Yorkshire, ale on jakby mnie w ogóle nie słyszał! Nie miałam pojęcia, skąd mu ta księgowość przyszła do głowy. Radził sobie z matematyką, ale nie był żadnym geniuszem. Co innego biologia: same piątki. Miał serce do roślin, zdobywał nawet nagrody, ale nie, to musiała być księgowość i już.

- Może to dlatego, że tak bardzo podziwiał ciotecznego dziadka? - podsunął Dalziel.

Penny zmarszczyła brwi.

- Nie przypominam sobie, że bym ci wspominała, że wuj Eddie był księgowym.

- Założę się, że nie przypominasz sobie połowy tego, co sobie nawzajem powiedzieliśmy, odkąd wskoczyliśmy do łóżka. - Dalziel się roześmiał. - Co takiego się w końcu stało, że jednak nie sprzedałaś domu?

- To akurat pamiętam, że ci opowiadałam. Nie dość, że jesteś wścibski, to jeszcze roztrzepany.

- Ach tak, klient, biedaczysko, kojfnął. To był wypadek, prawda? - spytał Dalziel, który w ostatniej rozmowie telefonicznej z Pascoe poznał szczegółowe okoliczności śmierci niedoszłego kupca.

- W pewnym sensie, zatrul się jedzeniem. Jakiś niespłukany pestycyd czy coś w tym rodzaju...

- I co, nikt więcej nie zainteresował się Rosemont?

- Nie. Ja zresztą straciłam ducha i wycofałam ofertę. Przyszło mi do głowy, że chyba powinnam się bardziej liczyć z uczuciami Patricka. Dla mnie ten dom to był po prostu wielki rupieć, ale dla niego wiele znaczył. - W głosie Penny zabrzmiała wyzywająca nuta.

- I co wtedy zrobiłaś? - spytał Dalziel, chociaż doskonale znał odpowiedź.

- Odbyłam z nim poważną rozmowę. Powiedziałam, że na razie zostaniemy w Rosemont, ale kiedy osiągnie pełnoletniość, ja wracam do Londynu, a on niech się sam zastanawia, czy chce dostać Rosemont na własność. I czy będzie je w stanie utrzymać. Mówiąc o pełnoletności, miałam na myśli dwadzieścia jeden lat, ale niedługo potem obniżono ten wiek oficjalnie do osiemnastu i Patrick uznał, że to będzie dobry moment na decyzję. Kiedy przyszedł jego osiemnaste urodziny, zapowiedział, że zostaje w Rosemont sam. „Jak chcesz?”, powiedziałam.

Dalziel zagwizdał przez zęby.

- Musiałaś mieć albo bardzo wysokie mniemanie o chłopaku, albo bardzo niskie, jeśli zgodziłaś się zostawić mu taką chałupę. Osiemnaście lat... Przecież jeszcze nawet nie zarabiał na siebie!

- Wiem, to się może wydać dziwne, ale Patrick... Cóż, Patrick... Musiałbyś go poznać osobiście, żeby mnie zrozumieć. Kiedy czegoś chce, siedzi cicho i spokojnie czeka, aż to dostanie. I zawsze dostaje, od małego. Poza tym, jego sytuacja wcale nie była taka najgorsza, nie zapominaj. Spadek po ciotce Flo całkiem nieźle mnie ustawił. Kazałam wycenić Rosemont, dodałam jego wartość do reszty aktywów i podzieliłam sumę na pół. Patrickowi oprócz domu dostało się ładne parę tysięcy górką, a ja miałam dość pieniędzy, żeby wynająć to mieszkanie i żyć wygodnie z odsetek. Przynajmniej dopóki nie wynaleziono inflacji, bo tak to w końcu zacznę przejadać kapitał. Jasno wyłożyłam Patrickowi, że na tym moje zobowiązania wobec niego się kończą. Resztki mojego majątku mają trafić bezpośrednio do wnuków, gdy tylko te skończą dwadzieścia jeden lat. Ale nie będzie tego dużo.

- Wiesz, że sobą i tak tego nie zabierzesz. Mówiłaś, zdaje się, że zmienił nazwisko? Twój syn...

- Nie, nie mówiłam! - Penny usiadła wyprostowana na łóżku. - Co to wszystko ma znaczyć, Andy?

- Niby co? - zdziwił się Dalziel. - Powiedziałaś mi wcześniej, że dziś nazywa się Patrick Aldermann. Słyszałem na własne uszy.

Powiedział to z takim przekonaniem, że w mgnieniu oka rozwiązał jej wątpliwości, ale instynktownie wyczuł, że nie powinien się posuwać dalej, jeżeli chce zachować pozory, że celem spotkania była romantyczna randka, a nie przesłuchanie.

A poza tym, widok tych wciąż cudownie jędrnych piersi, zwieszających mu się teraz nad głową, przytępił nawet ostrze policyjnego obowiązku.

Przyciągnął ją do siebie.

- Posłuchaj no, a ten grecki bóg... Po byku za co się przebrał?

Część czwarta

A pośrodku ciszy tej rozległej Azyl różany
Przybioreę wieńcem czynnego umysłu...

John Keats, *Oda do Psyche*

Szczęście

(*Happiness*. Mieszaniec herbatni. Jaskrawoczerwone kwiaty na długich, mocnych łodyżkach, doskonale rozwijają się pod przykryciem).

W sobotę rano Daphne Aldermann wstała wcześniej rano z poczuciem, że będzie to dzień podejmowania ważnych decyzji.

Miała wrażenie, że od czasu rozmowy z Ellie każdą świadomą chwilę poświęca analizowaniu swojego małżeństwa.

O dziwo, wszystkie poprzednie próby takiej dedukcji wydawały jej się teraz mętne, nieudolne i złudne, tak jakby jej wykształcenie, wychowanie i cała spuścizna genetyczna były nakierowane na przyćmienie jej oglądu rzeczywistości.

I w pewnym sensie była to prawda. Pozory to nie wszystko, ale uporządkowane pozory potrafią wiele zrekompensować. A w głębi serca nie czuła się ani specjalnie nieszczęśliwa, ani przeraźliwie zaniedbana, ani rozpaczliwie niespełniona. Świadomość, że prowadzi życie, którego wielu ludzi z pewnością jej zazdrości, pomagała uwierzyć, że większość jej domniemyanych słabości ma źródło w jej własnej niedojrzałości.

A teraz coś się zmieniło. Coś w niej dojrzało. Może to szczerość Ellie Pascoe, jej otwarte niezadowolenie, nieskrywana niepewność w roli matki i zbawcze poczucie humoru, które włączało się za każdym razem, gdy znalazła się zbyt blisko tej okropnej zarliwej szarości, z którą lewica obnosi się tak samo dumnie, jak prawica ze swoimi brązami i czernią, przyspieszyły reakcję Daphne - ale na pewno same nie były jej przyczyną. Czuła, że ma za sobą przedłużony okres dorastania, który właśnie dobiegł końca. Nareszcie była dorosła.

Diana miała spędzić większość dnia u koleżanki. Daphne, która bardzo pilnowała, żeby odosobnienie Rosemont nie oznaczało automatycznie wyobcowania jej córki, przed dziewiątą odwiozła małą do domu znajomych. Wieczorem poprzedniego dnia zadzwonił Patrick i zapowiedział, że wróci przed południem. Brzmiał trochę dziwnie, jakby rozpierały go gwałtowne emocje - nie udało jej się ich zidentyfikować wśród telefonicznych trzasków i zakłóceń. Odebrała również telefon z policji; poprosiła, żeby przyszli około południa.

Zaparzyła kawę, usiadła i czekała na powrót męża.

Zamierzała sobie z nim szczerze porozmawiać - chociaż nie była pewna, jak bardzo szczerze. Nie odziedziczyła po ojcu anglikańskiego zamiłowania do spowiedzi, była jednak gotowa ujawnić prawdę o swoim krótkotrwałym związku z Dickiem Elgoodem, gdyby się okazało, że tylko w ten sposób wstrząśnie Patrickiem dostatecznie mocno, żeby sprowokować go do podobnej szczerości. Czas tajemnic minął. Patrick musi otworzyć przed nią umysł, jeżeli mają myśleć o wspólnej przyszłości.

Wśród tego rodzaju niewzruszonych jak skały postanowień przesiedziała aż do godziny jedenastej, kiedy to usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe. Skały natychmiast zaczęły się kruszyć, a cienka powierzchnia jej życia wydała się dostatecznie twarda i sztywna, żeby - całkiem szczęśliwa - mogła się po niej ślizgać aż do grobu.

Jednakże wraz ze świadomością własnych słabości przyszła też świadomość siły i zanim Patrick zdążył wejść do salonu, Daphne wzięła się w garść.

Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że człowiek, który stanął w drzwiach, nie był człowiekiem, któremu zamierzała stawić czoło. Owszem, był to Patrick, ale zamiast spodziewanego półśmiechu i delikatnego cmoknięcia w policzek powitał ją z rozpromienioną twarzą, porwał w ramiona i pocałował prawie, prawie namiętnie.

- Cześć - powiedział. - Dobrze jest wrócić do domu. To dla ciebie. Gdzie mała Di?

- U Mary Jennings. Dziękuję ci, ale... kwiaty? Kupiłeś mi kwiaty?

„To” okazało się bowiem zawiniętym starannie w ozdobny papier bukietem róż.

Patrick usiadł, rozkoszując się miękkością głębokiego fotela. Szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Nawet w Rosemont nie mamy wszystkich rodzajów - odparł.

Daphne ostrożnie odwinęła papier skrywający pięć róż. Intensywnie złote kwiaty na długich łodyżkach, z których dwa, w pełnym rozkwicie, odsłaniały zaróżowione wnętrza i pachniały słodko i delikatnie. Mimo że, chcąc nie chcąc, stała się ekspertem od róż, nie umiała ich rozpoznać.

- Są prześliczne! Co to za odmiana?

- Powinny mieć identyfikator - rzucił od niechcienia Patrick.

Daphne dokładnie obejrzała bukiet i znalazła owiniętą wokół łodyżek plastikową etykietkę ogrodową. Przeczytała ją raz, potem drugi, ale nadal nie rozumiała.

Rodzaj: mieszaniec herbatni. Odmiana: Daphne Aldermann.

- Chcesz powiedzieć, że tak się nazywają? - spytała z niedowierzaniem.

Szczerze zachwycony Patrick roześmiał się głośno. Był to widok równie niezwykły, jak treść etykiety.

- Tak - odparł. - Tak, tak, tak! Zapomniałaś, prawda? Dawno temu powiedziałem ci, że kiedy uda mi się wyhodować różę wartą swojej nazwy, nazwę ją na twoją cześć!

- Pamiętam, ale myślałam, że to ty tylko... taki komplement, romantyczny sposób...

- Ja nigdy nie żartuję - odparł z powagą Patrick.

Zerwał się z fotela i stanął przy kominku. Daphne jeszcze nigdy nie widziała go tak podekscytowanego.

- Zacząłem nad nią pracować pięć... nie, sześć lat temu. Już po pierwszym kwitnieniu zorientowałem się, że ma potencjał, ale nie od razu mi się udało. Trzy lata temu doszedłem do wniosku, że jest dostatecznie dobra, żeby wysłać ją na próbę do Towarzystwa Królewskiego. Miałem nosa, dostałem certyfikat pierwszej klasy! A teraz zdobyła złoty medal na organizowanej przez Towarzystwo wystawie.

- To cudownie, Patricku. Wspaniale. Jestem taka...

Daphne nie była pewna, jaka właściwie jest, poza tym, że na pewno nie jest już gotowa na konfrontację, do której się przygotowywała. Przyszło jej za to do głowy, że wiele odpowiedzi, które spodziewała się uzyskać, może usłyszeć bez żadnej konfrontacji.

- To nie wszystko - ciągnął Patrick. - Podpisałem umowę z Bywater Nurseries i róża będzie w ich nowym katalogu. Będą ją produkować na sprzedaż!

- Dlaczego nic nie mówiłeś?! - wykrzyknęła Daphne, ale nic już nie mogło powstrzymać Patricka.

- To też jeszcze nie wszystko - ciągnął. - Trafisz nie tylko na stragany kwiatowe we wszystkich centrach ogrodniczych, ale także do księgarń. Wiesz o tym, że prowadzę bardzo szczegółowe notatki ze swojej pracy w cieplarni, prawda? Zaniósłem je do wydawnictwa, a oni powiedzieli, że nadadzą się na książkę o tym, jak metodą prób i błędów udało mi się stworzyć „Daphne Aldermann”. Chcą je razem wprowadzić na rynek: różę i książkę. To tylko zwykły chwyt reklamowy, nic więcej, ale pomysł bardzo im się spodobał. A najważniejsze, że chcą u mnie zamówić książkę, o której napisaniu zawsze marzyłem: szczegółową historię róży!

Daphne pokręciła głową, nie w geście przeczenia, lecz niedowierzania. Patrick tłamsił w sobie to podniecenie całymi miesiącami i nigdy się nim nie podzielił. Nie powiedział ani słowa.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - spytał Patrick, chwilowo wytrącony z euforycznego nastroju.

- Tak, oczywiście. Po prostu trochę mnie oszołomiłeś... To cudowne i wstrząsające zarazem.

- Wstrząsające?

- No tak. Niczego się nie domyślałam. A ty nic mi nie powiedziałeś. Tyle się działo, a ty nic nie mówiłeś!

- Nie mówiłem, bo wszystko wydawało się takie niepewne. Na dobrą sprawę sam do końca w to nie wierzyłem, dopóki wczoraj wszystko się nie rozstrzygnęło. Ale też niczego przed tobą nie ukrywałem. Wszystko było na widoku, cała moja praca. Notatki. Róże. Wszystko jak na dłoni.

Czy to był wyrzut? Daphne nie była pewna. Właściwie wcale nie chciała tego wiedzieć. Na wyrzut musiałaby jakoś zareagować. Albo go zaakceptować, a nie była w nastroju do akceptowania przygan. To znaczy, pięć minut temu nie była w takim nastroju, bo w tej chwili sama już nie wiedziała, jaki ma nastrój. Słowa Patricka wiele wyjaśniały - jego zaabsorbowanie, tajone podniecenie, nawet pozornie chybiony optymizm, z jakim myślał o przyszłości. Na Boga! Nagle uświadomiła sobie wszystkie konsekwencje swojej pomyłki: nie dość, że wskoczyła Dickowi Elgoodowi do łóżka, to jeszcze sprowokowała policyjne śledztwo. Nie wiedziała, czy bardziej dręczą ją wyrzuty sumienia, czy złość na Patricka. Oboje byli winni, ona nie okazywała mu zainteresowania, on wszystko przed nią ukrywał.

Nic się nie zmieniło. Wszystko się zmieniło.

Usiadł obok niej.

- Dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem.

- Tak, naprawdę. Trochę mnie to przerasta...

- Mnie też. - Patrick zaśmiał się jak chłopiec. Wyglądał teraz jak dwudziestolatek. - Bałem się, że nic z tego nie wyjdzie, i chciałem ci oszczędzić zmartwień, ale kiedy okazało się, że się udało, żałowałem, że cię przy mnie nie ma. Tęskniłem.

- Naprawdę?

Odwróciła się w jego stronę. Pocałował ją delikatnie.

- Naprawdę.

Znow ją pocałował, tym razem nie miała wątpliwości co do namiętności tego pocałunku.

- Patrick! - wykrztusiła instynktownie, nieprzyzwyczajona do takich rzeczy w takim miejscu i o takiej porze.

- Diany nie ma, prawda? - mruknął Patrick. - Nie spodziewasz się chyba gości?

O Boże! - przypomniała sobie Daphne. Policja!

Ale nic nie powiedziała. Zapowiedzieli się na dwunastą. Ponad ramieniem Patricka zerknęła na mosiężny zegar kominkowy: dopiero co minęła jedenasta. Policjanci na pewno nie przyjechaliby przed czasem, prawda? Zresztą, kogo to obchodzi? Są sytuacje, w których trzeba ryzykować.

Przyciągnęła Patricka i objęła go ramionami, ustami i długimi, szczupłymi nogami.

Seks był szybki i dziki, jakby oboje prowadzili długą grę wstępną i od paru godzin znajdowali się tuż poniżej punktu wrzenia. Zmęczeni legli na chłodnej drewnianej podłodze, wczepieni w siebie nawzajem jak para wyczerpanych pływaków.

Czas na rozmowę bez obawy o wyrzuty. Właściwie to nawet nie były słowa, raczej szmer morskich fal.

- Powinieneś mi być powiedzieć.

- Wiem. Tylko że ty zawsze wydawałaś mi się taka opanowana i samowystarczalna... Nie chciałem cię wciągać w swoje nadzieje i prawdopodobne rozczarowania.

- Naprawdę taka ci się wydawałam? Opanowana i samowystarczalna?

- Tak. Może zresztą bałem się, że moje nadzieje nic a nic cię nie obchodzą. To by było jeszcze gorsze: ten projekt był mi tak drogi, że nie zniósłbym myśli o tym, że ktoś może go traktować inaczej.

- Och, Patricku...

Daphne przytuliła go mocniej. Zegar tykał nieubłaganie ponad ich nagimi ciałami.

- Słuchaj, to teraz nieważne, ale... - zagaiła po dłuższej chwili. - Będą z tego jakieś pieniądze?

Patrick odsunął się trochę, uśmiechnął do niej i odparł:

- Będą. Żadna fortuna, ale z czasem może ich być coraz więcej. Przynajmniej będę mógł zawrzeć pokój z Dickiem Elgoodem.

- Z Elgoodem? - W głosie Daphne zabrzmiał lęk, większy niż zamierzała, mniejszy niż odczuwała.

- Tak. Nie podoba mi się to całe zamieszanie z posadą dyrektora finansowego. Dick mnie nie chce, to dla mnie oczywiste. Ja sam też się nigdy do tego nie wrywałem, głupio byłoby jednak nie skorzystać z okazji. A teraz przynajmniej wiem, na czym stoję. W tej chwili ze swoją dotychczasową robotą poradzę sobie z zamkniętymi oczami; nie będzie mi przeszkadzała przy książce i różach.

- Chcesz się wycofać?

- Otóż to.

- Tak się cieszę...

Daphne tak się ucieszyła i tak jej ulżyło, że najgorsze ma za sobą, że sama nie wiedziała kiedy zaczęła opowiadać o oskarżeniach Elgooda i śledztwie. Nie zaszła daleko, gdy ciało, które trzymała w ramionach, wyraźnie się spięło, uświadamiając jej własną naiwność. To się musiało źle skończyć. Daphne zaczęła się rozpaczliwie rozglądać za wyjściem awaryjnym z tej sytuacji - i znalazła całkiem pomysłowe rozwiązanie.

- Dowiedziałam się od Ellie Pascoe - zatrajkotała jak rasowa plotkara, licząc na to, że tak ją właśnie Patrick potraktuje. - Wiesz, żony tego policjanta, o którym ci opowiadałam. Prawie się o to pokłóciłyśmy, takie to było absurdalne. Ona chyba też tak pomyślała, dlatego mi powiedziała.

- Pani Pascoe opowiada ci o pracy męża? To niedyskrecja. I nieojalność. W dodatku ty mi nic nie powiedziałaś.

Był nie tyle podejrzliwy, ile zwyczajnie zaskoczony. Jakby czegoś się domyślał...

Pocałowała go namiętnie i zaczęła pieścić. To była właściwa odpowiedź. Poczula, że całe jego ciało się odpręży, a jedna część sztywnieje.

Odwrócił ją na wznak - i wtedy jej wzrok padł na zegar. Za dziesięć dwunasta.

- Pośpiesz się! - ponagliła go. - Tak, szybciej, szybciej!

Patrick się pośpieszył.

Kiedy się ubierali, zdyszany głosem opowiedziała mu o planowanej wizycie policji i jej powodach.

- Czyli ten pośpiech to wcale nie była żądza?

- Ależ była, w większości była, przecież... Przepraszam... - zaczęła się tłumaczyć Daphne, ale spojrzawszy na męża, zobaczyła, że się uśmiecha.

Policjanci spóźnili się dziesięć minut. Daphne była przeświadczona, że oko zawodowca z łatwością dostrzeże w salonie dowody niedawnych sprostności - odkryła jednak, że nic a nic ich to nie interesuje.

- Dzień dobry - przywitała Petera Pascoe. - Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie zobaczę pana na własne oczy.

Czyżby uśmiechnął się półgębkiem na widok trzech nie- zapiętych guzików jej bluzki?

- Ja również - odparł.

Pascoe nie wiedział, jak Daphne go postrzega, ona jednak wyglądała dokładnie tak, jak opisywała ją Ellie: klasyczna angielska piękność - wysoka, długonoga, jasnowłosa do tego seksowna.

Za to stojący obok niej Patrick Aldermann trochę go zaskoczył. „Powściągliwy” i „czujny” - takimi przymiotnikami najczęściej go określano. Przy ich poprzednim (i dotychczas jedynym) spotkaniu, uwagę Pascoe natychmiast zwróciła jego naturalna skrytość - mimo że przecież podarował różę obcemu człowiekowi.

Aldermann również przypomniał sobie tę sytuację.

- Jak się pan miewa, panie Pascoe? Spotkaliśmy się już kiedyś, prawda? W Perfekcie. Mam nadzieję, że nikt nie planuje włamania także do mojego biura?

Mówiąc to, uśmiechnął się, ale Pascoe zauważył, że jego żona zeszywniała lekko na wzmiankę o ich znajomości.

- Nie, wtedy byłem u was w innej sprawie - wyjaśnił spokojnie. - Sierżanta Wiolda też już państwo znacie.

Wiold skinął głową.

- A owszem. Co słyhać w sprawie skrzynki na kwiaty?

- Nie miałem czasu o niej pomyśleć, proszę pana.

- Proszę się pośpieszyć, róże nie mogą czekać - powiedział Aldermann z udawaną przyganą w głosie. - Niech mi pan da znać, podeślę panu sadzonki w doniczkach. Podobała się panu *Baby Faurax*, jeśli mnie pamięć nie myli. Efektowne tło stworzą dla niej *Pigmy Gold* i *Scarlett O'Hara*.

Facet dosłownie tryska energią, pomyślał Pascoe. Bezpośredni, wygadany... Coś się musiało wydarzyć.

- Proponuję przejść do rzeczy - powiedział. - Przypuszczam, że pani Aldermann wprowadziła pana w sprawę, otóż dostaliśmy informację, że Rosemont jest na liście domów przeznaczonych do obrabowania przez szajkę włamywaczy, która od mniej więcej dwóch miesięcy działa w tej okolicy. Żona mogła również wspomnieć o człowieku, który myszkował wokół domu, podając się za pracownika wodociągów miejskich.

Aldermann spojrzał pytająco na Daphne.

- Nie, nie powiedziała mi o nim. Ale wie pan, ja dopiero co wróciłem do domu i nawet nie zdążyliśmy dobrze porozmawiać.

Daphne Aldermann prychnęła, jakby się czymś zakrztusiła. Pascoe miał wrażenie, że otaczający go ludzie wymieniają jakieś tajne sygnały, co wcale mu się nie spodobało. Przybrał bardziej oficjalny ton:

- Sprawdziliśmy: przedsiębiorstwo wodociągowe nikogo do państwa nie przysyłało. Niewykluczone, że ten człowiek działa w porozumieniu z szajką, o której mówiłem. Wiem, że

w przyszłym tygodniu zamierzacie państwo wyjechać i dom przez kilka dni ma stać pusty, dlatego postanowiliśmy potraktować ostrzeżenie jak najbardziej poważnie.

- Naturalnie - zgodził się z nim Aldermann. - Jak możemy pomóc?

- Przede wszystkim przydałaby się nam lista osób, które zwykle powiadamiacie państwo o swojej nieobecności.

- To nie będzie długa lista - skonstratowała Daphne.

- Zdziwi się pani. Zwłaszcza jeśli doliczyć wszystkich tych, którzy dowiedzą się o tym pośrednio, jeśli można tak powiedzieć. Domyślam się, że zawiadomiliście państwo szkołę o planowanej nieobecności córki?

- Ależ naturalnie.

- W takim razie musimy założyć, że wiedzą o tym wszyscy nauczyciele i personel administracyjny szkoły. Do tego dochodzą koledzy i koleżanki córki, a także, jak się domyślam, większość ich rodziców.

- To chyba rozsądne założenie... - przyznała Daphne. - Ale chyba nawet Ellie nie sugeruje, że wokół St. Helena powstała szajka rabusiów - dodała z lekkim przekąsem.

- Zdumiewa mnie pani. - Pascoe wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Widzę jednak, że się rozumiemy. Chciałbym się również rozejrzeć po domu, obejrzyć zainstalowany alarm i tak dalej.

- Proszę zatem dzielić i rządzić, panie Pascoe - odezwał się Aldermann. - Proponuję zrobić tak: ja tutaj udzielię wszelkich informacji panu Wieldowi, a Daphne oprowadzi pana po domu.

Czyżby Pascoe coś usłyszał w jego głosie? Jakaś ukrytą sugestię?

Daphne skinęła głową.

- Jasne - przytaknęła. - Nie masz nic przeciwko temu, Peter, prawda? Ojej, przepraszam, nauczyłam się nazywać pana „Peterem” przez te wszystkie pogaduchy z Ellie.

- Cieszę się, że żona nie mówi o mnie „pan Pascoe”. „Peter” jest w porządku. Chodźmy.

Przez pierwszy kwadrans ich rozmowa miała charakter pragmatyczny i ograniczała się do spraw zawodowych. System alarmowy był stary, ale wystarczający: reagujące na nacisk maty przy wszystkich oknach, czujniki magnetyczne wpuszczone w płycinę drzwi wejściowych, automatyczny system wybierania numeru w telefonie. Ten ostatni element był bardzo ważny. Rosemont znajdowało się na tyle daleko od innych domów, że alarm mógłby zwrócić uwagę co najwyżej znużonego oracza, gdyby ten wracał z pola po dniu ciężkiej pracy - a on pewnie i tak uznałby, że dzwonek tylko obwieszcza ciszę nocną.

Przy okazji Pascoe sporządził spis wartych kradzieży przedmiotów znajdujących się w pokojach; szczególnie interesowały go srebra, ozdobne bibeloty i obrazy, bo to one najczęściej padały uprzednio łupem rabusiów. Złodzieje nie grzeszyli przy tym jakąś specjalistyczną wiedzą: kopie i bezwartościowe błyskotki kradli równie chętnie jak oryginały. Najprawdopodobniej mieli zaufanego pasera, o którym wiedzieli, że oddzieli ziarno od plew i za bardzo ich przy tym nie orźnie.

W łazience zwrócił uwagę na sanitariaty marki Elgoodware. Najprawdopodobniej pochodziły z czasów, gdy Eddie Aldermann pozostawał w bliskich stosunkach z Perfectą. Uznał jednak, że potrzeba by iście dalzielowskiej niedelikatności, żeby o tym wspomnieć.

Wycieczka zakończyła się w sypialni państwa domu. Pascoe zamknął notatnik, stanął przy oknie i podziwiał widoki.

- O czym myślisz? - spytała zza jego pleców Daphne.

- Zatracam się w zazdrości - odparł z uśmiechem i odwrócił się do niej.

- W zazdrości? Też macie przecież piękny widok z okna.

- To prawda, ale znacznie mniejszy jego wycinek jest moją własnością. A właśnie aspekt posiadania przydaje widokowi uroku. Dlatego mimo swoich egalitarnych przekonań odczuwam zazdrość.

- A ja myślałam, że czujesz się zakłopotany, bo nie wiesz, jak poruszyć sprawę mojego związku z Dickiem Elgoodem.

- Ojejku... Odzywał się do ciebie?

- Jak na dżentelmena przystało.

- Za to w przeciwieństwie do dżentelmena, policjant tak manipuluje ludźmi, żeby porozmawiać z żoną o jej niewierności na piętrze domu, gdy jej Bogu ducha winny mąż siedzi spokojnie na parterze? Przynajmniej pomyślał o tym, że mógłbym się czuć zażenowany.

- Niesłusznie, jak widać.

- Może i słusznie, ale tego się nie dowiemy, bo wygląda na to, że nie muszę sam poruszać tej sprawy: zrobiłaś to za mnie. Prawdę mówiąc, nie zamierzałem o tym z tobą rozmawiać. Po co? Pan Elgood słusznie mi wytknął, że to nie moja sprawa.

- Mam nadzieję. Pozostało jednak kilka niejasnych aspektów i jeżeli dla ich wyjaśnienia niezbędna będzie całkowita szczerłość, to jestem na nią gotowa.

Daphne przysiadła na skraju łóżka, ze skromnie złączonymi kolanami i dłońmi na podolku. Policzki miała lekko zarumienione, długie blond włosy opadały jej na ramiona.

- Tak. .. - mruknął pod nosem Pascoe.

Daphne musiała go usłyszeć.

- Co „tak”? - zainteresowała się.

Uśmiechnął się.

- Przypomniałem sobie, co Ellie o tobie mówiła.

- Ellie? - podchwyciła czujnie Daphne.

- Tak. Wiem, że nie powinienem takich rzeczy powtarzać, ale i tak chyba zabrnąłem za daleko... Powiedziała, że jesteś seksowna. Teraz rozumiem, co miała na myśli.

Daphne zerwała się na równe nogi i złapała na głowę.

- Najwyraźniej nie dość ci o mnie powiedziała!

- Tak? A ile by musiała powiedzieć, żeby było dość? Wygląda na to, że Ellie znalazła się między młotem a kowadłem.

- Biedaczka.

- Mówiłaś coś o widoku z naszego okna... Nie wiedziałem, że u nas byłaś.

- Tylko raz - odparła Daphne, ustawieniem ciała nieświadomie naśladując pozujące fotografom hollywoodzkie gwiazdy. - Przyjechałam się z nią pokłócić.

- I jeszcze możesz chodzić? Ellie się nie stara.

- Właściwie nie pokłóciłyśmy się tak na serio. Chyba za bardzo ją lubię.

- To tak jak ja - przyznał smętnie Pascoe. - Czasem bywa to wadą, prawda?

i Posłuchaj, jest coś, co chciałabym wyjaśnić raz na zawsze. W pewnym sensie to ja rozpętałam całe to wariactwo, kiedy... Powiedzmy, że źle zinterpretowałam pewne fakty. Teraz już znam prawdę. Chciałam o tym opowiedzieć Ellie i poprosić, żeby powiedziała tobie, ale skoro już tu jesteś, sensowniej będzie zrobić odwrotnie.

Szybko streściła Pascoe poranną rozmowę z Patrickiem. Jego spokojne, taksujące spojrzenie kazało jej przypuszczać, że sam domyślił się reszty. Na tę myśl zaczerwieniła się po czubki uszu.

- Czyli Patrick nie zamierza się ubiegać o miejsce w zarządzie? - podsumował Pascoe, kiedy skończyła.

- Chce zadzwonić do Dicka Elgooda i powiedzieć mu, że się wycofuje.

- Rozumiem. Prawdę mówiąc, od początku wydawało mi się to niedostatecznym motywem dla morderstwa. Tym bardziej, że pan Aldermann nie robi na mnie wrażenia człowieka przesadnie ambitnego.

- Ani, mam nadzieję, potencjalnego zabójcy - dodała surowym tonem Daphne.

Pascoe tylko się uśmiechnął. Gospodyni potraktowała jego uśmiech jak potaknięcie, on zaś cieszył się, że wymigał się od szczerzej odpowiedzi. W swoim życiu widział już wielu

takich, którzy jeszcze mniej niż Aldermann wyglądali na przestępców, a dopuszczali się najohydniejszych zbrodni.

- Wróćmy na dół - zaproponował. - Jestem bardzo zadowolony, naprawdę. Ellie też się ucieszy.

- Z pewnością - przytaknęła zamyślona Daphne. - Rzadko spotyka się tak powściągliwych radykałów, nie uważasz?

Ellie umie sobie dobierać przyjaciółki, pomyślał z dumą Pascoe. Daphne wcale nie jest głupia.

Aldermann powinien się z tego cieszyć. W ostatnich dniach Pascoe dyskretnie sprawdzał jego pozycję finansową i odkrył, że jest bardzo, ale to bardzo niepewna. Rzekomy urzędnik z firmy wodociągowej równie dobrze mógł się podawać za przedstawiciela gazowni, elektrowni albo telekomunikacji i byłby równie wiarygodny: Aldermannowie wszystkim zalegali z płatnościami.

Przystanął przy drzwiach do salonu.

- Czy mąż wie, że zamierzałaś mi powiedzieć o jego sukcesie?

- Ależ tak. - Daphne się uśmiechnęła. - Na pewno.

Weszli do pokoju.

Aldermann i Wield najwyraźniej zakończyli już oficjalną część spotkania, bo stali przy oknie i dyskutowali o ogrodzie.

- Sam pan widzi, panie Pascoe, że niewiele można nam ukraść - powiedział Aldermann na widok Petera.

- Jeżeli naprawdę tak pan uważa, to chyba powinienem porozmawiać z pańskim ubezpieczycielem. W paru walizkach można stąd z łatwością wynieść dobre dwa, trzy tysiące funtów, jeśli nie więcej. Weźmy na przykład te holenderskie obrazki z kwiatami w pańskim gabinecie: nie jestem ekspertem, ale jeśli to oryginały, są warte fortunę.

- Na Boga, całkiem o nich zapomniałem. Należały do wuja Eddiego. Zresztą, jak wiele rzeczy w tym domu. Zdarza się czasem, że tak bardzo przyzwyczajamy się do pewnych rzeczy w naszym życiu, że przestajemy doceniać ich wartość.

- Bardzo słuszna uwaga - zgodził się Pascoe i wyjaśnił, że na czas dwudniowej nieobecności państwa Aldermannów chciałby wprowadzić do Rosemont paru swoich ludzi, żeby mieli baczenie na dom.

- Ależ proszę bardzo - powiedział Aldermann. - Róbcie panowie wszystko, co uznacie za konieczne. Mam wszakże nadzieję, że obejdzie się bez jakichś szaleńczych pościgów w ogrodzie.

- Postaramy się niczego nie zniszczyć, proszę pana.

Gdzieś zadzwonił telefon. Daphne poszła odebrać.

- Chyba należą się panu gratulacje - powiedział Pascoe.

Aldermann nie próbował udawać, że nie rozumie.

- Dziękuję, to naprawdę cudowne. Czuję, że dokonałem czegoś naprawdę znaczącego.

I zapoczątkowałem coś wartościowego. Tak, to nowy początek.

Daphne wróciła do pokoju.

- Dzwoni Dick Elgood. Chce z tobą rozmawiać.

- A ja z nim. Do widzenia panom. Życzę pomyślnych łowów w przyszłym tygodniu!

Aldermann wyszedł. Pascoe i Wield spojrzeli po sobie, upewnili się, że faktycznie skończyli, i pozwolili Daphne odprowadzić się do wyjścia. Kiedy mijali gabinet, Pascoe przez uchylone drzwi zobaczył Aldermanna, który siedział przy biurku ze słuchawką telefonu w ręce i słuchał z uwagą.

Daphne podała Pascoe rękę na pożegnanie.

- Mam nadzieję, że będziemy się teraz częściej widywać z tobą i z Ellie - powiedziała.

- Bardzo chętnie - odparł Pascoe.

Wspomnienie przyjaciela

(*Souvenir dun ami*. Odmiana herbatnia. Delikatna, wymaga ochrony zimą, ściany osłoniętej od wiatru i dobrej gleby. Kwiaty miedzianoróżowe z żółtymi pręcikami, pięknie pachnące).

Ktoś złapał Shaheeda Singha za lewy nadgarstek i wykręcił mu rękę na plecy. Popchnięty do przodu uderzył prawym barkiem w mur i prawa ręka, przyszpilona ciężarem ciała, stała się bezużyteczna.

- Szukałem cię - wychrypiał mu ktoś do ucha.

Odwróciwszy głowę, Singh spojrział prosto w głęboko osadzone, przekrwione ślepia podinspektora Dalziela, którego rozbity i spuchnięty nos przydawał twarzy jeszcze dzikszego wyrazu niż zazwyczaj.

- No, chłopcze. - Dalziel go puścił. - Teraz odpowiesz mi na parę pytań.

Czując się bardziej jak więzień niż kolega z pracy, Singh powlókł się za olbrzymem, przez parking, gdzie dał się złapać, do komisariatu, po schodach, na piętro, do gabinetu. Dalziel rozsiadł się wygodnie w dyrektorskim fotelu rozmiaru XL, lśniącem od chromów i tapicerowanym czarną skórą, który co roku stanowił zagwozdkę dla inwentaryzatorów.

- Siadaj, synu. Czuj się jak w domu.

Nieoczekiwanie miłe usposobienie szefa przeraziło Singha jeszcze bardziej niż niedawna napaść na parkingu.

- Masz pełne prawo korzystać z naszego sprzętu, skoro już pomagałeś WK pod moją nieobecność. Zappełniłeś lukę po mnie, można by powiedzieć.

To by był niezły kawał luki, pomyślał Singh. Ta żartobliwa myśl, której oczywiście nie wyciągnięto by z niego bez użycia serum prawdy, pozwoliła mu się nieco rozluźnić.

- Pan Pascoe zostawił mi raport, w którym jest wszystko - ciągnął Dalziel. - Dosłownie wszystko. W tej chwili jest zajęty, bo musiał zadziałać stosownie do uzyskanych od ciebie informacji. Musisz być z siebie dumny, co, młody? Żeby komisarz WK, o sierzancie

już nie wspomnę, na twoje życzenie zawałał swój sobotni poranek... Nawet mnie tu ściągnął. Mów, ja będę słuchał.

Singh mówił. Dalziel pytał. Po dwudziestu minutach obaj umilkli. Zdenerwowany Singh siedział jak na szpilkach, czekając na pretensje, pochwały albo zwykłe odesłanie do swoich obowiązków. Dalziel wpatrywał się ponuro w blat biurka, zgarbiony, jakby jakiś ogromny ciężar przygniatał mu barki. Prawym palcem wskazującym delikatnie sondował przelewający mu się przez kołnierzyk fałd skóry.

- Więc chcesz być gliną, tak? - wypalił niespodziewanie.

- Tak, panie inspektorze - przytaknął z przekonaniem Singh.

- Dlaczego?

Singh pomyślał o poplątanej pajęczynie przyczyn, które doprowadziły go do tej decyzji (o ile taka pajęczyna może dokądkolwiek doprowadzić) i postanowił postawić na prostotę.

- Bo myślę, że to ciekawa praca, panie inspektorze. I myślę, że mógłbym ją polubić. Myślę, że byłbym w niej dobry.

- Coś za dużo myślisz, chłopcze - burknął Dalziel. - Lepiej by było, gdybyś zaczął różne rzeczy wiedzieć i coś w ich sprawie robić.

- Przepraszam, panie inspektorze, po prostu myślałem...

Singh żałośnie zawiesił głos.

- W życiu każdego policjanta są tylko dwa miejsca, synu. Musisz nauczyć się żyć w nich obu. Jedno jest tam.

Palec wskazujący wynurzył się z załomu ciała nad kołnierzykiem i wybił dziurę (w sensie przenośnym, chociaż Singh miał nieodparte wrażenie, że poruszając się z takim impetem, mógłby dokonać tego w także w znaczeniu dosłownym) w ścianie komisariatu, odsłaniając widok na świat zewnętrzny.

- Tam jest ciemno, brudno i niebezpiecznie - ciągnął Dalziel. - Są tam ludzie z pałkami, nożami i obrzynami, których nie interesuje, kto im wejdzie w drogę, kiedy pracują. Co gorsza, są tam także ludzie z brukowcami i koktajlami Mołotowa, którzy tylko na to czekają, żebyśmy weszli im w drogę. Masz rację, to ciekawa praca. Drugie miejsce jest tutaj.

Palec dźgnął w dół, a Singh prawidłowo się domyślił, że nie wskazuje bynajmniej wnętrza biurka podinspektora, tylko komisariat, jeśli nie wręcz całą policję.

- Tam jest źle, ale czasem, siedząc tutaj, tęsknisz za wszystkim, co jest tam; tak jak tęsknisz za kuflem zimnego piwa po ciężkim, gorącym dniu, kiedy gardło wyschnie ci na wiór. Rozumiesz, co mam na myśli, chłopcze?

O dziwo, Singh rozumiał doskonale.

Nie mógł wiedzieć, że Dalziel wciąż się zżyma na wspomnienie swojej ostatniej wizyty w Scotland Yardzie. Został wezwany do biura nadinspektora koordynującego konferencję, gdzie powiedziano mu, że wobec ogromnej liczby skarg na jego zachowanie, jego przełożony otrzyma bardzo niekorzystny raport w tej sprawie. Niesubordynacja, zakłócanie spokoju, nieuwaga i nieobecność - te zarzuty powtarzały się najczęściej, chociaż były ze sobą częściowo sprzeczne, czego Dalziel nie omieszkał wytknąć, powodując ostateczny wybuch złości nadinspektora. A że wyższy stopniem ma zawsze ostatnie słowo, Dalziel do tej pory przeżywał to spotkanie.

Oczywiście nie zamierzał wspominać o tym Singhowi, ale młody kadet i bez tego zaczynał sobie uświadamiać, że „tutaj” jest zaludnione potworami (albo zapotworzone ludźmi), które potrafią przysporzyć policjantowi riie mniej cierpienia i strachu niż dowolny włamywacz albo zadymiarz. Dlatego, kiedy pokiwał głową, było w tym coś więcej niż próba przypochlebiania się przełożonemu.

- To dobrze. Twój staż u nas dobiega końca, prawda?

- Tak, panie inspektorze. Jeszcze tylko cztery dni.

- Dobrze się spisałeś - powiedział nieoczekiwanie Dalziel. - Rzadko się zdarza, żeby kadet popisał się w WK; nie ma wielu okazji. Ale ty przejawiałeś inicjatywę. Dopilnuję, żeby to trafiło do raportu.

- Dziękuję, panie inspektorze. - Żołądek Singha zrobił fikolka ze szczęścia. - Bardzo dziękuję.

- No. A teraz zmykaj. I powiedz jednemu z tych leni na dole, że napiłbym się herbaty. Wystarczy, że zniknę na parę dni, a oni zaczynają się objąć!

- Tak jest, panie inspektorze. - Singh wyprężył się na baczność. - Panie inspektorze...

- No idź już, nie pętaj mi się tu.

Zachęcony wcześniejszą pochwałą kadet nie ustępował:

- Panie inspektorze, jeśli w Rosemont ma być zasadzka, wie pan, po tych moich informacjach, pomyślałem, że może mógłbym...

Bazyliżkowe spojrzenie Dalziela zmroziło potok słów Singha.

- Akcja ci się marzy, młody? Chciałbyś komuś rozkwasić kinol? Może dostać medal?

- Nie, panie inspektorze. Pomyślałem, że może doświadczenie...

- Powiem ci coś o doświadczeniu. Albo przekiblujesz całą noc w niewygodnej pozycji, i rano, zmarznięty i wykończony, nic z tego nie będziesz miał, a policaję, którzy przesiedzą tę noc razem z tobą, będą mieli świadomość, że tracili czas po twoim cynku; albo rzeczywiście

włamywacze się pojawią, będzie jakaś rozróżba, może poleje się krew, a potem włączy się światło i cały dumny i zadowolony staniesz twarzą w twarz ze swoim starym kumplem... Jak on się nazywa? Jonty Marsh. Jesteś na to gotowy, chłopcze? Jesteś przygotowany na obie ewentualności?

Singh się zawahał, pomny bardzo podobnych przestróg Wiolda.

Za jego plecami rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - zagrział Dalziel.

Do pokoju weszli Pascoe z Wioldem.

- No proszę, są nasze niebiańskie bliźniaki: Kastrat i Polluks. Zmykaj, synu. I pamiętaj o herbacie!1

Singh wyszedł, przemykając przed kamiennym obliczem Wiolda niczym roztrzęsiona szalupa pod ufortyfikowanym klifem.

- Witamy w domu, panie inspektorze - powiedział Pascoe, z zaciekawieniem przyglądając się opuchniętemu nosowi Dalziela. - Spodziewaliśmy się pana dopiero po południu.

- Darowałem sobie pożegnalne serdeczności. Przejrzałem materiały ze sprawy Aldermanna, a potem uciałem sobie pogawędkę z naszym młodym Abdulem.

- To znaczy z Singhem? - upewnił się Pascoe. - Ma na imię Shaheed, zdaje się.

- No przecież mówię, z Abdulem. Chłopak nie jest głupi. Bardzo mu tu uprzykrzaliście życie? Wygląda, jakby ktoś nim pomiatał. - Obrzucił Pascoe i Wiolda oskarżycielskim spojrzeniem. - Nie życzę sobie tu żadnego szarogęsienia. Szacunek dla podwładnych: oto tajemnica spójności i siły zespołu. Jasne?

Pascoe zerknął na Wiolda i odparł:

- Całkowicie się z panem zgadzam, panie inspektorze.

- Cieszę się. A teraz gadajcie, obiboki, czym się zajmowaliście przez te ostatnie dni? Ten pajac Aldermann... Mamy go aresztować? Czy chronić?

- Chronić - pośpieszył z odpowiedzią Pascoe. - Nie znalazłem niczego, co by go obciążało. Poza jedną sytuacją, kiedy zarządzał pieniędzmi starszej pani w kancelarii u Capsticka, w Harrogate.

- Czasem jedna sytuacja wystarczy.

- Każdemu może się zdarzyć jakaś głupota. Ale jest jeszcze inna sprawa.

Pascoe pokrótce streścił rozmowę z Daphne w Rosemont.

Dalziel rozdał nozdrza, podrapał się po nosie i skrzywił.

- Ciekawe - przyznał. - To dużo wyjaśnia.

- Nawet bardzo dużo - przytaknął Pascoe.

- Więc sugerujesz, żeby zamknąć sprawę, tak?

- Nie mamy uszkodzowanego, nie mamy dowodów, nic nie mamy!

Zadzwoił telefon na linii wewnętrznej. Wiel podniósł słuchawkę i słuchał przez chwilę.

- Panie inspektorze? Przyszedł niejaki pan Masson. Chce się z panem spotkać.

- Masson! - wykrzyknął Pascoe. - Ten adwokat? Czego chce?

Daniel zrobił paskudną minę.

- Działając na podstawie informacji, które uzyskałem głównie od ciebie, Peter, a z których wynikało, że Masson coś przed nami ukrywa, zadzwoniłem do łobuza, złapałem go w klubie golfowym i powiedziałem, że albo przywlecze tu swój zakichany tyłek, albo zostanie wstecznie pozbawiony prawa wykonywania zawodu - odparł. - Mniej więcej.

- O rety... - westchnął Pascoe.

- A teraz ty mi mówisz, że sprawa jest zamknięta. Może chcesz z nim porozmawiać?

- Nie, dzięki.

- Niech go przyprowadzą - polecił Daniel Wielowi. - Rany boskie, naprawdę nie możemy nikomu postawić żadnych zarzutów? Sprawdziłeś wszystkich?

- Można by oskarżyć Elgooda i Mandy Burke o krzywoprzysięstwo - podsunął Pascoe.

- Zresztą, wcale nie jest pewne, czy pani Burke nie popchnęła tej drabiny...

- Naprawdę w to wierzysz? Nie? Ja też nie. Wypadek i tyle. A co do krzywoprzysięstwa... Musieliby powtórzyć swoje słowa przy świadkach, a tego pewnie nie zrobią, ęo? Ja raczej myślałem o tym, że Aldermann widział, jak Mandy i Elgood wyszli razem z „White Rose” i gdzieś pojechali. Może potem zadzwonił do Burke’a, żeby dać mu szansę przyłapania ich na gorącym uczynku. To by było nawet lepsze niż zabójstwo; po czymś takim Burke raczej nie zagrałby długo miejsca w Perfekcie. No, ale po tym, jak wybieliłeś Aldermanną, cały mój plan wziął w łeb.

Ktoś zapukał do drzwi, Wiel otworzył i do środka wszedł Masson. Miał na sobie czerwoną sportową koszulę i spodnie w kratę.

- Dobrze, komisarzu Pascoe, na razie to będzie wszystko - powiedział stanowczym głosem Daniel. - Wrócimy jeszcze do tej rozmowy. Panie Masson! Jakże się cieszę, że nas pan odwiedził.

Pascoe i Wiel wyszli. Zamykając drzwi, komisarz usłyszał jeszcze początek rozmowy:

- Obiecujący chłopak z tego Pascoe - zagaił Dalziel. - Może czasem trochę nadgorliwy. Przepraszam, jeśli naprzykrzał się panu w sprawie pani Highsmith.

- A co to za sprawa? - spytał ostrym tonem Masson.

- Nie jest już pan chyba jej adwokatem, prawda? Na pewno zrozumie pan zatem, że nie mogę tego powiedzieć. Co innego, gdyby sama chciała się z panem spotkać...

Dalziel wskazał znacząco głową na ścianę, jakby sugerował, że po jej drugiej stronie znajduje się przykuta łańcuchami Penelope. Miał nadzieję zbyć Massona, nie robiąc sobie z niego wroga, ale właściwie dziwne było, że oburzony prawnik nie rzucił mu się na dzień dobry do gardła. Dlatego postanowił zagrać kartą męskiego braterstwa, co zrobił tym chętniej, że pilnie potrzebował jakiejś strawy cielesnej.

- Co pan powie na drinka? - zaproponował. - I nieoficjalną pogawędkę?

Wyjął z kieszeni ogromny klucz, którym otworzył szafkę w biurku, i wyjął z niej butelkę glen granta i dwie szklaneczki. Nalał do pełna.

- Zdrowie!

Wypili.

- Oczywiście wiem, że w przeszłości był pan adwokatem pani Highsmith, prawda? - ciągnął Dalziel. - Po tym, jak odziedziczyła dom. Był tam jakiś problem z zaginionym testamentem...

Przez moment można było odnieść wrażenie, że tym razem Masson naprawdę wybuchnie, ale adwokat wyraźnie się odprężył i pociągnął solidny łyk whisky.

- Proszę pana... - odezwał się. - Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale mógłbym panu udzielić pewnych użytecznych informacji. Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Że to nie wyjdzie poza te cztery ściany.

- Ależ oczywiście! Ma pan na to moje słowo - obiecał uroczyście Dalziel.

- W porządku. - Masson wziął głęboki wdech, ale jego następne słowa były rozczarowujące: - Nie mam pojęcia, co się stało z testamentem.

- Nic pan nie wie? - spytał z niedowierzaniem Dalziel.

- Nic pewnego.

- Ale coś pan podejrzewa?

- Podejrzenia! Podejrzenia to nic innego, jak złośliwe domniemania, nieprawdaż? Testament istniał naprawdę. Zostawiłem go pani Aldermann po tym, jak mnie wezwała, żeby przedyskutować projekt jego zmiany w taki sposób, aby faworyzował jej siostrzenicę. Potem pani Aldermann zmarła, a testamentu nie odnaleziono. Dlaczego miałbym nabrać podejrzeń,

zamiast uznać, że starsza pani po prostu go zniszczyła, zamierzając zlecić mi sporządzenie nowej wersji?

- Dlatego, że wy, prawnicy, i my, policjanci, jesteśmy ulepieni z jednej i tej samej drańskiej gliny: wszystkich o wszystko podejrzewamy - odparł spokojnie Dalziel. - Tymczasem pan siedzi tu przede mną, jakby nigdy nic, spokojny i przepelniony chrześcijańską wyrozumiałością. Nie pukał pan czasem pani Highsmith na boczku?

- Panie Dalziel! - zagrział oburzony Masson. - Jak pan śmie?!

- Przecież to możliwe - bronił się Dalziel. - To bardzo atrakcyjna kobieta, a pan w kwiecie wieku, czyli, powiedzmy, dwadzieścia lat temu, na pewno był żwawy i pełen wigoru.

- A owszem, owszem. - Masson niespodziewanie się uśmiechnął. - Mógłbym panu niejedno opowiedzieć... Ale tego nie zrobię. Z pewnością jednak nie sprzeniewierzyłbym się zasadom swojej profesji dla tak przyziemnej osobistej korzyści!

- Mimo to, podejrzewał pan, że to nie pani Aldermann pozbyła się testamentu, prawda? - dopytywał się Dalziel. - Dlaczego w takim razie siedział pan na tyłku i nic nie mówił? Dlaczego?!

- Powiem panu, dlaczego, skoro chce pan wiedzieć. Dlatego że moja bierność najlepiej przysłużyła się sprawiedliwości. Miałem całkowitą pewność, że trzy lata wcześniej Florence Aldermann celowo, z rozmysłem, zniszczyła testament męża!

Zaskoczony Dalziel jednym haustem dopił whisky i musiał sobie wziąć dolewkę.

- Po co miałyby to zrobić? Wydaje mi się, że ten cały Eddie Aldermann nie był takim łobuzem, żeby wydziedziczyć żonę.

- Oczywiście, że nie. Był najuczciwszym i najzyczliwszym człowiekiem na świecie. Osobiście sporządziłem jego testament, w którym większość majątku zapisał żonie. Całkiem sporo zostawił jednak pani Highsmith, a właściwie jej synowi: ona miała tylko dopilnować, żeby Patrick po osiągnięciu pełnoletniości dostał, co mu się należy. I tak sobie myślę, że to właśnie ta część testamentu tak rozsierdziła panią Aldermann. Nie miałem cienia wątpliwości, że zniszczyła ten testament, ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że w tym czasie sam straciłem bliską osobę: zmarła moja żona. Po pogrzebie pojechałem na pół roku do Australii, w odwiedziny do córki. Nie miałem pojęcia, co się tutaj przez ten czas działo, a kiedy wróciłem, wpadłem w szal. Testament zniknął! Nie wiedziałem jednak, jak się zachować, bo jakkolwiek by było, wybór miałem ograniczony; mogłem się przecież mylić, prawda? Dopiero kiedy dwa lata później pani Aldermann dostała zawału i pani Highsmith przyjechała do Rosemont, żeby się nią zaopiekować, dowiedziałem się, że po śmierci Eddiego straciła prawo do wypłacanej jej co miesiąc z jego pieniędzy sumy na własne wydatki. Wtedy byłem już pewny, że mam

rację, ale nagle sprawy same, bez mojej interwencji, zaczęły się układać jak należy. Mówiło się o tym, że pani Highsmith na stałe zostanie w Rosemont, a pani Aldermann wprowadzi zmiany w swoim testamencie, i tym razem zamierzałem dopilnować, żeby wszystko odbyło się uczciwie. Trzeba oddać sprawiedliwość pani Aldermann: po zawale nauczyła się doceniać swoją siostrzenicę. Czasem trzeba się otrzeć o śmierć, żeby spojrzeć na sprawy świeżym okiem, panie Dalziel.

Dalziel przetarł ogromną dłońią ogromną twarz.

- Panie Masson... - zaczął najdelikatniej jak umiał. - W dalszym ciągu nie rozumiem, dlaczego pan odpuścił. Zrozumiałbym, gdyby chodziło o kogoś innego, ale ja pana znam, panie Masson. Dobrze wiem, jak się pan potrafi uprzeć, że litera prawa jest nie mniej istotna od jego ducha, i wysłuchawszy pana, wciąż nie jestem w stanie pojąć, jakim cudem udało się panu przekonać samego siebie, że ma pan prawo milczeć, kiedy podejrzewał pan, że Penny Highsmith usunęła testament. Nie lepiej było pójść z tym do sądu i zdać się na wymiar sprawiedliwości?

Masson parsknął śmiechem. To był zaskakujący dźwięk: wysoki, dźwięczny, dziewczęcy.

- Nie zrobiłem tego, panie Dalziel, ponieważ wiedziałem, że z łatwością wygrałbym taką sprawę. W tym właśnie rzecz: mogłem wygrać, ale obiecałem coś Eddiemu. Wybuchłby skandal, a w tamtych czasach nie było takiej swobody obyczajów jak dzisiaj. A w ten sposób udało się osiągnąć dokładnie ten sam właściwy skutek, tylko dyskretnie.

- Pogubiłem się. Jaki „właściwy skutek”? Co pan obiecał Eddiemu Aldermannowi?

Masson pokręcił głową.

- Obietnica to obietnica.

- Nawet złożona człowiekowi, który nie żyje? I tak już nagiął pan swoje zasady; proszę nagiąć je jeszcze odrobinę. Jeśli pan tego nie zrobi, będę musiał drażnić dalej. A wtedy ludzie zaczną gadać, nie wiem jeszcze o czym, ale zaczną. A ja będę drażył tak długo, aż się dowiem. Wskazał mi pan kierunek, panie Masson. Nie spocznę, póki nie dotrę do celu.

Każdy, kto zobaczyłby groźne skinienie głowy i grymas zaciśniętych szczęk Dalziela, musiałby mu uwierzyć.

- Dobrze. Ale na tym koniec!

- Chyba żeby nie. - Wiedząc, że wygrał, Dalziel nie zamierzał iść na kompromis.

- Chodzi o ojca Patricka.

- Tak?

- Ojca Patricka Highsmitha.

- Tak? - powtórzył Dalziel. Wiedział, co się święci, ale chciał to usłyszeć od Massona.
- Ojcem Patricka Highsmitha był Eddie Aldermann.

Will Scarlet

(*Will Scarlet*. Rozłożył krzew. Kwiaty jaskrawoczerwone, trwałe, o piżmowym zapachu).

Sobota zaczęła się dobrze dla Dicka Elgooda. O jedenastej siedział w swoim gabinecie w pustym biurówcu Perfecty i oczekiwał gościa.

Gość przybył punktualnie. Miał ciemne okulary i jasnoszary kapelusz. W ten prosty sposób ograniczał prawdopodobieństwo, że go ktoś rozpozna. Był to u niego zwykły nawyk, nic więcej, a już z pewnością nie lęk przed rozpoznaniem - chociaż byli w miasteczku ludzie, którym wolał nie dać się zidentyfikować.

Na przykład, Pascoe mógłby rozpoznać w nim człowieka, który mignął mu przelotnie, gdy ostatnio odwiedził Elgooda - ale to nie miało znaczenia. Co innego Daphne Aldermann: ona mogłaby w nim rozpoznać rzekomego pracownika wodociągów, co mogłoby się okazać kłopotliwe. Andy Dalziel zaś z pewnością rozpoznałby w nim napastnika, który zeszłej nocy rozkwaśił mu nos, a to prawdopodobnie miałoby skutek śmiertelny.

- Proszę wejść, panie Easey - powiedział Elgood. - Co pan dla mnie ma?

Raymond Easey był prywatnym detektywem z Londynu, którego kolega z branży polecił Elgoodowi jako człowieka działającego szybko, dyskretnie i bez przesadnej uwagi dla prawa, przynajmniej dopóki dostawał za to konkretne pieniądze, a to już Dick Dandys potrafił załatwić.

Główne jego zadanie polegało na precyzyjnym określeniu sytuacji finansowej Patricka Aldermanna. Wypełnił je wyśmienicie. Elgood mógł teraz z łatwością wykazać przed zarządem, że Aldermann boryka się z problemami finansowymi. To jednak mogło nie wystarczyć, żeby go zdyskredytować. Dodatkowo Elgood zapowiedział, że wszelkie dowody niezgodnej z prawem działalności Aldermanna zostaną sownie wynagrodzone. Wszystko jednak wskazywało na to, że Aldermann jest czysty, a plan przeniknięcia do Rosemont w celu zdobycia dowodów, że jest inaczej, pokrzyżował detektywowi niespodziewany powrót

Daphne do domu. Na szczęście, szczegółowa wiedza na temat zadłużenia państwa Aldermannów pozwoliła mu wyjść obronną ręką z tamtej sytuacji.

Wrócił więc do Londynu, gdzie jeden z jego pracowników śledził Aldermanna, który wpadł do stolicy z krótką wizytą. Pobyt w Londynie wypełniały mu głównie odwiedziny na wystawach kwiatów i rozmowy z wydawcami, tylko raz z niewiadomych powodów odwiedził pewne mieszkanie w Victorii. Easey przejął sprawę. Sam prowadził wszystkie nielegalne działania, ponieważ zlecenie ich podwładnym za dużo kosztowało i czyniło go podatnym na szantaż, a zresztą, tym skurczybykom i tak nie można było ufać.

Wejście do domu nie nastąpiło mu trudności. Począł, aż właścicielka wyjdzie w towarzystwie łysiejącego grubasa, po czym, jak zawsze super ostrożny w takich sytuacjach, poszedł za nimi do restauracji i odczekał, aż na dobre rozpoczną posiłek. Dopiero wtedy wrócił do mieszkania kobiety i wytrychem otworzył zamek.

Rzetelne przeszukanie ujawniło rozczarowujący fakt, że pani Highsmith jest matką obiektu. Mamy słyń z tego, że chętnie przechowują listy i inne pamiątki, a kochający synowie chętnie otwierają serca przed matkami, oczekując z ich strony bezkrytycznego współczucia. Easey musiał jednak długo szukać, zanim zauważył, że podszywka starej aktówki, którą przed chwilą przeszukał bez powodzenia, jest rozdarta. Wsunął palce w rozdarcie. Coś tam było. Zdążył wyciągnąć arkusz papieru i odczytać skreślone odręcznie, przypominającym gotyk alfabetem, słowa „Testament Florence Aldermann”, gdy otworzyły się drzwi wejściowe.

Ostrożnie schował testament do kieszeni, odłożył aktówkę na miejsce, do szuflady, i czekał. Ucieczka z mieszkania, otarcia na knykciach i przyśpieszone tętno, kiedy pędził ulicą przed siebie, kazały mu wątpić, czy gra była warta świeczki, ale kiedy zobaczył minę Elgooda czytającego testament, zmienił zdanie. Na twarzy Elgooda malowało się zadowolenie - a za przyjemności się płaci.

- Zauważy jego brak? - spytał Dick Dandys.

- Trudno powiedzieć. Był tak dobrze ukryty, że równie dobrze mogłaby go zgubić. Ludzie chowają rzeczy w „bezpieczne miejsce”, a tydzień później dziwią się, gdzie się, do cholery, podziały, a w końcu zapominają w ogóle, że je kiedykolwiek mieli!

Easey się nie mylił. Penny Highsmith miała dwadzieścia lat na to, żeby zapomnieć o testamencie, a prawdę mówiąc, biorąc pod uwagę jej beztroską naturę, potrzebowała na to znacznie mniej czasu. Po śmierci cioteczki Flo testament naprawdę gdzieś się zawieruszył, a kiedy Penny znalazła go dwa dni później, schowała go pod podszywkę aktówki bez żadnych złych zamiarów; chciała po prostu zyskać na czasie i spokojnie pomyśleć. Przecież ten

sympatyczny adwokat powiedział (i prawie, prawie mrugnął przy tym porozumiewawczo, prawda?), że jego zdaniem brak testamentu byłby sprawiedliwy w takim sensie, w jakim Eddie Aldermann by sobie tego życzył. Sama nigdy nie uważała, że ma jakiegokolwiek prawa do majątku Eddiego. To był taki kochany, łagodny człowiek; miał pecha, że trafił na taką megierę jak ciotka Flo. I kiedy w pewne ciepłe popołudnie natknął się na opalającą się w ogrodzie Penny, z dala od kosych spojrzeń ciotki, całkiem naturalne było, że przyciągnęła go do siebie i dała mu to, czego stara wiedźma z pewnością od lat musiała mu odmawiać. Po przyjeździe Patricka na świat Eddie okazał jej wielką troskę i hojność, mimo że Penny nigdy o nic nie prosiła. Wcale się nie zdziwiła, kiedy po jego śmierci ciotka przestała jej wypłacać kieszonkowe. Kiedy jednak adwokat zaczął ją delikatnie prowokować obietnicą przejęcia całości spadku, frajerstwem byłoby przejmowanie się testamentem, w którym wszystko zapisano jakimś głupim instytucjom dobroczynnym. I nim nadszedł koniec roku, Penny o wszystkim zapomniała.

- Świetnie się pan spisał - powiedział Elgood. - Dopilnuję, żeby został pan odpowiednio wynagrodzony.

Easey się uśmiechnął. Sam umiał zadbać o swoje nagrody. Położył na biurku jeszcze jedną kartkę papieru.

- Tb mój rachunek. Płatny gotówką.

Elgood zerknął, zagwizdał przez zęby - ale zapłacił. W pewnym sensie kupował przecież swoją przyszłość.

A potem nadeszła ta szczęśliwa chwila, kiedy zadzwonił do Aldermannna.

Odebrała Daphne. Elgoodowi zrobiło się miło, gdy po głosie poznał, że ucieszyła się z jego telefonu, ale przerwał jej szorstko i kazał poprosić męża, któremu zresztą też prawie nie dał dojść do słowa. Czuł do siebie niesmak; przecież na dobrą sprawę ocierał się w tym momencie o szantaż! Nie, nie ocierał się: to po prostu był szantaż z jego strony. Nie od dziś jednak wiedział, że w interesach nie ma miejsca na sentymenty, i nie zamierzał nagle zmięknąć.

- Aldermann? Niech pan słucha: mam coś, co na pewno pana zainteresuje. Niech pan mi nie przerywa. Testament. Tak, tak właśnie powiedziałem. Wynika z niego jednoznacznie, że ten pański wielki dom z ogrodem, a także pieniądze, które zdążył pan wydać, w ogóle się panu nie należały!

Zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał opanowany głos Aldermannna:

- Chętnie zapoznam się z tym dokumentem.

- Nie wątpię, do diabła!

- Jest pan w tej chwili u siebie w biurze? Mógłbym przyjechać - zaproponował całkiem rozsądnie Aldermann.

Siedzący przy biurku w pustym gmachu Elgood nagle uświadomił sobie, jak wielka cisza go otacza. Gdzieś w budynku na pewno był ochroniarz, ale przecież Elgood nie mógł go prosić, żeby pokręcił się przy drzwiach gabinetu, kiedy on będzie rozmawiał ze swoim księgowym! Nie był do końca pewny, czego właściwie się boi, lecz nawet jeśli wszystkie jego poprzednie podejrzenia wobec Aldermanna były niedorzeczne i kłopotliwie historyczne (na co wszystko w tej chwili wskazywało), nie było sensu spotykać się sam na sam z człowiekiem, któremu groził zabraniem czegoś, co najbardziej kocha. Może w jakiejś restauracji? W barze?

Nagle przyszedł mu do głowy lepszy pomysł.

- Nie, ja za chwilę wychodzę. Za to jutro będę w swoim domku nad morzem. Zaprosiłem parę osób na drinka i jakieś przekąski, koło południa. Może też by pan wpadł? Zapraszam z żoną i córeczką. Spodoba im się. Przy okazji niech pan przyniesie od razu swoją rezygnację z kandydowania do zarządu. Dwunasta, pół do pierwszej. Pasuje?

- Wprost nie mogę się doczekać. Powie mi pan, jak tam dojechać?

- Proszę spytać Daphne. Będzie wiedziała.

Odkładając słuchawkę, Elgood pożałował tych ostatnich słów. Były głupie i niepotrzebne. Ale przecież można je zinterpretować na różne sposoby, z których większość jest całkiem niewinna.

Przestał o tym myśleć. Ostrożnie spakował testament i resztę dostarczonych przez Easeya papierów do dużej koperty i włożył ją do swojej teczki. Po chwili zastanowienia wyjął jednak testament i poszedł do pokoju panny Dominie, żeby go skserować. Przyszło mu do głowy, że zatrzymanie oryginału byłoby niegłupim pomysłem, włożył go więc do zwykłej białej koperty i schował w sejfie w swoim gabinecie. Usiadł przy biurku, otworzył notatnik i przejrzał znajdujący się na końcu i zajmujący dwie strony spis telefonów. I zaczął dzwonić.

Zabrał się do sprawy dość późno, więc po czterdziestu pięciu minutach wydzwaniań udało mu się zaprosić na jutrzejszy piknik zaledwie sześcioro dorosłych i troje dzieci.

Znacznie łatwiej i o wiele taniej byłoby pewnie wynająć dwóch gliniarzy i wygłodniałego owczarka niemieckiego. Na tę myśl najpierw się uśmiechnął, a potem roześmiał w głos. Sięgnął po telefon i wybrał jeszcze jeden numer.

Słoneczny letni dzień

(*Summer Sunshine*. Mieszaniec herbatni. Kwiaty drobne, intensywnie żółte, zwykle późne. Zdarzają się przypadki plamistości czarnej. Słodki zapach).

- Jedno trzeba przyznać tym nadętym górnikom z południowego Yorkshire - powiedział Andy Dalziel. - Umieją zaszaleć.

Na dowód prawdziwości swojej tezy pokazał ćwierćlitrową szklaneczkę i butelkę słodowej whisky, do której najwyraźniej rościł sobie prawa właścicielskie - chociaż i tak nikt inny nie zgłaszał do niej pretensji. Dzień był gorący, słońce stało wysoko na niebie i największe wzięcie miały napoje bezalkoholowe, piwo i schłodzone białe wino. Wszyscy ubrali się stosownie do pogody: dzieciaki paradowały nago, panie - w tym Ellie i Daphne - prawie nago, czyli w skąpych bikini, a ci spośród gości, którzy nie wdziali strojów kąpielowych, mieli na sobie letnie sukienki albo lekkie spodnie i sportowe koszule. Nawet Dalziel poszedł na ustępstwo, i to podwójne: nie dość, że zdjął połyskliwą szarą marynarkę, to jeszcze przykrył sobie głowę olbrzymią chusteczką koloru khaki, z supełkami na rogach.

- Wygląda komicznie - mruknęła Ellie do męża. - I jeszcze ten nos! Założę się, że w rzeczywistości oberwał po buzi od matki Patricka. Nie sądzisz chyba, że naprawdę udało mu się ją zaliczyć?

- Mam nadzieję, że w „Chantry Coffee House” nie używasz takiego słownictwa. A poza tym, owszem, tak właśnie sędzę. Andy ma wiele wad, ale skłonność do przechwałek seksualnych nie jest jedną z nich. A po jego zachowaniu, gestach i ogólnym wrażeniu, że miło wspomina tę damę, ilekroć w rozmowie pada jej nazwisko, poznaję, że mam rację.

- Wiem, co masz na myśli. Widziałam coś podobnego u Daphne. Nie wiem, jak Patrick to robi, ale kiedy tylko o nim wspomnę, jej oczy szklą się taką dziwną błogością. Przyniósłbyś mi jeszcze kieliszek wina, skarbie? Jest tak gorąco, że nie chce mi się ruszać. Cudowna pogoda, prawda? Pewnie żałujesz, że nie wzięłaś kąpielówek?

Ellie przeciągnęła się jak kot, dumna ze swojej przezorności. Pascoe spojrział na nią, zadrzał i ucieszył się, że nie występuje w samych ciasnych kąpielówkach. Ellie byłaby pewnie

rozbawiona i zachwycona tym dowodem pożądanego z jego strony, ale nie spodobałoby jej się spostrzeżenie, że ten stan utrzymał się, gdy Pascoe odwrócił się do Daphne.

Daphne właśnie wynurzyła się z morza i klapnęła ciężko obok Ellie. Krzywizny jej ciała ociekały wodą.

- Czy tu nie jest cudownie? - powiedziała. - Diano, pilnujesz Rose, prawda?

Dziewczynka mianowała się samozwańczą opiekunką małej Rosie, gdy tylko ją zobaczyła; w tej chwili właśnie ryła wokół niej ochronną fosę w piasku. Rose wzięła to za pierwszy etap budowy zamku, który słusznie się jej należał.

- Świetnie sobie radzi - orzekła Ellie. - Oczywiście jest to utrwalanie stereotypów, któremu z zasady jestem przeciwna, ale jeśli chcesz, wynajmę ją na godziny. Daphne, tak się cieszę, że wszystko się ułożyło!

- Prawda? Ja też lubię szczęśliwe zakończenia.

- Nie wspomniałaś chyba Patrickowi o swojej małej przygodzie? - spytała mimochodem Ellie.

- Nie, skądże. Niewiele brakowało, żebym się wygadała, ale w porę zmieniłam temat. Ty pewnie uważasz, że powinnam być z nim całkowicie szczerą?

- Bynajmniej. Szczerłość bywa dobra dla duszy, ale nie dla małżeństwa. O, proszę, oto i nasz sympatyczny gospodarz.

Urok, z jakim Dick Dandys zareagował na przedstawienie mu Ellie, przywołał jej na myśl obwoźnego handlarza dywanów. Kiedy teraz patrzyła, jak pośpiesznie brnie przez płyciznę, wrażenie tylko się utrzymało.

- Nie wygląda jak Tarzan, co? - mruknęła. Muskularne, mocno opalone ciało nie było w stanie ukryć wieku właściciela.

- No, mów dalej. Jak cię słucham, to od razu się lepiej czuję - zakpiła Daphne. - Oby pewnego dnia uwiódł cię ten spasiony gliniarz z rozbitym nosem!

- Nie, błagam! Cofam wszystko, co powiedziałam!

Elgood szedł po plaży, wypytyując gości, czy dobrze się bawią, ale zatrzymał się dopiero przy Patricku Aldermannie, który rozmawiał z dwojgiem ludzi stojących przy dostarczonym przez firmę cateringową ogromnym koszu z jedzeniem.

- Tu jesteś, Patricku. - Elgood objął Aldermanna ramieniem. - Chciałem cię prosić o poradę. Chętnie posadziłbym wokół domu trochę roślin, ale nic mi tu nie chce rosnąć; wszystkie moje próby kończą się ucztą dla robactwa. I tak sobie pomyślałem, że jeśli ktoś może mi pomóc w tej sprawie, to najprędzej nasz Patrick. Rzuciłbyś okiem? Chodź,

przejdziemy się. I tak muszę się jakoś przyzwoicie ubrać; panie mogą pokazywać ciało, ale człowiek w moim wieku będzie tylko odstraszał ludzi od jedzenia.

- Naturalnie - zgodził się Aldermann. - Cała przyjemność po mojej stronie.

We dwóch przeszli w poprzek plaży i wspięli się na urwisko.

- Z dzióbków sobie jedzą - szepnął Dalziel do ucha Pascoe. - Aż miło popatrzeć.

Uważaj, od tego ci kuśka uschnie - dodał, widząc wino w rękach komisarza.

- To bardzo przyjemne orwieto. - Pascoe odstawił butelkę do przenośnej lodówki. - Nalewam dla Ellie.

- A, to co innego. Ale wiesz, ja bym nie pozwolił swojej żonie tak się wylegiwać na plaży. Przepłoszyłaby mewy!

Dalziel zaniósł się śmiechem, a Pascoe ze zdziwieniem skonstatował, że inspektor leciutko się wstawił - czemu właściwie trudno było się dziwić, skoro w butelce z whisky została jedna trzecia zawartości. Poza tym było widać, że słońce mu nie służy.

W tej samej chwili Dalziel zmrużył oczy i zadarł głowę.

- Ja już się nie dziwię, że większość cudzoziemców to idioci. Przecież od takiego upału to się mózg wygotowuje. Pójdę do domku, poszukam jakiegoś cienia. Zobaczymy się później.

Podinspektor pomaszerował w stronę urwiska stanowczym krokiem; potykał się czasem, gdy pod ciężarem jego ciała piasek osuwał mu się spod stóp.

Pascoe wrócił do Ellie i podał jej wino.

- Zaraz przyjdę - powiedział.

Dogonił Dalziela na samym początku podejścia.

- A ty co, śledzisz mnie?

- Nie, muszę się odpryskać.

Weszli kawałek po urwisku.

- Za dużo tej sielanki, jak dla mnie - wysapał Dalziel. - Pewnego dnia wszystko to się zawali i szlag trafi chałupę.

- Elgood pewnie żyje w ciągłym strachu - zgodził się z nim Pascoe.

Dalziel wgramolił się na samą górę, tylko raz zatrzymawszy się po drodze na szybki łyk szkockiej. Patrick stał przed domem. Był sam.

- Gdzie Dick? - spytał Dalziel.

- Poszedł wziąć prysznic i się przebrać - odparł Aldermann.

- A po cholere mu prysznic? - Dalziel wszedł do mrocznego wnętrza. - Przecież dopiero co wylazł z morza.

Pascoe z Aldermannem spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się porozumiewawczo.

- Przy okazji... - odezwał się Aldermann. - Niech je pan weźmie. - Podał Pascoe pęk kluczy z etykietkami. - Oszczędzi to panu jeszcze jednej wizyty w Rosemont. Wszystkie są opisane.

- To miłe z pana strony. Będziemy bardzo ostrożni, zwłaszcza w ogrodzie. Wyjeżdżacie państwo rano?

- Tak. Mam zostawić włączony alarm?

- Wszystko proszę zostawić tak, jakby nas tam miało nie być. Nie musi się pan o nic martwić.

- Pan... - powtórzył z namysłem Aldermann. - Może darujmy sobie te formalności? O ile tylko dopuszcza to wasza etyka zawodowa. Nasze żony się przyjaźnią...

- Nasi przełożeni również. - Pascoe z uśmiechem skinął głową w głąb domu, gdzie Dalziel dopytywał się właśnie, gdzie Dick chowa łód. - Peter.

- Patrick.

Po chwili wyszedł do nich Elgood w czarnej włoskiej sportowej koszuli i idealnie odprasowanych szarych spodniach.

- Witam. - Skinął Pascoe głową. - No, Patricku, co ty na to? Co jest nie tak z moim ogrodem?

Zamaszystym gestem ogarnął maleńki „ogród” otaczający dom, oddzielony od reszty okolicy wątlym i dawno zdziczałym żywopłotem z róż.

- Słone powietrze, piaszczysta gleba... Niedobrze - orzekł Patrick. - Widzę także, że ma pan osy i masę innych owadów, z którymi należałoby zrobić porządek.

- Nie cierpię tego cholerstwa. - Elgood machnięciem ręki przepędził natrętną muchę. - Nad morzem jest jeszcze jako tako, ale tu, na górze, strasznie się panoszą. Przyniosłem ze strychu trochę różnego świństwa, które powinno przetrzebić to tałatajstwo.

Kopnął stojący przy drzwiach karton. Aldermann schylił się, otworzył go i zmarszczył brwi, przeglądając zawartość. Wyglądało na to, że Elgood kupuje środki owadobójcze tak samo jak jedzenie na piknik: bez wybierania i hurtem.

- Jest tu tego tyle, że mógłby pan wytruć owady w połowie Yorkshire - skarcił go Aldermann. - Niektóre z tych środków są niezwykle niebezpieczne także dla ludzi; można je stosować wyłącznie po założeniu odzieży ochronnej. A na pewno nie powinno ich się zostawiać na podorędziu bez nadzoru, zwłaszcza kiedy w pobliżu bawią się dzieci.

Elgood, chociaż wyraźnie dotknięty tą reprimendą, odparł ugodowo:

- Dobrze, dobrze, zaraz znajdę jakiś bezpieczniejszy schowek.

Wziął pudło na ręce i ruszył w głąb domku. Pascoe i Aldermann weszli za nim.

Dalziel spojrział na nich z fotela. Na widok kartonu oczy mu się zaświeciły.

- Posiłki przyszły! - Pomachał im pustą butelką. - Fantastycznie.

Ignorując go całkowicie, Elgood rozglądał się za miejscem nadającym się do schowania pudła. W końcu odstawił je na podłogę w wąskim przejściu między salonikiem i kuchnią, pociągnął za zwieszający się z sufitu sznurek i w ten sposób otworzył klapę na strych, z której opadła składana drabinka.

- Wzmocniłem strych przy okazji instalacji zbiornika prysznicowego. Świetnie nadaje się na schowek. No i zawsze to dodatkowa izolacja.

Wszedł na górę, niosąc pudło, a chwilę później wrócił bez niego i zamknął za sobą klapę.

- Zadowolony? - burknął sarkastycznie do Aldermanna, który nic nie powiedział.

- Piękny domek, Dick - powiedział Dalziel z chytrym uśmiechem. - Przytulny. W sam raz dla parki zakochanych.

- Przypomnij mi się przy innej okazji, to cię zaproszę.

- To by miały łobuzy o czym gadać! - Dalziel wybuchnął śmiechem. - Nocujesz dziś tutaj?

- Nie, muszę wracać. Jutro od rana jestem zajęty. Za to może we wtorek znów wpadnę. Chętnie tu posiedzę i trochę się odprężę przed ważnym posiedzeniem zarządu.

Przy tych słowach Elgood zerknął triumfująco na Aldermanna. Jego chępliwość wydała się Pascoe zbędna w obliczu pokojowego zażegnania sporu.

- To się teraz nazywa odprężanie? - spytał Dalziel. - Jak ten świat się zmienia...

- Popływam spokojnie, wyśpię się... Tak, to odprężające, Andy. Nie uważasz, że samotna noc bywa relaksująca? Kto jak kto, ale ty na pewno wiesz, o czym mówię.

Elgood nie da sobie w kaszę dmuchać, pomyślał Pascoe.

Dalziel też nie.

- A wiem, wiem. I faktycznie, można się wtedy odprężyć. Ale ja przynajmniej mam czyste sumienie, a większość moich wrogów siedzi za kratkami, więc co by mi miało spędzać sen z powiek? Hmm, Dick?

Tymczasem na plaży jedyną rzeczą spędzającą sen z powiek Ellie Pascoe był głos Daphne, konfidencko ściszone i szepczący jej wprost do ucha. Jej euforia, wywołana namiętnym odnowieniem kontaktów z mężem, zaczynała być męcząca. A może, pomyślała Ellie w nieoczekiwanym i bolesnym przeblysku autorefleksji, ja po prostu lubię, kiedy moim znajomym życie się nie układa, bo wtedy mogę przy nich być mądra i dowcipna?

- Wydaje mi się, że pierwszy raz zaczynam naprawdę rozumieć Patricka - mówiła właśnie Daphne. - Nie, inaczej: zaczynam rozumieć, jak to jest być Patrickiem.

Przez chwilę Ellie miała ochotę jej zasugerować, że powinna się raczej skoncentrować na tym, jak to jest być Daphne, ale - szczęśliwym zbiegiem okoliczności - dzięki słońcu, morzu i orwieto głos Daphne, szum morza i krzyki mew połączyły się w jedną usypiającą melodię. Oto miejsce, do którego sztormy, troski, ból i zło nie mają przystępu.

Ellie zasnęła.

Świt

(*Day break*. Mieszaniec piżmowy. Z intensywnie żółtych pąków rozwijają się jasnożółte kwiaty o złotych pręcikach i głębokim piżmowym aromacie).

Sierżant Wiel siedział na skraju łóżka, boleśnie świadomy obecności kadeta Singha, od którego oddzielało go zaledwie kilka stóp wonnej ciemności.

Znajdowali się w jednej z sypialni w Rosemont. Na parapecie stało potpourri z płatków róż. Zawiewający przez okno wiatr (noc była burzliwa) niósł słodki zapach do środka.

Oprócz nich w akcji brało udział jeszcze tylko czterech policjantów: Pascoe i Seymour, wysoki posterunkowy z WK, siedzieli w sypialni z drugiej strony domu, a dwóch mundurowych posterunkowych zajęło pozycję w samochodzie zaparkowanym na drodze sto jardów od bramy posiadłości. Dalziel wyjaśnił, że więcej ludzi im dać nie może. Następnego dnia miasteczko miał odwiedzić minister pracy. Spodziewano się więc demonstracji (Pascoe wolał nie wnikać w kwestię zaangażowania w nie Ellie), pojawiły się też pogrożki i nadinspektor zażyczył sobie pełnej obsady posterunków na czas trwania ministerialnej wizyty.

- I wolałby, żeby nie przysypiali na służbie - dodał Dalziel. - Chociaż i tak by nic nie zauważył; od co najmniej czterdziestu lat chodzi wiecznie nieprzytomny. I lepiej nie bierzcie młodego Singha. Jest was mało, jak zacznie się coś dziać, będzie go kusilo, żeby się wmieszać. A ja naprawdę nie chciałbym w tej chwili nikomu się tłumaczyć, dlaczego kadet został u mnie pokiereszowany

Wiel, który wiedział, jak bardzo Singh będzie rozczarowany, próbował się za nim wstawić.

- Przynajmniej pomoże komuś nie zasnąć - zasugerował. - Bo inaczej ktoś z naszej piątki będzie siedział sam.

W końcu Dalziel dał się przekonać.

- Ale niech cały czas siedzi na piętrze - zastrzegł. - Nawet gdyby mu się wydawało, że was tam na dole masakrują piłą łańcuchową, ma się nie pokazywać. Jasne?

Po wyjściu Wielda podinspektor zwrócił się do Pascoe:

- Najlepiej niech młody Abdul właśnie jemu pomaga nie zasnąć. Jak później sobie Wield podrzemie w ciągu dnia, to mu dobrze zrobi na urodę.

Czekali więc. Dochodziła północ. Cudna niedzielna aura przeniosła się na poniedziałkowy poranek, ale wczesnym popołudniem zaczęły gęstnieć burzowe chmury i długi letni wieczór tuż po dziewiątej przeszedł w przedwczesny zmierzch. Dwie godziny później zrobiło się zupełnie ciemno. Wield nie mógł się doczekać, kiedy oczy przywykną mu do ciemności: nawet teraz widział pokój jako plamę czerni z obszarami o większej gęstości wszędzie tam, gdzie stały meble. Przez wąską szparę między zasłonami wpadała niewarta wzmianki odrobina światła. Okno wychodziło na wschód, przez co na horyzoncie malowała

się pomarańczowa łuna świateł miasta, która jednak tylko podkreślała wszechobecną czerń. W ciągu ostatniej godziny zerwał się silny wiatr. Chmury na razie się nie rozwiały, za to stary dom zaczął upiornie jęczeć, skrzypieć i poświstywać, a ciemna plama ogrodu cała aż falowała od bezkształtnego ruchu. Wield cofnął się spod okna, gdy stwierdził, że w jego wymęczonych oczach roi się od zbliżających się do domu sylwetek.

- Sierzancie? - szepnął Singh.

- Tak?

- Myśli pan, że przyjdą?

- A co, nudzi ci się?

- Nie!

- W takim razie albo jesteś nawalony, albo nieprzytomny. Może przyjdą, może nie; na razie ciesz się, że mamy środek lata.

- Dlaczego?

- Bo w zimie odmrażałbyś sobie jaja i musiał tu siedzieć do szóstej, siódmej rano. Teraz robi się jasno już koło czwartej, więc może nawet zdążysz złapać godzinkę snu, zanim będziesz musiał zameldować się na służbie. Ciesz się tym, co masz.

Plama czerniejszej czerni, która była Singhem, długo milczała.

- Panie sierzancie... - odezwała się w końcu, ośmielona mrokiem i poczuciem bliskości, jakie tego rodzaju sytuacja może wzbudzić nawet w najbardziej niechętnej sobie parze. - Jak pan myśli, czy to dobrze, że chcę zostać gliniarzem, i w ogóle?

- O co ci chodzi? Czemu pytasz?

- No bo pan, sierżancie... jak by to... Pan mnie nigdy nie zachęca. Rozmawiałem z innymi policjantami, z takimi z WK, i ze znajomymi mundurowymi, i wszyscy mówią, że pan jest inteligentny i taki... uczciwy. Wielu uważa, że powinien pan dawno awansować...

- Co to ma być? Przemowa z okazji przejścia na emeryturę?

- Nie, ja tylko... No bo jeśli pan faktycznie jest taki inteligentny i taki fair, jak wszyscy mówią, ale mnie pan nie ceni...

Szept chłopaka zgasł w niespokojnej, skrępowanej ciszy, w której znów dało się słyszeć przeciągłe zawodzenie wichury.

- Dlaczego myślisz, że cię nie cenię?

- Jest pan taki... ostry. Przepraszam pana, ja się nie chcę skarżyć, tylko się zastanawiam...

- Co byś robił, gdybyś nie został gliną?

- Pewnie pracowałbym u ojca w sklepie.

- A nie chcesz tego robić? Nie dogadujecie się z tatą?

- Nie, dobrze nam się układa, ale... Kłopot w tym, że gdybym dołączył do interesu, musiałbym wszystko robić tak, jak on chce. W zasadzie słusznie, bo skoro mu się powodzi, to najwyraźniej jest dobrym człowiekiem. Nie chodzi o religię, bo ojciec nie jest jakiś rygorystyczny w tych kwestiach; zawsze powtarza, że chce, żebyśmy zapuścili tu korzenie, zamiast być wiecznymi przechodniami. Tylko się obawiam, że gdybym został w domu, to chyba już zawsze byłbym traktowany jak... jak chłopiec. Wiem, jestem jeszcze dzieciakiem, nawet tutaj wszyscy zwracają się do mnie per „chłopcze”, ale w domu i w sklepie u ojca byłbym chłopcem aż do... aż do...

- Aż do jego śmierci - dokończył półgłosem Wiel.

- No właśnie. A ja nie chcę wyczekiwać śmierci ojca.

Zalegający między nimi mrok wibrował napięciem szczerego wyznania jak naładowany elektrycznością, łącząc ich bliską więzią, którą Wiel czuł się skrępowany, ale której istnienia nie mógł zaprzeczyć.

- Mój ojciec zmarł, kiedy miałem trzynaście lat - powiedział. - Był bardzo surowy. Bardzo stanowczy. Hodował gołębie. Do mnie należało czyszczenie gołębnika na strychu. A kiedy gołębie zanadto się rozmnożyły i niektórym trzeba było ukreścić łebki, brał mnie do pomocy. Niczego nie pragnąłem bardziej, niż być taki jak on: duży, silny, pewny siebie. Żebym mógł tak jak on skreścić gołębiowi kark i wcale się tym nie przejąć. Ale nigdy tego nie potrafiłem. Może gdyby pożył dłużej, w końcu bym się przy nim nauczył, ale wątpię. Gołębie są takie łagodne, takie ufne...

Bardzo chciał wyciągnąć rękę i dotknąć ramienia Singha. Wykonać taki prosty, nieskomplikowany gest zachęty.

Z goryczą upomniał się jednak w duchu, że tak jak w jego świecie zawodowym nie ma nic za darmo, tak w jego świecie osobistym nie ma prostych gestów.

- Wytrwaj, chłopcze, i zostań gliniarzem - wychrypiał. - Dopóki ukłucie gołębiom głów nie zacznie ci sprawiać przyjemności, wszystko będzie w porządku.

Obaj umilkli i nie odezwali się więcej, aż na dworze wiatr w końcu ucichł i zielonkawa jutrzienka zaczęła się ślizgać po zmierzwionym ogrodzie. Kiedy rozjaśniło się na dobre, do pokoju wszedł Pascoe.

- Dobra - powiedział i ziewnął rozdzierająco. - Wystarczy.

Singh spojrział na niego smętnie, spodziewając się reprimendy, ale Pascoe wyszczerzył zęby i zmierzwił mu włosy gestem, na który Wielowi zabrakło odwagi.

- No, Singh, jakieś plany na następną noc? Mam nadzieję, że nic poważnego?

- A co, wracamy tu, panie komisarzu?

- A czemu nie? Państwo Aldermannowie wrócą dopiero jutro. - Pascoe znowu ziewnął. - Seymour wyłączył alarm. Powiedziałem mu, żeby zabrał się z chłopakami radiowozem i przysłał po nas jakieś auto. A tymczasem chyba możemy się napić kawy. Pani Aldermann na pewno nie będzie nam miała za złe.

Zeszli na parter, gdzie Wiel z Singhem skęcili do kuchni, a Pascoe skierował się do drzwi wejściowych.

- Najpierw się przewietrzę - powiedział.

Mijając gabinet Aldermanna, zobaczył, że drzwi są uchylone, i usłyszał jakiś hałas. Ostrożnie pchnął drzwi, na tyle, żeby zobaczyć skraj pięknego dębowego biurka, które w przeszłości należało zapewne do Eddiego Aldermanna. Ktoś stał przy nim, schylony nad otwartą szufladą.

Pascoe uchylił drzwi odrobinę szerzej.

- Wejdz, Peter, śmiało. Wyspany?

Dalziel - rzeński i wypoczęty - prezentował się nienagannie, poza jednym miejscem po lewej stronie żuchwy, gdzie przyklejony kawałek różowego papieru toaletowego zaświadczał o niebezpieczeństwach porannego golenia.

- Co ty tu robisz? - zdziwił się Peter.

- Jak na dobrego pasterza przystało, opiekuję się moimi owieczkami. Obudziłem się i od razu pomyślałem o tobie, że tak tu siedzisz, biedny, całą noc i nic się nie dzieje. Bo nic się

nie działa, prawda? Tak myślałem. Właściwie to już wczoraj tak myślałem, ale nie chciałem ci psuć zabawy, skoro tak się napracowałeś przy szykowaniu zasadzki.

O co mu chodzi, do cholery? - łamał sobie głowę Pascoe.

- Szukasz czegoś konkretnego? - zapytał, ruchem głowy wskazując biurko.

- Właściwie nie. Aldermann jest czysty, prawda? Sam mi tak powiedziałeś, a mnie twoje słowo wystarczy. Po prostu byłem ciekaw, mój chłopcze. Są tu jakieś niepopłacone rachunki, ale to sprawa Aldermanna, nie moja. I mnóstwo różnych rzeczy o różach. Koresponduje z prawdziwą śmietanką towarzyską, wiesz? Nawet ja kojarzę niektóre nazwiska. Ale nieważne, zostawmy ten szajs i chodźmy się przejść. To najlepsza pora dnia. Powinieneś częściej wcześniej wstawać. Smakować świt.

Dalziel, jak dobrotliwy duch natury, obserwował Pascoe, gdy ten porządkował rozrzucone przez niego papiery i zamykał szuflady.

- Tak wystarczy, chłopcze - odezwał się, widząc moment wahania u Pascoe. - Nie były zamknięte na klucz. Aldermann to ufny człowiek. A i twoje delikatne sumienie na pewno lepiej się poczuło, co? Nawiasem mówiąc, gdzie piękny i bestia?

Pascoe zaprowadził go do kuchni, gdzie Wiel i Singh siedzieli pogrążeni w rozmowie. Na widok Pascoe ucichli, a na widok Dalziela wstali. Singh poderwał się z takim zapalem, że omal nie przewrócił krzesła.

- Spokojnie, chłopcze - odezwał się łagodnym tonem Dalziel. - Nieprzyzwyczajony do krzesel, co? Nie przejmuj się, wszystko przyjdzie z czasem. Wiesz co, synu? Napiłbym się herbatki. Poradzisz sobie?

Singh skinął głową.

- Cieszę się. A przy okazji rozejrzyj się trochę w spiżarni; wątpię, żebyś znalazł tam jakąś wołowinę, chociaż na to właśnie miałbym największą ochotę: kanapkę z ociekającą tłuszczkiem wołowiną. No, ale z braku laku tost z marmite'em wystarczy. Na pewno mają marmite. Tylko mi go nie żałuj, niech ten tost ma jakiś aromat. Zrobisz to dla mnie?

- Tak jest, panie inspektorze.

- Dobry z ciebie chłopak. Chodźmy, komisarzu. Przejdziemy się po ogrodzie.

- Dla mnie kawa - powiedział Pascoe do Wiel. - Bez marmite'a.

Ruszył za Dalzielem do wyjścia.

- Ten czarniawy to porządny chłopak - mruknął uśmiechnięty od ucha do ucha Dalziel.
- Daleko zajdzie, może nawet na sam szczyt. Wcale bym się nie zdziwił. Dobrze by było, przynajmniej byłaby jakaś odmiana po tych bladych gębach, które musiałem oglądać przez cały zeszły tydzień. Wyglądają, jakby całe życie siedzieli gdzieś pod jakimś kamieniem!

Wyszli na dwór, gdzie Pascoe ze zdumieniem stwierdził, że nigdzie nie widać samochodu Dalziela. Przecież nie mógł tu przyjechać piechotą!

Wietrzna noc odeszła w przeszłość i piękny letni dzień rozwijał się jak kwiat, ale burza nie przeszła bez śladu. Dalziel zacmokał z troską, idąc po trawniku, który - jeszcze wczoraj wygrabiony i czysty - był usłany połamanymi gałązkami, liśćmi i płatkami kwiatów.

- Patrick będzie miał co sprzątać - zauważył.

- Wydaje mi się, że do takich podstawowych prac to on kogoś sobie wynajmuje - odparł Pascoe.

- To zrozumiałe. Chłopak nie szczędzi kasy na takie rzeczy. A będzie potrzebował pomocy, bo ma tu spory kawałek ziemi.

Przeszli przez ozdobny ogród do kompleksu cieplarni.

- To tutaj, prawda? Tutaj je krzyżuje? - Dalziel zajrzał przez szkło do środka jak podglądacz, któremu marzy się widok skrawka nagiego ciała. - Cwany jest ten nasz Patrick. Bardzo cwany.

- Czy ty go cały czas o coś podejrzewasz? - zdziwił się Pascoe.

- Ja? Nie. O co miałbym go podejrzewać? Owszem, pomarło trochę ludzi, ale ludzie już tak mają, że umierają, hmm? A my nie mamy żadnego ciała, prawda? W tym rzecz, Peter. Brakuje nam ciała.

W głosie Dalziela brzmiał taki żal, że Pascoe przypomniał się policyjny patolog narzekający na brak mięcha.

- Nic nie mamy, ot co - ciągnął Dalziel. - I nie zanoszą się na to, żebyśmy mieli coś dostać. Wracajmy, zgłodniałem od tego rześkiego powietrza.

- Ty naprawdę podejrzewasz go o przynajmniej jedno z tych zabójstw, prawda? - dopytywał się Pascoe, gdy wracali przez ogród różany.

Dalziel przystanął i zerwał szkarłatny kwiat, któremu nocny wiatr nadłamał łodyżkę. Włożył go sobie w butonierkę.

- *Milord* - powiedział, demonstrując tę nieoczekiwaną znajomość egzotycznej tematyki, którą nieraz zaskakiwał podwładnych.

- Bardzo ci pasuje - zauważył z przekąsem Pascoe. - A wracając do Aldermanna...?

- Jego matka się go bała. Chociaż nie, to za mocno powiedziane. Po prostu miała na nią bardzo silny wpływ, a możesz mi wierzyć, że niełatwo ją zdominować. Ty uważasz, że facet jest w porządku?

- Ja go nawet lubię. Ty nie?

- Tylko raz się spotkaliśmy, pamiętaj. Za to bardzo lubię jego mamę.

W domu czekały już na nich herbata w imbryku i talerz z tostami, w które Dalziel wgrzył się z zapalem, opowiadając przy tym długą i nieskładną anegdotę z czasów swojej służby w żandarmerii wojskowej. Pascoe sączył kawę. Na pytające spojrzenie Wiolda odpowiedział dyskretnym wzruszeniem ramion.

- No dobrze. - Dalziel spojrział na zegar w kuchni. Była siódma. - Pozmywajmy. Zawsze należy zostawiać miejsce w takim stanie, w jakim chcielibyście je zastać. Nie zapominaj o tym, synu.

Singh pokiwał głową z takim zapalem, jakby nigdy w życiu nie słyszał równie praktycznej porady.

Pozmywali. Wytarłszy naczynia, Dalziel złożył starannie ściereczkę i przerzucił ją przez reling suszarki.

- Peter, bądź łaskaw włączyć alarm - zarządził.

- Wychodzimy? - upewnił się Pascoe.

- Wprost przeciwnie. Zostajemy.

Dalziel pierwszy wszedł na piętro. Pozostała trójka bezszelestnie ruszyła za nim.

Podinspektor otworzył drzwi głównej sypialni i z aprobatą pokiwał głową na widok obszernego małżeńskiego łóża. Zdjął buty i wyciągnął się jak długi na jedwabnej narzucie.

- Obudźcie mnie, kiedy przyjadą - powiedział i zamknął oczy.

- Kiedy kto przyjedzie?

Jedno przekrwione oko się uchyliło.

- Złodzieje. Przecież po tu właśnie siedzimy, nie? Żeby złapać złodziei.

Oko się zamknęło. Grubas wyglądał, jakby zasnął.

Krótko po ósmej wszyscy - z wyjątkiem Dalziela - aż podskoczyli, gdy z daleka dobiegł metaliczny chrzęst. Nadjeżdżał samochód. Pascoe stanął obok Wiolda przy oknie: stara zielona furgonetka wjechała na podjazd, skręciła i zniknęła za rogiem domu. Przez moment był widoczny napis na ścianie wozu: *Caldicott i Syn. Architekci krajobrazu.*

- Co, przyjechali? - Dalziel usiadł na łóżku. - Zerknijmy z drugiej strony.

Sturlał się z łóżka i przeszedł do pokoju, którego okna wychodziły na tyły domu.

- To ogrodnicy... - powiedział Pascoe. - Chce pan powiedzieć, że to oni, panie inspektorze?

- Piszą o tym w aktach Arthura Marsha. Poszedł siedzieć za nielegalne pobieranie zasiłku, bo równolegle pracował na czarno dla firmy ogrodniczej. Dziwię się, że nie zwróciło to twojej uwagi, Peter. Przecież gość jest elektrykiem! Jeśli chciał sobie dorobić na boku, to dlaczego rwał się do tacek i wideł?

- Jest! - syknął podekscytowany Singh, zerkając zza firanki. - Jonty jest z nimi! I Artie też. Widzę ich!

- Tak? Świetnie, młody Tylko uważaj, żeby nie poruszyć Branką.

- Już wczoraj zwrócił pan na to uwagę - odezwał się urażony Peter. - Czemu nic pan nie mówił?

- To była tylko taka teoria, chłopcze - odparł pojednawczo Dalziel. - A poza tym, nie miałem pewności, czy Arthur Marsh udaje ogrodnika tylko po to, żeby zrobić rozpoznanie, a potem obrabia domy na własną rękę, czy cała firma siedzi w tym interesie. Mógł tu wpaść w nocy, wtedy byłby wasz. Ale kiedy rano okazało się, że nic się nie wydarzyło, moja teoria zyskała na znaczeniu.

- Nie wyglądają, jakby zamierzali się włamać - zauważył Wield, stanąwszy obok Singha.

- Czego się pan spodziewał, sierżancie? Masek na twarzach? Worków z napisem „Fanty”? Ci goście mają robotę do wykonania w ogrodzie, prawda? Dostają za to pieniądze. Mają prawo tu być. To jest właśnie najpiękniejsze!

Pascoe przejrzał sporządzony przez Aldermanna spis osób, które wiedziały o nieobecności właścicieli.

- Nie wspomina o ogrodnikach - zauważył.

- A po co? Pewnie wymienił tych, których w tym tygodniu odwołał: mleczarza, gazeciarzy... Ogrodników nie odwoływał. Ogrody mają to do siebie, że zarastają nawet pod nieobecność domowników. Sprawdziłem jeden z okradzionych domów. Tak, Caldicottowie przyjeżdżają do nich raz w tygodniu. Tak, pamiętają Artiego, to ten sympatyczny, zawsze wpada po herbatkę, chętnie pomoże przy przestawianiu mebli i innych cięższych pracach domowych. To świetny układ, nie uważacie? Łatwo zrobić rozpoznanie, no i nie trzeba potem się czołgać po nocy: po prostu podjeżdżasz sobie samochodem za dnia, w porze, o której wiesz, że prawdopodobieństwo pojawienia się jakiegoś intruza jest minimalne, wchodzisz do środka, wynosisz co chcesz, pakujesz do paru starych worków, wrzucasz do wozu i odjeżdżasz.

- Kiedyś zabraknie im domów - burknął niezadowolony Pascoe.

- To możliwe - przytaknął z rozwagą Dalziel. - Na pewno byłby to jeden ze sposobów na ich powstrzymanie.

- Ale po co zabrali ze sobą Jonty'ego Marsha? - zdziwił się Wield.

- Jeździł z nimi inny chłopak, Caldicott junior, to też można sprawdzić. Ale złamał rękę, bodajże w zeszłym tygodniu.

- W Harrogate - dopowiedział Pascoe, przypomniawszy sobie zerwany winobluszcz, który pokazał mu Ivan Skelwith. - Założę się, że to było w Harrogate.

- Zgadza się. I prawdopodobnie potrzebowali zastępcy, jakiegoś małego skurczybyka, który w razie potrzeby wdrapie się po ścianie. Arthur zaproponował, że weźmie swojego młodszego brata.

- Nadal nie wyglądają, jakby się do czegoś szykowali - zauważył z powątpiewaniem Wield.

- Ech, człowieku małej wiary... - Dalziel westchnął. - Wróćmy do sypialni od frontu.

Wszyscy posłusznie poszli za nim i Wield z Singhem wrócili na posterunek przy oknie - zupełnie bez sensu, zdaniem ich obu, skoro ogrodnicy siedzieli z tyłu domu.

- Ktoś jedzie - zameldował dziesięć minut później Singh. - To listonosz!

Listonosz podjechał na rowerze do wejścia, przeszukał torbę, wrzucił pocztę przez szczelinę drzwiach, a potem przejechał za róg domu, zamienił z kimś dwa słowa i zniknął Singhowi z oczu.

- Podjechał do nich na herbatkę - wyjaśnił Dalziel. - Zawsze tak robi we wtorki. Nie chcieliby przecież, żeby nabrał podejrzeń, prawda?

Skarceni obserwatorzy wrócili na stanowiska. Dalziel wrócił na łóżko.

- Odjechał - oznajmił w końcu Wield.

- Dobrze. Teraz to już nie potrwa długo - odparł inspektor, nie otwierając oczu.

- Gdzie mamy obserwować, panie inspektorze? - spytał Wield. - Od frontu czy z tyłu?

- To bez znaczenia, i tak wiele nie zobaczycie. Najpierw unieszkodliwią dzwonek alarmowy. To może być robota w sam raz dla młodego Jonty'ego: musi go zablokować, wytłumić albo przeciąć kabel, zależnie od modelu; Arthur na pewno to już wy badał. Potem znów pošlą malucha na górę, tym razem, żeby przeciął przewód telefoniczny. W normalnej sytuacji po czymś takim włączyłby się alarm, ale ponieważ dzwonek już załatwili, w ten sposób unieszkodliwią system automatycznego telefonowania. Potem jeden z nich wejdzie do środka, pewnie przez okno. Albo przez drzwi, jeżeli Arthur załatwił klucz. Reszta przez ten czas zajmie się swoją robotą w ogrodzie, żeby ewentualni przechodnie nie zauważyli nic niezwykłego. Od czasu do czasu któryś z nich, przejeżdżając taczkami koło domu, zgarnie leżący tam stary worek i wrzuci go do furgonetki. Oczywiście, to są tylko moje domysły - zastrzegł się Dalziel - ale ja tak właśnie bym to zrobił.

Oczywiście ma rację, pomyślał z goryczą Pascoe. W ostatnich miesiącach zdarzało mu się zadawać sobie aroganckie pytanie, czy Dalziel na pewno nadaje się jeszcze do tej roboty.

Dla niego był stworem z innej epoki, dinozaurem na wymarciu. A kto przyszedł po dinozaurach? Małpy.

Na wpół świadomie rozdziawił usta i po małpiemu za- szurał nogami.

Oczy Dalziela, do tej pory mocno zamknięte, nagle otworzyły się szeroko.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, panie inspektorze. Tylko mi trochę nogi ścierpły.

Minęło jeszcze dziesięć minut, zanim usłyszeli hałas na dole.

- Panie inspektorze! - ponaglił Dalziela Wield.

Dalziel nieśpiesznie wstał.

- Dajmy im jeszcze chwilę... - Ziewnął. - Niech złączą ładować łupy. - Spojrzał na zegarek, jak dowódca wojskowy, który za chwilę pošle swój oddział do natarcia na szczyt wzgórza. - No dobra, ruszamy. Nie, Abdul, ty zostajesz. Przykro mi, ale coś komuś obiecałem w twojej sprawie. Ale spokojnie, w raporcie na pewno nie zostaniesz pominięty, osobiście tego dopilnuję. Spisałeś się na medal.

Pochwały Dalziela trochę pocieszyły rozczerowanego Singha.

Dalziel ruszył przodem, nawet nie próbując się kryć. Po schodach zszedł jednak niezwykle lekkim krokiem, zupełnie niespodziewanym u człowieka jego postury.

Zeszli akurat do hallu, kiedy w drzwiach gabinetu stanął mężczyzna z workiem. Był to Arthur Marsh.

Przez chwilę gapił się na nich wytrzeszczonymi oczami, a potem upuścił worek, krzyknął coś chrapliwie, okręcił się na pięcie i zaczął uciekać. Policjanci ruszyli za nim w kolejności starszeństwa rang, co jednak było kwestią przypadku, nie hierarchii służbowej. Wield dotarł do drzwi gabinetu w tej samej chwili, gdy próbujący wyskoczyć oknem Arthur został pochwycony przez Dalziela, wczepionego w jego lewą nogę z siłą wygłodniałego niedźwiedzia. Sierżant odwrócił się i stwierdził, że podinspektor mylił się, zakładając, że w domu będzie tylko jeden z rabusiów. Z jadalni wyszedł właśnie Jonty Marsh ze srebrnym świecznikiem w ręce.

- Spokojnie, mały - warknął Wield, ruszając ku niemu.

Jonty udał, że się cofa, po czym zniemacka skoczył naprzód. Uchylił się przed rozpostartymi ramionami Wielda i niewiele brakowało, żeby się przewrócił. Kiedy sierżant go chwycił, Jonty wyrznął go świecznikiem prosto w rzepkę.

- Rany boskie! - zawył Wield.

Jonty odzyskał równowagę i pognął po schodach na górę. Na piętrze się zawahał, ale widząc kuśtykającego za nim obolałego Wiolda, odwrócił się i wparował do głównej sypialni. Dało się słyszeć wymianę zdań i krzyk Jonty'ego:

- Ty zasrany czarnuchu!

Rozległ się trzask, krzyk, głuchy łoskot. A potem zrobiło się cicho.

Zapominając o bólu, Wiold biegiem pokonał ostatni odcinek schodów i wpadł do sypialni.

Okno było otwarte. Przy nim, na podłodze, leżał bezwładny kadet Singh. Obok leżał srebrny świecznik, a z głowy Singha sączyła się wąska strużka krwi, jak rozwijająca się wstążka.

Od strony okna dobiegł krzyk. Wiold wyjrzał na zewnątrz. W oddali zobaczył zieloną furgonetkę pędzącą przez szpaler ostrokrzewów. Niedomknięte drzwi wozu na przemian otwierały się i przymykały, łomocząc o karoserię z dźwiękiem, jaki mogłyby wydawać rozstrojone czynele. Daleko jednak ujechać nie mogła, bo radiowóz powoli sunął dróżką pod prąd, blokując jej drogę.

Krzyk rozbrzmiewał znacznie bliżej: zwisający z parapetu Jonty Marsh próbował dosięgnąć rynnę biegnącej jakieś pięć stóp od niego, po lewej stronie. Było oczywiste, że nie ma szans. Ręka, którą kurczowo zaciskał na parapecie, zbieleła z wysiłku, ale i tak była mniej biała niż przerażona twarz, którą zwrócił w stronę Wiolda.

Sierżant odruchowo chwycił go za nadgarstek w tej samej chwili, gdy palce chłopaka zaczęły się ześlizgiwać z gładkiego kamienia. Jonty był wprawdzie drobnej budowy, ale Wiold stęknął z wysiłku, gdy chłopak całym ciężarem zawisł mu na jednej ręce. Sierżant musiał się wychylić tak daleko, że silny grzbiet i muskularne nogi niewiele mu pomagały, ale największą jego słabością był w tej chwili brak motywacji. Przed oczami cały czas miał obraz chłopca, który leżał mu pod nogami z zamkniętymi oczami i krwawiącą głową, a nie tego, który wisiał na jego ręce, wytrzeszczał ze strachu oczy i popiskiwał żałośnie jak mały ptaszek. Pot, którego źródłem były wysiłek i strach, działał jak smar i Wiold czuł, że Jonty Marsh mu się wymyka.

I wcale nie był pewny, czy się tym przejmuje.

W tej samej chwili Pascoe doskoczył do niego, przechylił się przez parapet i złapał Marsha za rękę.

- No! - sapnął. - Właź na górę, gnojku.

Nagle Marsh stał się lekki jak piórko i wskoczył do pokoju jak wyłowiony z rzeki pstrąg. Pascoe rzucił go na ziemię z taką siłą, że chłopakowi zaparło resztki tchu w piersi.

- Nie ruszaj się, synku - ostrzegł. - Bo sam cię wyrzucę przez to okno.

Odwrócił się do Wielda, żeby pomóc mu przy rannym Singhu, i ze zdumieniem stwierdził, że sierżant klęczy przy kadecie, nerwowo wodząc nad nim rękami, ale go nie dotyka. Jego z gruba ciosana twarz, której zerwy i kraterzyki zwykle doskonale skrywały emocje, rozpięła się w ataku żalu jak skała przy trzęsieniu ziemi.

- Sierżancie! - krzyknął Pascoe.

Porażone smutkiem oczy spojrzały na niego.

- Nie żyje! - wychrypiał głośno Wiel. - On nie żyje!

Powieki Singha drgnęły i uchylły się odrobinę.

- Lepiej niech mu pan tego nie mówi, sierżancie - poradził Wielowi Pascoe. - Na litość boską, niechże pan leci po karetkę!

Felicyta i Perpetua

(*Felicitate et Perpetue*. Odmiana pnąca, wysoka. Bujna, zdrowa, gęsto ulistniona, obficie kwitnąca. Kwiaty białe z lekką różową nutą. Słodki zapach).

Dick Elgood wcale nie kłamał, kiedy mówił, że przed ważnym spotkaniem lubi się zrelaksować, spędzając samotnie noc.

O szóstej wyszedł z biura, po drodze zerknąwszy jeszcze na znajdującą się w holu wystawę produktów Perfecty. Tak się zaczęło. Oto początek drogi prowadzącej do miejsca, w którym dziś się znalazł. Czyli dokąd właściwie? Niepokojące pytanie. Wręcz głupie! Jak to możliwe, żeby jego osiągnięcia i obecna pozycja, które zaledwie przed kilkoma tygodniami były powodem powinszowań i samozadowolenia, nagle wydały się puste i pozbawione znaczenia? Może jednak człowiek potrzebuje czegoś więcej niż pracy? Hobby. Obsesji. Tak jak Aldermann i te jego przekłete róże. A on? Co on miał? Kobiety, mnóstwo kobiet, więcej niż potrafił pamiętać. To już coś, z pewnością. Przyjemność. Rozkosz. Ekstaza, która trwa. Wprawdzie z wiekiem ubywało mu sił, ale daleki był jeszcze od zupełnego wyczerpania. Może mimo wszystko powinien był zadbać o jakieś towarzystwo na tę noc? Przyszło mu do głowy, żeby podzwonić po znajomych, ale zrobiło się już późno. Poza tym, najlepiej trzymać się planu.

Ponieważ jednak czuł się samotny, nie pojechał prosto do domku, tylko najpierw odwiedził ulubioną restaurację, znajdującą się dziesięć mil dalej, na wybrzeżu. Zamówił stek. Wpadła mu w oko nowa kelnerka, roześmiana, wesoła dziewczyna; zasiedział się nad kawą z brandy dłużej niż początkowo zamierzał. Kiedy jednak uznał, że nadeszła właściwa chwila, by zapytać, o której kończy, odpowiedziała natychmiast, że ojciec przyjedzie po nią po jedenastej.

W filozoficznym nastroju dopił brandy. Na pewno któraś z koleżanek kelnerki zachowała się jak suka ogrodnika i ją spłoszyła. Bywał w tej knajpie dostatecznie często, żeby wypracować sobie odpowiednią reputację. Podobnie jak większość miłośników tego rodzaju

rozrywek, w swojej próżności nie brał pod uwagę możliwości, że zwyczajnie jej się nie spodobał.

W domku nad morzem wylądował ostatecznie o wpół do jedenastej, znacznie później niż planował. Lekko rozczarowany stanął przy białym paliku oznaczającym maksymalny zasięg fal i spojrzął w dół, na ciemniejący brzeg morza, gdzie wąska biała kreska i rytmiczny szum sygnalizowały odpływ.

Powinien był trzymać się planu i od razu tu przyjechać; teraz będzie musiał sobie darować długo wyczekiwane pływanie. Jedzenie, alkohol i odpływ to zabójcza mieszanka. Poza tym, mimo że zwykle traktował wodę jako całkiem naturalny dla siebie żywioł, tego wieczoru płynny mrok, ciągnący się aż po niewidoczny w ciemności horyzont, przepelniał go lękiem i podkreślał samotność. Wzdrygnął się i wrócił do domku.

Tradycyjne kakao z rumem przed snem ukoilo lekko skołatane nerwy i Dick szybko usnął. Noc jednak nie minęła mu spokojnie; co chwila wybudzał się z prastarych snów o lataniu i spadaniu, nasłuchując niezwyklej mieszanki dźwięków tkanej wspólnie przez morze, wiatr i mrok.

Kiedy nastał ranek, Dick się ucieszył, że może wreszcie wstać. Jego radość jeszcze wzrosła, gdy stwierdził, że mimo wczesnej pory widoczne na bezchmurnym niebie słońce promienieje obietnicą ciepłego dnia. Morze wyglądało jak zawsze - tańczyło zapraszająco w zatoczce pod urwiskiem. Kusiło go, żeby od razu zejść na plażę, ale w jego wieku należało unikać pośpiechu. Porozciągał się trochę, zrobił sobie małą rozgrzewkę, zjadł tradycyjne śniadanie: sok jabłkowy, chrupkie pieczywo, czarna kawa. Odprężył się i wypalił dwa papierosy. W końcu uznał, że jest gotowy.

Włożył szlafrok i zszedł na plażę. Tam zrzucił szlafrok, rozejrzał się i zdjął kąpielówki. Lubił pływać nago, ale robił to tylko wówczas, gdy miał prawie całkowitą pewność, że nikt mu nie przeszkodzi. Nie chciał, żeby ktoś ciągał go po sądach za nieobyczajne zachowanie.

Pływanie - jak zwykle - orzeźwiło jego ciało i pobudziło umysł, na nowo uświadamiając mu, jaki jest sprawny i samowystarczalny. Praktycznie bez zadyszki wszedł na szczyt urwiska i wrócił do domku.

Udał się prosto pod prysznic, żeby spłukać sól ze skóry. Starannie nastawił odpowiednią temperaturę i wszedł pod strugę wody. Namydlił się cały, nałożył szampon na głowę; włosy wciąż miał całkiem gęste i mocne. Płynąca równym strumieniem woda pieściła jego ciało.

Minęło sporo czasu, zanim poczuł pierwsze ukłucie dyskomfortu - właściwie nie było to nic poważnego, wrażenie było trochę takie, jakby wszedł pod prysznic po zbyt długim przebywaniu na ostrym słońcu. Zadarł głowę. Woda spłynęła mu na twarz. Oczy zaczęły go szczypać jak zatarte mydłem. Otworzył powieki, żeby woda spłukała mydło.

I zawył z bólu, gdy gałki oczne eksplodowały mu żywym ogniem.

Zatoczył się na bok i wypadł spod prysznica, ale ból szedł za nim. W ustach czuł pieczenie, na jedno oko nie widział w ogóle, obraz z drugiego był zniekształcony i rozmazany. Na oślep, potykając się o sprzęty, przebrnął przez salon do wyjścia. Całe jego ciało dygotało konwulsyjnie, a skołowany umysł tętnił rozpaczliwym pragnieniem zejścia nad morze. Morze go oczyści. Ukoi. Ocali.

Wyszedł do ogródka. Wpadł na biały słupek, potknął się i bardziej stoczył się niż zszedł po urwisku. Teraz przynajmniej słyszał morze, chociaż wzrok całkiem go już zawiódł; nawet oślepiająco czerwone słońce przypominało zaledwie główkę zapalki. Brnął naprzód, szurając po kamykach i piasku, aż poczuł, jak fale liżą mu stopy. Zrobił jeszcze jeden krok, drugi, a potem runął naprzód i czekał, aż woda go zabierze. Po chwili przetoczył się na wznak, próbując utrzymać się na wodzie. Mewy krzyczały mu nad głową, ale ten dźwięk ledwie docierał do jego uszu, jak pokrzykiwania dzieci bawiących się na odległym brzegu.

Po tym, jak chór porannych odgłosów szpitalnych obudził Singha o świcie, nie zmrużył oka aż do dziewiątej. Kiedy po godzinie ocknął się ponownie, przy jego łóżku stali Dalziel, Pascoe i Wield.

- Dzieńdoberek, młody - odezwał się Dalziel. - Zjedliśmy twoje winogrona. Jak się czujesz? Zawsze uważałem, że bez turbanu jesteś jakiś niekompletny.

Singh podniósł rękę, dotknął spowijającego mu głowę zawoju z bandaża i się uśmiechnął; rozbawił go nie sam komentarz Dalziela, lecz wywołane nim ewidentne skrepowanie Pascoe.

- Dopiero wczoraj zgodzili się nas do ciebie wpuścić, ale to był wieczór i już spałeś - dodał Dalziel oskarżycielskim tonem. - Dużo śpisz, jak na młodego gliniarza.

- Lekarze twierdzą, że czaszkę masz całą i przeżyłeś po prostu silny wstrząs - wtrącił Pascoe. - Za dzień, dwa cię wypuszczą. Twój tato czeka na korytarzu, ale uparliśmy się, że musimy pierwsi z tobą pogadać.

- Co z Jontym i resztą? - zainteresował się Singh. - Złapaliśmy ich?

Pascoe się uśmiechnął.

- Jak najbardziej. Nic się nie martw, dopilnujemy, żeby wspomniano o tobie, gdzie należy.

- Przyniosłem ci parę książek - odezwał się Wiel. - I czekoladę.

- Dziękuję, panie sierżancie.

- No dobrze, będziemy się zbierać. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby wszystkie najciekawsze umysły z WK przesiadywały w szpitalu - powiedział Dalziel. - Dzięki za pomoc, chłopcze. Przyślemy tu twojego ojca.

Dalziel i Pascoe ruszyli do wyjścia.

- Ja jeszcze wpadnę - zapowiedział Wiel.

- Nie trzeba, panie sierżancie. Tata mnie odwiedzi, potem mama, bracia... Nie będę narzekał na brak gości.

- Jak chcesz. Na razie.

- Na razie, panie sierżancie.

W drodze powrotnej Wiel do tego stopnia pograżył się w rozmyślaniach, że zwrócił tym uwagę pozostałych, mimo że przecież przywykli do jego beznamiętnego zachowania.

- Coś się stało, sierżancie? - zapytał Dalziel.

- Nie, panie inspektorze.

- Kłopoty żołądkowe? Zjadł pan byle co i teraz biegnie pan do toalety?

- Nie, wszystko w porządku.

- Nie wygląda pan najlepiej. Powinien się pan ożenić i zacząć zdrowo odżywiać.

Nowina, która dotarła na komisariat niedługo po ich przybyciu, sprawiła, że troski o zdrowie sierżanta zeszły na dalszy plan.

Dalziel, który pierwszy ją usłyszał, bez pukania wparował do pokoju Pascoe.

- On nie żyje! - zawołał. - Dick, Dandys nie żyje!

- Jak to?!

- Tak to. Utopił się. Kiedy o dziesiątej nie przyszedł na zebranie, kazano miejscowemu policjantowi zajrzeć do jego letniego domku. Dick, już martwy, unosił się na powierzchni morza.

- Co było przyczyną śmierci? Jakiś skurcz? Zawał?

- Nie wiem. Zajmij się tym, Peter, bardzo cię proszę. Dowiedz się, co mówią łapiduchy.

Wczesnym popołudniem Pascoe z grobową miną zameldował się u podinspektora.

- Źle to wygląda - zaczął.

- Jak zwykle. Mów, co wiesz, chłopcze!

- Już pierwszy lekarz wezwany na miejsce zgonu miał wrażenie, że to podejrzana śmierć. Nasz człowiek to potwierdził, przynajmniej w takim stopniu, w jakim może to zrobić bez szczegółowych badań patologicznych.

- Co potwierdził?

- Krótco przed śmiercią Dick Elgood wszedł w kontakt z jakąś stężoną substancją chemiczną.

- Jaką znowu substancją, na litość boską?!

- Gdybym miał zgadywać, obstawiałbym paration albo dieldrynę.

- Gdybyś ty miał zgadywać? A co powiedział łapiduch?!

- Jeszcze przeprowadza jakieś testy, ale wstępnie się ze mną zgodził. Przycisnąłem naszego lekarza. Zdenerwował się, że stan ciała od razu nie zwrócił jego uwagi. Wydawało mu się wprawdzie, że oczy wyglądają jakoś dziwnie, ale pomyślał, że to skutek długotrwałego zanurzenia w morskiej wodzie. Jeszcze raz wszystko omówiliśmy i wtedy sobie przypomniał, że kiedy wszedł do domku, prysznic był odkręcony. To mi się wydało dziwne: po co najpierw brać prysznic, a potem kąpać się w morzu? Zajrzałem na strych. Pamiętasz to pudło, które Elgood w niedzielę wyniósł na strych?

- To z chemią ogrodową? Jezus, Maria...

- Otóż to. W jakiś sposób trafiło do zbiornika na wodę.

- Trafiło? - powtórzył z niedowierzaniem Dalziel. - Samo ?

- W każdym razie tam je znalazłem. Włożyłem gumowe rękawice i wyłowilem karton. To była prawdziwa mieszanka wybuchowa: proszki, płyny, koncentraty... Wszystko stężone, sądząc z opisów na etykietach. I wszystko z poluzowanymi zakrętkami. Kiedy pokazałem zawartość kartonu lekarzowi, powiedział, że to by się zgadzało. Środki zawierające paration szybko wchłaniają się przez skórę, nie powodując miejscowych podrażnień; kiedy człowiek bierze prysznic, łatwo połknąć odrobinę wody. Efekt działania takiego koktajlu byłby błyskawiczny i niszczycielski: dezorientacja, utrata kontroli nad mięśniami, spazmy, problemy z oddychaniem... Biedak pewnie po omacku zszedł nad morze, żeby się oplukać, i się utopił.

- Wysłałeś tam już chłopaków z laboratorium?

- Naturalnie... - odparł Pascoe z wahaniem. - Chociaż wątpię, żeby mieli czego szukać.

Wygląda na to, że Elgood postawił karton na obrzeżu zbiornika. Potem w nocy wiał porywisty wiatr, który tam, na tym strychu, hulał w najlepsze. Bach! Karton spadł...

- Wierzysz w to? - zachrypiał Dalziel.

- A w co mam wierzyć? Nie powie mi pan chyba, że nadal podejrzewa Aldermanna? Gdzie motyw? Wszystko przecież zostało załatwione! I gdzie sposobność? W poniedziałek Aldermann wyjechał, a niedzielny wieczór nie wchodzi w grę: Aldermannowie wyszli z pikniku razem z nami, zaprosiliśmy ich jeszcze na chwilę do siebie, napiliśmy się, coś zjedliśmy... Wyszli od nas po dziesiątej.

- Milutko - burknął Dalziel. - Dlaczego nie mógłby odwiedzić żony i córki do domu, a potem wrócić nad morze?

- Mógłby, ale wtedy żona by się zorientowała. To jest co najmniej godzina w jedną stronę, godzina z powrotem...

- Wybierasz się dziś do nich, żeby domknąć sprawę tych włamywaczy, prawda? Zapytaj ją.

Pascoe się zawahał.

- Jeśli uważasz, że to konieczne...

- Tak właśnie uważam. A ty dobrze wiesz, że mam rację.

O trzeciej po południu Pascoe zajechał pod Rosemont, którego ogrody wciąż pławiły się w słonecznym blasku.

Jechał z otwartymi oknami i czuł, jak świeże powietrze oczyszcza mu umysł, a troski rozpraszają się w złoto-zielonych odcieniach angielskiego lata. Skręcając do Rosemont, musiał się na chwilę zanurzyć w tunelu zwieszających się nad drogą gałęzi ostrokrzewów, za to kiedy wynurzył się po jego drugiej stronie, miał wrażenie, że znalazł się u źródła całego tego ciepła i światła. Czerwień cegły, zieleń traw i barwna tęcza kwiatów wydawały się elementami wielkiego wzoru, dopełnianego przez lazurowy łuk nieba i słońce płonące na nim jak odbicie ogniska w głębokim jeziorze.

Przed domem stał zaparkowany mini. Podjechawszy bliżej, Pascoe rozpoznał w nim samochód Ellie.

- Ożeż kurde... - zaklął głośno.

Nacisnął dzwonek. Chwilę później Daphne otworzyła drzwi.

- Peter! Fajnie, że wpadłeś. Wejdz, siedzimy z Ellie na tarasie.

- Daphne... Słyszałaś o Dicku Elgoodzie?

Powitalny uśmiech na jej twarzy ustąpił miejsca zbolałemu grymasowi.

- Słyszałam. Zadzwonili z biura przed obiadem, zaraz po tym, jak wróciliśmy do domu. Patrick od razu do nich pojechał, ale niewiele mógł zdziałać. Straszne, prawda? Nikt właściwie nie wie, co się stało. Poszedł popływać i dostał zawału?

Nie udawała, Pascoe był tego pewien. Zebrał się na odwagę, żeby zadać następne pytanie, którego cel musiał się jej wydać oczywisty, ale nie dała mu dojść do słowa.

- Ale wejdź, wejdź, proszę. Właśnie szłam zrobić lemoniadę. Napijesz się? A może wolisz piwo?

- Lemoniada będzie w sam raz.

Przeszedł przez dom i wyszedł na taras.

- Cześć - przywitała go Ellie. - Więc to tak spędzasz czas, który powinienś przeznaczać na bicie więźniów gumową pałką?

- A ty siedzisz tutaj, zamiast przykuć się łańcuchem do nogi ministra edukacji? - Pascoe schylił się i pocałował żonę. - Ja tu jestem służbowo. A ty?

- Zadzwoiłam, żeby przywitać się z Daphne po powrocie i pogadać o tym niedoszłym włamaniu, ale była taka roztrzęsiona po śmierci Dicka, że kiedy poprosiła, żebym wpadła, od razu przyjechałam. Okropność, prawda?

- Okropność - zgodził się z nią Pascoe. - Gdzie Patrick?

- W ogrodzie wśród róż, gdzieżby indziej? - odpowiedziała z za jego pleców Daphne. Postawiła na stole dzbanek lemoniady. - Śmierć Dicka na pewno go poruszyła, a kiedy się zdenerwuje, zawsze ucieka do swoich kwiatów. Davidzie, nie dręcz siostry!

Diana znów opiekowała się małą Rose. Towarzyszył jej ładny chłopczyk, który po ojcu odziedziczył piwne oczy i nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Przywieźliśmy go do domu, bo okropnie się zdenerwował, kiedy podsłuchał, jak rozmawiamy o włamaniu - wyjaśniła Daphne. - Koniecznie chciał osobiście sprawdzić, czy jego ukochany pokój jest nietknięty. Nie jest chyba zachwycony, że Diana znalazła sobie inne towarzystwo. Przestań, Davidzie, bo jak nie, to jeszcze dzisiaj odwieziemy cię z powrotem!

- Chłopcy dojrzewają znacznie dłużej niż dziewczynki - wtrąciła z satysfakcją Ellie. - Peter, co się właściwie przydarzyło Dickowi Elgoodowi? Wiecie coś?

- Będzie dochodzenie - odparł wymijająco Peter.

- Zawsze spodziewałam się, że umrze szybką śmiercią - powiedziała Daphne. - Jak na swoje lata, to bardzo intensywnie ćwiczył.

Ellie prychnęła w głąb szklanki z lemoniadą. Daphne skarciła ją wzrokiem.

- To zabawne, ale w niedzielę miałam takie dziwne wrażenie, że ostatni raz się z nim widzimy - mówiła dalej. - Nasze pożegnanie zabrzmiało tak... ostatecznie.

- Nie gadaj - zgasiła ją Ellie. - *Postfactum* każdy mówi, że miał przecucie.

- Nie, naprawdę. Wróciliśmy wtedy od was i za diabła nie mogłam zasnąć. Położyłam się, ale w końcu musiałam wstać. Przesiedziałam pół nocy na tarasie, popijając whisky. To było dziwne: żeby po takim pięknym dniu dręczyło mnie przecucie, że stanie się coś strasznego. Nie musisz mi wierzyć, jeśli nie chcesz - zakończyła prowokacyjnie.

- A Patrick? Też miał takie przecucie? - zainteresował się Pascoe.

- Nie. - Daphne parsknęła śmiechem. - Spał jak kamień. Obudziłam go dopiero, kładąc się do łóżka, czyli koło czwartej. Wtedy wstaliśmy oboje, bo nagle jego też naszło na drinka. Siedzieliśmy i gadaliśmy tak jeszcze z godzinę.

Mówiąc, zarumieniła się lekko, i Ellie domyśliła się, że na tarasie nie skończyło się na picciu i pogawędce.

- Potem spałam przez całą drogę do Gloucester. Musiałam okropnie ziewać, rozmawiając z dyrektorem i nauczycielami.

- Nie przejmuj się - uspokoiła ją Ellie. - W takich szkołach nauczyciele są przyzwyczajeni do ziewania w ich obecności.

- Pójdę, pogadam z Patrickiem - wtrącił znudzony Pascoe. Ulżyło mu po tym, co usłyszał; chyba nawet Dalziel uwierzy w takie niewymuszone alibi? - Panie wybaczą.

Aldermann pracował przy różach.

- Cześć, Peter. Nie wiedziałem, że przyjechałeś. Co ze mnie za gospodarz...

- Nic się nie stało, nie przeszkadzaj sobie. Tu jest tak przyjemnie...

- A ja naprawdę mam huk roboty - ciągnął przeproszającym tonem Aldermann. - Tamta wichura narobiła wielkich szkód. To była chyba ta noc, kiedy siedzieliście u nas w domu?

Mówiąc, cały czas pracował: oszczędnymi ruchami srebrnego nożyka odcinał nadłamane gałązki i uszkodzone kwiaty, zrzucając je do zawieszanej na szyi płóciennej torby.

- A teraz jeszcze w dodatku nie masz ogrodników do pomocy - dodał Pascoe.

- Tak, to rzeczywiście fatalna sprawa. Nie wierzyłem własnym uszom: Caldicott! Od dziecka regularnie bywał w Rosemont. A jego ojciec przecież od początku pracował u wuja Eddiego.

- Wygląda na to, że najgorszy z tej paczki był Brent, najmłodszy z Caldicottów. Miał wcześniej do czynienia z policją: nic poważnego, ale właśnie w ten sposób poznał Arthura Marsha: siedzieli w jednej celi. Potem Arthur wpadł na pomysł z włamaniami. Naprawdę niegłupi pomysł, nawiasem mówiąc.

- Ale jak przekonali starego Caldicotta do współpracy?

- Podejrzewam, że miał kłopoty finansowe. Ostatnio wszyscy próbują oszczędzać; właściciele ogrodów chcieliby płacić Caldicottowi za pół dnia, ale oczekują, że będzie pracował tyle samo co przedtem. W takiej sytuacji łatwo jest zacząć im zazdrościć tych wygodnych domów i skarbów oglądanych przez szpary w zasłonach. Uwagę Marsha przyciągały inne rzeczy: alarmy, rozmieszczenie czujników, wyłączniki, okablowanie - jest wykwalifikowanym elektrykiem. A w dzisiejszych czasach dokumentacja do takich systemów jest łatwo dostępna. Mogli pracować spokojnie, bez pośpiechu, za dnia. Często dopiero po kilku dniach, kiedy wracali właściciele, okazywało się, że dom został okradziony.

- Nadal trudno mi to sobie wyobrazić. Albo wybaczyć. Ja na pewno nie próbowałem na nich oszczędzać.

Nie wątpię, pomyślał Pascoe.

- Stary Caldicott, który upłynął fanty, też tak mówi - powiedział na głos. - Nie chciał robić Rosemont. Przypominał tamtym, że to tu narodziła się jego firma, a pan jest tym najrzadszym z pracodawców, prawdziwym ogrodnikiem, a nie pozerem, który chce się popisać.

- Tak powiedział? - Aldermann uśmiechnął się z satysfakcją. - No cóż, teraz będę musiał znaleźć kogoś innego. To był dla mnie pierwszy szok, a teraz ta sprawa Dicka Elgooda... Makabra. Słyszałeś, prawda?

- Tak, słyszałem.

- Biedny Dick. Co za tragiczne marnotrawstwo... Chociaż to samo można by chyba powiedzieć o prawie całym jego życiu, nieprawdaż?

- Ja miałem wrażenie, że nieźle mu się powiodło.

- Nie dziwię ci się. On sam pewnie też by tak o sobie powiedział. Wątpię jednak, by kiedykolwiek był naprawdę szczęśliwy. Głęboko wierzę w to, że natura każdemu z nas wytycza tylko jedną właściwą drogę rozwoju; cała sztuka polega na tym, żeby ją znaleźć. A Dick w którymś momencie zboczył ze swojej ścieżki. To jak z krzewem różanym: można go tak przycinać i kształtować, że zmieni przeznaczoną mu naturalną formę, można nawet później długo się nim cieszyć, ale kiedyś ta deformacja i tak wyjdzie na jaw.

- Co się teraz stanie z Perfectą?

- Nie wiem. Jesteśmy w stanie zawieszenia. Na pewno będą jakieś zmiany, ale w gruncie rzeczy nigdy nic się nie zmienia.

Patrick Aldermann mówił z obojętną pewnością siebie typową dla człowieka, który wie, co naprawdę jest w życiu najważniejsze. Dlaczego zresztą miałyby być inaczej? Czyż życie nie potwierdzało na każdym kroku słuszności dokonywanych przez niego wyborów?

Niektórzy nazwaliby go pewnie szczęściarzem, ale szczęście, które sprzyja komuś tak regularnie, nabiera cech przeznaczenia. Na przykład, dziś przy obiedzie nie miał cienia wątpliwości, że kiedy później pojedzie do Perfecty, zastanie Quayle'a w gabinecie Elgooda, w roli samozwańczego p.o. prezesa zarządu. Nawet nie musiał szukać pretekstu, żeby przekonać go do otwarcia sejfu - już wcześniej Quayle kazał to zrobić wstrząśniętej do głębi pannie Dominie. Tak samo oczywista była dla Patricka zawartość gładkiej białej koperty, którą wyjął z sejfu i schował do kieszeni: znajdował się w niej testament ciotki Flo. To nie szczęście, to predestynacja! Skoro zaś mógł żywić tak absolutną pewność, że postępuje zgodnie z nienaruszalnym porządkiem rzeczy, nie mogło być mowy o żadnym ryzyku, kiedy wrócił do domku Elgooda w czasie, gdy goście wylegli do ogrodu, żeby tam się pożegnać, otworzył klapę na strych, rozłożył drabinę, wszedł na górę i wrzucił karton z chemikaliami do zbiornika przysznicowego, poluzowawszy uprzednio zakrętki butelek. Trzy minuty. Nikt nie zauważył jego zniknięcia. Zawsze tak było i przypuszczał, że zawsze tak będzie. Wybór? Moralność? Nic z tych rzeczy.

To było przeznaczenie.

Zdał sobie sprawę, że Pascoe przygląda mu się z zaciekawieniem. Nie tylko Pascoe zresztą - za plecami policjanta stał syn Aldermanna, prawie niewidoczny w plamach słońca wśród kołysanych wiatrem róż.

- Cześć, Davidzie - odezwał się Aldermann, wracając do pracy. - Co tam knujesz?

- Mama mówi, że to nieuprzejme, trzymać pana Pascoe tak długo w ogrodzie.

- Mama jak zwykle ma rację. Dziękuję ci, Davidzie. A ciebie, Peter, przepraszam.

- To był mój pomysł - zauważył Pascoe.

- To mnie nie usprawiedliwia.

Aldermann jednym oszczędnym ruchem ściał następny kwiat. Blask słońca spłynął po srebrzystym ostrzu noża jak krew obcej istoty.

- Tato?

- Tak, Davidzie?

- Co robisz? To znaczy, ja widzę, co robisz, ale po co to robisz?

- Hmm... - Aldermann znieruchomiał z nożem wzniesionym do cięcia. - To się nazywa...

Zawiesił głos i uśmiechnął się, jakby opowiedział żart, którego nikt poza nim nie zrozumie. Ostrożnie złożył nóż i schował go do kieszeni.

- Później, Davidzie - powiedział. - Wyjaśnię ci to przy innej okazji, teraz musimy się zająć gośćmi. Peter, musisz spływać potem, stojąc tak tu na słońcu. Chodź, znajdziemy coś do picia, posiedzimy, pogadamy z naszymi paniami. Cudowny dzień, nie uważasz?